

PRZEGLĄD POLITYCZNY

- „Polityki znieść się nie da” - rozmowa z Lechem KACZYŃSKIM
- Isaiah BERLIN - Dwa pojęcia wolności
- Jędrzej BRANECKI - Ordoliberalizm i niemiecki cud gospodarczy
- Jarosław KACZYŃSKI i Mirosław GAJDA o pomysłach politycznych Andrzeja Walickiego
- O teorii Leszka Nowaka raz jeszcze
- Joseph CONRAD [----] „W oczach Zachodu”

WYDAWNICTWO

LITERY

1986

8

SPIS TREŚCI

<i>rozmowa z Lechem Kaczyńskim</i>	
"Polityki znieść się nie da"	3
<i>G.G.</i>	
Pierwsze miesiące (20 listopada - 7 grudnia 1980)	26
<i>Isaiah Berlin</i>	
Dwa pojęcia wolności	53
<i>Guy Sorman</i>	
Projekt liberalny	64
<i>Jędrzej Branecki</i>	
Ordoliberalowie i niemiecki cud gospodarczy	73
<i>Marek Sołtyński</i>	
Chile: gospodarka i polityka	108
<i>Jarosław Kaczyński</i>	
Mit "absolutyzmu oświeconego"	114
<i>Mirostów Gajda</i>	
Sprawa Walickiego	123
<i>Leszek Nowak</i>	
O historiozofii, antropologii, utopii i gnozie	132
<i>Łem.</i>	
Między totalitarną groźbą a "zaczyną socjalistyczno-libe- ralno-konserwatywną kompanią"	162
<i>Joseph Conrad</i>	
Przedmowa do "W oczach Zachodu"	179
<i>George Urban</i>	
George Urban o Urbanie Jerzym	181
Listy do redakcji	184

„POLITYKI ZNIEŚĆ SIĘ NIE DA”

rozmowa z Lechem Kaczyńskim

Przegląd Polityczny: Zaproponowaliśmy jako temat naszej rozmowy pierwsze miesiące istnienia "Solidarności". Wiedza o tym okresie jest ciągle skąpa, a Ty wydajesz się być dobrym źródłem informacji. W czasie strajku sierpniowego byłeś obecny w stoczni jako ekspert, potem, w następnych miesiącach, brałeś udział w pracach gdańskiego MKZ-u. Zaczniemy więc może od Sierpnia. Kiedy eksperci znaleźli się w stoczni?

L.K.: 22 lub 23 sierpnia. Ja znalazłem się tam dzień później. Sytuacja wyglądała tak, że wcześniej zgłosiłem się przez pośredników z pytaniem czy jestem potrzebny i odpowiedziano mi, że nie. Po paru dniach nie wytrzymałem i poszedłem i tak. Rozminąłem się zresztą ze stoczniową delegacją, którą po mnie wysłano. Zazwazanie mnie na strajk pozostało w ścisłym związku z przyjazdem ekspertów.

P.P.: *Czy wcześniej znajdowały się w stoczni osoby wspomagające z zewnątrz?*

L.K.: Nie było doradców. Natomiast osoby wspomagające były. Istniały wątpliwości czy tacy doradcy są potrzebni. Borusewicz powiedział mi potem, że powołanie ekspertów nie przyszło mu wcześniej po prostu do głowy, że nie była to sprawa żadnych zasad, tylko wynik napięcia i olbrzymiej ilości bieżącej roboty.

P.P.: *Czy na powołanie ekspertów mógł mieć wpływ fakt, iż delegacja rządowa uzupełniona była grupą doradców?*

L.K.: W jakimś sensie tak. Należy jednak pamiętać, że inicjatywa przyjazdu ekspertów wyszła z Warszawy. Wcześniej indywidualnie przyjechała Jadwiga Staniszkis, 19 czy 20 na jeden dzień pojawił się Modzelewski. Byli też na miejscu jak wspominałem grupy inteligencji z Warszawy /Bieliński i Chojecki - potem aresztowany/ i z Wrocławia. Oni zajmowali się wydawaniem biuletynu "Solidarność". Był też Krzysztof Wyszkowski

Poza tym do strajku "przykleiło się" wielu ludzi z Gdańska - bywało z nimi różnie: raz pomagali, kiedy indziej robili sporo zamieszania.

Trzeba tu powiedzieć rzecz istotną. Grupa ekspertów nie przyjechała

Lech Kaczyński (ur. 1949), prawnik. W latach 70 tych współpracownik WZZ. W sierpniu 1980 doradca MKS, a od września MKZ Gdańsk. Kierownik Biura Informacji i Zespołu Analiz Bieżących, następnie OPSZ przy MKZ-cie Gdańskim. Później członek Zarządu Regionu. Przewodniczący Zespołu 11 Komisji Programowej w czasie Zjazdu NSZZ "Solidarność".

do Gdańska z pełną wiarą, że uda się wywalczyć Wolne Związki Zawodowe. Muszę przyznać, że i mnie tej wiary brakowało.

Zaraz po przybyciu do stoczni zostałem zaproszony na posiedzenie, które odbywało się w stołówce któregoś z wydziałów. Byli tam wszyscy eksperci i większość członków Prezydium MKS. To tam właśnie eksperci przedstawili tzw. "wariant B" porozumienia, który jednak w dalszym przebiegu wydarzeń nie odegrał żadnej roli.

P.P.: *Na czym polegał ten wariant?*

L.K.: Była to koncepcja o charakterze zastępczym wobec idei Wolnych Związków i wchodziła w grę dopiero wówczas, gdyby powołanie do życia takich związków okazało się absolutnie niemożliwe. Tzw. "wariant B" przewidywał powstanie Komitetów Kontroli Robotniczej. Miałyby one działać w regionie gdańskim, pełniąc rolę związkowo-samorządową. Byłyby to komitety zakładowe. Tam były dwie wersje - w pierwszej komitety te powiązane byłyby organizacyjnie z Wojewódzką Radą Związków Zawodowych, w drugiej - byłyby samodzielne. Ten drugi był wariantem zasadniczym.

P.P.: *Te komitety miały działać tylko lokalnie, na Wybrzeżu?*

L.K.: Strajk się toczył w ramach województwa. Formalnie porozumienia sierpniowe były podstawą do tworzenia niezależnych związków zawodowych w regionie, a nie w całej Polsce... Było jednak oczywiste, że taka sytuacja nie da się utrzymać.

Kilka słów komentarza. Ekspertsi w strajku odegrali olbrzymią rolę i zaryzykowałbym twierdzenie, że bez nich porozumienie nie mogłoby dojść do skutku. To zaś, że szukali oni jakichś innych rozwiązań od tego, które było przewidywane w postulacie pierwszym, jest kwestią ich politycznej odpowiedzialności.

W owym czasie jeszcze postulat utworzenia Wolnych Związków był stanowczo odrzucany przez stronę rządową. Oczywiście, ta koncepcja jakiegos zastępczego wyjścia nie była ujawniana. I nie sądzę, żeby delegacja rządowa o niej wiedziała. Nie było to w każdym razie nigdy przedmiotem rokowań. Pomysł ten trzymano w zapasie na wypadek bardzo niepożądanego przebiegu rozmów. W żadnym więc razie nie można powiedzieć, że eksperci byli przeciwni Wolnym Związkom Zawodowym. Szukali po prostu takich rozwiązań, które pozwoliłyby pokojowo zakończyć strajk w warunkach, gdyby ten podstawowy postulat okazał się nie do przeformowania.

P.P.: *Kto wchodził w skład grupy ekspertów?*

L.K.: Właściwie były dwie grupy - prymasowska i Tadeusza Mazowieckiego. Grupa prymasowska bezpośrednio się na sali nigdy nie pojawiła. Właściwie można mówić o niej dopiero od września 80. Funkcjonowała ona przede wszystkim poprzez bezpośrednie kontakty z Wałęsą. Istnienie tej grupy było wyrazem poparcia Kościoła i osobiście prymasa Wyszyńskiego dla tworzącej się "Solidarności". Przedostatniego dnia strajku przybyli do stoczni Olszewski, Stelmachowski i Chrzanowski /wcześniej uniemożliwiono im wyjazd z Warszawy/. Olszewski i Chrzanowski już w tamtych dniach opracowali pierwszy projekt statutu związku. Obecność tych osób okazała się pożyteczna, choć w skład grupy Mazowieckiego nie zostali włączeni.

Podstawową grupą był zespół Mazowieckiego. W jego skład wchodziłi Ceremek, Kowalik, Cywiński, Stembrowicz, Staniszkis, Kuczynski (jedeny w tej grupie ekonomista), Wielowiejski i Strzelecki.

Z ramienia Prezydium doradcami zajmował się Gwiazda. Mazowiecki zastrzegł sobie autonomię polegającą na tym, że nie będzie przyjmował do tego zespołu osób, które nie uzyskają jego akceptacji.

P.P.: *Jak formalnie toczyły się rozmowy?*

L.K.: Dwukanałowo. Po pierwsze były to rokowania z udziałem całych delegacji, publiczne, toczone w sali BHP. Jednocześnie w salce recepcyjnej toczyły się rozmowy między grupami roboczymi. Z naszej strony uczestniczyli w nich Mazowiecki, Geremek, Kowalik i początkowo także Staniszkis. Chwilami również Kuczyński.

P.P.: *Nasuwą się przypuszczenie, że decyzje naprawdę ważne zapadały w tej małej salce, a nie w rozmowach plenarnych...*

L.K.: Tendencją każdej rewolucji jest próba uchYLENIA, zniesienia polityki. Ale polityka od kilku tysięcy lat znieść się nie daje. Nie dało się także jej uchylić w czasie strajku, ani potem, w okresie "Solidarności". Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju rozmowy, w których obie strony miały większą swobodę wypowiedzi, były konieczne. I okazały się pozytywne.

P.P.: *Czy ten "wariant B" stał się powodem konfliktu między ekspertami a członkami Prezydium?*

L.K.: Nie było ostrego ataku. W trakcie tamtej rozmowy dużo większą rolę odegrał problem reformy gospodarczej. Kuczyński dowodził, że jednym z efektów strajku może być przeprowadzenie tej reformy. Zapytałem go wówczas, na czym opiera swój sąd, skoro kilkakrotnie podejmowane w przeszłości próby spalały na panewce. On swoją tezę uzasadniał wówczas kształtem sytuacji społecznej. To był leitmotiw tej dyskusji, a nie sprawa Komitetów Kontroli Robotniczej. Oczywiście, zbyt przyjaźnie ten pomysł przyjęty nie został, ale do mocnego starcia między Prezydium i doradcami nie doszło. A przy innych okazjach takie starcia miały miejsce.

P.P.: *Na czym te konflikty polegały?*

L.K.: One miały kilka płaszczyzn. Po pierwsze, był to w jakimś sensie "tradycyjny" konflikt między intelektualistami a robotnikami. Mit klasy robotniczej jeszcze w tym okresie na samych robotników oddziaływał. Był to więc rodzaj nieufności do ludzi z innej grupy społecznej.

Po drugie zarysował się konflikt o charakterze politycznym między bardziej radykalną i świadomą - wywodzącą się z WZZ - grupą ludzi z Prezydium, a bardziej umiarkowaną grupą ekspertów.

Trzecia płaszczyzna konfliktów łączyła się, jak sądzę, z poziomem wiedzy. Np. na posiedzeniach Prezydium miały miejsce bardzo ostre starcia dotyczące oceny sytuacji gospodarczej i wynikającej z niej możliwości realizacji roszczeń płacowych.

P.P.: *A czy nie wzbudzała dyskusji kwestia roli i uprawnień ekspertów?*

L.K.: Tak, to była kwestia tzw. manipulacji. Podczas strajku odgrywała jednak dużo mniejszą rolę niż później, kiedy stała się o problemem politycznych wpływów, problemem władzy w "Solidarności". Ważniejsze były spory ekonomiczne. Prezydium MKS bardzo optymistycznie oceniało możliwości realizowania roszczeń płacowych. Eksperci - szczególnie Kuczyński - usiłowali natomiast uzmysłwić wszystkim ciężką sytuację gospodarczą kraju. Jak wiemy zresztą, ten problem nie odegrał w

negocjacji dużej roli. Enigmatyczne sformułowanie o podwyżce o jedną grupę zostało w istocie ustalone bez większego sporu. Sprawa wybuchła na nowo we wrześniu - październiku, ale już w zupełnie innej sytuacji. Na posiedzeniach w stoczni była to jednak kwestia często dyskutowana i rodząca silne napięcie. Zresztą Prezydium też nie było jednorodne. Była tam grupa działaczy bardziej umiarkowanych, np. Gruszecki, Wiśniewski i w dużym stopniu Wałęsa, a z drugiej strony znajdowali się ludzie o przekonaniach bardziej radykalnych - Gwiazdowie, Sobieszek...

P.P.: ...Ten sam, który potem na Zjeździe wystąpił z postulatem skrajenia fragmentu z preambuły do statutu "Solidarności" o kierowniczej roli partii /tzw. "kierowniczy"/.

L.K.: Tak. Sprawa związków a partia już podczas strajku stała się problemem. To był główny punkt sporów politycznych między ekspertami a częścią Prezydium. Doradcy uważali, że przyjęcie tu rozwiązań jednoznacznie odrzucających kierowniczą rolę partii jest nierealne, że trzeba dać stronie rządowej pewną furtkę, która pozwoliłaby jej znaleźć zaplecze po swojej stronie do podpisania porozumienia. W ekipie rządowej bowiem miały miejsce także dramatyczne konflikty w kwestii rozwiązania zaistniałej sytuacji politycznej. Z kolei Prezydium, podobnie jak prawie cały MKS, uważało, że jeżeli my tej sprawy nie załatwimy teraz, to po prostu podpadniemy pod "kierownicę" i nie da się tego załatwić już nigdy. Mielśmy tu do czynienia z charakterystycznym w Polsce magicznym stosunkiem do prawa. Z jednej strony prawo się u nas po trosze lekceważy, a z drugiej sformułowania zawarte w ustawach traktuje się jako posiadające własną, samoistną moc magiczną.

Koncepcją kompromisową zapisu tego problemu /której autorstwo mogę częściowo przypisać sobie/ była propozycja sformułowania, że związek nie zamierza pełnić roli partii politycznej, no i powołanie się na Konstytucję. Tak też to ostatecznie zostało zapisane. Niemałą rolę w przyjęciu tego rozwiązania odegrał Andrzej Gwiazda, człowiek o radykalnych przekonaniach, ale człowiek, który w warunkach znacznego napięcia potrafi postępować odpowiedzialnie. Tu na marginesie ciekawa anegdota. Na dwa dni chyba przed zakończeniem strajku zaproponowano Lisowi i Gwiazdzie odbycie poza stoczną spotkania z przedstawicielami kierownictwa politycznego kraju. Oczywiście odmówili.

P.P.: O co chodziło? To była próba wywabienia ich ze stoczni?

L.K.: Najbardziej prawdopodobne, zważywszy, że władza wówczas rzeczywiście unikała stosowania przemocy, jest, że chodziło o zaproponowanie pewnych rozwiązań personalnych satysfakcjonujących osobiście Gwiazdę i Lisę, a odpowiadających jednocześnie władzy. Ale to są tylko moje sugestie.

P.P.: Czy strajkujący mieli świadomość, że są autorami poważnej zmiany systemowej?

L.K.: Tę świadomość miała nieliczna stosunkowo grupa ludzi. Sądę, że gdyby była to świadomość powszechniejsza, to dużo trudniej byłoby zmobilizować ludzi do poparcia tego strajku. Poparcie nie byłoby tak automatyczne. Nie dlatego, żeby ludzie zmiany nie chcieli. Sądę tylko, że wtedy jeszcze większość generalnie uważała, że system jest constans, że nie da się go zreformować czy tym bardziej zmienić. Gdyby więc zdali sobie sprawę z tego, jak poważną zmianą systemową jest powołanie do życia NSZZ, to wiara w sukces tego postulatu nie byłaby tak olbrzymia. A to właśnie wiara okazała się materialną siłą, która umożliwiła sukces "Solidarności".

P.P.: Wiara uczyniła cud. Ale czy wiary tej nie gasiła obawa przed abrojącą interwencją w Polsce? Czy sprawa obecnej interwencji była obecna w czasie strajku?

L.K.: Oczywiście, ta sprawa pojawiała się wielokrotnie. Po pierwsze w formie plotek, których było mnóstwo. Ale nie tylko. Istniało przekonanie, że takie rozwiązanie jest realnie groźne. Mogę przy tym powiedzieć, że już wówczas /a znacznie bardziej w okresie późniejszym/ "rozwiązanie zewnętrzne" uważane było za bardziej realne niż "rozwiązanie wewnętrzne". Świadomość takiego zagrożenia istniała i miała pewien stymulujący wpływ. Potem jednak, w miarę rozwoju "Solidarności", poczucie tego zagrożenia malało. Mimo, że wielu doradców - w tym Kuroń - na fakt tego zagrożenia wielokrotnie zwracało uwagę.

P.P.: *A w czasie rokowań strajkowych, czy delegacja rządowa postugiwała się argumentem takiego niebezpieczeństwa?*

L.K.: Na sali obrad, w rozmowach plenarnych, nie. W każdym razie na pewno nie bezpośrednio. Jak było "za zamkniętymi drzwiami" - nie wiem, bo w tamtych rozmowach nie uczestniczyłem. Natomiast później problem ten występował wielokrotnie. Pojawiał się także publicznie, np. w wystąpieniach w partyjnej kampanii przedzjazdowej.

P.P.: *Jeszcze w czasie strajku R. Wojna w telewizji mówiąc o sytuacji w kraju snuł analogie do warunków, które spowodowały XIX-wieczne rozbiory Polski.*

L.K.: Tak, ten element nie tyle zewnętrznej interwencji, ile zagrożenia bytu państwowego /ściślej: formalnopaństwowego/ jest jednym z głównych elementów budowli wspierającej świadomość warstwy rządzącej w Polsce. Tam chyba istotnie panuje przekonanie, że odejście od władzy komunistów w tym kraju mogłoby się skończyć nie tyle wkroczeniem obcych wojsk, nie tyle powtórzeniem wydarzeń węgierskich, a po prostu utratą formalnej niepodległości przez Polskę. Gomułka np. w ten sposób widział tę sprawę.

P.P.: *Czyli że w strajku sierpniowym świadomość niebezpieczeństwa interwencji była istotna?*

L.K.: Tak, choć poczucie największego zagrożenia wystąpiło nie wówczas, a na początku grudnia '80. Wiązało się to z informacjami, które wtedy otrzymywaliśmy z Zachodu, o istnieniu możliwości takiego rozwiązania. Procesy świadomościowe trudne są jednak do jednoznacznego wyjaśnienia. Z jednej strony istniała świadomość poważnego zagrożenia obcą interwencją, a z drugiej strony ci sami ludzie żądali, żeby sprawę niezależności od partii postawić ostro i jasno. Jedno nie przeszkadzało drugiemu.

P.P.: *Oprócz kwestii "związek a partia", jakie inne jeszcze sprawy wzbudzały kontrowersje i dyskusje w gronie ekspertów i wśród samych strajkujących?*

L.K.: Wśród strajkujących nie było wówczas żadnych istotnych sporów, co też jest charakterystyczne dla takiego rewolucyjnego okresu. Jeżeli miały miejsce spory, to ze względu na u jednych mniejszą, u innych większą skłonność do koncilijnej. Plenum MKS-u było pod przemożnym wpływem Wałęsy, który potrafił zawsze opanować sytuację, ilekroć uznał, że sytuacja tego wymaga. Na Plenum stawiano wiele bardzo radykalnych postulatów. Była to specyficzna giełda polityczna, na której wygłaszano najróżnorodniejsze mowy i przemówienia - obok politycznych także ekspicyjne czy wręcz maniackalne. /Do każdego ruchu społecznego tego rodzaju dokleją się maniacy i problem w tym, jak prędko uda się ich wyeliminować. W "Solidarności" nastąpiło to stosunkowo szybko./

* Szerzej na ten temat p. art. A. Richerta, Pierwszy kryzys interwencyjny, "Przegląd Polityczny" nr 7, 1985.

Wałęsa całkowicie nad tym wszystkim panował. Potrafił np. wejść na posiedzenie, o którym było wiadomo, że mają tam być podjęte bardzo radykalne postanowienia - a jego wejście na główną salę było swoistym ceremoniałem - wchodził na mównicę, proponował hymn i po jego chóralnym odśpiewaniu ogłaszał zakończenie posiedzenia MKS-u. I nikt nie protestował... To oczywiście przykład anegdotyczny. Wracając zaś jeszcze na chwilę do problemu inteligencja - robotnicy, trzeba powiedzieć, że w skład MKS-u wchodziło wielu inteligentów. Robotnicy uważali natomiast w Prezydium.

P.P.: *Czy rokowania strajkowe przez cały czas wyglądały tak samo, aż do ostatnich dni?*

L.K.: No nie, z chwilą ustalenia podstawowych punktów - pierwszego, drugiego, czwartego - rozmowy zmieniły charakter. Powołano wiele grup roboczych, które zajęły się opracowaniem pozostałych postulatów. Ja zajęty byłem w grupie pracującej na temat zmian w Kodeksie Pracy. Obok tego wypłynęła wówczas sprawa więźniów. Siedzieli jeszcze ludzie z "puli radomskiej" za 76 rok, siedział Kozłowski ze Słupska, Zadrożyński z Grudziądza. Poza tym zatrzymano wtedy znaczną grupę osób z Warszawy, a wśród nich także mojego brata. Część z nich dostała sankcje prokuratorskie. Powstał więc problem ich wypuszczenia, zagwarantowania tego w aneksie do porozumienia. No i tu doszło do najostrzejszego bodajże konfliktu. Grupa ludzi z Wrocławia wspomagająca strajk plus część stoczniovców podniosła regularny bunt. Wpadli na salę posiedzeń Prezydium /co wcześniej się nie zdarzało, ta sala była dość ściśle izolowana/ i doszło do potwornej kłótni. Chodziło o to, czy sprawę więźniów należy rozwiązywać w ramach porozumienia, czy też wyłączyć z niego i załatwiać ją oddzielnie. Wszyscy byli oczywiście za tym, żeby tych ludzi uwolniono, chodziło jedynie o to, czy było to w tamtej chwili realne. Powstała m.in. koncepcja, że ten problem sam się rozwiąże w ramach nowej sytuacji politycznej, jaką stworzy podpisanie porozumienia. Ja byłem innego zdania. Brałem bowiem pod uwagę możliwość takiej sytuacji w Polsce, że będą się tworzyły w sposób chaotyczny niezależne związki zawodowe, ale równocześnie niezależne siły polityczne, kształtujące się od kilku lat, zostaną po prostu rozbite. Do takiej równoległości, którą można by nazwać rozwiązaniem "natolińskim", mogło dojść.

P.P.: *Ile osób wówczas zatrzymano?*

L.K.: Około dwudziestu, połowa z nich miała sankcje. Tymczasem sytuacja w stoczni wyglądała tak, że porozumienie było już właściwie parafowane i miało być podpisane o godz. 17.

P.P.: *Jakie były argumenty tych, którzy nie chcieli sprawy więźniów stawiać tak kategoriycznie i uzależniać od niej podpisanie porozumienia?*

L.K.: Argument był jeden podstawowy. Mamy porozumienie o znaczeniu historycznym. Zezwala ono na niezależne związki zawodowe. Porozumienie to zostało zawarte niejako na granicy politycznej możliwości. Każdy krok dalej może tę granicę przekroczyć.

P.P.: *Jak tę sprawę ostatecznie rozwiązano?*

L.K.: Kilka godzin przed wyznaczonym terminem podpisania porozumienia nakłoniliśmy Andrzeja Gwiazdę, żeby interweniował twardo w sprawie więźniów w Jagielskiego, który urzędował wtedy w budynku dyrekcji. Gwiazda poszedł i sprawę załatwił. Były tam podobno jakieś rozmowy Jagielskiego z Warszawą i, jak wiadomo, jeszcze tego samego dnia zaczę-

ły się zwolnienia i do wieczora 1 września zwolnieni zostali właściwie wszyscy.

P.P.: *Czy można przyjąć, że sprawa więźniów była swoistym testem, jakiemu władza poddawała formujący się związek?*

L.K.: W pewnym sensie oczywiście tak. Poza tym władza miałaby tu atut wobec własnego aparatu. Oto podpisaliśmy porozumienie o powołaniu NSZZ, ale jednocześnie znaczna grupa opozycjonistów, którzy wcześniej chodzili sobie po włóczęgach, teraz siedzi. Z perspektywy czasu sądzę, że gdyby ten problem nie został wówczas w ramach porozumienia rozwiązany, mógłby znacznie skomplikować sytuację "Solidarności" w pierwszym okresie jej istnienia. Inna rzecz, że władza chciała - chociaż przez pewien czas - izolować tych ludzi z opozycji od tworzącego się ruchu społecznego.

P.P.: *Jednym słowem porozumienie, sukces - ubrew małej wierzze ekspertów...*

L.K.: Tak stawiać sprawy nie wolno. O roli jaką eksperci odegrali w czasie strajku już mówiłem. Jeżeli chodzi o mnie, a sądzę że moje przekonania były w tej sprawie bliskie ekspertom, wierzyłem w sukces strajku, tylko nie w takiej postaci. Sądziłem, że to będzie zacznym do zmian demokratycznych w Polsce, które być może przybiorą jakiś instytucjonalny wyraz, ale fakt, że w Wolne Związki nie wierzyłem. Nie szedłem jednak na strajk jako straceniec. Wątpiłem tylko w rozmiary sukcesu zakreślone w pierwszym postulacie. Porozumienie zostało podpisane w niedzielę, ale już od wtorku przebieg rozmów wskazywał, że postulat pierwszy jest realny. Po drodze było tam jeszcze wahnięcie - w czwartek obradowało Biuro Polityczne, mówiło się, że władze w pewnym momencie bliskie były podjęcia próby użycia siły, ale to minęło.

P.P.: *Czasu na radość z uzyskanego porozumienia nie było zbyt dużo. To był przecież dopiero początek, a trudności miały rosnąć z dnia na dzień. Wiedziano o tym?*

L.K.: Entuzjazm był wielki, społeczna radość ogromna. Zarówno działacze, jak i "masy" miały świadomość trudności, fakt. Jednak mimo wszystko akcja tworzenia Związku przebiegała w tempie, którego nie przewidywaliśmy. Liczyłem na większość w załogach, ale nie na taką miażdżącą większość. Odczytanie stanu ówczesnej świadomości nie jest jednak proste. We wrześniu 80 gimnastykowaliśmy się potwornie z problemem kas zapomogowo-pożyczkowych. To jest dla mnie generalny dowód na to, że ludzie sobie jeszcze nie zdawali sprawy, w co grają. Gdyby to wiedzieli, to problem tych kas nie miałyby takiego znaczenia. A ludzię się martwili wtedy, że przypadnie im możliwość otrzymywania pożyczek. To był jeden z głównych przedmiotów dyskusji na setkach zebrań założycielskich, które się wtedy odbywały.

P.P.: *Co było pierwszego września?*

L.K.: Mieliśmy już lokal we Wrzeszczu na Marchlewskiego. Olbrzymie, zupełnie puste mieszkanie. Między 8 a 9 rano zaczęliśmy się tam gromadzić i usiłowano rozdzielać zadania... 2 września na posiedzeniu Prezydium MKZ powołana została grupa ekspercka, w skład której weszli prof. Lipiński, Jacek Kuroń i ja. Z początku istnienia tej grupy nie ujawniano, zrobił to dopiero Wałęsa w końcu października, ale bez podawania nazwisk. Ta komisja nie była zwartą grupą. Prof. Lipiński ze względu na wiek do Gdańska nie przyjeżdżał. Ja z Kuroniem za to przez dwa miesiące współpracowałem blisko.

P.P.: *Skąd nazwa NSZZ - dłaczego nie Wolne Związki Zawodowe?*

L.K.: To było pewne ustępstwo z naszej strony. Delegacja rządowa podnosiła, że termin Wolne Związki ma odniesienia do jednej z międzynarodowych konfederacji, której przypisywano charakter pravicowy. Chodziło też o kwestię następstwa. Wcześniej na Wybrzeżu istniały WZZ - utrzymanie tej nazwy oznaczałoby, że "Solidarność" jest dzieckiem opozycji politycznej. Na to strona rządowa nie chciała się zgodzić. Z kolei gdy z naszej strony ktoś wymyślił "niezależne", problem nie odgrywał już takiej roli. Zresztą kwestia czyją schedą jest "Solidarność", będzie powracała przez cały czas jej istnienia. Będzie to oczywiście problem polityczny.

P.P.: *Dlaczego nie udało się zgrać terminów zakończenia strajku w Gdańsku i Szczecinie? Czy był kontakt między tymi miastami?*

L.K.: Był. Przyjeżdżali ludzie i był kontakt telefoniczny. /Nawiasem trzeba dodać, że przywrócenie łączności telefonicznej między Gdańskiem a resztą kraju było pierwszym znakiem, że coś się uda tym strajkiem osiągnąć/. Do dziś nie wiem, dlaczego tak się stało. Wałęsa rozmawiał ze Szczecinem w piątek i potem oddał mi słuchawkę, a ja zapytałem, czy będą podpisywać porozumienie przed nami. Usłyszałem, że absolutnie nie. A następnego dnia okazało się, że podpisali.

P.P.: *Dlaczego?*

L.K.: Nie wiem. Był szum informacyjny. Przykładowo, uzyskaliśmy wtedy wiadomość, że w porozumieniu szczecińskim zagwarantowano prawo do funkcjonowania opozycji politycznej. Potem przyszła inna wersja, że tak powiedział Barcikowski. Pogłoszek różnych było wiele.

P.P.: *Różnica między Szczecinem a Gdańskiem przejawiała się jednak nie tylko w kwestii terminu podpisania porozumień, ale także - a może przede wszystkim - w modelach tych porozumień.*

L.K.: Tak i ta różnica będzie się mocno zaznaczać aż gdzieś do połowy listopada 80 roku. W Szczecinie powołano, jak bym to nazwał związek współpracujący. Miał on funkcjonować w kontaktach z władzą nie poprzez negocjacje, ale przez powołanie komisji mieszanych. Miała działać zasada okrągłego stołu, która wtedy była mocno forsowana przez władze. Np. podczas pierwszych rozmów w sprawie dostępu do środków masowego przekazu /chodziło o prasę/ długo nas przekonywano, że ten stół, przy którym siedzimy, powinien być właściwie okrągły, bo tu nie ma stron. Szczecin szedł na to i to była najistotniejsza różnica. Tymczasem "Solidarność" przy swoim minimalnym doświadczeniu politycznym, działając na zasadzie okrągłego stołu, mogła zostać bez trudu wciągnięta w tryby systemu. Zasada stron w rokowaniach, działanie na zasadzie partnerstwa, ale nie mieszanie się z sobą, jest lepsza. Metoda okrągłego stołu była już wcześniej wykorzystywana przez władze choćby w zarządzaniu przedsiębiorstwem. Przewodniczący Rady Zakładowej był członkiem tzw. "kolektywu" /dyrektor, sekretarz POP, przewodniczący org. młodzieżowej/. Funkcjonował więc pozornie jako członek gremium kierowniczego. Tylko że gdyby nawet chciał być niezależny, to w tym zakładzie był kompletnie zdominowany. Tak więc szczecińska formuła związku była błędna. "Solidarność" na takiej płaszczyźnie zintegrować by się nie dało. "Solidarność" przeciwie była organizacją mającą za zadanie wywalczyć postulaty ruchu pracowniczego, ale równocześnie siłą, która ma dokonać pewnego przekształcenia w ramach systemu i przyczynić się do reformy państwa.

P.P.: *Czy postulaty strajkowe Szczecina i Gdańska powstawały niezależnie?*

L.K.: Sądzę, że tak, choć wszystkie postulaty były do siebie podobne.

P.P.: *Kto wspomagał strajk szczeciński?*

L.K.: Przede wszystkim grupa tamtejszych prawników - Milczanowski, Zimowski, Kitłowski. No i dość ponura postać - Lampasiak. Był tam też m.in. Andrzej Kijowski. Myślę, że odmiennosc życiowych doświadczeń doradców szczecińskich i doradców gdańskich i wynikająca z tego różnica w mentalności obu tych zespołów też w jakimś sensie znalazła swoje odbicie w kształcie obu porozumień.

P.P.: *Porozmawiajmy teraz o Śląsku. Tam sprawa była dużo bardziej skomplikowana...*

L.K.: Tak, tam strajk zaczął się później - 23 czy 24 sierpnia, najpierw w Rybnickim Okręgu Węglowym - i powstało kilkanaście MKS-ów, spośród których jednak trzy odegrały największą rolę. Nas w Gdańsku strajk górniczy z jednej strony ucieszył, bo był znakiem, że kraj się ruszył, ale także przeraził trochę, gdyż obawialiśmy się, że strajk generalny postawi władze w sytuacji bez wyjścia. I dojdzie do konfrontacji. Sztandarowym MKS-em Śląska w tamtym okresie było Jastrzębie z Jarosławem Sienkiewiczem na czele. To była instytucja agenturalna po prostu i dlatego nie wymianiam Śląska obok Gdańska i Szczecina. Oczywiście chodzi o osobę Sienkiewicza. Trzeba bowiem koniecznie powiedzieć, że jednocześnie znalazło się tam wielu wspaniałych ludzi, dobrych działaczy. Ale dzięki Sienkiewiczowi kierownictwo strajku zostało przechwyczone.

P.P.: *A jaką rolę odegrały tam wówczas istniejące wcześniej WZZ?*

L.K.: Ja byłem wtedy w Gdańsku, przepływ informacji był zły, krążyło mnóstwo plotek. Z tego, co później mówił mi Rozpłochowski, wiem, że Świton pojawił się w Hucie Katowice, ale nie odegrał większej roli. Podobnie zresztą było i w Szczecinie, gdzie WZZ w momencie wybuchu strajku były w stadium załawkowym /tworzyli je bracia Witkowsy/ i też ich wpływ był nieduży. Jastrzębie nie było sprawą autentyczną. O ile Szczecin godził się na współpracę i bał się opozycji, to Jastrzębie szło dużo dalej, zwalczając opozycję. Poza tym Jastrzębie miało pewne własne plany. Chodziło o stworzenie - nie wiem: w ramach "Solidarności", czy poza nią - jakiegoś związku górniczego. Delegaci stamtąd krążyli po Polsce, docierając nawet do Konina.

P.P.: *Strajki się skończyły, porozumienia zostały podpisane i ruszył zegar szesnastu miesięcy. Od początku było wiadć różnice w podejściu władz do "Solidarności" w Gdańsku i w innych regionach kraju. Największe kłopoty z zakładaniem związku były tam, gdzie nie było przedtem strajków. Czy sądzisz, że była to świadoma, centralnie ułożona polityka, czy też wynik siły ciężenia mentalności aparatu, niezdolnego do akceptacji nowej sytuacji?*

L.K.: Dla aparatu powołanie do życia niezależnego związku zawodowego było, jak to mówił Reykowski, anihilacją całego ich świata. To było zaprzeczenie wszystkiego, co budowało ich dotychczasowy ogląd rzeczywistości. Opór więc był zrozumiały, zważywszy jeszcze, że formalnie porozumienie gdańskie mówiło o tutejszym regionie jako miejscu, gdzie mają powstać niezależne związki. Trudno natomiast powiedzieć, czy postępowanie władz lokalnych wynikało z koncepcji centralnej. Koncepcja taka pojawiła się nieco później. Chodziło o osłabienie "Solidarności" poprzez reformę CRZZ. We wrześniu zaczął się proces występowania z CRZZ poszczególnych związków branżowych, które przybierały nowe nazwy, mianując się także "niezależnymi". Koniec końców u schyłku października Centralna Rada Związków Zawodowych przestała istnieć.

P.P.: *Pierwszy poważny konflikt "Solidarności" z władzami osnuty był wokół realizacji wynikających z porozumień roszczeń płacowych. Czy tak?*

L.K.: Nazwałbym go "konfliktem rozproszonym". Chodzi o to, że we wrześniu okazało się, iż zapis tych punktów porozumień jest w istocie nierealny. Zainicjowano setki rozmów i negocjacji, które toczone pierwotnie na szczeblu zakładów, z czasem przybierały charakter rozmów branżowych. Zawarto wówczas ogromną liczbę porozumień - mówiło się o sześciuset, ja myślę, że było ich więcej. W ramach tych porozumień ustalono podwyżki wyższe, niż by to wynikało z umowy gdańskiej. Kierownictwo związku znalazło się w sytuacji przymusowej. Nie było możliwości powstrzymania tego ruchu roszczeniowego, gdyż on się ściśle wiązał z krystalizacją "Solidarności". Pamiętamy, że był to okres organizacji związku, który wówczas już zdolny był do wielkiej mobilizacji społeczeństwa, ale daleko mu jeszcze było do osiągnięcia sprawności w działaniu. Istniało wówczas rzeczywiście coś takiego, jak wspólna wola milionów ludzi idąca w tym samym kierunku. I na tej woli oparta była tajemnica tak zwanej "dobrej organizacji" związku, o której często wspominały władze, dając ją jako dowód na to, że "Solidarności" była sterowana z zewnątrz. To nie było tak. To była kwestia olbrzymiej siły spontanicznego ruchu społeczeństwa. Pamiętam, że wtedy ukazało się w sprawie podwyżek oświadczenie Prezydium gdańskiego MKZ, a w nim znalazło się stwierdzenie, że odpowiedzialność za wynikłą sytuację spada na rząd, który zgodził się na wiele porozumień podwyższających pułap roszczeń finansowych w stosunku do tego, jaki został zakreślony w umowach gdańskich. Czy myśmy sobie zdawali sprawę, że to jest złe dla gospodarki? - Jednoznacznie nie da się odpowiedzieć: część osób tak, a część nie.

P.P.: *A jak w czasie tego "rozproszonego konfliktu" przebiegały kontakty kierownictwa "Solidarności" z władzą? Czy w ogóle takie kontakty miały miejsce, czy też odbywały się tylko te rozmowy "na dole"?*

L.K.: Właściwie tylko na dole, później jednak częstokroć na szczeblu ministra. Była zresztą taka moda, żeby zapraszać co najmniej ministra - nawet do rozmów zakładowych. Miało to, jak sądzę, charakter prestiżowego dostrzeżenia. Podczas tych rozmów ludzie atakowali przedstawicieli władzy, czasami nawet w sposób, by tak powiedzieć, trudny do zaakceptowania. Tą metodą następowało swoiste wyładowanie emocji. Bezpośrednich rozmów między kierownictwem "Solidarności" a władzami, o ile pamiętam, jednak wówczas nie było. Na przełomie września i października pojawił się w Gdańsku Jagielski. Chodziło o sprawę strajku generalnego. Odbyły się wówczas rozmowy w Urzędzie Miejskim. Drugi raz Jagielski przyjechał pod koniec października...

P.P.: *Wówczas, zdaje się, chodziło o rejestrację związku?*

L.K.: Tak. Natomiast pierwsze rozmowy plenarne z udziałem premiera Pińkowskiego miały miejsce w końcu października. Od tej pory dopiero można mówić o całym cyklu spotkań - w tym także na najwyższym szczeblu - przedstawicieli związku i władz, spotkań, które będą trwały do lata 81 roku. Przedstawicielem rządu do spraw kontaktów ze związkami zawodowymi był w owym czasie Jedynak. Spełniał on funkcję, jaką potem spełniali wspólnie Ciosek i Rakowski. Brał udział w najtrudniejszych rozmowach branżowych, np. uczestniczył w tym trójkącie negocjacji - służba zdrowia, kultura, oświata.

P.P.: *Przedstawiciele władz mówili wtedy, że te roszczenia idą zbyt daleko, że są nierealne?*

L.K.: Generalnie oczywiście była o tym mowa. Pamiętam, że problem ten podnosił Pińkowski...

P.P.: *A porozumienia się miały. Czy nie było w tym sprzeczności?*

L.K.: W związku z tym okresem istnieje jeszcze wiele pytań, na które trudno odpowiedzieć. Istniał piekielnie silny odpólny nacisk ludzi. Miała miejsce, jak sądzę, głęboka dekompozycja centrum władzy. Trzecim elementem była niechęć centralnego ośrodka dyspozycyjnego do używania siły. A ja myślę, że ówczesna sytuacja z punktu widzenia władzy zamykała się w alternatywie: albo użycie siły, albo podpisywanie tego rodzaju porozumień.

P.P.: *To kiepska alternatywa.*

L.K.: Tak. Trzeba też zwrócić uwagę, że przy takich, a nie innych mechanizmach funkcjonowania "Solidarności", nie wchodziło w grę użycie siły czeskie. To musiałyby być starcie generalne. W Polsce międzywojennej, na przykład rząd posługiwał się represjami wycinkowo np. w stosunku do niektórych partii mniejszości narodowych. Chodzi mi tu o partię ukraińskie. Zdarzało się, że połowa ich kierownictwa była aresztowana, a druga połowa działała, miała wręcz mandaty poselskie. Tak więc stosowano represje, a nie łączyło się to jednocześnie z konfrontacją bezpośrednią. Z "Solidarnością" do końca takich możliwości nie było. I na szczęście.

P.P.: *Nie było, ale też zapewne inne były warunki, reprezentacyjność tamtych partii i tego ruchu.*

L.K.: Tak, tak, nie do pomyślenia była sytuacja, że oni w jednym regionie użyją siły, a w innych nie.

P.P.: *Próbowali w Częstochowie.*

L.K.: To była próba, z której się błyskawicznie wycofano. I zdaje się to była lokalna inicjatywa wojewody. Tak bym to oceniał. Jest jeszcze inna kwestia: czy władza była wtedy przygotowana do użycia siły? - Stan wojenny to nie jest rozwiązanie, które można wprowadzić z dnia na dzień. Czasu wymagało też rozpoznanie nowego, tworzącego się aktywnu solidarnościowego, o którym niewiele jeszcze wówczas wiedziano.

P.P.: *A'propos aktywu. Można spotkać się z opinią, że istniała wśród działaczy "Solidarności" swoista weryfikacja przez radykalizm. Radykalizm pozostający aresztą przeważnie w sferze werbalnej. Ten miał opinię lepszego działacza, kto głośniej i ostrzej krzycał. Czy zgodzisz się z tą opinią?*

L.K.: Na początku ta weryfikacja przebiegała w nieco innej płaszczyźnie. Krótko mówiąc, radykalniejsze grupy w "Solidarności" przypisywały sobie wtedy charakter robotniczy. To nie musiało być wcale zgodne z rzeczywistością i nie znaczyło, że wszyscy ich przedstawiciele byli robotnikami, ale sprawę tak stawiano. Z jednej strony płochliwi inteligenci, uosabiani przez ekspertów, a z drugiej strony my, odważni robotnicy, zdecydowani na to, żeby wydrzeć "kierownicę". Tak to wyglądało, natomiast klasyczna weryfikacja przez radykalizm zaczęła się później, w roku 81. Straciła ona wtedy pierwotny dualistyczny charakter: płochliwa inteligencja i radykalni robotnicy. Polegała na swoistym zakłamaniu - ten jest odważniejszy, kto głośniej pomstuje na władze. Zjawisko to widoczne już było w styczniu, podczas rozmów na temat wolnych sobót.

P.P.: Pamiętam wypowiedź działacza z Częstochowy na posiedzeniu krajówki poświęconemu sprawie Narodzińska i Sapełły. Mówił mniej więcej tak: wyszcie nas traktowali jako zbyt łagodnych, bo myślimy u siebie strajku nie zrobili. Ale teraz jest sprawa Warszawy i my musimy stanąć. Staniemy i poprzemy Warszawę. A jeśli na tej sali są partyjni, niech wstaną, a jak jest ich większość, to ja wychodzę.

L.K.: Tego akurat nie pamiętam, ale takie wystąpienie jest bardzo prawdopodobne. Sprawa Narodzińska zresztą w jakimś sensie przekształciła "Solidarność" i do tego trzeba by jeszcze wrócić.

P.P.: Jak przebiegał proces tworzenia krajowego kierownictwa "Solidarność"?

L.K.: Początkowo tę funkcję spełniał gdański MKZ - choćby dlatego, że na początku nie było "Solidarność" o zasięgu ogólnopolskim, tylko niezależny związek zawodowy z siedzibą w Gdańsku. W tym czasie dopiero powstawały komitety założycielskie w innych regionach, to jeszcze nie było uporządkowane, nie pokrywało się z podziałem administracyjnym kraju. Powstawało wiele MKZ-ów, także w małych miejscowościach. Wspominałem, że na samym Śląsku było ich kilkanaście. Natomiast moment powstania Komisji Krajowej był w pewnym sensie dramatyczny i politycznie bardzo interesujący. Ta koncepcja w Gdańsku budziła poważne opory. Nie byli do niej przekonani ani eksperci z drugiej i trzeciej Komisji, ani znaczna część Prezydium MKZ, ani sam Wałęsa. Powody były oczywiście. Nikt nie mógł przewidzieć, jak będzie wyglądał i zachowywał się związek jako struktura ogólnokrajowa. Nie było wiadomo, czy wszystkie sferowane regiony zdołają utrzymać niezależność od władzy. Brakowało odpowiedzi na pytanie, jacy działacze uzyskają akceptację w tych sferach jeszcze wówczas rozpoznanych regionach kraju. Jest 16 września 80 roku. Prezydium gdańskie mocno się waha, waha się też Wałęsa i doradcy, a tu do Gdańska zjeżdżają delegacje z całego kraju. Najistotniejszą rolę odgrywa delegacja wrocławska z Karolem Modzelewskim na czele. Ta delegacja prowadzi - najpierw nieformalne - rozmowy z gdańskim Prezydium, którego stanowisko ja reprezentowałem. Nalegają na, nazwijmy tak, zjednoczenie związku. Rozmowy przebiegają ostro, wręcz dramatycznie. Wątpliwości nie ubywa.

P.P.: A jaka była alternatywa?

L.K.: Powoływanie związków w poszczególnych regionach, oczywiście także w skali całego kraju. Pamiętajmy, że istniała już uchwała Rady Państwa z 13 września, która nie dopuszczała istnienia federacji ogólnokrajowej. W myśl tej uchwały do pomysłu był natomiast unitaryny związek ogólnopolski. 17 września rano przyjechali do Gdańska Jan Olszewski i Jarosław Kaczyński. Przywieźli jasno skrytalizowaną koncepcję: jeden związek i to właśnie związek unitaryny. W ten sposób omija się szkody tworzone przez uchwałę z 13 września. Ich argumentacja, muszę powiedzieć, zaczęła do mnie trafiać. Po pierwsze dowodzili, że istnienie kilkudziesięciu związków formalnie odrębnych daje władzy możliwość gry nimi, przeciwstawiania ich sobie nawzajem. Po drugie, nieporównanie większa będzie siła przebicia tego jednego związku niż tych działających w rozproszeniu. W tym momencie rozpoczęła się zespół dość skomplikowanych zabiegów zmierzających do osiągnięcia porozumienia. Modzelewskiemu udaje się przekonać Kuronia, odbywają się rozmowy z działaczami gdańskimi. Autorytet gdański był wtedy tak silny, że pomimo iż większość, a właściwie wszystkie pozostałe regiony były za zjednoczeniem, to gdyby Gdańsk miał inne zdanie, mogłoby wszystko odkręcić. Chodziło więc o przygotowanie grupy ludzi do wystąpienia opytujących za zjednoczeniem związku. Niewiadomą była ciągle postawa Wałęsy, inni członkowie Prezydium, jak było widać, skłonni byli do zmiany swojego poprzedniego stanowiska. Rozpoczęło się posiedzenie. Najpierw była część sprawozdawcza, w czasie której delegacje zdawały

relacje, jak wygląda sytuacja w ich regionach. Potem zabrał głos Olszewski. Wygłosił jedno z najlepszych swoich przemówień, porównywalne może tylko z tym z marca następnego roku. Jego mowa przekonała zebranych - w tym chyba i Wałęsę - potem były jeszcze różne próby mawnęrow, ale sprawę można uznać za przesądaną. Reszta była już formalnością. Ukonstytuowała się Komisja Krajowa z przewodniczącym Wałęsą i wiceprzewodniczącym Gwiazdą. Formalnie KKP składała się z przewodniczących regionów; jednak nie było to ściśle respektowane. Z Gdańska np. w jej skład wchodził Wałęsa i Gwiazda, a wkrótce także Lis.

P.P.: *Wałęsa został wybrany przewodniczącym przez aklamację?*

L.K.: Zostały wybrany jednogłośnie. Od tej pory zaczęła działać Krajowa Komisja Porozumiewawcza "Solidarności", spotykająca się co tydzień w klubie "Ster" we Wrzeszczu. Jednocześnie Prezydium gdańskiego MKZ pełniło de facto nadal rolę Prezydium KKP - była zresztą nawet w tej sprawie uchwała. Także 17 września rzecznikiem prasowym KKP wybrany został Karol Modzelewski.

P.P.: *Siedzibą kierownictwa związku pozostał Gdańsk. A czy były pomysły innej lokalizacji - w Warszawie na przykład?*

L.K.: Nie, nie było. Potem, z czasem wyłoniły się takie sugestie, ale nigdy nie były to silne nalegania. Bujak był zdecydowanie przeciwny przenoszeniu kierownictwa związku do Warszawy. Inna rzecz, że w pewnym okresie mówiło się, iż Gdańsk przestał być najważniejszym regionem, że ważniejsze stają się Wrocław, Warszawa czy Górny Śląsk. A wynikało to stąd, że tutaj było stosunkowo spokojnie, podczas, gdy tam wrzało. A spokojnie było tu przede wszystkim ze względu na umiarkowaną postawę gdańskich władz, to też trzeba sobie jasno powiedzieć.

P.P.: *Jaką siłą decyzyjną dysponowała KKP w tym pierwszym okresie?*

L.K.: Dużą, jeżeli chodzi o decyzje generalne dotyczące całego związku - np. strajk 3 października; małą w sprawach o charakterze technicznym, organizacyjnym - np. kwestia zakładowej ordynacji wyborczej, która, choć uchwalona dla całego kraju, w istocie funkcjonowała przede wszystkim w regionie gdańskim.

P.P.: *Jak ułożył się podział kompetencji między sprawującym dotychczas rolę kierownictwa związku Prezydium MKZ Gdańsk a KKP i wyłonionym z niej Prezydium Krajówki?*

L.K.: Dopiero w styczniu 81 ta sprawa została jednoznacznie rozwiązana - za pomocą uchwały Komisji Krajowej. Wcześniej istniała pewna konkurencja między tzw. "jedenastką", a Prezydium gdańskim, które wielokrotnie - także i później - w swoich oświadczeniach dawało wyraz, że czuje się moralnie odpowiedzialne za cały związek. Stąd rościło sobie prawo do występowania z inicjatywami, zabierania głosu na forum KKP - przez osoby nie będące jej członkami, ale reprezentantami Gdańska. W styczniu, podczas kryzysu związanego z kwestią wolnych sobót i Rzeszowem, o Komisji Krajowej mówiono, że jest "lotną brygadą", którą trudno złapać, bo nie wiadomo, gdzie przebywa. Jej posiedzenia odbywały się wtedy często poza Gdańskiem, no a Gdańsk wysyłał na nie swoich przedstawicieli.

P.P.: *Jak w tym pierwszym okresie kierownictwo "Solidarności" nastawione było do władzy?*

* grupa członków KK przygotowująca posiedzenia krajówki. W praktyce spełniała rolę prezydium, które jednak oficjalnie powołano dopiero w styczniu 81 - przyp. PP

L.K.: Władze związku miały już wtedy świadomość, że "Solidarność" jest czymś, co leży poza regułami ustroju, w którym żyjemy. Miały świadomość oczywistego konfliktu i wiedziały, jakie są strony tego konfliktu. Związek nie mógł, jak już powiedziałem, działać na zasadzie okrągłego stołu, bo wtedy przestałby być tym, czym w istocie był. Z drugiej strony, te ciągłe konflikty, wybuchające właściwie przez cały okres trwania związku, też na dłuższą metę wykluczały działania na zasadzie partnerstwa stron. Poza tym w społeczeństwie nagromadziły się w przeszłości negatywne wobec władz emocje i to także radowało na obraz sytuacji.

P.P.: *A czy szukano porozumienia w sprawach gospodarczych? - Przecież obie strony miały świadomość, że zażegnanie kryzysu możliwe jest jedynie przy współdziałaniu społeczeństwa i władzy. Czy "Solidarność" np. szukała we władzach sojusznika dla swoich pomysłów reform, czy też górę brała technika nacisku i wymuszania ustępstw - I w ogóle: jakie miejsce wyznaczała sobie "Solidarność" w strukturze ekonomicznej Polski?*

L.K.: Początkowo koncepcja była jasna i znalazła swój wyraz w wrzelnym oświadczeniu Prezydium. W odpowiedzi na pytanie, czy my jesteśmy związkiem, który reprezentuje wyłącznie interesy pracowników, czy też jesteśmy związkiem, gotowym do współpracy w sferze ekonomicznej przede wszystkim na szczeblu zakładów - "Solidarność" odpowiadała jednoznacznie: reprezentujemy stronę pracowniczą i kontrolujemy funkcjonowanie gospodarki. Od samego początku obecna była wprowadzenie kwestia reform gospodarczej, ale wizja jej była dość mglista.

Weźmy sprawę sekcji branżowych. Ich powołanie zaplanowano po to, żeby zawierać układy zbiorowe o pracę. Tak to było sformułowane: za wiera KKP, ale poprzez sekcje. Była to więc koncepcja bardzo centralistyczna - Komisja Krajowa musiała każdy taki układ zatwierdzić. Się były potrzebne, no bo skąd niby KKP miała wiedzieć, ile się należy wókniarzom, a ile portowcom. W rzeczywistości jednak ta koncepcja branżowych, ewentualnie zawodowych układów zbiorowych mało miała wspólnego z prawdziwą reformą gospodarczą. A był nawet pomysł jednego układu zbiorowego dla całego przemysłu, jednej siatki złożonej z kilku grup płac.

Na ten temat dochodziło do konfrontacji wewnątrz "Solidarności". W roku 81 istniały dwie koncepcje - zwyciężyła niestety zła. Kwestia układów zbiorowych pracy była istotna i dla samego związku, i dla nowego ustroju pracy, choć to sformułowanie wtedy nie padło, a szkoda. Jest w nim bowiem zawarty spory ładunek mobilizacyjny, a "Solidarność" przecież w rzeczywistości o ten nowy ustrój pracy walczyła. W pierwszym okresie przeważała koncepcja, nie można powiedzieć, że czysto egalitarna, ale sprawiedliwociowo-centralistyczna. Chodziło o jeden układ zbiorowy dla całego przemysłu, regulujący całość stosunków pracy oraz także układy branżowe. Gospodarka socjalistyczna oparta jest na tzw. własności podzielonej i trzeba powiedzieć, że struktura branżowa układów zbiorowych jest znakomitym cementem dla centralistycznej struktury tej gospodarki. Związek był oczywiście za reformą, ale z tą sprzeczności nie zdawał sobie sprawy.

Jeszcze w obozie internowanych, w Strzebielinku, trudno było przekonać działaczy związkowych, że w ramach jednej branży płace mogą być zróżnicowane. Przeważała mentalność, że płace powinny być związane z branżą, a właściwie z zawodem - to było modne myślenie na przełomie 80 i 81 roku. Bo niby dlaczego ślusarz zatrudniony w POM-ie ma dostawać mniej, niż ślusarz zatrudniony w stoczni, chociaż robią to samo? - Z punktu widzenia zasad równości i sprawiedliwości trudno to niewątpliwie zakwestionować. No ale jeżeli myśleć poważnie o reformie gospodarczej, o wprowadzaniu zasad gospodarki rynkowej, jest to myślenie

antyreformistyczne.

W warunkach własności podzielonej w gospodarce, kiedy brak jest właściciela, któremu bezpośrednio zależy na osiągnięciu zysku, reforma rynku musi w pierwszym rzędzie polegać na tym, żeby każdy pracownik był mocno zainteresowany tym, jak pracuje jego zakład. Od wyników zakładu w poważnym stopniu powinno zależeć jego wynagrodzenie. Tej świadomości ani wówczas, ani później w związku nie było. Reforma gospodarcza była hasłem, za którym nie szły próby nowych rozwiązań w zakresie ustroju pracy. W 81 roku, jak pamiętamy, przyjęto jako rozwiązanie układ zbiorowy przewidujący tzw. płacę gwarantowaną. Cała reszta wynagrodzenia miała zależeć od wyników produkcyjnych danego zakładu pracy. To było rozwiązanie również fatalne - z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że owa płaca gwarantowana byłaby przedmiotem negocjacji w branży, a takie negocjacje mają swoją logikę, ufundowaną na zasadzie "wy dajecie - my bierzemy". Toczą się bez związku z sytuacją ekonomiczną konkretnego zakładu pracy. Zasada "dawać" obowiązuje bez względu na to, czy jakiś zakład pracuje dobrze czy źle. Niezależnie od tego płaca gwarantowana nie miała być przecież w zasadzie całością wynagrodzenia. Z wyjątkiem zakładów, których sytuacja gospodarcza była bardzo zła. Płaca gwarantowana byłaby więc w rzeczywistości płacą bankruta, a jednocześnie, podczas negocjacji, niezwykle by ją windowano. Wpłynęłoby to na obniżenie stymulacyjnej funkcji wynagrodzenia, skoro bowiem płaca gwarantowana jest bardzo wysoka, to możliwość wpływania na aktywność pracownika poprzez pozostałą część wynagrodzenia jest minimalna. Po drugie to rozwiązanie ubezwłasnowalnia związki zawodowe. No bo jeżeli związki tylko o płacę bankruta walczą, to właściwie na istotny wymiar wynagrodzenia nie mają żadnego wpływu. A ja sobie nie wyobrażam autentycznego związku, który by nie miał wpływu na płace pracowników.

P.P.: *Władze zarzucały - i na początku, i później - "Solidarność", że działa wyłącznie na zasadzie rozszereń. Nie chce natomiast wziąć na siebie współodpowiedzialności za stan gospodarki na różnych jej szczeblach. Miano za złe związkowi, że nie apeluje do ludzi, aby dobrze pracowali, że w ogóle unika tego tematu.*

L.K.: "Solidarność" znajdowała się w bardzo trudnej sytuacji. Polityczną niemożliwością było powielanie wzorów CRZZ. Inne możliwości - na przykład typu samorządowego - łączyły się z zasadniczymi zmianami w strukturze gospodarki. Władza oczywiście o tym nie mówiła. Zwracała się do związku - apelujcie, żeby dobrze pracować, ewentualnie - pilnujcie, żeby dobrze pracowali. Z tą pracą zresztą nie zawsze było tak najgorzej. Wiele zakładów w szybkim czasie odrobiło straty wynikłe z powodu strajków. Stoznie na przykład. Pamiętam takie rozmowy z rządem, w których brał udział Pińkowski, a które dotyczyły problemów pracowników gospodarki morskiej. Przy przetargach płacowych premier powiedział w pewnej chwili - możemy wiele tu mówić o rewindykacjach, a jak z wynikami pracy? I wtedy wstali przedstawiciele stoczni gdańskiej i gdyńskiej i zameldowali: zrobiliśmy to i to, straty zostały odrobione. /Nawiasem, jako ciekawostka: w tych rozmowach Pińkowskiemu udało się przyjąć rolę arbitra w sporze, którego stronami stali się przedstawiciele "Solidarność" i delegacja rządowa - był w niej Grabski. Było to wynikiem pewnej siły ciążenia modelu sprzed Sierpnia. Potem z takimi sytuacjami, żeby strona rządowa pełniła funkcję zarówno strony, jak i arbitra, już się nie spotkałem/. Generalnie rzecz biorąc "Solidarność" miała właściwie tylko jedno wyjście - zaangażować się na rzecz zmiany modelu gospodarczego. I tak też zresztą postąpiła.

P.P.: *O to też chciałem zapytać. Jak narastało w "Solidarność" przekonanie, że muszą ulec zmianie struktury państwa, struktury gospodarcze przede wszystkim?*

L.K.: Gospodarcze, tak, bo struktury państwa to jest jednak co innego.

P.P.: *Ale jeżeli chodzi o funkcjonowanie administracji państwowej, to to się nie sobą wiąże.*

L.K.: Tak, jeżeli chodzi o administrację gospodarczą. Świadomość konieczności zmian narastała w "Solidarności" skokowo. W "Solidarności" w ogóle wiele spraw pojawiało się nagle i zyskiwało powszechne zainteresowanie. Przy każdej takiej sprawie tworzył się błyskawicznie wzorzec postępowania, wzorzec postulatu wobec władzy, który obowiązywał potem przez jakiś czas. Tak było w kwestii reformy gospodarczej czy w przypadku samorządów. W roku 1980 miały miejsce nikłe próby powoływania rad pracowniczych - i sens tych poczynań był powszechnie słabo rozumiany. Być może była w tym i wina tych, którzy się tymi sprawami zajmowali - więc i moja także. W każdym razie ogólne ciężenie związku w tym kierunku było słabe i na wiosnę to się gwałtownie zmieniło.

P.P.: *"Solidarność" nadziewała się często na charakterystyczne dla gospodarki scentralizowanej zjawisko braku odpowiedzialności kogokolwiek za cokolwiek. Nie wiadomo, kto odpowiada za wyniki ekonomiczne, bo ta odpowiedzialność jest rozmyta w labiryntach procesów zarządzania. Rząd to wykorzystywał: dlaczego kierujecie pretensje do nas, przecież to nie my produkujemy, powinniście mieć pretensje do samych siebie. Jak to się odbijało w świadomości związkowców?*

L.K.: Trudno powiedzieć, na ile to zjawisko wpływało na stan świadomości aktywu związkowego i na ile było impulsem do myślenia o konieczności zmian. Istniała gdzieś od końca 80 roku silna propaganda na rzecz reformy gospodarczej i ona chyba odgrywała znacznie większą rolę. Początkowo ludzie wyobrażali to sobie tak: reforma gospodarcza /ale, jak już mówiłem, bez większego zrozumienia, na czym by miała polegać/, następnie zachowany dotychczasowy system plus "Solidarność", która niejako ten system kontroluje. Czyli taki specyficzny nie pluralizm, a dualizm społeczny - z jednej strony władza z drugiej związek zawodowy. Ograniczenie rozumem polskiej rzeczywistości było wtedy bardzo trudne. Gdyby powstała na przykład nowa partia polityczna, gdyby powstanie takiej partii /np. partii pracy/ było przedmiotem rokowań i gdyby ona powstała zamiast "Solidarności", sytuacja byłaby łatwiejsza do intelektualnego uchwycenia. Mieliśmy system jednopartyjny, a teraz mamy jeszcze drugą partię, która może do władzy nie pretenduje, ale spełnia funkcje kontrolne. Tymczasem pozornie nic się nie zmieniło - partia w dalszym ciągu jedna plus stronnictwa i organizacje społeczno-polityczne, które jedynie usiłują sterować ku większej niezależności. Próbowano zresztą stymulować te usiłowania poprzez tzw. kluby inicjatyw samorządowych, ale w sumie ten pomysł - zrodzony we wrześniu 80 - nie wyszedł poza sferę planów. Ten więc model, który wówczas zaistniał, był stosunkowo trudny do ogarnięcia.

P.P.: *Można spotkać się z opinią - i ja taką hipotezę wyczytałem u Lityńskiego - że błądem politycznym była być może rejestracja "Solidarności" i walka o tę rejestrację. Dało to później władzy podstawy do podjęcia decyzji o rozwiązaniu związku. Czy była dla "Solidarności" rejestracja? - Oczywiście, była - wygraną przez nas - próbą sił z władzą. Pokazała, że stać nas na zorganizowanie strajku ostrzegawczego w skali całego kraju. Ważne też wydawało, się wpisanie związku w system prawny PRL. Ale wątpliwości istnieją ...*

L.K.: Po pierwsze, rejestracja miała charakter symboliczny. Z dwóch powodów. Z jednej strony była realizacją postulatu zawartego w porozumieniach społecznych z Gdańską, Szczecińską i Śląską. Element ten był

bardzo ważny dla aktywu i mas związkowych. Po drugie, w działaniach społecznych ważną rolę odgrywa kwestia nie tyle może legalizmu, co legalności. Rejestracja stanowiła niejako ukoronowanie legalnego statusu "Solidarności". Zwróćmy uwagę, że w legalnym związku działały setki tysięcy ludzi, że należały doń miliony osób - związek pozbawiony tej cechy nie dysponuje już taką ilością członków. Bezpośrednim wynikiem rejestracji była kolejna fala zapisów do "Solidarności" - choć trzeba zaznaczyć, że większość członków zapisała się przed 10 listopada. Ale i wtedy nasza działalność na mocy umów społecznych była de facto legalna. Nie chodziło więc nawet o wpisanie związku w system prawny - nie w ten sposób przynajmniej to było artykułowane - ale chodziło o podkreślenie, że związek ma charakter legalny, że jest częścią naszej rzeczywistości. Poza tym raz jeszcze chciałem zaakcentować olbrzymie znaczenie symboli w "Solidarności". Rejestracja była takim symbolem.

P.P.: Problem rejestracji stał się pierwszym po strajkach sierpniowych powodem poważnego konfliktu "Solidarności" z władzą. Jest to o tyle istotne, że sposób rozwiązania tego konfliktu był później naśladowany w innych sprawach. Chodzi mi głównie o metody związku, formy protestu i nacisku. Można też odnieść wrażenie, że konflikt rejestracyjny wpłynął w znaczący sposób na kształt myślenia politycznego działaczy związkowych i doprowadził do ujawnienia różnic w tym zakresie między członkami kierownictwa "Solidarności". Jakie były kulisy tego konfliktu?

L.K.: Myślę, że władzy wtedy również potrzebne były pewne rozwiązania symboliczne. Trzeba przecież sobie zdawać sprawę, że o niezależności związku decydowały fakty, a nie ten czy inny zapis w statucie. Władze rozumiały to, jednak nalegając na umieszczenie w statucie formuły o kierowniczej roli partii, walczyły przede wszystkim o ten sukces symboliczny. Za to ze strony "Solidarności" prócz tej kwestii symboli, była jeszcze i inna, na którą mało w pierwszej chwili zwracano uwagi. Związek bał się manipulacyjnej siły władzy. Był to strach przesadny, mylący, a w swoich skutkach nawet groźny. Bano się czterystu psychologów zatrudnionych rzekomo w KC i opracowujących plan manipulowania związkiem, a nie bano się czołgów i policji, które były jedynym realnym zagrożeniem. Manipulacyjne możliwości władzy, wbrew temu, co sądził związek były niewielkie. Choć z drugiej strony, miały pewne znaczenie w przygotowaniu stanu wojennego. Chodzi mi o pociągnięcia, które ułatwiły ogołocenie rynku. /Nie twierdzą, że władza miała olbrzymie, wypełnione po sifity magazyny żywności, którą ukrywała. To nieprawda. Ale zapewne nie robiono tego, co należało zrobić, aby powstrzymać rozpad rynku - szczególnie w drugiej połowie 81 roku/. Powtarzam więc - dla "Solidarności" zapis o kierowniczej roli partii stanowił groźbę możliwej manipulacji: władza z pewnością wykorzysta go przeciw niezależności związku.

P.P.: Sprawą sporną była także kwestia członkostwa osób partyjnych i dyrektorów oraz możliwość pełnienia przez te osoby funkcji związkowych.

L.K.: Problem, żeby w związku nie mogły pełnić funkcji osoby zatrudnione na stanowiskach kierowniczych, istniał już we wrześniu 80, w fazie tworzenia statutu "Solidarności". Równocześnie na marginesach powstał pomysł, aby odsunąć od pełnienia funkcji związkowych osoby partyjne lub - w wersji jeszcze skrajniejszej - aby partyjnych w ogóle nie przyjmować do "Solidarności". Mają swoje związki branżowe, niech tam należą. Postulaty te, choć prezentowane niekiedy nawet w oficjalnych gremiach, nigdy jednak nie miały większej siły przebicia. To były propozycje skrajne i, jak mówię, funkcjonujące marginesowo. Na ich tle rozgrywał się ten konflikt, który ostatecznie rozwiązany został kompromisowo. Z tego, co wiem, kompromis wynegocjowano w nie-

formalnych, nieoficjalnych rozmowach, toczonych na bardzo wysokim szczeblu.

P.P.: *Miało to miejsce już po tej pierwszej rejestracji, kiedy to sąd samowolnie wprowadził poprawki do statutu?*

L.K.: Tak. Z tej okazji mogę opowiedzieć interesującą z politycznego punktu widzenia historijkę. Tuż przed rejestracją gdańskie kierownictwo partii zaaranżowało spotkanie ekspertów obu stron w celu szukania możliwości rozwiązania sytuacji. Te rozmowy odbyły się /w istocie nic nie wniosły, choć były momentami interesujące/, co ciekawe jednak, w chwili, gdy się one toczyły, kompromis był już osiągnięty. Wszystko wskazuje na to, że kierownictwo partii w Gdańsku nic o tym nie wiedziało. Sytuacja powtórzyła się w marcu, po kryzysie bydgoskim. Wówczas zaproszono nas do wspólnego zastanowienia się nad złagodzeniem skutków ewentualnego strajku. I wtedy także wyglądało, iż Fiszbach nie wiedział, co się działo w Warszawie.

P.P.: *Jakie były polityczne konsekwencje kryzysu rejestracyjnego?*

L.K.: Wiele osób - w tym i ja - żywiło obawy, że to ostateczne rozwiązanie polegające na zapisaniu kierowniczej roli partii w aneksie do statutu, wywoła burzliwą reakcję wśród działaczy i członków "Solidarności". że może dojść do wewnątrzwiązkowego kryzysu. Nic z tych rzeczy. Zapis został przyjęty bardzo spokojnie. Jest to jedna z tych, jak się często wydaje, niewytłumaczalnych spraw "Solidarności". Można ją wyjaśnić w ten sposób, że skoro obdarzeni największym autorytetem działacze - Wałęsa, Gwiazda - zgodzili się na takie rozwiązanie, to wyciszyli tym samym głosy tych, którzy byli zdecydowanie przeciwni i wywierali dotychczas pewien wpływ na rzesze członków.

P.P.: *Czy rejestracja zmieniła coś w stosunkach między władzą a "Solidarnością"?*

L.K.: Właściwie nic, ponieważ zaraz potem zaczął się cykl konfliktów branżowych. Krótko mówiąc: z jednego konfliktu przeszliśmy w drugi. Zaczęła się drugi etap rokowań branżowych. Służba zdrowia, kultura, oświata, cukrownicy, łączność, kolejarze...

P.P.: *Czy można, Twoim zdaniem, zaryzykować przypuszczenie, że sukces ogłoszonego w związku z kryzysem rejestracyjnym strajku ostrzegawczego utwierdził "Solidarności" w przekonaniu, iż jest w istocie "samoo ograniczającą się rewolucją", tzn. ograniczającą się wyłącznie na zasadzie własnej woli? - Jesteśmy silni, jesteśmy potężni, zwycięstwo całkowite jest w każdej chwili możliwe i zależy jedynie od tego, czy nam się będzie "chciało chcieć".*

L.K.: Musiałbym trochę szerzej na to pytanie odpowiedzieć. Nie wydaje mi się, aby aż do lata 81 istniała w "Solidarności" świadomość możliwości osiągnięcia pełnego sukcesu, to znaczy pluralizacji życia społecznego. To przekonanie na nieco większą skalę pojawiło się dopiero w drugiej połowie 81 roku. Za to bez wątpienia ten strajk i listopadowe rozmowy dały asumpt do przeświadczenia - czym mocniejsze uderzenie, tym silniejsze ustępstwo. Jednym słowem, że istnieje wprost proporcjonalny związek między siłą nacisku a wielkością efektu.

P.P.: *Rozmowy listopadowe - to znaczy jakie?*

L.K.: Te branżowe. Pamiętajmy, że w chwili podpisywania nad ranem 18 listopada porozumienia ze służbą zdrowia, kulturą i oświatą /słynny strajk okupacyjny w budynkach Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku/, groził strajk solidarnościowy. O 6 rano wszystko miało stanąć - uczelnie,

szkoly. Ta taktyka "okupacyjna" powtórzyła się potem w Ustrzykach czy w Bydgoszczy i była właśnie częścią rozumowania - czym radykalniejsze metody działania, tym większe ustępstwa. Wielu działaczy także już w okresie stanu wojennego żywiło głębokie przekonanie, że jeżeli by się udało mocno uderzyć, to władza zmuszona będzie do ustępstw. A przekonanie to wzięło się właśnie z tamtego okresu, z jesieni 80 roku.

P.P.: *Wiąże się z tym także mit strajku jako broni.*

L.K.: Nie można powiedzieć, że to był mit...

P.P.: *Mit wszechskuteczności strajku.*

L.K.: Strajk jest bronią ostateczną, mającą wiele negatywnych efektów ubocznych. Niezależnie od tego, jest bronią skuteczną dopóty, dopóki nie wyjadą na ulice czołgi. Tej prawdy bezpośrednio po wybuchu stanu wojennego związek sobie nie uświadomił. Poza tym, radykalni działacze "Solidarności" byli przekonani, że gdyby postępować znacznie radykalniej, efekty byłyby lepsze, dalej idące. Z tym, że nie bardzo było jasne, co to oznacza, ponieważ radykalizm nie miał programu. Zdarzały się grupy działaczy, dla których strajk stanowił wartość samą w sobie. Traktowany był z aplauzem w oderwaniu od celu, jak się chciało za jego pomocą osiągnąć. To, co mówię, dotyczy przede wszystkim Gdańska, ponieważ tutejsze sprawy znam z autopsji. Pamiętam, że Kuroń wtedy przekonywał, iż strajkować dla samego strajkowania nie można. Tymczasem, jeżeli grupa, w skład której wchodzi działacze cieszący się społecznym autorytetem, traktuje strajk jako wartość, o którą trzeba walczyć niezależnie od jej celu, to nabiera to znaczenia politycznego. I takie polityczne fakty miały miejsce.

P.P.: *Powiedziałeś, że polityczne efekty rejestracji "Solidarności" były nikłe. Kryzys ten zagłuszyły nowe konflikty. Wcześniej natomiast stwierdziłeś, że ważną cezurą w istnieniu "Solidarności" była sprawa Jana Narodzińskiego. Mógłbyś tę myśl rozwinąć?*

L.K.: Wiązało się to z wkroczeniem "Solidarności" w sferę reformy państwa. Problem praworządności nigdy zresztą nie został w całości dobrze opracowany przez nasz związek. "Solidarności" nie udało się sformułować generalnego programu zmiany statusu prawa w Polsce. Nigdy nie padło hasło państwa prawnego. Należy bowiem wiedzieć, że status prawa w naszym systemie jest zupełnie inny niż w krajach demokratycznych. Szkoda, że tego wówczas nie wyartykułowano. Mimo wszystko jednak pojawiło się hasło praworządności - rozumianej raczej "komunistycznie". Chodziło o to, żeby sądy dobrze i sprawiedliwie sądziły, żeby istniały pewne gwarancje procesowe, żeby nie zamykano ludzi za przekonania. Był to przełom, albowiem od tego momentu "Solidarność" przekroczyła horyzont zainteresowań czysto związkowych i wypowiedziała postulaty o charakterze ogólnospołecznym. I dlatego sprawa Narodzińskiego była ważna. Wybuchła w Warszawie i tam też prowadzono na jej temat rozmowy /ze strony władz przewodniczył szef Kancelarii Rady Państwa Boratyński/. Od tego momentu, właściwie prawie równoległe z tym kompleksem spraw dotyczących praworządności, "Solidarność" inicjuje akcje rewindykacyjne. Upomina się o zmiany personalne we władzach na szczeblu województw. Dynamizuje problem reformy gospodarczej. Popiera postulat utworzenia związku rolników indywidualnych.

Tak więc ruch związkowy, którym wyraźnie była "Solidarność" do późnej jesieni 80 roku, przekształca się powoli w ruch ogólnospołeczny. To miało poważne znaczenie dla obrazu sytuacji w kraju. Jeszcze wcześ-

niej związkowi udało się zablokować podpisywanie nowych układów zbiorowych pracy. Z inicjatywą ich podpisywania wystąpiły władze, zwracając się tak do nas, jak i do związków branżowych. "Solidarność" przyjął zasadę, że nowych układów się nie podpisuje. Dlaczego? - Dlatego, ponieważ było dla nas rzeczą oczywistą, że dopuszczenie do negocjacji nowych układów - przy braku koncepcji nowej uchwały w tej sprawie - przetrzeźwi się po prostu w nową walkę o pieniądze i to pieniądze nieporównanie większe niż dotychczas. Sam spotykałem się wówczas ze stanowiskiem, że podwyżki płac powinny wynosić dwa, trzy tysiące złotych i w ten sposób kwestie płacową raz na zawsze załatwić. Nie dostrzegano iluzoryczności takiego myślenia. W tym też czasie czołowi działacze "Solidarności" zaczęli wyjeżdżać do różnych regionów kraju w celach interwencyjnych. Zjawiali się w miejscach konfliktów lokalnych i swoim autorytetem dopomagali w ich likwidacji. Taką rundę po Polsce zrobił wtedy Wałęsa, zjawiając się m.in. w Bielsku-Białej i Jeleniej Górze. Okazało się wówczas, że jego autorytet jest bardzo skutecznym narzędziem rozwiązywania konfliktów.

P.P.: Czyli, że waga "sprawy Narożniaka" polegała przede wszystkim na tym, iż "Solidarność" uświadomiła sobie konieczność zajęcia się tym całym pakietem spraw, jak je nazywasz, ogólnospołecznych? - Tu należałoby w takim razie szukać genezy późniejszych /maj 81/ wielotematycznych i kilkutygodniowych negocjacji grup roboczych "Solidarności" i rządu w takich sprawach, jak praworządność, dostęp do środków masowego przekazu, reforma gospodarcza, górnictwo.

L.K.: Tak. Nie wspominałem o jeszcze jednej rzeczy, która w związku ze sprawą Narożniaka uzyskała dużą siłę nośną. Chodzi o postulat powołania związkowego dziennika. Jak wspominałem, ten postulat istniał od września '80, toczyły się na ten temat rozmowy z komisją rządową pod przewodnictwem Bareckiego. Rozmowy ciekawe z tego względu, że odkryły brak jedynomyślności w tej sprawie po stronie władzy. Proponowano nam wtedy rozwiązanie, że "Solidarność" otrzyma jedną czy dwie strony "Głosu Pracy". Zbliżoną ilością miejsca mieli dysponować w tej gazecie branżowcy i autonomiści. Potem postulat powołania dziennika zamieniono na walkę o tygodnik. Trudno powiedzieć, dlaczego tak się stało. Można przypuszczać, że górę wzięł tzw. "społeczny realizm". Wiadomo było, że z dziennika - przynajmniej na razie - nic nie wyjdzie. Uważano, że tygodnik będzie wywalczyć łatwiej. Zdecydowano się więc grać o mniejszą stawkę. Być może odegrała tu także rolę pewna obawa, że dziennik stałby się niezwykle potężnym narzędziem w rękach tej grupy ludzi, która by nim kierowała. Siła społecznego oddziaływania dziennika jest przecież kolosalna. Decydując się na tygodnik zdecydowano się jednocześnie na formułę pisma społeczno-politycznego, bo taką formę niejako wymusza tradycja czasopiśmiennictwa w Polsce.

P.P.: "Tygodnik Solidarność" trudno nazwać pismem związkowym.

L.K.: Tak, bo to był już inny okres. "Solidarność" miała już wtedy charakter ruchu społecznego. Poza tym, jak mówiłem, formuła tego pisma - wymuszona tradycją - wymagała pewnego przygotowania intelektualnego u czytelnika.

P.P.: Jak odbyło się powoływanie naczelnego redaktora?

L.K.: To bogata historia. Kandydatów było kilku, toczyły się dość skomplikowane rozmowy. Ostatecznie wybór padł na Tadeusza Mazowieckiego.

P.P.: Czy władze usiłowały wywierać jakiś nacisk w tej sprawie?

L.K.: Myślę o tym tak, że gdyby naczelnym miał zostać działacz identyfikowany zdecydowanie z opozycją, to wówczas by zaprotestowali. Mieliński na przykład, czy Michnik - choć on akurat nie wchodził w grę.

P.P.: Ze sprawą Narożniaka łączy się także kwestia w ogóle więźniów politycznych. Na mocy umów gdańskich wszyscy zostali zwolnieni, po czym już 23 września analizę się w więzieniu Leszek Moczulski, a po nim inni - Stański, Gołowski, Szeremietiew. Region Mazowsze, jak pamiętam, domagał się uwolnienia tych ludzi jednocześnie ze zwolnieniem Narożniaka i Sapieły. Potem w związku z tą sprawą powstały Komitety Obrony Więzionych za Przekonania.

L.K.: Moczulskiego aresztowano tuż po powołaniu Komisji Krajowej "Solidarności". Wałęsa wysłał list do premiera /albo do przewodniczącego Rady Państwa - nie pamiętam/, domagając się zwolnienia Moczulskiego. To aresztowanie "Solidarności" potraktowała wtedy jako próbę podzielenia związku. /Przypuszczenie to znalazło zresztą później potwierdzenie w pewnym tekście przemówienia przedstawiciela władz, wygłoszonym na jakimś zamkniętym posiedzeniu/. KPN nie był wówczas zadowolony w "Solidarności", więc też aresztowanie Moczulskiego nie wywołało wielkiego poruszenia w związku. Oczywiście, stało się przesłanką do powołania Komitetów Obrony Więzionych za Przekonania i w ten sposób także przyczyniło się do rozszerzenia płaszczyzny naszego ruchu. Było to rozwiązanie kompromisowe. Sprawę więźniów politycznych scedowano w ten sposób na organizację afiliowaną przy związku, ale nie bezpośrednio na samą "Solidarności". Czy było to rozwiązanie celne? - To zależy od tego, jakie były w istocie motywy aresztowania Moczulskiego. Jeżeli była to jedynie próba podzielenia związku, takie rozwiązanie było błędem. "Solidarności" mogła bowiem - miała dość na to siły - wywalczyć wolność Moczulskiego i kolegów i zapobiec tym samym wielu negatywnym procesom w obrębie związku, jakie zaszły w znacznie późniejszym okresie. Ale mogło być inaczej. W rozmowach na wysokim szczeblu sugerowano nam, że u podłoża aresztowania Moczulskiego leżą, nazwijmy to tak, przesłanki geopolityczne. Gdyby tak było, to wtedy istotnie nie mogło być mowy o żadnej swobodzie ruchu i powołanie komitetów stawało się rozwiązaniem najlepszym. Dla "Solidarności" bardzo ważne były obecne w niej napięcia i uwrażliwienia na sprawy moralne /one zresztą zdecydowały o przekształceniu społeczeństwa/, pozostawienie więc tej sprawy w ogóle poza sferą zainteresowań było niemożliwe. Myśląc o dalszych konsekwencjach tego problemu należy pamiętać, że Komitety z czasem uniezależniły się od "Solidarności" i stały się - nie wszędzie, ale w niektórych regionach - miejscem ogniskowania się skrajnie radykalnych poglądów politycznych.

P.P.: Założyliśmy sobie na początku, że zamknijemy naszą rozmowę omówieniem kryzysu związanego z osobą Jana Narożniaka. Interesowały nas pierwsze miesiące istnienia "Solidarności" i elementy ewolucyjne tego ruchu, dające się zaważyć jesienią 80 roku. Sądzę, że zamiar nasz się powiódł - w jakim stopniu, ocenią czytelnicy. Pozostała jeszcze jedna kwestia, o której chciałbym, żebyśmy porozmawiali. Chodzi o osobę Wałęsy, rolę i znaczenie tej postaci, jako przewodniczącego "Solidarności". Chciałbym także, abyś zechciał rzucić światła na swoisty rodzaj konfliktów personalnych między Lechem a np. Andrzejem Gwiazdą. Konfliktów, o których się wiele wtedy mówiło, choć nigdy dokładnie nie było wiadomo, na czym w istocie polegają.

L.K.: W oparciu o wielki autorytet Wałęsy następowało rozwiązanie wielu konfliktów politycznych w "Solidarności". Po drugie, Wałęsa rozumiał konieczność współpracy z różnymi siłami politycznymi i społecznymi - w tym także z Kościołem. Jest on człowiekiem głęboko wierzącym i to z pewnością kształtowało jego stosunek do Kościoła. Wielkim autorytetem dla niego był prymas Wyszyński. Nie jest jednak prawdą, jakoby Wałęsa

dążył kiedykolwiek do związków o charakterze konfesyjnym. Wielokrotnie podkreślał, że jest zwolennikiem niezależności związku: "Solidarność" powinna współpracować z wszystkimi siłami politycznymi i jednocześnie pozostawać od nich niezależna. Tak myślał od początku. Był niekwestionowanym autorytetem - do tego stopnia, że nawet osoby pozostające z nim w konflikcie nigdy nie zdobyły się na próbę dokonania jakichkolwiek otwartych rozłamów. Zdarzało się w tamtym czasie, że gdy podczas obrad gdańskiego Prezydium Wałęsa np. opuszczał salę, demonstrując w ten sposób swój sprzeciw wobec decyzji, którą miano podjąć, to wówczas najczęściej decyzję tę zmieniano. Niezależnie od tego, że arytmetyczna większość głosów była najpierw za. Wałęsa optował za przede wszystkim związkowym charakterem "Solidarności", choć oczywiście rozumiał pojawiającą się z czasem potrzebę rozszerzenia płaszczyzny ruchu. Nie chciał jedynie dopuścić, aby związek stał się narzędziem w rękach jakiegokolwiek grupy politycznej. I trzeba powiedzieć, że to mu się udało - tym bardziej, że realność tego niebezpieczeństwa nie była w istocie duża. Nie jest prawdą, że jakakolwiek grupa polityczna była wtedy w stanie przejąć pełną kontrolę nad "Solidarnością". Jeżeli natomiast chodzi o konflikt między Wałęsą i Gwiazdą, to miał on wiele płaszczyzn. Był to swoisty "konflikt wierności". Wałęsa był silnie zintegrowany z grupą osób, z którą działał w czasach WZZ-ów, potem w strajku, a następnie w pierwszych chwilach istnienia "Solidarności". I nagle wyrósł, został wyniesiony ponad tę grupę. Stał się przywódcą związku, mogącym odwoływać się bezpośrednio do mas. /Tego rodzaju relacja istnieje między każdym autentycznym przywódcą a masami, stanowiącymi dłoń, można powiedzieć, zaplecze bezpośrednie./ Po drugie, instykt polityczny Wałęsy nakazywał mu oparcie się o wiele grup doradczych, wiele sił politycznych, co spowodowało, krótko mówiąc, że się od tej grupy osób, z którymi był pierwotnie związany, oderwał. Było to nieuchronne i, jak sądzę, musiało doprowadzić do konfliktu. Inaczej byłoby, gdybyśmy mieli do czynienia z grupą dużą, w której już wcześniej Wałęsa miałyby ugruntowaną pozycję przywódcy, ale tak nie było. Grupa WZZ-owców nie była też zespołem wytrawnych polityków, którzy potrafiliby na zimno pogodzić się z logiką wydarzeń.

P.P.: Na zewnątrz jednak postrzegano ten konflikt jako konflikt polityczny, konflikt politycznych postaw.

L.K.: W jakimś sensie bez wątplenia i takim był. Chodziło o różnice zdań w kwestii metod działania, nie było sporu na temat celu działalności. Obie strony dążyły do zbudowania związków niezależnych, obie zgodziły się na strukturę terytorialną "Solidarności", obie chciały rejestracji. Generalnie był to spór o rolę historycznych przywódców sierpniowego strajku w "Solidarności". Wałęsa skłonny był rolę ich ograniczać, choć daleki był od eliminowania tych ludzi. Z kolei było naturalne, że grupa przywódcza z WZZ dążyła do tego, żeby jej rola była jak największa. To byli ludzie o nieprzeciętnych osobowościach - Andrzej i Joanna Gwiazdowie, Alina Pieńkowska, Anna Walentynowicz. Także Bogdan-Lis i Andrzej Kołodziej, a przede wszystkim Bogdan Borusewicz. Różne było ich doświadczenie polityczne, zróżnicowane możliwości wdrażania się w polityczne myślenie i różne też mieli za sobą życiowe doświadczenia. Łączyła ich jednak wspólna cecha nietuzinkowości. /Ludzie bardziej przeciętni, chociaż odważni i szlachetni, też w WZZ-ach byli, ale oni później nie odegrali większej roli./ W tej sytuacji dużo łatwiej było o konflikt, niż gdyby tylko jedna osoba obdarzona była cechami nieprzeciętnymi, a pozostali nie wyrastaliby nad tuzinkowość. Wałęsie zarzucano więc brak wierności. /Obiektywnie trzeba stwierdzić, że taka wierność z jego strony była niemożliwa./ Wałęsa z kolei zarzucał swoim adwersarzom nadmierny radykalizm metod oraz przesadną skłonność do ulegania wpływom grup dawnej opozycji.

I w tej sprawie, jak sądzę, w poważnym stopniu się mylił. Takie były główne płaszczyzny tego konfliktu. Wałęsa, niezależnie od braku wcześniejszego doświadczenia, rozmawiał kategoriami politycznymi. Pozostała część grupy, w każdym razie niektórzy jej członkowie, byli przedstawicielami typowego zresztą dla "Solidarności" etosu apolitycznego. Proste metody działania, upublicznienie wszystkich spraw, jednym słowem mit uchylecia polityki. Swoisty etycyzm. A tymczasem, jak już mówiłem, polityki znieść się nie da.

P.P.: *Nie było naszym celem, aby rozmowa ta służyła apologii "Solidarności". Chcieliśmy, żeby krytyczna refleksja wzięła w niej górę nad nutą wspomnieniowo-pamiętnikarską. Chodziło też o uzyskanie większej wiedzy o faktach, dotąd pomijanych bądź fałszowanych przez oficjalną propagandę. Nasza wiedza o tym, czym była "Solidarność" do 13 grudnia 81 jest ciągle w gruncie rzeczy niewielka. A przecież bez tej wiedzy niemożliwym staje się zrozumienie przyczyn i charakteru jej sukcesów i klęsk. A tym samym - zrozumienie kształtu sytuacji politycznej, w jakiej Polska znajduje się obecnie. Myślę, że rozmowa nasza - dzięki Tobie - dokonała istotnych uzupełnień w obrazie pierwszych miesięcy istnienia "Solidarności". A wnioski z niej płynące daleko przekraczają horyzont tamtego czasu. Bardzo dziękuję za rozmowę.*

Gdańsk, kwiecień 1986

PIERWSZE MIESIĄCE (10 listopada - 7 grudnia 1980)

W pięć lat po wydarzeniach sierpniowych trudno jest jeszcze dać pełny i krytyczny obraz tych dni oraz następnych, kiedy kształtowała się "Solidarność". Istnieją bariery natury źródłowej /rozproszenie lub nawet przypadek pewnych dokumentów/, ale także natury psychologiczno-politycznej. Okres ten nie ma bowiem charakteru zamkniętego. Co prawda, odgraniczony jest od naszej obecnej sytuacji sztywna data 13 grudnia 1981r., ale w psychice ludzi zaangażowanych społecznie istnieje poczucie ciągłości; sama koncepcja porozumienia społecznego wówczas podjęta, jest i dzisiaj wysuwana jako zasadniczy element rozwiązania politycznego. Sierpień i "Solidarność" spełniają nadal wielką funkcję społeczną - jako idee i jako symbole - i ocena ich jest zazwyczaj przerysowana; propaganda władz z reguły bezkrytycznie potępia; źródła postsolidarnościowe, opozycji demokratycznej, najczęściej idealizują. A więc pięć lat to - w naszej obecnej sytuacji - zbyt mało, by obiektywnie, z dystansem patrzeć na te wydarzenia.

Mając świadomość tych niebezpieczeństw, próby ocen i interpretacji należy jednak podejmować; one bowiem stanowią będą podstawowe tworzywo naszego obecnego myślenia politycznego. Okres "Solidarności" jest jedynym - od końca lat 40-tych - w którym społeczeństwo było zorganizowane w niezależny od władz, powszechny ruch społeczny, samym swoim istnieniem stwarzający zupełnie nową sytuację w kraju "na wschód od Łaby". Był to czas, w którym najwięcej w powojennej historii Polski można było zyskać i ... stracić. Dlatego właśnie powinien być źródłem naszych przemyśleń.

Prezentowane poniżej fragmenty mojej pracy zatytułowanej "Pierwsze miesiące", stanowiącej dziennik wydarzeń /z wyborem dokumentów/ za okres od września do grudnia 1980 r., dotyczą głównie sprawy kryzysu listopadowo-grudniowego. Do jego wybuchu uwaga Związku skupiona była generalnie na dwóch sprawach: egzekwowania ekonomicznych zobowiązań rządu wynikających z Porozumienia Gdańskiego oraz uzyskaniu zadowolających prawnopolitycznych warunków rejestracji. Pierwszej sprawie służył powszechny strajk ostrzegawczy 3 października. Druga zakończona została 10 listopada pod naciskiem zapowiedzianego strajku na 12 tego miesiąca, ale po kompromisowych ustaleniach "Solidarności" 9 listopada.

Burzliwe tworzenie się zakładowych i regionalnych organizacji związku trwało od początku września. Władze administracyjne i gospodarcze niższych szczebli utrudniały ten proces. *Ten stan rzeczy stał się przed odmową rejestracji starszych i młodszych ośrodków stałe się rozpoznawane*

argumentem na zebraniu w Gdańsku 17 września za powołaniem "Solidarności" i złożeniem 24 września jednego wspólnego wniosku o rejestrację - oceniła w rok później Krajowa Komisja Porozumiewawcza. Związek się wewnętrznie organizował; na posiedzeniu KKP w Szczecinie 19 listopada opracowano pierwsze wewnętrzne normy funkcjonowania władz i agend "Solidarności".

Jesień 1980 r. była bardzo trudnym okresem dla partii polskich komunistów. Zarówno VI /dwuczęściowe/ jak i VII plenum KC, poświęcone były krytyce polityki przedsierpniowej i osób, które ją realizowały. Nowe kierownictwo ze Stanisławem Kanią na czele deklarowało linię odnowy politycznej. W gruncie rzeczy szło wąską ścieżką między zmasowanymi atakami płynącymi z Europy Wschodniej i od dogmatyków w kraju, a masami społecznymi, którymi już nie można było rządzić w sposób autokratyczny i które chciały reform w kierunku pluralizmu politycznego.

Odsłonięcie pomników ofiar Grudnia 1970 r. na Wybrzeżu było okazją do pojednania; przyszłość miała pokazać, że były to jedynie gesty. W Polsce, w miarę mnożenia się lokalnych i branżowych konfliktów, w miarę podnoszenia ważnych problemów systemowych - rósł stopniowo konflikt dwóch światopoglądów, dwóch koncepcji życia społecznego. Wkrótce okazało się, że o ile można głosić potrzebę dialogu i porozumienia, to w szczegółowych rozwiązaniach będzie niewiele wspólnych pomysłów, w lokalnych utarczkach trudno będzie znajdować kompromisy.

Ale jesienią 1980 r. te niszczące nową formułę funkcjonowania państwa zjawiska były jeszcze przed Polską. I chociaż na przełomie 1980/81 mówiono już o zagrożeniu kontrrewolucyjnym i o sytuacji dwuwładzy, przyszłość mogła - na co liczone - przynieść zbliżenie stanowisk i rozwój kraju. Był to przede wszystkim czas nadziei, czas upajania się wolnością. Ludzie z radością odkrywali swoją naturalną skłonność do bycia obywatelami i brania udziału w życiu publicznym. Samorzutnie organizowano się wokół ważnych inicjatyw społecznych czy gospodarczych.

Wszystko ma swój czas. Protesty, konflikty w pierwszych miesiącach posierpniowego okresu ocenić można było jako część procesu rodzącego - w bólach - nowy układ stosunków władza-zorganizowane społeczeństwo. Protesty, strajki, głodówki, demonstracje w rok później - były świadectwem rozkładu porozumienia między władzą a "Solidarnością". Ale jesienią 1980 r. nie było jeszcze ani po stronie władzy, ani Związku i opozycji demokratycznej haseł godzących w układ, który zrodził Sierpień.

Kryzys na przełomie listopada i grudnia 1980 r. był jednym z co najmniej trzech momentów, w latach 1980/81, kiedy istniało poważne zagrożenie interwencją wojskową państw Układu Warszawskiego w Polsce. I w tym aspekcie - zagrożenia wiszącego nad krajem - warto jest ocenić takie zjawiska, jak strajki w PKP, czy w regionie warszawskim. Druga uwaga odnosi się do dynamiki wydarzeń; napięcie wewnętrzne w Polsce spada w końcu listopada, podczas gdy napięcie międzynarodowe rośnie /w miarę obserwacji ruchów wojsk/ i osiąga swój szczyt w momencie konferencji moskiewskiej 5 grudnia*.

* Szerzej na ten temat pisał A. Richert w artykule *Wieruszy kryzys interwencyjny* ("Przełom Polityczny" nr 7, 1986).

L I S T O P A D

20 listopada, czwartek

* Funkcjonariusze stołecznej służby bezpieczeństwa w obecności przedstawicieli prokuratury przeprowadzili w godzinach południowych rewizję w siedzibie MKZ "Mazowsze". Jak poinformował rzecznik prasowy MSW ujawniono fakt bezprawnego powielania tajnych dokumentów należących do instytucji państwowej. Dokumenty te zarekwirowano. Obecny przy przeszukaniu przewodniczący Prezydium "Mazowsza" Zbigniew Bujak miał oświadczyć, że pochodzenie znalezionych i zarekwirowanych dokumentów nie było mu znane.

Widocznie nie zakwestionowano wszystkich egzemplarzy dokumentu Prokuratury Generalnej *Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej do umiejętnej wykorzystania w pracy politycznej i zawodowej*, bowiem od tego dnia rozpoczyna się masowy jego druk i rozpowszechnianie przez różne organizacje "Solidarności" w całym kraju. Dokument omawia sposoby walki władz z organizacjami i ruchami społecznymi, które przyczyniły się do powstania Związku: KSS "KOR", Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Studenckimi Komitetami Solidarności, Ruchem Młodej Polski, Konfederacją Polski Niepodległej oraz z ludźmi będącymi obecnie działaczami lub doradcami Związku.

* Międzyokręgowa Komisja Kolejarzy NSZZ "Solidarność" z siedzibą w Gdańsku ogłosiła dla członków Związku zatrudnionych w PKP akcję protestacyjną w związku z niedotrzymaniem przez Ministerstwo Komunikacji porozumienia wrocławskiego z 28 X br. Obiekty kolejowe i pojazdy trakcyjne zostały udekorowane flagami narodowymi, pracownicy PKP nałożyli biało-czerwone opaski. Na terenach kolejowych pojawiły się hasła żądające realizacji porozumienia podpisanego przez rząd. Ministerstwo Komunikacji opublikowało ustalony z "Solidarnością" sposób podziału kwoty przeznaczonej na podwyżki jako jeden z dyskutowanych wariantów /inny wariant był uzgodniony ze Związkiem "branżowym"/ a nie jako ostateczny, przyjęty do realizacji tryb. Ruch pociągów odbywał się bez zakłóceń.

* Posiedzenie Sejmu PRL. Minister Rolnictwa L.Kłonica: możliwości poprawy zaopatrzenia w żywność na skutek nieurodzaju w rolnictwie są nierealne. Globalna produkcja rolna w bieżącym roku spadnie o 10% w stosunku do ubiegłego roku, też mało pomyślnego. W stosunku do założeń będzie mniej zboża o 3,2 mln t, ziemniaków o 18 mln t, buraków cukrowych o 6,6 mln t, mniej pasz i gorsza ich jakość; letnie i jesienne deszcze spowodowały dużą degradację gleb - wyliczał kolejne klęski minister. W latach 1981-1982 rząd dokona reorientacji gospodarki narodowej na "kompleks żywnościowy". Podniesie się ceny skupu produktów rolnych, hodowlanych. Również minister Przemysłu Spożywczego i Skupu J.Załęski wyliczał artykuły żywnościowe, których produkcja spada.

Na temat realizacji porozumień społecznych z sierpnia 1980 r. wypowiedział się Mieczysław Jagielski, który przyznał, że część aparatu państwowego i gospodarczego nie wykazała zrozumienia dla postanowień dotyczących nowych i niezależnych związków zawodowych. Mówił również o utrzymującej się nieufności niektórych ogniw "Solidarności" do dobrej woli władz.

* W Ministerstwie Sprawiedliwości odbyło się spotkanie poświęcone założeniom przyszłej ustawy o kontroli prasy, publikacji i widowisk.

Zebrani /m.in. naukowcy, wydawcy, członkowie stowarzyszeń twórczych/ skrytykowali czwartą już redakcję projektu ustawy, m.in. zasadę porządkowania urzędu cenzury Radzie Ministrów PRL, ogólnikowość i nieprecyzyjność sformułowań dotyczących spraw podlegających ingerencji cenzorskiej. Po co wprowadza się artykuł o tym, co nie podlega kontroli urzędu i jakie inne instytucje kontrolę tę sprawują?

Andrzej Szczypiorski przedstawił opinię Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych. Zarzucił ministrowi, że mimo wcześniejszych ustaleń podczas spotkania z premierem, nie konsultowano projektu z Komitetem. Projekt w redakcji ministerstwa jest nie do przyjęcia. Nie realizuje Porozumienia Gdańskiego, w tym sensie, że nie prowadzi do takich zmian w działaniu cenzury, które przekształcają ją ze środka zubożenia kultury narodowej uniemożliwiającego swobodny przepływ informacji i wykonywanie przez opinię publiczną kontroli społecznej nad działalnością rządu i administracji - w sposób zapewniający ochronę ściśle określonych interesów państwa i społeczeństwa. Projekt stara się nadać prawną formę /i czyni to z dużym powodzeniem/ takiej konstrukcji działania cenzury, która samokontrolę i kontrolę czyni integralnym elementem procesu twórczego, prac redakcyjnych i wydawniczych /.../ Należy stanowczo odrzucić próbę wykorzystania przyjętego przez rząd zobowiązania do rozszerzenia wolności słowa i imku dla usankcjonowania praktyk stanowiących jaskrawe zaprzeczenie swobód obywatelskich. Komitet wyraża sprzeciw wobec określenia trybu funkcjonowania Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk za pomocą rozporządzenia wykonawczego, a więc pozostawienia tej sprawy w gestii władz wykonawczych.

* Z artykułu Ryszarda Wojny Legitymacja władzy w "Trybunie Ludu": Funkcją partii komunistycznej polega na stwarzaniu warunków dla krystalizowania się woli narodowej /czy to się zawsze udawało to inna sprawa/ i koncentrowaniu wysiłków na te, co najważniejsze. Formułując to operując świadomie kryteriami politycznymi, jako że jestem przekonany, iż w naszym kraju są one ważniejsze od światopoglądowych. Gdyby te drugie były ważniejsze, naród w znaczącej większości związany z katolicyzmem, z kulturą chrześcijańską, nie mógłby w ogóle podjąć budowy socjalizmu pod przewodnictwem partii marksistowsko-leninowskiej /.../ Obecne granice zachodnie zawdzięczamy wspólnocie interesów ustrojowych ludowej Polski i Związku Radzieckiego. Gwarantem tego, iż w interesie radzieckim będzie poparcie polskich celów wojennych wobec Niemiec, było w oczach ZSRR istnienie w naszym kraju siły, która konsekwentnie wprowadzi Polskę na drogę socjalizmu, siły, która będzie spełniać kierowniczą rolę w budowie nowego ustroju. Była nią PPR. Historycznej zasługi dla Polski tej partii nie przekreśli nikt i nic. Żyjemy w świecie, w którym w zasadzie wszystko jest współzależne. W takich czasach sprawa sojuszy jest sprawą śmiertelnie poważną, nie mogącą zależeć od zmian w układach sił w polityce wewnętrznej. Gwarantem stałości w tej mierze jest dla naszych sojuszników PZPR.

21 listopada, piątek.

* W Warszawie aresztowano pracownika powielarni MKZ "Mazowsze" Jana Narożniaka. Prezydium MKZ zaprotestowało i ostrzegło władze przed powrotem na drogę represji. Zbigniew Bujak powtórzył, że nie wiedział o powieleniu dokumentu Prokuratury Generalnej w biurze "Solidarności", ale gdyby go posiadał, sam starałby się go powielić w jak największej ilości. Równocześnie MKZ "Mazowsze" wydał oświadczenie protestujące przeciwko przetrzymywaniu w areszcie śledczym Leszka Moczulskiego, Wojciecha Ziemiańskiego, Tadeusza Stańskiego, Zygmunta Goławskiego. Fakt, iż przebywają oni w więzieniu świadczy o łamaniu przez władze Porozumienia Gdańskiego.

* Dalsze obrady Sejmu PRL. Dyskusja nad kwestią realizacji porozumień sierpniowych. Gen. W.Oliwa: zakłócenia w produkcji i obniżona wydajność pracy rzutują na sytuację w przemyśle obronnym. Strajki odbyły się w szeregu

jego zakładów. Niepokojący fakt: kolportaż, publiczne głoszenie wstecznych, wręcz wyrotowych haseł i odezw, rozpowszechnianie treści godzących w interes PRL, hasła nastawione na demontaż naszego ustroju, celują w sojusze państwa. To narusza podstawowy kanon naszej polityki zagranicznej, jest sprzeczne z polską racją stanu, z fundamentalną zasadą naszej niepodległości, złoczonej nierozdzielnie z socjalizmem.

* Stan napięcia w Bielsku-Białej. Tamejszy MKZ NSZZ "Solidarność" - Region "Podbeskidzie" domaga się ustąpienia władz administracyjnych województwa.

22 listopada, sobota

* Dokument: telegram z Wrocławia /godz. 22⁴⁰/:
Sejm PRL, Rada Państwa PRL, Rada Ministrów, KC PZPR, Okręgowe Komisje Porozumiewawcze wszystkich DOKP, wszystkie komitety strajkowe na sieci PKP, wszystkie N, RN na sieci

Oświadczenie

NSZZ "Solidarność" Międzyokręgowa Komisja Porozumiewawcza Kolejarzy z siedzibą w Gdańsku żąda w terminie do godz. 12 dnia 23 listopada 1980 r. przyjazdu Komisji Rządowej, która podpisała porozumienie wrocławskie w dniu 31.10.1980 r.

Żądamy, by w/w komisja w sposób jednoznaczny potwierdziła porozumienie wrocławskie będące branżową realizacją Porozumienia Gdańskiego zgodnie z treścią w/w porozumienia o sposobie podziału podwyżek ustalonych w p.3 w/w porozumienia decydujące NSZZ "Solidarność" MKP Kolejarzy. W razie niespełnienia w/w żądania MKPK w wprowadzi z dniem 24.11.1980 r. drugą fazę strajku ostrzegawczego tj.: w dniu 24.11.80 wstrzyma się ruch SKM w Gdańsku oraz ruch WKD w Warszawie w godz. 10-12. W dniu 25.11 ruch SKM w Gdańsku i WKD w Warszawie wstrzymany zostanie w godz. 10 - 14. Na dni następne decyzje strajkowe podawane będą z jednostronnym wyprzedzeniem.

Kolejarze na znak protestu przeciw pohanbieniu ich mundurów od 24.11. br pracują aż do odwołania w mundurach cywilnych. Od dnia 24.11 NSZZ "Solidarność" Międzyokręgowa Komisja Porozumiewawcza Kolejarzy przekształca się w Międzyokręgowy Komitet Strajkowy Kolejarzy NSZZ "Solidarność". Miejszem dalszych rozmów i siedzibą MKPK jest świetlica lokomotywni "Wrocław".

* Rzecznik rządu Józef Barecki w "Dzienniku Telewizyjnym": Nie można podzielić 190 mln. zł przyznanych na podwyżki dla kolejarzy bo brak jednolitego stanowiska związków zawodowych. Wytoniły się dwa warianty: "Solidarność" i branżowych związków zawodowych. Rząd może wprowadzić każdą zasadę realizacji tej kwoty, ale musi mieć uzgodnione stanowiska związków zawodowych. Nie dążąc do porozumienia w tej sprawie ze związkiem branżowym, "Solidarność" planuje strajki protestacyjne.

23 listopada, niedziela

* Międzyokręgowa Komisja Porozumiewawcza Kolejarzy NSZZ "Solidarność" zebrana we Wrocławiu, wyraziła zgodę na prowadzenie negocjacji z komisją resortową w obecności przedstawicieli ZG NSZZ Pracowników Kolejowych jako obserwatorów.

* Lech Wałęsa przybył do Wałbrzycha. Odbył się wiec z mieszkańcami miasta i spotkanie z działaczami "Solidarności" z woj. wałbrzyskiego i jeleniogórskiego. Przewodniczący KKP przebywał też na terenie KWK "Wałbrzych".

* Sensacja: "ITD" drukuje reportaż z 6-godzinnej dyskusji w klubie

"Riwiera" między jednym z czołowych "opozycjonistów", członkiem KSS KOR - Adamem Michnikiem, a dr Wojciechem Lamentowiczem, pracownikiem naukowym Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, na temat aktualnych problemów Polski.

Adam Michnik przypominał rok 1944: wó w niego wówczas została w Polsce narzucona obecna struktura władzy, została w Polsce zainstalowana władza, która wynika z położenia geograficznego i porozumień jaltańskich. Stwierdził on, że jest sceptykiem co do zmian w sposobie sprawowania władzy przez partię komunistyczną, skoro już tyle razy zmieniał się przywódca, a potem znów nastawał kryzys.

* Z artykułu Jacka Kuronia Czy grozi nam interwencja? / "Robotnik" nr 68/69/:

Szuję i nie jestem w tym względnie osamotniony, że wkroczenie do Polski kosztowałoby Rosjan niewyłącznie dużo i że oni wcale tego nie chcą. Po pierwsze - wiemy i takie jest powszechne odczucie społeczeństwa, że sytuacja wyglądałaby u nas inaczej niż w Czechosłowacji, że tu doszłoby do wojny. Po drugie - już sam fakt wojny w Polsce uruchomiłby różne ośrodkowe siły w Związku Radzieckim. Przecież tam się i tak już różne rzeczy dzieją, nasilają się konflikty narodowościowe, pogarsza sytuacja gospodarcza. Po trzecie - wierzę głęboko, że wojna w Polsce wywołałaby olbrzymie fale opinii publicznej na całym świecie, musiałyby one nastosować blokadę ekonomiczną wobec ZSRR, że osłabłoby to barizko Chruścowa, który ma swoje porachunki ze Związkiem Radzieckim, że Chruścowa wyskaliby nieograniczoną pomoc z Zachodu i w efekcie powstałby nowy front na Dalekim Wschodzie [...]

.../ Mam więc z jednej strony te wielkie ruchy społeczne, tę samowolność, samorządność w różnych dziedzinach życia - a drugiej zaś - konieczność zapewnienia tzw. kierowniczej roli partii, czyli jej prowadzenia w centralnej administracji, policji i wojskiem. Obydwie te rzeczy trzeba pogodzić. Musimy to zrobić. Musimy stworzyć zupełnie nowy model oparty na kompromisie.

Chodzi o to, żeby to wszystko, w stosunku politykę wewnętrzną państwa, było ustalane w drodze negocjacji między reprezentowanymi w samodzielnym niezależnym organizacje społeczeństwem, a władzami państwowymi.

Takiego modelu nie da się wymyślić przy biurku, musi być wypracowany przez wszystkie te ruchy społeczne, poprzez dyskusje. Pomyśluć będzie na pewno wiele. Będą one kontrowersyjne, sporne. Tylko w ten sposób może powstać model, który stanie się własnością całego społeczeństwa. Proces tworzenia się tych ruchów, wypracowania nowego modelu jest zarazem procesem wypracowania władzy komunistycznej kolejnych dziedzin życia społecznego. Takie ograniczenie władzy komunistów może prowadzić do tego, że całkiem ją utracą. I w tym sensie musimy ryzykować władz radzieckich czołgów.

Ale ponieważ tego nie chcemy, to nie możemy również, nie wolno nam przekroczyć tej granicy, którą jest obalenie centralnej władzy komunistycznej. Nie przekroczymy jej tylko wówczas, gdy wypracujemy instytucjonalne formy demokracji. Bez tego każdy kolejny i nieunikniony w obecnych warunkach konflikt grozi wybuchem, a tym samym stwarza ryzyko niezamierzonego obalenia władzy.

Jestem przekonany, że interwencji nie będzie. Nie jest to wiara irracjonalna. To, co się dotychczas zdarzyło, to co się nam udało osiągnąć pokazuje wyraźnie, że istnieją w naszym społeczeństwie siły, zdolności i możliwości, żeby zorganizować się i dokonać niezbędnych reform, nie naruszając strzeżonych przez radzieckie czołgi granic.

* Neues Deutschland: W wypowiedziach Wałęsy trudno doszukać się choćby jednego słowa wyrażającego odpowiedzialność za przewyżczenie trudnej sytuacji. Operuje frazesami, fantazjuje. Gazeta przytacza jego oświadczenie, że podziela poglądy Sołżenicyna. Mamy tu więc credo polityczne Wałęsy - antykomunizm i wrogość wobec odprężenia. Pasują do tego inni jego przyjaciele, m.in. z faszystowskiej MSI, z którymi czuje się powiązany. Wszystko to jest dla Wałęsy dopiero początkiem.

24 listopada, poniedziałek

* W związku z uchylaniem się Ministerstwa Komunikacji od rozmów z protestującymi pracownikami PKP, Międzyokręgowa Komisja Porozumiewawcza Kolejarzy "Solidarność" - już jako Komitet Strajkowy - ogłasza strajk ostrzegawczy. W godzinach od 10 do 12 zatrzymany został ruch SKM w Gdańsku i WKD w Warszawie. Tego samego dnia w lokomotywowni Wrocław Główny wznowione zostały negocjacje z przybyłą komisją resortową.

W wieczornym "Dzienniku Telewizyjnym" przedstawiciele Dyrekcji Generalnej PKP skrytykowali dostęp ludzi bez uprawnień do kolejowych środków łączności /niebezpieczeństwo katastrofalnych w skutkach zakłóceń w funkcjonowaniu PKP/.

* Do Prokuratury Generalnej w Warszawie przybyła delegacja NSZZ "Solidarność" - Region "Mazowsze" z Sewerynem Jaworskim na czele. Zażądano uwolnienia Jana Naroźniaka, stwierdzając, że nie odpowiada on za powielenie "tajnego dokumentu". Domagano się również uwolnienia L.Moczulskiego, W.Ziemińskiego, T.Stańskiego, Z.Goławskiego. Bez skutku. Zaproszono wobec tego Prokuratora Generalnego, Łucjana Czubińskiego na spotkanie z pracownikami "Ursusa" w celu przedstawienia im przyczyn aresztowania Jana Naroźniaka. Zakomunikowano, że o ile do godz. 22⁰⁰ tego dnia J.Naroźniak i inni wyżej wymienieni nie będą zwolnieni z aresztu, Zakłady Mechaniczne "Ursus" rozpoczną strajk. Prokurator Generalny nie przybył do "Ursusa". O godz. 12 stanął wydział montażu i narzędziwnia zakładów. Tego dnia stanęły również poszczególne wydziały kilku innych stołecznych zakładów: "Róży Luksemburg", "Nowotki", "Polcoloru".

* Przedstawiciele Prokuratury Generalnej na konferencji prasowej udzielili informacji na temat bezprawnego powielania tajnych dokumentów w siedzibie Regionu "Mazowsze" NSZZ "Solidarność" w Warszawie. Wiadomość o tym otrzymano już 20.11. W czasie przeszukania w powie-larni "Solidarności" znaleziono poszukiwany dokument i jego odbitki. Powielacz obsługiwał Jan Naroźniak, którego zatrzymano pod zarzutem *ujawniania wiadomości stanowiących tajemnicę państwową* /art.260 §1 KK/. Śledztwo ujawniło również źródło przecieku: aresztowano Piotra Sapełkę, pracownika Prokuratury Generalnej.

Zdaniem Prokuratury Generalnej dokument ten nie dotyczy "Solidarności" lecz działalności takich grup jak KPN, KOR, ROPCiO. Był on przeznaczony dla prokuratorów wojewódzkich i zawiera wiadomości stanowiące tajemnicę państwową.

* Warszawska hala "Gwardii", ogólnopolskie spotkanie - wiec branżowych związków zawodowych /jak podała prasa uczestniczyło w nim 3 tys. osób/. Hasło: *Nie chcemy żyć w stanie wrzenia i chaosu*. Przemawiał Albin Szyszka, przewodniczący Komisji Porozumiewawczej Branżowych Związków Zawodowych. Polityka rządu zachęca do wymuszania podwyżek płac, co prowadzi do galopującej inflacji. Branżowy ruch związkowy będzie się przeciwstawiał technokratycznej koncepcji bezrobocia; ludowego państwa nie można traktować jako prywatnego kapitalisty. W naszym systemie nie ma miejsca na dwuwładze, której jednym z ogniw byłyby związki zawodowe. *Odnowie - tak, anarchii - nie!* Ruch związkowy może kontrolować, ale nie może władzy wyręczać lub osłabiać. Z drugiej strony: ruch branżowy nie jest wrogi wobec "Solidarności" - wszystkie związki zawdzięczają "Solidarności" to, że mogą czuć się rzeczywistym reprezentantem ludzi pracy. Albin Szyszka wyraził jedynie żal, że rząd nie zapewnił uczestnictwa branżowych związków zawodowych w swoich negocjacjach z "Solidarnością".

Do hali "Gwardii" przybył premier J. Pińkowski. Stwierdził, iż nie zna przypadku, by jakiś związek branżowy sygnalizował, że nie popiera żądań płacowych NSZZ "Solidarność". Również, gdy wybucha nieuzasadniony strajk, to opór członków związków branżowych wobec niego jest zbyt słaby.

* Konferencja prasowa na temat *zatożeń sprzedaży mięsa i przetworów oraz tłuszczów przy zastosowaniu dotychczasowego systemu kartkowego*. Przewiduje się 3 kg mięsa i przetworów mięsnych na osobę miesięcznie /4 kg dla pracowników fizycznych i kobiet w ciąży, 5 kg dla górników dołowych, 3 kg dla wszystkich pozostałych zatrudnionych oraz rencistów, emerytów, młodzieży w wieku 16 - 18 lat, 2 kg dla dzieci do lat 6, 1,5 kg dla rolników i ich rodzin/. Roczne normy masła, smalcu i słoniny: 10 kg dla pracowników fizycznych, 8 kg dla pozostałych, dzieci i młodzieży do lat 18, 3 kg dla rolników. Proponuje się kartki wartościowe /średnia cena mięsa i jego przetworów 55 zł; średnia wartość kartki - 165 zł/.

* Trwa akcja protestacyjna cukrowników w Pruszczu Gdańskim.

* Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej w Toruniu podjęła decyzję o usunięciu z partii I sekretarza KZ PZPR w Zakładach Przemysłu Okręgowego "Towimor" w Toruniu, Zbigniewa Iwanowa. Powód: *podważanie światopoglądu marksistowskiego i negowanie kierunkowej roli partii*.

* "Samorządność" /nr 25/ o *harcerstwie: harcerze Kregu Instruktorskiego Chorzów Gdańskiej im. Andrzeja Młotkowskiego uczestniczą aktywnie w kampanii przedzjazdowej*. Zgłaszane przez nich wnioski nie tak dawno potraktowanoby jeszcze jako *awanturzenie a wnioski dawno okryłyby się wicherzycielami*. Obecnie padające z trybun konferencyjnych słowa instruktorów z Kregu wywołują w wielu dreszcz emocji, ale również satysfakcję, że sprawa została pominięta. Wnioski te dotyczą m.in.:

- wystąpienia ZHP z FSZMP;
- zastąpienia w statucie sformułowań o wychowaniu w duchu światopoglądu naukowego stwierdzeniem o otwartości światopoglądowej ZHP;
- wycofania się z błędnych decyzji odnośnie metodyki pracy w drużynach starszo-harcerskich /HSPS/ i powrotu do drugich wielopozycyjnych i systemu zastępowego;
- demokratyzacji wewnętrznej wyrabniającej się m.in. w oddzieleniu władzy wykonawczej od ustawodawczej /komentarz i przewoźniczą rali/;
- skrócenia kadencji władz hufcowych;
- zmiany zasad zgłaszania kandydatów do władz;
- ujednolicenia umundurowania dla wszystkich członków ZHP zgodnie z tradycyjnym wzorami;

* TASS - Strajki kolejarzy stanowią dowód działania, którego celem jest utrzymanie napięcia w kraju. Istnieje groźba strajku powszechnego, a to godzi w interesy narodowe, w interesy obronności kraju - może naruszyć bezpieczeństwo szlaku tranzytowych biegnących przez terytorium Polski.

25 listopada, wtorek

* W dalszym ciągu, wobec niustępliwego stanowiska Prokuratury Generalnej w sprawie Jana Narożniaka i Piotra Sapełły, strajkują niektóre stan gotowości strajkowej. Delegacja Prezydium MKZ NSZZ "Solidarność" - Region "Mazowsze" negocjowała z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim. Żądano natychmiastowego uwolnienia J. Narożniaka, ujawnienia i ukarania autorów skonfiskowanego dokumentu Prokuratury Generalnej, uchylenia aresztu wobec oskarżonych o tzw. "działalność antysocjalis-

tyczną". W sprawach bardziej ogólnych "Mazowsze" wysunęło postulaty: powołania w trybie pilnym komisji sejmowej, która współpracując z NSZZ "Solidarność" zbadałaby praworządność funkcjonowania prokuratury, MO i SB i przedstawiła sposób skutecznego zabezpieczenia obywateli przed nadużyciami tych organów, przeprowadzenia śledztwa i ujawnienia osób odpowiedzialnych za przestępstwa popełnione wobec protestujących robotników w wydarzeniach Grudnia 1970 i Czerwca 1976 r., ujawnienia materiałów komisji KC PZPR powołanej w 1971 r. do zbadania odpowiedzialności za tragiczne wydarzenia na Wybrzeżu. Strona związkowa zażądała również ograniczenia budżetów i kontroli wydatków w resorcie MSW i Prokuraturze Generalnej - w związku z kryzysową sytuacją kraju. M.Jagielski zobowiązał się do powołania w trybie pilnym specjalnej komisji do zbadania zasadności aresztowania J.Narodzińskiego i P.Sapełły.

* W dziewięciu kopalniach węgla kamiennego na Górnym Śląsku odbył się 2-godzinny strajk ostrzegawczy w związku z nieuregulowaniem spraw płacowych górników.

* Działacze MKZ NSZZ "Solidarność" "Ziemia Radomska" okupowali kilka pomieszczeń w budynku WRZZ w Radomiu. Domagali się przydzielenia pomieszczeń na działalność związkową. Inna "okupacja" miała miejsce we Wrocławiu, gdzie przedstawiciele "Solidarności" zajęli pomieszczenia związkowego domu kultury administrowanego przez branżowy związek zawodowy. Ten ostatni stwierdza w oświadczeniu, iż obiekt ten w świetle obowiązującego prawa stanowi jego własność.

* W Bielsku-Białej zakończyły się negocjacje komisji rządowej z min. J.Kępa na czele a MKZ NSZZ "Solidarność" - Region "Podbeskidzie". Rozmowy dotyczyły zarzutów o korupcję i nieudolność zgłaszanych pod adresem administracji terenowej. Uzgodniono, że rozpatrzy je specjalna komisja z udziałem przedstawicieli "Solidarności".

* Minister Komunikacji M.Zajfryd podjął we Wrocławiu rozmowy z Komitetem Strajkowym Międzyokręgowej Komisji Porozumiewawczej Kolejarzy NSZZ "Solidarność".

* Kania i Grabski przyjęli delegację Komisji Porozumiewawczej Branżowych Związków Zawodowych. Goście mówili o pominięciu związków branżowych w negocjacjach, nieliczeniu się z faktem ich istnienia. Kania dał wyraz swego niepokoju wobec przejawów anarchii, rozkładu gospodarki, "nagonek na ludzi". *Niepokoń nas także manipulowanie narzędziem strajku, zwłaszcza tam, gdzie - jak na kolei - strajki podążą w normalny rytm życia kraju i nasze zobowiązania sojusznicze.*

* Z komunikatu Prokuratury Generalnej dotyczącego śledztwa w sprawie aresztowanego 23 września przywódcy KPN L.Moczulskiego: *Śledztwo powoliło ustalić, że L.Moczulski działał przeciw interesom politycznym i bezwzględnie PRL. Działając w nielegalnej Konfederacji Polski Niepodległej szaławość ustroj PRL, jej naczelne organy, prowadził działalność wymierzoną w sojusze PRL. W wywiadach dla zachodnich środków masowego przekazu wielokrotnie mówił, że dążeniem KPN jest zniszczenie ustroju PRL. Komunikat przywołuje treść publikacji pt. Rewolucja bez rewolucji jako dowód w sprawie /np. stwierdzenie jatowe są wszystkie próby reformy /. Komunikat zarzuca grupie KPN utrzymanie kontaktów z ośrodkami zagranicznymi prowadzącymi działalność przeciwko Polsce, jej sojuszom, ustrojowi.*

* W Gdańsku, w budynku spółdzielni inwalidów, rozpoczął się strajk okupacyjny inwalidów. Strajkujący domagają się rozmów z komisją rządową o swoich sprawach płacowych.

* "Nove Slovo": poważne podejście do spraw kraju przejawia MKR w Jastrzębiu, który nie utożsamia się z poglądami i stanowiskiem gdańskiej "Solidarności". W nowych związkach zawodowych są i tacy jednak, co nigdy nie powąchali pracy, co stoją na innych niż socjalistyczne pozycjach. Poza tym są anarchiści, radykałowie, są też i tacy, co myślą funkcję związków zawodowych w ustroju socjalistycznym i kapitalistycznym.

26 listopada, środa

* W Gdańsku obrady KKP NSZZ "Solidarność". Tematyka - represje wobec MKZ "Mazowsze", organizacja terytorialna Związku, prace nad nową ustawą o związkach zawodowych, stanowisko Związku wobec rządowego projektu ustawy o cenzurze, projekt systemu kartkowej sprzedaży mięsa i jego przetworów, interpretacja statutu Związku w kwestii ogłaszania strajków oraz członkostwa "chłopo-robotników" w "Solidarności". Omawiano także problemy włókniarzy i kolejarzy zrzeszonych w Związku, formy obchodów rocznicy Powstania Listopadowego, wreszcie wystąpienie prasowe przedstawicieli MKR "Jastrzębie".

Najwięcej czasu pochłonęła dyskusja wobec napiętej sytuacji szawie na tle aresztowania J. Narożniaka i P. Sapeły. Z raportu Działu Prasowego MKZ w Gdańsku:

Andrzej Rozpłochowski: Dokument Prokuratury Generalnej interesem "Solidarności". Mamy tam atak na Leszka Moczulskiego, a w jego programie znaleźć można między innymi postulat tworzenia niezależnych związków zawodowych - i to jest w tym dokumencie ocenione jako obalenie ustroju siłą. Zawiera on instrukcję jak zwalczać wolność wypowiedzi. Są w kraju siły, które chcą zwalczać ruch związkowy. Były już strajki: FSO, "Nowotko", "Róża Luksemburg", "Polcolor", były rozmowy Jagielski - "Solidarność" - jednak rozwiązania nie ma.

Lech Wałęsa: Wnioskuje o działanie całym związkiem, a nie jednym regionem. Ale najpierw należy dać miesiąc czasu rządowi - a potem ogólnopolskie działania strajkowe / bo spraw jest wiele: to Olsztyn, to co innego ... /.

Karol Modzelewski potwierdza, że lokalne sprawy mogą nam zaszkodzić. Ale w sprawie "Mazowsza" nie gwałnim się. Należy żądać ujawnienia prawdy o Grudniu 1970 r. i Czerwcu 1976 r. To żądanie jest naszym ważnym atutem; może osłabić siłę aparatu bezpieczeństwa.

Grzegorz Palka: Przychylny się do propozycji Lecha, żeby nie lokalnie ale centralnie działać i protestować. W oświadczeniu zawrzeć groźbę pod adresem tych sił, co są przeciwnie odnowie i porozumieniu.

* Antoni Kopaczewski: Musi być porządek, bez pośpiechu. Akcja całociowa - po "Mazowszu" będzie ktoś inny.

Delegat z Olsztyna: 20 b.m. w lokalu "Solidarności" w Olsztynie przeprowadzono rewizję. Pobito działacza związku pod siedzibą MKZ. Dochodzą sygnały o nakazach aresztowań dla 4 członków MKZ-tu, sygnały o wzywaniu przez Komitet Wojewódzki PZPR do porachunków. My żądamy rozliczenia wojewody za nadużycia gospodarcze i inne sprawy. Będziemy strajkować, jeśli będą nas aresztować, szykanować.

Delegat z Sieradza: Żąda zbadania i ujawnienia działalności prokuratora Lucjana Czubińskiego.

Zbigniew Nakonieczny /Region Środkowo-Wschodni/: Krytykuje sposób działania "Solidarności", która daje się wmontowywać w sytuację polityczną, łapie się na haczyk polityczny. Zamiast się odciąć, bierzemy to za dobrą monetę. Niektóre grupy są zainteresowane w osiągnięciu swoich celów, a nie

osób "Solidarności". Pośrednio działają przeciwko "Solidarności". Są tu ich interesy osobiste, a nie nasze. Jesteśmy za nimi na razie na konfrontację. Jesteśmy w nie wmontowywani. Za nas osłabia. Wszystkie te regiony, które się dają wmontować, osłabiają działalność organizacyjną. To jest dekoncentracja.

Delegat z Częstochowy: Musimy poprzeć "Mazowsze"; choć nie poparliście Częstochowy. U nas też chciano aresztować, nie poparliście nas. Choć nas rozbił! Ale jesteśmy mocni, nieprawda jak inni mówią, że słabi. Popieramy "Mazowsze".

Bogusław Śliwa /Kalisz/: Sam byłem prokuratorem i wiem jak to wygląda. Prokuratura nie opiera się w swej działalności na Konstytucji, a na instrukcjach i prawach wewnętrznych. Prokurator jest szarym członkiem i nie ma większych możliwości samodzielnego działania. Wszystko jest uzgodnione z PZPR i SB. Prokurator jest ubezwłasnowolniony. Interesu wolnego nie naruszyli Sapełto i Narosiński /więc nie są przestępcami/ lecz prokurator Czubiński. Mam propozycję, żeby nie lano na Sejm: powołajmy własną komisję do stwierdzenia praworządności w PRL. Zaproszmy wybitnych prawników - niech się wypowiedzą. Uważajmy wypadki grudniowe, żeby pokazać naszą siłę i ich słabość.

Delegat z Jarocina: Mówi, że zastępuje swego kolegę, który został pobity onych przez MO. Trzeba dążyć! Musiał własną prozę, niech demaskuje.

Bogusław Bardon /Opole/: W sprawie "Mazowsza" trzeba tak zadziałać, żeby im w piętę poszło. Mam już dość bicia i szikan. Wlewali mi denaturat do ust... będą walony do końca. Wchodzić do nas i nas otaczać. Jeśli nas aresztują, to ci partyjni będą nas chcieli zastąpić. Oświadczenie to mało, trzeba dążyć! Jeśli są tu partyjni, niech podniosą rękę. Jeśli będzie większość, ja wychodzę.

Strzyżowski z Torunia /na sali "Steru" tumult, okrzyki z poparciem wniosku Opa/: Zgadza się, niech podniosą! Zarzucają nam miękkość, ale tak nie jest! Jesteśmy z "Mazowszem"! Całkowicie! Dni ich, a jutro nas. My też wyjdemy nielegalnie: biuletyny.

Delegat z Krosna: U nas są inne akcje. Rozpowszechniono u nas ulotki o treści ukraińskiej. I się pyta: czy my nie jesteśmy to prowokacja. To! samo nie ma chleba i nie ma niczego!

Po przerwie przeczytano pismo od min. Andrzeja Jedyńska atakujące "Solidarność" za nadużywanie swoich uprawnień do osiagnięcia podwyżek płac, zmian personalnych w administracji państwowej, powielania nielegalnych publikacji. K. Modzelewski odczytał projekt oświadczenia w sprawie "Mazowsza". Trwała dalsza dyskusja nad tekstem tego projektu, a następnie po jego przegłosowaniu - nad wieloma innymi zgłoszonymi /przygotowanymi przez "11"-tę/ problemami.

W uchwalonym oświadczeniu KKP atakuje się w aparacie władzy, które dąży do wzmocnienia napięcia i piętrzenia konfrontacji. Komisja popiera "Mazowsze" w jego akcji w obronie wolności związkowej i gwarancji bezpieczeństwa dla jego działalności. Przypomina, że podobne akcje jak w Warszawie, miały miejsce w Częstochowie, Olstynie i Opolu.

Komisja Krajowa zapoznała się z treścią dokumentu Prokuratury Generalnej pt. "Wątpliwości dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej", którego użycie stało się pretekstem do zastosowania wspomnianych represji przeciw "Mazowsze".

Komisja stwierdza, że wszystkie fakty podane w tym dokumencie są szeroko znane i nie stanowią tajemnicy. Należy jednak podkreślić, że dokument ten o charakterze instruktażu dla prokuratorów wojewódzkich wskazuje niezabicie na aprobujący stosunek prokuratury generalnej do faktów naruszenia praworządności przez organa ścigania w latach 70-tych w tym zwłaszcza podczas wydarzeń grudniowych 1970 r. i wydarzeń czerwcowych 1976 r. Komisja przekazuje ten dokument wszystkim MKZ-om w przekonaniu, że powinien on być ujawniony wobec opinii publicznej.

Wyrażając głęboki niepokój wobec powstałych sytuacji Komisja Krajowa wyraża

zdecydowaną wolę dążenia do stabilizacji i pokoju społecznego w naszym kraju. Jednocześnie Komisja w pełni aprobuje żądania i akcję strajkową, do której włączony został MKZ "Mazowsze". Występuje on bowiem w obronie wolności związkowej i elementarnych warunków normalnego działania "Solidarności". Jest to sprawa całego Związku.

Komisja Krajowa:

- zaleca wszystkim MKZ-tom podawanie do publicznej wiadomości stanowiska MKZ "Mazowsze" w tej sprawie;
- wzywa ognia regionalne związki do udzielenia MKZ "Mazowsze" wszelkiego poparcia jakie okaże się potrzebne;
- żąda od władz natychmiastowego podjęcia rozmów z MKZ "Mazowsze", niezwłocznego uwolnienia Jana Narożniaka i pracownika powielarni Prokuratury Generalnej Piotra Sapełły, umorzenia prowadzonego w tej sprawie postępowania karnego oraz stworzenia gwarancji bezpieczeństwa dla Związku i przestrzegania praworządności zgodnie z p.4 Porozumienia Gdańskiego.

KKP ostrzega zwolenników polityki konfrontacji, stwierdzając, że jest gotowa walczyć wszystkimi środkami w obronie Związku. Protestuje wobec nacisków na włókniarzy z "Solidarności":

Minister przemysłu lekkiego odmówił podpisania parafowanego porozumienia z Tymczasową Komisją Porozumiewawczą Włókniarzy NSZZ "Solidarność", uzależniając finalizację umowy od wycofania się Tymczasowej Komisji Włókniarzy z rezolucji, wyrażającej poparcie dla MKZ "Mazowsze". Krajowa Komisja Porozumiewawcza uważa to postępowanie za oburzającą próbę sprowokowania akcji strajkowej w tak napiętej sytuacji kraju. Żądamy natychmiastowego i bezwarunkowego podpisania parafowanego porozumienia.

Komisja zwraca się również do "Solidarności" o powstrzymanie roszczeń płacowych. Przypomina, że obowiązuje statutowy zakaz ogłaszania strajków nie uzgodnionych z władzami związku. Strajki wykraczające poza jeden zakład pracy muszą akceptować MKZ-ty, a wykraczające poza jeden region - KKP. Sekcje branżowe nie mogą podejmować decyzji o strajku.

Krajowa Komisja Porozumiewawcza podkreśla z całą mocą, że w panującej obecnie napiętej sytuacji społecznej wszelka działalność strajkowa nie uzgodniona z właściwymi instancjami związkowymi godzi w dobro związku. W poczuciu odpowiedzialności za dobro kraju i naszej organizacji przestrzegamy przed nieodpowiedzialnymi strajkami.

Może się bowiem zdarzyć, że będziemy zmuszeni publicznie wystansować się od niezgodnej ze statutem akcji strajkowej.

W sprawie opracowywanej ustawy o związkach zawodowych Związek zwał do poddania projektu pod publiczną dyskusję. W sprawie rządowego projektu sprzedaży mięsa i tłuszczów stwierdzono, że nasuwa on wiele wątpliwości i zastrzeżeń i odroczone wydanie opinii do czasu udostępnienia przez władze danych szczegółowych dotyczących produkcji i spożycia. W sprawie rządowego projektu ustawy o kontroli prasy, publikacji i widowisk:

Zgodnie z Porozumieniem Gdańskim rząd powinien był wnieść w ciągu trzech miesięcy do Sejmu projekt ustawy o kontroli prasy, publikacji i widowisk teatralnych. Opracowywany przez Ministerstwo Sprawiedliwości projekt budzi zasadnicze zastrzeżenia i stanowi regres w stosunku do dekretu z r. 1946. Opracowane zostały już inne projekty przygotowane przez różne środowiska społeczne. Wszystkie projekty winny być poddane pod publiczną dyskusję. Krajowa Komisja Porozumiewawcza po zapoznaniu się ze stanowiskiem Komisji Porozumiewawczej Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych przedstawi stanowisko w sprawie niezbędnych gwarancji wolności słowa, które powinna ustawa o cenzurze zapewnić.

KKP wydała pozytywną opinię w sprawie członkostwa tzw. chłopo-robot-

ników w "Solidarności". W związku z rocznicą Powstania Listopadowego:

Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ "Solidarność" zwraca się do całego społeczeństwa, w szczególności do młodzieży o zachowanie spokoju, powagi i godności podczas uroczystości związanych z obchodami rocznicy. Uroczystości te - koncerty, spotkania, wykłady powinny odbywać się w salach zamkniętych, nie zaś na ulicach, czy placach. Musimy pamiętać, że wszelkie niepokoje, czy nieprzewidziane manifestacje mogą w efekcie przyczynić się do niepotrzebnego i szkodliwie ratującego na przyszłość związku zaognienia sytuacji w kraju.

Mamy nadzieję, że nasz apel zostanie należycie zrozumiany.

* W związku z poręczeniem Stefana Bratkowskiego w Warszawie uwolniono J. Narożniaka i P. Sapełkę. Komunikat oficjalny stwierdza, że zmieniono wobec nich środek zapobiegawczy: areszt tymczasowy zastąpiło poręczenie społeczne. Po tym fakcie i po uzgodnieniu spotkania przedstawicieli "Solidarności" i rządu na szczeblu wicepremiera /tematyka: praworządność/ MKZ "Mazowsze" odwołał stan gotowości strajkowej.

* Tego dnia jednak stanęła Huta "Warszawa" /o godz. 14⁰⁰/ i jako jedyny zakład regionu postanowiła kontynuować strajk do czasu ustalenia terminów i szczegółowej tematyki rozmów z przedstawicielami rządu /m.in. kwestia wyjaśnienia odpowiedzialności za represje antyrobotnicze w 1970 i 1976 r./.

* O godz. 1⁰⁰ w nocy we Wrocławiu obydwie strony: Ministerstwo Komunikacji i MKPK NSZZ "Solidarność" osiągnęły wreszcie wspólne stanowisko w sprawie realizacji wcześniej już podpisanego porozumienia. Akcja protestacyjna pracowników PKP z "Solidarności" zakończyła się. Odwołano pogotowie strajkowe.

* W Katowicach trwa akcja protestacyjna w zakładowym domu kultury kopalni "Wujek" przeciwko sposobowi realizacji podwyżki płac dla pracowników dołowych. Zwrócono się do górników o poparcie, ale rzetelna praca.

* Gdańsk - reprezentacja pracowników służby zdrowia, zrzeszonych w NSZZ "Solidarność", zawarła z komisją rządową porozumienie dotyczące produkcji i zaopatrzenia rynku w leki. Obecni byli ministrowie - szefowie resortów pracujących na cele lecznictwa. Do porozumienia załączono wykaz 600 leków pierwszej potrzeby i ratujących życie, które koniecznie powinny się znaleźć w dyspozycji lecznictwa.

* W Pruszczu Gdańskim cukrownicy - uczestnicy strajku okupacyjnego zawarli z komisją rządową porozumienie dotyczące spraw socjalnych i płacowych. Zakończono akcją protestacyjną.

* Komunikat OKZ NZS informuje, że tego dnia Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki odwołało wcześniej zapowiedzianą konferencję ministerialną zatwierdzającą treść nowego rozporządzenia w sprawie organizacji studenckich, ustalonego w wyniku wcześniejszych rozmów z NZS. Konferencja ta mogłaby odbyć się później /w bliżej nie określonym terminie/, dopiero po ustosunkowaniu się SZSP do projektu nowego rozporządzenia. OKZ NZS stwierdza, że ma już dosyć odwoleń rejestracji NZS. Wzywa się wszystkie organizacje uczelniane do podjęcia natychmiastowej akcji protestacyjnej.

* "Samorządność" /nr 26/ informuje, że w Urzędzie Miejskim w Gdańsku, wkrótce po rejestracji "Solidarności", zorganizował się komitet założycielski tej organizacji. Nawiązuje się kontakty z innymi kż-tami

"Solidarności" przy urządach państwowych na terenie całego regionu. Formułowane są postulaty pracownicze.

* "Trybuna Ludu": Centralna Komisja Kontroli Partyjnej i komisje wojewódzkie wydalili dotąd z partii 67 osób, 79 otrzymało kary partyjne. Wśród wydalonych jest 51 dyrektorów i kierowników różnych instytucji.

Na innej stronie: początek cyklu artykułów: *W kręgu politycznego awanturnictwa*, odcinek pierwszy *Wbrew polskim racjom o KPN, KSS "KOR" i siłach odwetowych w RFN występujących pod hasłem "Drang nach Osten"*.

27 listopada, czwartek

* Z oświadczenia Krajowej Komisji Koordynacyjnej Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości nt. dokumentu przesłanego przez Prokuratora Generalnego PRL do prokuratorów wojewódzkich:

W dokumencie znajduje się oficjalne potwierdzenie przez organ prokuratorski praktyki stosowania przez Milicję Obywatelską wielokrotnych zatrzymań, w sposób, który przedłuża czas zatrzymania ponad ustawowo dozwolony w Kodeksie Postępowania Karnego i tym samym godzi w zagwarantowane Konstytucją PRL podstawowe prawa obywatelskie. Należy podkreślić, że wyrażona w ten sposób aproba łamania prawa pochodzącego od organu ustawowo zobowiązanego do strzeżenia praworządności ludowej i zapewnienia poszanowania praw obywateli.

* Dalszy ciąg konfliktu w "Mazowszu". Po południu delegacja MKZ-tu spotkała się z wicepremierem M. Jagielskim i ministrem sprawiedliwości, J. Bafią. Uzgodniono, że rozmowy nt. praworządności rozpoczną się na początku grudnia. W rozmowie telefonicznej z Władysławem Jagielskim potwierdził zobowiązania rządu do przeprowadzenia rozmów z przedstawicielami NSZZ "Solidarność" nt. uwolnienia osób więzionych za publiczne wypowiadanie swoich przekonań oraz funkcjonowania prokuratury, MO, SB, zwłaszcza w latach 1970 - 1976. Wieczorem do strajkującej Huty "Warszawa" przybył przewodniczący KKP. Mówił, że podoba mu się nastrój, że wystąpi o realizację postulatów, ale zaleca ostrożność, bo to jest duża sprawa. Przekonywał do powrotu do pracy.

* Na Uniwersytecie Warszawskim strajk okupacyjny studentów-członków NZS. Około 200 osób zajmowało pomieszczenie w Pałacu Kazimierzowskim. Główny postulat formułowany przez OKZ NZS: wydanie rozporządzenia o stowarzyszeniach studenckich. Inne postulaty: zwolnienie wszystkich więźniów politycznych, opublikowanie informacji o rzeczywistym stanie praworządności w PRL. Od południa do późnego wieczora prowadzono negocjacje z komisją Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Uzgodniono treść rozporządzenia, które ma się ukazać do 20 grudnia 1980 r. Strajk odwołano.

* Akcja protestacyjna "Solidarności" w kopalni "Wujek" nadal trwa.

* W Łodzi podpisano wreszcie porozumienie z włókniarzami z "Solidarności" w sprawach płacowych.

* Zakończył się strajk okupacyjny w siedzibie WRZZ w Radomiu. Na mocy porozumienia zawartego z wojewodą radomskim MKZ "Ziemia Radomska" otrzymuje 5 pokoi w budynku WRZZ.

* Środki masowego przekazu donoszą: zmarnowanie środków i dalsze ich marnotrawienie na budowę kopalni węgla kamiennego w Zagłębiu Lubelskim, brak odpowiedzi rządu na tę krytykę - oto powód akcji pro-

testacyjnej "Solidarności" w Przedsiębiorstwie Budownictwa Górniczego w Katowicach. Zrezygnowano ze strajku jako formy protestu.

* W Poznaniu odbył się zjazd przedstawicieli zakładowych komitetów założycielskich NSZZ "Solidarność" fabryk mebli z całego kraju. Powołano KKP Pracowników Przemysłu Meblarskiego z całego kraju z siedzibą w Swarzędzu. Stwierdzono, że 85% zatrudnionych w przemyśle meblarskim należy do "Solidarności".

* W Słupsku wskutek nacisku regionalnej "Solidarności" władze podjęły decyzję o oddaniu dla służby zdrowia znajdującego się w budowie gmachu urzędu wojewódzkiego.

* Prasa, radio i telewizja dostarczają codzienną porcję rezolucji, oświadczeń i wypowiedzi ludzi pracy wyrażających troskę o los kraju. W "Życiu i Nowoczesności" projekty ustawy o cenzurze: urzędowy i społeczny.

* Czym zajmują się regionalne ognia Związku: informacja Biura Rzecznika Prasowego MKZ w Gdańsku, z obrad Prezydium MKZ w dniu dzisiejszym /"Serwis Informacyjny" MKZ Gdańsk, nr 4/:

Od godz. 17⁰⁰ obradowało Prezydium MKZ Gdańsk.

W toku obrad przedstawiono:

- pismo Wojewódzkiej Kontroli Społecznej do MKZ :: prośbą o współpracę - na razie nie podjęto decyzji w tej sprawie;
- wniosek o powołanie komisji d/s kontroli eksportu i importu; sprawę uznano za ogromnie pilną; postanowiono przedłożyć wniosek na plenium w dniu 28.11.;
- sprawę umów zbiorowych - w dyskusji przedstawiono różne warianty rozwiązywania sprawy, wszyscy jednak byli zgodni, że nie należy w najbliższym czasie podpisywać umów zbiorowych, mimo sugestii władz; postanowiono wwołać w przyszłym tygodniu specjalne zebranie prezydium poświęcone rozwiązywaniu tych problemów;
- p. A. Walentynowicz zgłosił wniosek do Prezydium o zatwierdzenie rachunków na przejazdy taksówką; rachunki zatwierdzono, traktując jednak sprawę jako przeszkodę dla członków i pracowników MKZ, aby nie korzystali ze środków lokomocji, których właściciele dalecy są od beninteresowości;
- sprawę odbioru nagrody pokojowej dla "Solidarności"; prócz delegata Stoczni Gdańskiej, Henryka Jagielskiego, do Nowego Jorku pojedzie p. Anna Walentynowicz, o czym zdecydowano jednogłośnie;
- propozycję podziału składek członkowskich "Solidarności".

Ustalono również zestaw problemów na obrady prezydium MKZ w dniu 28.11.

- problemy umów zbiorowych;
- sprawy magazynowania i eksportu żywności /formy kontroli/;
- sprawę konieczności okresowego wstrzymywania się od przyjmowania deklaracji członkowskich;
- informacja o decyzjach podjętych przez Komisję Krajową.

28 listopada, piątek

* W nocy z czwartku na piątek nadal trwa strajk w Hucie "Warszawa". Robotnicy twierdzą, że rząd nie dostarczył potrzebnych gwarancji i w związku z tym huta będzie nadal strajkować. L. Wałęsa i inni przywódcy Związku działają na rzecz przerwania strajku. Przewodniczący KKP: jeśli nie przerwiecie strajku, władze się będą czuły zmuszone do wprowadzenia stanu wyjątkowego. W tym samym duchu przemawiali eksperci Związku: Władysław Siła-Nowicki, Jacek Kuroń. O godz. 6⁰⁰ strajk się wreszcie zakończył.

* We Wrocławiu zakończył się inny konflikt: podpisano porozumienie

nt. użytkowania domu kultury między MKZ-tem we Wrocławiu, a "starymi" związkami zawodowymi służby zdrowia. Zakończono akcję protestacyjną.

* W domu kultury Kopalni "Wujek" trwa nadal akcja protestacyjna górników /problemy płacowe, BHP/. Zaplanowane były rozmowy z władzami. Protestujący wezwali wszystkie kopalnie, aby dla poparcia ich żądań wydadnie i spokojnie pracowały.

* Zakończył się 3-dniowy Krajowy Zjazd NSZZ "Solidarność" Pracowników "Społem". W obradach uczestniczyła delegacja CZSS "Społem" z wiceprezesem na czele /w dniu następnym "Głos Wybrzeża" wydrukował tę informację na pierwszej stronie/. Program rewindykacji pracowniczych obejmuje 40-godzinny i 5-dniowy tydzień pracy, nowelizację układów zbiorowych i taryfikatorów kwalifikacyjnych, wprowadzenie dodatków stażowych, podwyżki płac.

* Z życia partii: konferencja I sekretarzy KW, Kierowników Wydziałów KC. Tematy: konsolidacja partii, kierunki socjalistycznej odnowy, przywracanie lenińskich norm w życiu partii.

* Środki masowego przekazu donoszą: w nocy z czwartku na piątek miało miejsce celowe uszkodzenie automatycznej linii produkcyjnej "Poloneza"; przerwa w pracy trwała 6 godzin. "Solidarność" FSO potępiła sprawców, domaga się ich wykrycia: takie wydarzenia zaogniają sytuację w zakładzie, utrudniają współpracę z administracją.

* Z obrad plenum gdańskiego MKZ-tu: informowano o pracy zespołu analiz bieżących MKZ, Sekretariatu KKP, o projekcie ustawy o związkach zawodowych, krytycznie oceniono obecne dążenia do zawierania układów zbiorowych, omówiono sprawy personalne Prezydium MKZ. Przyjęto projekt Prezydium podziału funduszy związkowych: 60% zostaje w zakładzie pracy, 40% przekazywać się będzie do zarządu regionalnego. W czasie przerwy omówiono problem strajku inwalidów, który trwa już czwarty dzień. Plenum MKZ podjęło decyzję o jego przerwaniu. W tym tygodniu w imieniu inwalidów wystąpi do rządu Prezydium MKZ-tu Gdańsk. Gdyby to nie dało rezultatu, najbliższe Plenum MKZ rozważy sprawę formy dalszego nacisku na władze.

* Z komentarza "Samorządności" /nr 27/:

Bieg wydarzeń w ostatnich dniach nie zmniejszył napięcia, a raczej je zwiększył. Toteż raz jeszcze z całym naciskiem chcemy powtórzyć, że sytuacja wewnętrzna i zewnętrzna Polski wymaga głębokiego namysłu przed podejmowaniem każdego kroku o skutkach społecznych i poczucia wzajemnej odpowiedzialności na jego dalsze następstwa, często trudne do wymierzenia.

Niejednokrotnie już ośrodki polskiej emigracji politycznej, wrogo ustosunkowane do systemu władzy w kraju, kierowały do opinii publicznej u nas przestrogi przed niebezpieczeństwem używania karty polskiej w rozgrywkach międzynarodowych. Nie chcemy być jakkolwiek kartą w cudzych rękach. W tych właśnie dniach mieliśmy znów akcje i reakcje nie dość przemyślane, wprowadzające nerwowość. Na szczęście ludzie opanowani raz jeszcze znaleźli wyjście, naprawiające na tymczasem błędy obu stron.

* "Solidarność" Ziemi Łódzkiej poinformowała o działalności Wolnej Wszechnicy Pracowniczej. Jej celem jest przekazanie społeczeństwu wiedzy o jego historii najnowszej, problemach polityczno-gospodarczych 35-lecia PRL, problemach współczesnych. Do końca roku zaplanowano następujące prelekcje: 1/Jakich wartości broni ruch związkowy; 2/Przedsiębiorstwo jako jedyna komórka wzrostu gospodarczego; 3/Mechanizmy przełomów politycznych w Polsce powojennej.

* "Sztandar Młodych": wywiad ze specjalistami z Instytutu Matki i Dziecka, Wandą Szotową i Zofią Wachnik na temat rządowego projektu kartek na mięso. Rozmówcy mają świadomość, że system kartek będzie funkcjonował 2-3 lata. W tym okresie u dzieci będą się zaznaczać skutki obniżonego spożycia mięsa:

U dzieci matych będą one widoczne już po roku, u starszych - po dwóch, trzech latach. Ale odbiją się one nie tylko na rozwoju tego pokolenia, skutki te odczuje także pokolenie następne. Naprawdę nie jest to demonizowanie sprawy. Jeśli będziemy się odzywać tak, jak wynika z projektu, pray obecnych brakach każdego innego rodzaju produktów spożywczych, stanu naszego zdrowia nie będziemy mogli porównać ze zdrowiem żadnego innego narodu w Europie.

29 listopada, sobota

* Odezwa Konfederacji Polski Niepodległej Do Narodu Polskiego /na ulotce numer telefonu biura KPN w Warszawie/:

Oszustwo jest w PRL podstawową formą dialogu między władzą a społeczeństwem. Nie ma innych słów jak kłamliwe, nie ma innej metody postępowania, jak manipulacje... /Leszek Moczulski "Rewolucja bez rewolucji/

Po 35-letnich rządach PZPR Polska znalazła się w przepaści kryzysów: gospodarczego, polityczno-społecznego, moralnego. Przed niedożywionym narodem stoi widmo głodu. W takiej sytuacji - po Sierpniu 1980, zmuszone do reform kierownictwo PZPR nadal stosuje wobec narodu polskiego oszustwo, kłamstwo i manipulacje !!! Rząd PRL nie dotrzymuje umów, nie wypełnia zobowiązań danych robotnikom - doprowadzając do nieustannych napięć społecznych w kraju. Nie ma kresu bezprawiu - usankcjonowanemu przez naczelne organa PRL, czego dowodem jest instrukcja Prokuratora Generalnego Czubńskiego nr DP 0581/80 z 30 października 1980r.

Szukając obiektu, na który można by zrzucić odpowiedzialność za doprowadzenie kraju do ruiny, PZPR znalazła elementy antysocjalistyczne. Na nich to spada cała zemsta partyjna, na nich skupiają się wszelkie niegodziwości aparatu przemocy. W środkach masowego przekazu nie ustaje nagonka na opozycję demokratyczno-niepodległościową ...

Metody jakimi PZPR atakuje Konfederację Polski Niepodległej i jej przywódcę Leszka Moczulskiego - nie mają określeń w języku cywilizowanych ludzi. Wszystkie oparte są na kłamstwie i fałszu, inwektywach i oszczerstwach, w stylu i formie przejętych ze stalinowskich wzorców. Zafałszowane jest wszystko, co oficjalne publikatory głoszą na temat KPN i konfederatów, spreparowany i kłamliwy jest każdy "cytat" wyssany z cynicznych głosów sprzedanych autorów publikowanych paszkwili. Kłamliwe jest powoływanie się na pisma L.Moczulskiego i KPN, gdyż próżno szukać by treści atakowanych przez np. "Trybunę Ludu" /.../

Konfederacji Polski Niepodległej obca jest przemoc i niegodziwości !!! Pragniemy Polski demokratycznej, niepodległej i praworządnej!!!

Prowadząc szeroką kampanię paszkwili, PZPR sadzała o to, by atakowany człowiek nie miał żadnej możliwości bronięcia się: Leszek Moczulski - wybitny historyk, prawnik i publicysta, trzeci już miesiąc trzymamy jest w więzieniu, aresztowany został w Warszawie u progu "odnowy narodowej", 23 września 1980r. W więzieniach przebywają następni więźniowie polityczni: Tadeusz Stański i Zygmunt Gołowski z KPN oraz Wojciech Ziemiński - założyciel Komitetu na Rzecz Samostanowienia Narodu - aresztowani 11 listopada. Przeciwno nim toczy się śledztwo. Hojny aparat przemocy przewiduje dla tych śmiałych patriotów długoletnie więzienie z karą śmierci łącznie!! Śledztwem objęci są dalsi dwaj patrioci: 18 letni Piotr Szczudłowski z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Piotr Opozda /obaj studenci KUL/.

Jak długo jeszcze Polacy będą prześladowani we własnym kraju za swoje zaangażowanie w sprawy Polski i jej bytu narodowego?! Jak długo będzie obowiązywać narzucona przemoc i normy postępowania obce ludzkiej moralności i niezbywalnym prawom

człowieka?!

Funkcjonariuszom PZPR przypominamy, że w PRL obowiązują normy prawne, w tym Międzynarodowe Akty Praw Człowieka i Obywatela - tak otwarcie i cynicznie - przepętczo! - gwałcone. Na PZPR i jej kierownictwo spada całkowita odpowiedzialność za bezprawie dziejące się w PRL. Nie z polskiej tradycji ono pochodzi. To PZPR marzą się procesy polityczne i terror - które znamy z lat 1946-56 ...

Naród Polski pragnie życia w spokoju i bezpieczeństwie. Pragnie pracować dla Kraju i dla siebie, z nadzieją na lepsze - godzliwe jutro.

Dzisiaj mija 150-rocznica wybuchu Powstania Listopadowego - bohaterskiego niepodległościowego zrywu Polaków. Dzisiaj nadal więzi się ludzi ofiarnych, dążących do wolności i niepodległości Polski ... Jak uczy historia - tych dążeń nie można zdtawić wyrokami, więzieniem, zesłaniem!!! Wołamy dzisiaj stanowczo: przemoc, bezprawiu, kłamstwom i partyjnym sądom - DOŚĆ!!! Żądamy wolności dla więźniów politycznych. Ich dążenia są dążeniami wszystkich Polaków. Ich obrona to nasza sprawa!!!

* MKZ "Mazowsze" zaapelował o zachowanie spokoju i normalnej pracy. Wezwano społeczeństwo do nieulegania prowokacjom. Podano ich przykłady: 3 przypadki sabotażu w FSO, rozbicie półek w sklepie przez chuliganów z plakietkami "Solidarności", pijani osobnicy z plakietkami "Solidarności" w Domach Centrum w Warszawie rozrzucali ulotki i wtargnęli do gabinetu dyrektora. MO pobiła osoby wychodzące z zebrania "Solidarności" w jednym z zakładów pracy. MKZ oświadcza, że nie będzie prowadzić żadnych akcji ulotkowych ani plakatowych na terenie miasta.

* W Gdańsku ukonstytuowała się KKP Pracowników Cywilnych MON i MSW NSZZ "Solidarność". Komisja żąda podjęcia rozmów przez właściwe resorty w terminie do dnia 10 grudnia br.

* W Warszawie posiedzenie zespołu powołanego przez Radę Państwa dla opracowania ustawy o związkach zawodowych. Omawiano tryb rejestracji związków zawodowych, prawo do zrzeszania się w związkach zawodowych przez osoby wykonujące pracę na innej zasadzie niż stosunek pracy. W obradach uczestniczyli przywódcy NSZZ "Solidarność" z L.Wałęsą.

* Tego dnia L.Wałęsa i inni działacze "Solidarności" z Gdańska przybyli do Konina. Odbyło się spotkanie z działaczami regionu konińskiego. L.Wałęsa: dążymy do zgody narodowej, strajk traktujemy jako ostateczność. Każdy z nas jest przede wszystkim Polakiem, a dopiero później członkiem "Solidarności".

* Jacek Kuron odpowiada na pytania studentów Uniwersytetu Łódzkiego /wg biuletynu NZS-u UŁ nr 2/: Od czego jestem ekspertem? Od niczego szczególnego. Jestem czymś w rodzaju doradcy, czy fachowca od różnych spraw. To w czym żyjemy od trzydziestu paru lat oczywiście odrzucam. Dyskusja nad socjalizmem miałaby się chyba zacząć od próby zdefiniowania tego pojęcia, a nie jest to łatwe. Mój ojciec, dziadek, stryjowie ojca byli kiedyś działaczami PPS. Mój stosunek do partii jest oczywiście negatywny, choć sam do niej należałem /marzec 1953 - listopad 1953/ potem w latach 1956 - 1964 /.../

Na ruch odnowy w partii patrzę z sympatią. Obawiam się jednak, że zbytliberalizacja PZPR spowoduje, że ZSRR poczuje, że jego interesy w PRL mogą być zagrożone, z czego mogą wyniknąć różne konsekwencje /.../

Mój stosunek do Konfederacji Polski Niepodległej jest niedobry. Nie chciałbym na ten temat mówić nic więcej, bo Moczulski siedzi, nie chce go teraz krytykować. Przyznaję, że zrobiłem dla jego wolnienia na razie mało, ale mieliśmy tyle spraw na głowie ... Ruch Młodej Polski to interesujące ugrupowanie, nazwałbym je ideowo-twórczym. Cieszę się, że coś takiego istnieje, choć sam jestem przeciwnikiem myś-

zi narodowej. Ruch Obrony Praw Ciotowika i Obywatela jest w tej chwili, tak podzieleny, że nie wiadziałbym o czym mówić, gdyż trudno o jednolitą ocenę /.../

Nie lubię państwa w ogóle. Nie znoszę wojska, policji, przymusu. Likwidacja państwa to kwestia odległej przyszłości. Najogólniej powiedziawszy jestem za demokracją planistyczną, w której problem własności środków produkcji nie odgrywa żadnej roli, jest to problem XIX wieczny. Dziś chodzi o to, kto decyduje, a nie o to, że ma.

1980 r. 10 października, niedziela

W przedczeniu KSS "KOR" O sytuacji społeczno-politycznej w Polsce po podpisaniu Gdańskim. Ponieważ treścią sierpniowej umowy społecznej jest zgodna władz na rzeczywisty udział społeczeństwa w decydowaniu o losach kraju, nie jest możliwa dzisiaj "centralistyczna dyktatura". "Solidarność" stanowi gwarancję powstania ruchu samorządowego we wszystkich sferach życia zbiorowego: w środowisku wiejskim, intelektualnym, młodzieżowym. Istotne instytucje społeczne - związki zawodowe, samorządny ruch chłopski, stowarzyszenia twórcze naukowe i kulturalne, organizacje studenckie - przez sam fakt istnienia sprzyjają przezwyciężeniu głębokiego kryzysu, polegającego na osłabieniu więzi społecznych. Zadaniem ich jest dążenie do demokratyzacji życia społecznego, do uczynienia zorganizowanego społeczeństwa realnym partnerem w negocjacjach z władzami, a później we wspólnym wprowadzaniu w życie powziętych postanowień.

Niezależne organizacje społeczne nie mogą i nie powinny podejmować działań zmierzających do zmiany ustroju, ani obalenia władzy. Granicę możliwych zmian wyznacza zewnętrzne zagrożenie.

Pierwszym warunkiem wyjścia z obecnego kryzysu jest sformułowanie programu reform gospodarczych i politycznych a także sformułowanie sposobów i terminów ich realizacji. Jest to nakaz chwili. Inaczej kraj nasz będzie pogrążał się w chaosie ostrych konfliktów.

Obecne kierownictwo partyjno-państwowe nie jest w stanie takiego programu sformułować bez szerokiej współpracy społecznej. Konieczny jest udział całej myślącej opinii Polaków. Dotychczasowa dyskusja o reformach pełna jest cenzuralnych ograniczeń i nie spełnia powszechnych oczekiwań. Muszą być dopuszczone do głosu wszystkie stanowiska. Nikt nie może być zakneblowany i dyskwalifikowany. Zwracamy się do wszystkich środowisk o niezwłoczne podjęcie prac nad programem reform. KSS "KOR" zgłasza gotowość udziału w pracach i dyskusjach przygotowawczych.

* Należy "upełnorolnić" indywidualne gospodarstwa rolne poprzez parcelację deficytowych PGR-ów, zagwarantować dziedziczną własność ziemi, prawo jej sprzedaży i zakupu. Z innych spraw: należy ujawnić odpowiedzialność za nadużycia, za bicie studentów w marcu 1968, za masakrę robotników na Wybrzeżu w 1970r., za znęcanie się nad robotnikami Radomia i Ursusa w 1976r.

Nie są możliwe żadne korzystne przemiany ogólnej sytuacji bez zasadniczych przeobrażeń wymiaru sprawiedliwości i aparatu ścigania. /.../ Trzeba zagwarantować sądom niezawisłość, a działalność Służby Bezpieczeństwa poddać kontroli społecznej. /.../

KSS "KOR" jest grupą ludzi o różnych światopoglądach. Łączy nas wspólna troska o niepodległy byt narodu, dążenie do demokratyzacji i praworządności w kraju, walka z bezprawiem, obrona praw ludzkich i obywatelskich. Zabieramy i będziemy zabierać głos również w sprawach politycznych wówczas, gdy są one podporządkowane wyżej wymienionym dążeniom, nadrzędnym dla "KOR". Nie występujemy przeciw ustrojowi, który opierałby się na sprawiedliwości społecznej i rzeczywistym władaniu poprzez społeczeństwo wielkoprzemysłowymi środkami produkcji.

* "Czas" drukuje obszerny wywiad z działaczami "Solidarności" z Gdańska. L.Wałęsa o znaczeniu strajku 3 października:

Pokazaliśmy innym zakładom i miastom, że coś się robi, że my nie żartujemy, żeby nie było tak: oni się już dogadają, oni już umieklili, pokazaliśmy, że będziemy konsekwentnie realizować to, czego się podjęliśmy. A zarazem pokazaliśmy co stanowią.

A. Gułanda: Wydaje mi się, że ten strajk był bardzo ważny ze względu na członków "Solidarności". Uważam, że nie był to strajk dla władzy, lecz dla społeczeństwa, pokazaliśmy, że nie damy się kupić. Po tym strajku zniknęły wszystkie piosenki i dykteryjki o Wałęsie, ile ma samochodów itd.

L. Wałęsa: To wszystko, co się teraz dzieje to jest uboczny nurt, w który zostaliśmy wciągnięci i nie rozbieramy się z tego wyostad. /.../ Musimy wyjść, ile musimy też utrzymać główny kierunek, założenia związku, program, statuty, ustawy dotyczące założenia związku, to jest nasz cel. /.../ Uchyła się od podjęcia tematu o przewodniej roli partii - są istotniejsze rzeczy, w które należałoby się włączyć. /.../ Wobec pewnym sugestiom nie odwołujemy się do kapitalizmu, uważamy, że zakłady socjalistyczne są dla nas dobre. Taka jest nasza rzeczywistość i chcemy porząd w wprowadzeniu jej, tym bardziej, że znamy metody, jakimi można się obecnie posługiwać. Mówimy na ten temat ostro porozmawiać z premierem Pińskowskim. /.../ Freez poleca mi tym, że KOR nas nauczy tej pracy. Teraz uczniowie przerastają swoich nauczycieli.

Bogdan Borusewicz: Sakołą był Grudzień 1980r. /.../ Wzrost doświadczenie zaprofitowało, zastosowaliśmy zasadę, że nie wolno doprowadzić do totalnej konfrontacji, reguła strajku okupacyjnego, to reguła Włochy związków zawodowych. /.../ Obecnie konieczna jest próba wypracowania koncepcji politycznych. W tej chwili oczekiwania ludzi są większe niż nasza możliwości, tymczasem my chcemy ograniczyć się do roli obrony interesów pracowników. Normalne społeczeństwo organizuje się i woli partii politycznych. Obecnie w Polsce społeczeństwo skłania się w stronę związków zawodowych, a to jest zła. W ten sposób narasta potrzeba sformułowania jakiegoś programu politycznego. Dobrze byłoby przyjąć wyznacznik partii, która by wzięłoby na nas ciężar oczekiwań społecznym, ale czy należy? W obecnych warunkach ważne są związki mają być wszystkim, pełnić rolę związków, współdziałać z innymi, być partią polityczną i militarną, a więc łapać piskaków i ułaniów, czyli młodość; jest to dla nas ogromny problem.

Bogdan Lis: Władza nie chce w ogóle rozmawiać. W parlamencie i w instytucjach. Praktycznie w Krośnie - zniknęli wojewoda, milicja i szeryfy. Ci, którzy zostali, zastępują się brakiem kompetencji, zachowują się jakby w sierpniu byli na urlopowach. Gdy próbowaliśmy podpisać protokół, to komisarz stwierdził, że może się podpisać jedynie pod notatkami. Notatka w postępowaniu ewentualne ustalenia, nigdy protokół.

Bogdan Borusewicz: U nas są ludzie myślący, to jest bardzo ważne, niezależnie od tego, czy się zgadzamy w poglądach, czy nie. Wojewoda Koloziński jest człowiekiem myślącym, a wyobraźnię, może Hłatego, że centrum tego, co się dzieje był właśnie Gdańsk. To, co widzeli, to była dla nich lekcja, ale i salety osobiste również ci ludzie mają /.../. Obaw partii, to my nie rozwijemy, niezależnie od tego, co będziemy mówić. Niezależnie od tego, że będziemy mówili, zawsze będzie rezerwa spowodowana nowością sytuacji. Tym, że to co się w Polsce stało nigdzie jeszcze nie istnieje. Sama nowość naskakuje władze, ale jednocześnie powinna się ona już przywyklić, że po półtora miesiąca takiej sytuacji, która wydawała się bardzo groźna, ani system się nie zawalił, ani my nie wyprowadziliśmy ludzi na ulice. Ja myślę, że należy się zastanowić, co zrobić, aby nie spowodować jakimś nieostrożnym odruchem nowego konfliktu.

GRUDZIEŃ

1 grudnia, poniedziałek

* Rozpoczęło się VII Plenum Komitetu Centralnego PZPR. S. Kania wygłasza referat pt. *Zadania partii w walce o socjalistyczny charakter życia społecznego.*

* W Bydgoszczy rozpoczęła obrady Krajowa Konferencja na temat sprawiedliwego podziału żywności. Wzięły w niej udział delegacje pracowników handlu żywnością i "Solidarności" z 44 województw. Inicjatorem spotkania były: Zakładowy Komitet Założycielski NSZZ "Solidarność" przy WSS "Społem" w Bydgoszczy i regionalny MKZ NSZZ "Solidarność" w tym mieście. Narada odbywała się pod auspicjami Krajowej Komisji Porozumiewawczej "Solidarności".

* Telegram MKZ w Pile: Po dokładnym orientowaniu się w sędziach społeczeństwa województwa pilskiego, MKZ w Pile wystąpił pod adresem władz wojewódzkich z prośbą o przekazanie kompleksu budynków wzniesionych dla KW MC na cele służby zdrowia.

* Incydent: Porwano "Mercedesem" i wywieziono pod Czarnolas Zbigniewa Sycińskiego, członka Prezydium MKZ NSZZ "Solidarność" w Puławach. Syciński został pobity i w ciężkim stanie pozostawiony na śniegu pod lasem.

* Wezwanie MKZ NSZZ "Solidarność" w Gdańsku:

W związku z realizacją pełnometrażowego filmu dokumentalnego pt. "Grudzień", związanego z obchodami X rocznicy wydarzeń grudniowych w Gdańsku i Gdyni, MKZ NSZZ "Solidarność" w Gdańsku zwraca się do wszystkich instytucji i osób prywatnych o udzielenie realizatorom wszelkiej dostepnej pomocy.

Szczególnie gorąco apelujemy o udostępnienie dla potrzeb filmu wszelkich materiałów archiwalnych, mających związek z tragicznymi wydarzeniami sprzed 10 lat: taśm magnetofonowych i filmów, adziej fotograficznych i slajdów, gazet krajowych i zagranicznych z tego okresu, listów prywatnych i korespondencji słuźbowej, aktów zgonów ofiar grudnia itp.

MKZ NSZZ "Solidarność" w Gdańsku apeluje do wszystkich ludzi o solidarne współdziałanie, mające na celu wydobycie i ujawnienie prawdy o Grudniu 1970 - prawdy jak dotąd ukrywanej przez władze.
NIE BĘDZIEMY DEUŻEJ CZEKAĆ !

Jak naprawdę wyglądał Grudzień opowiemy Polakom sami. MKZ NSZZ "Solidarność" w Gdańsku informuje, że po wykorzystaniu nadestanych materiałów i pamiątek Grudnia w filmie, zostaną one przekazane - jeśli ofiarodawcy wyrażą takie życzenie - Muzeum Pamięci Ofiar Grudnia 1970r. w Gdańsku.

* Wg agencji zachodnich, dowództwo wojsk radzieckich w Niemieckiej Republice Demokratycznej zakazało członkom misji wojskowych państw zachodnich wstępu na tereny NRD położone w bezpośrednim sąsiedztwie z Polską.

1 - 2 grudnia, poniedziałek - wtorek

* Dwudniowe obrady Komitetu Centralnego PZPR /VII Plenum/. Z referatu Biura Politycznego pt. *Zadania partii w walce o socjalistyczny charakter życia społecznego: zrobiliśmy wiele, aby wcielić w życie uchwały VI Plenum KC.* Stanisław Kania ujawnił, że ponad 500 osób odeszło z funkcji kierowniczych z powodu niezdolności do sprostanja nowym warunkom i wymaganiom. Inna

sprawa: *Rozumiemy dobrze internacjonalistyczną troskę i niepokój, jaki w bratnich partiach wzbudza sytuacja w Polsce. Biuro Polityczne partii komunistycznej uważa, że nie można usprawiedliwić strajków o charakterze prestiżowym lub wręcz politycznym. To samo odnosi się do wymuszania przy pomocy strajku lub okupacji pomieszczeń i budynków oficjalnych zmian wojewódzkich władz państwowych i politycznych, kierownictw zakładów pracy.*

Niektóre osoby i organizacje "Solidarności" wykraczają poza określony w statucie zakres swej działalności jako związku zawodowego. Stanowi to naruszenie prawa, uszarpowanie sobie atrybutów należnych wyłącznie władzy państwowej, a jak wiadomo w żadnym państwie, i w naszym również, władza nie ma i być nie może. /.../ Sedno tej sprawy polega na tym, że do niektórych ogniw tego, w swej istocie robotniczego ruchu, ruchu ludzi pracy wcieleno się i wnoszą negatywne inspiracje grupy i osoby powiązane z ośrodkami imperialistycznej dywersji na granicy, mając wrogie socjalizmowi i władzy ludowej cele.

W związku z podnoszonym w partii problemem odpowiedzialności za błędne decyzje, które leżą u podstaw naszej trudnej sytuacji: *Przy rozstrzyganiu problemów odpowiedzialności, trzeba odróżnić odpowiedzialność polityczną, związaną z podejmowaniem błędnych decyzji i naruszeniem zasad życia wewnątrzpartyjnego od odpowiedzialności prawnej. Konsekwencje odpowiedzialności politycznej mogą być wyłącznie polityczne. W najpoważniejszych przypadkach powinno to doprowadzić do wydalenia z partii i pozbawienia wszystkich funkcji publicznych.*

W trakcie obrad I sekretarz KC odczytał list Edwarda Gierka do Komitetu Centralnego PZPR. Były przywódca partii pisał m.in.: *Wiem, że wielu towarzyszy oczekuje moich wyjaśnień oraz wniosków wynikających z oceny zaistniałych faktów. Dokonam tego szczegółowo w przyszłości po uzupełnieniu niezbędnych do tego celu informacji. Tak jak całej partii, tak i mnie chodzi o możliwie obiektywne wyjaśnienie wszystkich zjawisk politycznych, społecznych, gospodarczych i innych, które występowały w życiu naszego Narodu i Partii w całej mijającej dekadzie. Głęboka analiza tych zjawisk wymaga także pewnego dystansu czasowego. Myślę, że dopiero wtedy uda się dokładniej niż w chwili obecnej ustalić przybliżony liczący prób podważania i wręcz negacji niewątpliwego, mimo wszystko, dorobku minionego 10-lecia.*

Komitet Centralny odwołał jednak Edwarda Gierka ze swojego składu, oskarżając go o samowolę w polityce ekonomicznej i społecznej, ignorowanie praw ekonomicznych i odrzucanie opinii krytycznych, stwarzanie sprzecznego z zasadami partii układu stosunków i metod działania w kierownictwie partii /to najważniejszy "błąd"/. Sprzyjał "intrygantwu", zastępowaniu demokracji "rzeczywistej" - "pozorną". Absorbował KC, Biuro Polityczne KC, Sekretariat KC sprawami drugorzędowymi, zasadnicze zaś rozstrzygano poza nimi. Wreszcie popełnił "poważne błędy" w polityce kadrowej na szczeblu centralnym.

Błędy b. premiera Piotra Jaroszewicza: zbyt kosztowna i wewnętrznie niespójna polityka inwestycyjna, zadłużenie zagraniczne, projekt zmiany cen z 1976r., apodyktyczny i autokratyczny styl kierowania, ignorowanie opinii partyjnej i innych. CKKP ma się zająć kwestią jego dalszej przynależności do PZPR. KC usunął również ze swego składu Adama Glazura i Włodzimierza Lejczaka. Władysława Kruczka, Alojzego Karkoszkę, Stanisława Kowalczyka i Andrzeja Werblana usunięto z Biura Politycznego; powołano do jego składu natomiast Mieczysław Moczara, Tadeusza Grabskiego, Tadeusza Fiszbacha /na zastępcę członka BP/. Nowym sekretarzem KC został Roman Ney.

KC wydał odezwę do społeczeństwa, w dramatycznych słowach oceniającą sytuację w Polsce i wzywającą do przeciwdziałania strajkom, rozprężeniu, niskiej wydajności pracy, eskalacji niepokoju.

Stanisław Kania w kończącym obrady przemówieniu zaatakował imien-

nie KPN i KOR; pierwsza organizacja zamierza obalić siłą socjalizm, druga podobnie, bo wyciągając wnioski z wypowiedzi jednego z jej przywódców, chce przekształcić nowe związki *w pociąg pędzący ku zderzeniu*. Ludzie, którzy próbują godzić w podstawowe zasady ustrojowe socjalizmu *powinni czuć się w Polsce źle*. Mówił Lenin, że ta tylko rewolucja jest coś warta, która potrafi się sama obronić.

2 grudnia, wtorek

* W kopalni "Wujek" przerwano akcję strajkową. Rozpoczęły się negocjacje przybyłej komisji resortu górnictwa z min. M. Głanowskim i przedstawicielami MKZ Bytom, MKZ Wałbrzych i MKR Jastrzębie. Podpisano porozumienie dotyczące sposobu realizacji podwyżek płacowych dla pracowników dołowych. Omawiano także inne postulaty płacowe i socjalne.

* W Gdańsku trwają prace przed historyczną bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej przy montażu trzech stalowych krzyży pomnika poległych w 1970r. Jednocześnie trwają prace obok - przy murze otaczającym stocznice, gdzie w ubiegłych latach "nielegalnie" składano kwiaty - przy pamiątkowej tablicy. Obok stocznicy wmontowują kolejne litery składające się w wiersz biblijny *Pan da się swemu ludowi. Pan da swojemu ludowi błogostawieństwo pokoju*.

3 grudnia, środa

* Rada wojskowa MON wyraziła zaniepokojenie zagrożeniem ładu społecznego i funkcjonowaniu państwa. Dalsze utrzymywanie się dotychczasowej sytuacji spowodować może skutki dla obronności kraju wysoce negatywne.

* W Gdańsku rozpoczęły się zdjęcia do filmu "Grudzień". Producentem jest MKZ Gdańsk, wykonawcą - Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi. Pełnometrażowy film dokumentalny, związany z obchodami 10 rocznicy wydarzeń grudniowych w Gdańsku i Gdyni, ukończony ma być ostatecznie pod koniec marca 1981r.

* Prezydium MKZ NSZZ "Solidarność" w Gdańsku zaapelowało do wszystkich mieszkańców Trójmiasta, aby w dniach 16 - 18 grudnia br. zachowali powagę i wstrzymali się od udziału we wszelkich imprezach rozrywkowych.

* Agencje prasowe całego świata przekazują oświadczenie prezydenta Stanów Zjednoczonych Jimmy'ego Cartera:

Stany Zjednoczone obserwują z rosnącym zaniepokojeniem bezprecedensowe gromadzenie sił radzieckich wzdłuż polskiej granicy oraz zamknięcie niektórych regionów przygranicznych. USA odnotowały również radzieckie aluzje do rzekomych sił "antysocjalistycznych" w Polsce.

Wiemy z powszechnej historii, że takie stwierdzenia czasami poprzedzały interwencję wojskową. Stany Zjednoczone wierzą, że polski naród i władze powinny mieć swobodę rozwiązywania własnych trudności wewnętrznych bez ingerencji z zewnątrz. USA, podobnie jak niektóre rządy zachodnie, a także Związek Radziecki zobowiązały się do pomocy gospodarczej dla Polski w celu łagodzenia wewnętrznych polskich trudności. Stany Zjednoczone nie są zainteresowane w wykorzystywaniu w jakikolwiek sposób polskich trudności dla własnych celów politycznych. Obca interwencja wojskowa w Polsce miałaby najbardziej negatywne konsekwencje dla stosunków Wschód-Zachód w ogóle i dla stosunków amerykańsko-radzieckich w szczególności.

Karta Narodów Zjednoczonych ustala prawo wszystkich państw zarówno dużych, jak i małych do istnienia bez obcej ingerencji, niezależnie od ideologii, sojuszy, czy położenia geograficznego.

4 grudnia, czwartek

* W kopalniach i zakładach górniczych całego kraju odbyły się uroczystości barbońkowe, w tym wiele o charakterze religijnym. Czytano list papieża Jana Pawła II z błogosławieństwem i pozdrowieniami dla górników. W uroczystościach na Górnym Śląsku wziął udział przewodniczący KKP, Lech Wałęsa.

* Rzecznik Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ "Solidarność", Karol Modzelewski, wydał oświadczenie, w którym wyjaśnia: *w związku z licznymi zapytaniami o sytuację w kraju, napływającymi do władz naszego Związku od osób zaniepokojonych treścią naszych honorowanych pism /choć i o alarmistyczne oświadczenie na VII Plenium Partii/ stwierdzam, że nie ma obecnie w Polsce żadnych strajków lub akcji protestacyjnych. Pod tym względem nie ma obecnie podstaw do niepokoju. Stanowisko NSZZ "Solidarność" wobec sytuacji w kraju wskazuje na całkowitą bezpodstawność oskarżeń Związku o sianie anarchii w kraju.*

* Nieznani sprawcy włamali się do lokalu zajmowanego przez MKZ NSZZ "Solidarność" we Wrocławiu. Ukradziono ok 150 tys. zł /z tego część w dewizach/, dokumenty, rozliczenia kasowe. Komenda Wojewódzka MO, która podjęła śledztwo, zażądała od wszystkich pracowników MKZ i członków Prezydium odcisków palców. Ci zaś odmówili, tłumacząc się, że nie przedstawiono im zarzutu o włamanie.

* W Bydgoszczy zakończyła się I sesja ogólnopolskiej Konferencji d/s Sprawiedliwego Podziału Żywności przygotowującej m.in. stanowisko Krajowej Komisji Porozumiewawczej "Solidarność" w sprawie rządowego projektu reglamentacji mięsa i jego przetworów. Stwierdzono konieczność wprowadzenia od 1 stycznia kartkowej sprzedaży zaznaczając jednocześnie, że jej projekt urzędowy posiada szereg braków. Uznano za konieczne wyłączenie z reglamentacji drobiu i jego przetworów, konserw warzywno-mięsnych. Odrzucono system ilościowy na rzecz ilościowo-asortymentowego. System reglamentacji powinien uwzględniać choćby minimalne normy dla reprodukcji sił życiowych organizmu ludzkiego.

* Z wypowiedzi J.Klasy, kierownika Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC partii na konferencji prasowej dla korespondentów zagranicznej prasy komunistycznej:

Chciałbym tu powiedzieć z całą otwartością, że mamy spore kłopoty głównie w radiu i telewizji. Personel techniczny radia i telewizji jest całkowicie przynależny do "Solidarność". W niektórych ośrodkach w 100%. Oni nie mają wpływu na program, ale mają wpływ czasem na nieprzyjemny klimat. Również mamy podobną sytuację w drukarniach. Mamy przypadki, kiedy drukarze mówią, że my tego nie będziemy drukować. Jeszcze nam się nie zdarzyło aby stało na ich, ale w takiej walce i tego się należy spodziewać /.../ jasno strawiamy sprawę, że "Solidarność" w prasie, radiu i telewizji nie może mieć żadnego wpływu, ingerować nie może w program ani w obsadę personalną. Jest to rola partii i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a nie "Solidarność". Oczywiście, rozmowy są, tendencje są itd. /.../

Bo trzeba powiedzieć, że siły korwskie głównie, ale nie tylko ... Młoda Polska ... siły również związane z Konfederacją Polski Niepodległej wykorzystując trudną sytuację oraz niedostateczną ofensywę partii, rozwinęły szeroko antysocjalistyczną działalność. I to plenum bardzo mocno odnotowało. I jak gdyby ostrzegło członków partii w tym powiedzeniu towarzysza Kani: "mówimy to dla otrzeźwienia".

racji Polski Niepodległej w tym mieście. W sierpniu 1980r. T.Jandzi-
szak czynnie wspomagał strajk solidarnościowy, informuje "Biuletyn
Dolnośląski".

* Po projekcji filmu "Robotnicy 80" w gdańskim kinie "Leningrad"
reżyser powiedział: *Proszę państwa, to nie była żadna premiera. Trudno bowiem
nazwać premierą przedstawienie filmu, jeśli wydano zakaz dalszego jego rozpowszech-
niania w kraju. To, w czym państwo bierzecie teraz udział trzeba niestety nazwać
nie premierą, ale pożegnaniem z filmem.*

* W Gdańsku uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod pomnik
przy Stoczni Gdańskiej. Wielotysięczne zrzesze uczestników. Z całego
kraju przybyły delegacje "Solidarności". Udział wzięli przedstawiciele
władz państwowych oraz biskup gdański. Po uroczystości nastąpiło
przeniesienie drewnianego krzyża z okresu strajku sierpniowego do
kościółka św. Brygidy.

* Tytuł z "Trybuny Ludu": *Nawielnieni euforią władzy - krytyka bydgos-
kiej "Solidarności", szczególnie Jana Rulewskiego.*

* Paolo Buffalini, członek kierownictwa Włoskiej Partii Komunistycznej
/z oświadczenia zamieszczonego w "Unicie"/: *W związku z wiadomościami
i hipotezami dotyczącymi krajoznawstwa warszawskiego w kwestii aktualnych spraw
Polski, potwierdzamy raz jeszcze, że interwencje w Polsce uważalibyśmy za fakt naj-
poważniejszy, absolutnie niemożliwy do przyjęcia dla nas. Polakielamy stanowisko
Kani, co do "odnowy bez anarchii", ale o każdym przyjęciu strzymamy, że walka
o rozwiązanie polskiego kryzysu jest sprawą polską. Klasy robotniczej, ludu pol-
skiego i polskiej partii komunistycznej.*

7 grudnia, niedziela

* Zakończyły się w Warszawie dwudniowe obrady przedstawicieli Klub-
bów Inteligencji Katolickiej z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Poznania,
Torunia, Gdańska, Szczecina, Katowic, Olsztyna, Elbląga, Tarnowa,
Częstochowy, Nowego Sącza oraz redakcji "Tygodnika Powszechnego", mie-
sięcznika "Znak", "Więź" i wydawnictwa "Znak". Omawiano ogólną sytu-
ację w kraju i zagrożenia jakie z niej wynikają, zadania laikatatu ka-
tolickiego, stan organizacyjny powstałych w ostatnim czasie klubów.
Z przyjętego na koniec wspólnego oświadczenia: *Działania skierowane ku
odnowie urzeczywistniamy w ramach politycznych wspólnotach Polski. Ramy te okreś-
la ustroj socjalistyczny, Konstytucja i system polskich sojuszy międzynarodowych.
Wierzmy, że ramy te okażą się dość prężne, by nie sprzeciwić się odrodzeniu
demokratycznej podmiotowości naszego społeczeństwa. /"Tygodnik Powszechny"
nr 50/.*

* Krajowa Komisja Porozumiewawcza Pracowników Filmu NSZZ "Solidar-
ność" / z oświadczenia protestującego przeciw podjęciu arbitralnej
decyzji o wstrzymaniu rozpowszechniania na terenie całego kraju fil-
mu "Robotnicy 80"/: *Tygodniowe pertraktacje z kierownictwem Ministerstwa Kul-
tury i Sztuki oraz liczne propozycje rozwiązań kompromisowych przedstawione przez
Krajową Komisję Pracowników Filmu nie zostały uwzględnione. W tej sytuacji zmusze-
ni jesteśmy traktować decyzje władz w kategoriach prowokacji politycznej. /"Biule-
tyn Informacyjny" KZ NSZZ Stoczni Gdańskiej nr 21/.*

* "Tygodnik Powszechny" przedstawia żądania instruktorów harcerstwa
w Kręgach im. A.Małkowskiego z hufców Kraków-Krowodrze i Kraków-Śródmie-
ście. Związek Harcerstwa Polskiego powinien się usamodzielnic -
wystąpić z Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej.
Należy przeprowadzić demokratyczne wybory do władz ZHP. Zrezygnować

z obowiązkowego zorganizowania młodzieży w szkołach. Nie można narzucać młodzieży światopoglądu - każdy instruktor ZHP ma być przykładem postępowania zgodnego z Prawem i Przyrzeczeniem Harcerskim. Przeanalizujemy całą oficjalną metodykę pracy z uwzględnieniem 70-letniej tradycji Związku i potrzeb rozwojowych młodzieży.

* Z wywiadu Stanisława Kociołka dla "Czasu" /nr 49/: *Mój powrót do działalności politycznej wynika raz jeszcze w moim życiu - z poczucia obowiązku partyjnego. Zwrócono się do mnie o zgodę na przyjęcie funkcji Sekretarza Komitetu Warszawskiego PZPR w sytuacji niełatwej dla partii, tej partii, z którą byłem, jestem i zawsze będę związany. Uważałem, że nie mam prawa uchylić się od tego obowiązku. Wykluczam - mając za sobą rozmowę z tow. S. Kanią - jakąkolwiek intencję prowokacji.*

* Wszystkie zachodnie agencje prasowe podają oświadczenie Białego Domu dotyczące sytuacji Polski:

Przygotowania do ewentualnej interwencji radzieckiej w Polsce zostały zakończone. Mamy nadzieję, że do takiej sytuacji nie dojdzie. Rząd USA ponawia swoje oświadczenie z dnia 3 XII nt. bardzo negatywnych konsekwencji, jakie miałyby wojskowa interwencja radziecka w Polsce dla stosunków amerykańsko-radzieckich.

* Chińska Republika Ludowa ostrzegła Związek Radziecki przed jakąkolwiek interwencją zbrojną w Polsce i "poważnymi konsekwencjami", jakie spowodowałyby taka "hegemonistyczna" akcja. Polska jest państwem suwerennym. Niezależnie od tego, co wydarzy się w tym kraju, jest to jego wewnętrzna sprawa i powinna być rozwiązana przez sam naród Polski: *ZSRR nie jest upoważniony do odgrywania roli międzynarodowego żandarma.*

opracował G.G.

Isaiah Berlin

DWA POJĘCIA WOLNOŚCI

I

Zadawać człowiekowi przymus to pozbawiać go niezależności - niezależności od czego? Niemal wszyscy moralisci w dziejach ludzkości sławili wolność. Jak szczęście i dobro, natura i rzeczywistość, termin ten ma znaczenie tak rozciągliwe, iż wydaje się, że niewiele jest interpretacji, którym by się nie poddał. Nie proponuję dyskutować ani historii, ani też owych z górą dwustu znaczeń tego proteuszowego słowa, które odnotowali historycy myśli. Proponuję rozważyć nie więcej niż dwa spośród tych znaczeń - ale te główne, które odegrały dużą rolę w dotychczasowych dziejach ludzkości i - jak sądzę - odegrają w przyszłych. Pierwsze z owych politycznych znaczeń niezależności lub wolności (używać będę obu tych słów na oznaczenie tego samego), które (idąc w ślady licznych precedensów) znać będę znaczeniem "negatywnym", związane jest z odpowiedzią na pytanie: "Czym jest obszar, wewnątrz którego jest albo powinien być pozostawiony podmiot - osoba lub grupa osób - by robił to lub był tym, do robienia czego lub bycia czym jest zdolny, bez ingerencji innych osób?" Drugie znaczenie, które znać będę "pozytywnym", związane jest z odpowiedzią na pytanie: "Co lub kto stanowi źródło kontroli czy ingerencji, która może skłonić kogoś, by zrobił raczej jedną rzecz, a nie inną, by był raczej jednym, a nie drugim?" Te dwa pytania są w oczywisty sposób różne, nawet jeśli odpowiedzi na nie mogą na siebie zachodzić.

POJĘCIE WOLNOŚCI "NEGATYWNEJ"

Zazwyczaj powiada się, że wolny jestem w takim stopniu, do jakiego żadna istota ludzka nie ingeruje w moje działanie. W tym sensie wolność polityczna jest po prostu obszarem, wewnątrz którego człowiek może działać bez przeszkód ze strony innych. Jeśli jestem powstrzymywany przez inne osoby od czynienia tego, co w przeciwnym razie zrobić mógłbym, to do tego stopnia jestem niewolny; a jeśli obszar ten zawężany jest przez inne osoby poniżej pewnego minimum, można powiedzieć o mnie, że jestem poddany przymusowi albo, i to być może, że jestem zniewolony. Jednakże przymus nie jest terminem obejmującym wszelkie formy niemożności. Jeśli mówię, że nie mogę skoczyć wyżej niż 10 stóp, albo że nie mo-

gę czytać, bo jestem ślepy, albo że nie mogę zrozumieć co ciemniejszych stronic z Hegla, to dziwne byłoby powiedzieć, że do tego stopnia jestem zniewolony lub poddany przymusowi. Przymus zakłada rozmyślną ingerencję ze strony innych istot ludzkich w obszar, w którym w przeciwnym wypadku mógłbym działać. Politycznej wolności lub niezależności brak ci tylko wtedy, gdy w osiągnięciu celu przeszkadzają istoty ludzkie /1/. Zwyczajna niezdolność do osiągnięcia celu nie jest brakiem wolności politycznej /2/. Sąd odwrotny utarł się poprzez używanie takich współczesnych wyrażań jak "wolność ekonomiczna" i jej przeciwieństwo - "ekonomiczne niewolnictwo". Dowodzi się, w sposób pozornie uzasadniony, że jeśli człowiek jest zbyt biedny, by pozwolić sobie na coś, co nie podlega zakazowi prawnemu - na kromkę chleba, na podróż dookoła świata, na odwołanie się do sądów - to jego wolność w posiadaniu tego jest równie mała, jak byłaby wtedy, gdy zabraniałoby mu tego prawo. Gdyby moja nędza była rodzajem choroby, która przeszkadzałaby mi w kupowaniu chleba albo w opłaceniu podróży dookoła świata czy też w spowłokowaniu, by wysłuchana została moja sprawa, tak, jak kulawość przeszkadza mi w bieganiu, to niemożność owa nie byłaby naturalnie określana jako brak wolności, a zwłaszcza wolności politycznej. Tylko dlatego, że wierzę, iż moja niemożność osiągnięcia pewnych rzeczy wynika z faktu stworzenia przez innych ludzi porządku, w ramach którego mnie - ale nie innym - przeszkadza się w posiadaniu dostatecznej ilości pieniędzy, by za te rzeczy płacić, myślę o sobie jako o ofierze przymusu i niewolnictwa. Innymi słowy: używanie tego terminu zależy od szczególnej teorii społecznej i ekonomicznej na temat przyczyn mojej nędzy lub słabości. Jeśli mój niedostatek środków materialnych wynika z tego, że brak mi zdolności umysłowych lub fizycznych, to mówić o tym, że pozbawiono mnie wolności (a nie o nędzy po prostu) zaczęło tylko wtedy, gdy zaakceptuję tę teorię /3/. Jeśli, na dodatek, wierzę, że trwam w niedostatku na skutek specyficznego porządku, który uważam za niesprawiedliwy lub nieuczciwy, mówię o ekonomicznym niewolnictwie czy ucisku. *Natura rzeczy nie wpędza nas w szaleństwo, sprawia to tylko zła wola* - powiedział Rousseau. Kryterium ucisku jest pochodną tego, że wierzę, iż jestem popychany przez innych ludzi, bezpośrednio lub pośrednio, celowo albo i nie, w daremnienu moich pragnień. W tym sensie przez bycie wolnym rozumiem brak ingerencji ze strony innych. Im szerszy obszar nieingerencji, tym szersza moja wolność.

To mieli na myśli klasycy angielscy filozofowie polityczni, gdy używali tego słowa /4/. Spierali się o to, jak szeroki mógłby być lub powinien być ten obszar. Przypuszczali, że nie mógłby, w ówczesnym stanie rzeczy, być nieograniczony, ponieważ pociągałoby to za sobą stan, w którym wszyscy ludzie nieograniczenie by sobie nawzajem przeszkadzali; a ten rodzaj "naturalnej" wolności prowadziłby do społecznego chaosu, w którym nie byłoby zaspokojone nawet minimalne potrzeby ludzi; albo też wolności słabych byłoby zdławione przez silnych. Ponieważ uświadamiali sobie, że ludzkie cele i działania nie harmonizują ze sobą w sposób automatyczny i ponieważ (bez względu na ich oficjalne doktryny) duże znaczenie przypisywali innym celom, takim jak sprawiedliwość, szczęście, kultura, bezpieczeństwo, czy też różnorakie stopnie równości, gotowi byli uszczuplić wolność w interesie innych wartości i, prawdę powiedziawszy, wolności samej. Albowiem bez tego niemożliwe byłoby stworzenie takiego rodzaju społeczności, jaką uważali za pożądaną. W konsekwencji myśliciele ci przyjęli, że obszar nie-

zależnych działań ludzi musi być ograniczony przez prawo. Jednocześnie jednak przyjęto (dotyczy to szczególnie takich wyznawców wolnej woli jak Locke i Mill w Anglii, a Constant i Tocqueville we Francji), że powinien istnieć pewien minimalny obszar wolności osobistej, którego pod żadnym pozorem naruszać nie wolno; albowiem gdy granice jego zostaną przekroczone, jednostka znajdzie się na obszarze zbyt wąskim nawet na ten minimalny rozwój jej zdolności, bez którego niemożliwe jest podążanie ku różnorodnym celom - a nawet zrozumienie tych celów - które człowiek uznaje za dobre, słuszne, lub święte. Wynika z tego, że konieczne jest nakreślenie granicy między obszarami prywatnego życia i publicznej władzy. Którejś ta granica ma przebiegać jest sprawą sporną, a prawdę powiedziawszy - przedmiotem targów. W dużym stopniu ludzie są wzajemnie od siebie uzależnieni, a żadna działalność nie jest tak całkiem prywatna, ba nigdy w jakiś sposób nie zawadzała o życie innych. "Wolność dla szczupaka to śmierć dla płotek"; wolność jednych musi zależeć od ubezwłasnowolnienia innych /5/. Pomimo to trzeba znaleźć możliwy w praktyce kompromis.

Filozofowie reprezentujący optymistyczny pogląd na naturę ludzką i wiarę w możliwość zharmonizowania ludzkich interesów, tacy jak Locke czy Adam Smith, a także, w pewnym sensie Mill, wierzyli, że harmonia społeczna i postęp są do pogodzenia z nienaruszalnością rozległego obszaru życia prywatnego, na który nie będzie wolno wkraczać ani państwu, ani żadnej innej władzy; Hobbes i ci, co się z nim zgadzali, zwłaszcza myśliciele konserwatywni i reakcyjni, dowodzili, że jeśli ludzie mają być powstrzymani od niszczenia się nawzajem i od przemienienia życia społecznego w dżunglę albo pustynię, to konieczne jest ustanowienie mocniejszych gwarancji utrzymania ich w ryzach i domagali się odpowiedniego powiększenia obszaru poddanego kontroli centralnej, a pomniejszenie przynależnego jednostce. Ale obie strony zgadzały się co do tego, że pewien wymiar ludzkiej egzystencji musi pozostać niezależny od sfery kontroli społecznej. Wtargnąć do tego rezerwatu, jakkolwiek mały by on nie był, oznaczałoby despotyzm. Najbardziej elokwentny ze wszystkich obrońców wolności i prywatności, Benjamin Constant, który nie zapomniał dyktatury jakobinów, głosił, że co najmniej wolność religii, opinii, słowa, własności, musi być zagwarantowana by uchronić przed samowolnym zamachem. Jefferson, Purke, Paine, Mill zestawili odmienne katalogi indywidualnych wolności, ale teza o utrzymywaniu władzy w ryzach w istocie zawsze była ta sama. Musimy chronić minimalny obszar wolności osobistej, jeśli nie mamy "ulec zwyrodnieniu albo wyrzec się naszej natury". Nie możemy być absolutnie wolni i musimy oddawać część naszej wolności, aby zachować resztę. Ale całkowite wyrzeczenie się jej jest samobójcze. Jakie więc ostatecznie musi być to minimum? Takie, z jakiego człowiek nie może zrezygnować, jeśli nie chce wykroczyć przeciwko istocie swej ludzkiej natury. Czym jest ta istota? Spełnienia jakich kryteriów wymaga? To było, i prawdopodobnie zawsze będzie, przedmiotem niekończącej się debaty. Ale jakkolwiek nie byłaby zasada, w oparciu o którą wytyczony ma być obszar nieingerencji - czy będzie to prawo natury lub naturalne prawa, czy użyteczność lub wyraz kategorycznego imperatywu, czy usankcjonowanie umowy społecznej lub jakiegokolwiek inne pojęcie, poprzez które ludzie usiłowali wyjaśniać i uzasadniać swoje przekonania - wolność w tym sensie oznacza wolność o d; niedopuszczalności ingerencji poza przesuwającą się, ale zawsze możliwą do rozpoznania granicą. *Jedyna wolność, która zasługuje na tę nazwę, to ta, która polega na dążeniu do naszego własnego dobra na nasz własny sposób - powiedział jej najbardziej szanowany bojownik. Jeśli tak, to czy*

kiedykolwiek uzasadniony jest przymus? Mill nie miał co do tego wątpliwości. Skoro sprawiedliwość wymaga, aby wszystkie jednostki miały prawo do minimum wolności, wszystkie inne jednostki wymagają powstrzymania, w razie konieczności siłą, od pozbawienia jej kogokolwiek. Prawde powiedziaławszy całą funkcją prawa było zapobieganie takim właśnie kolizjom: państwo zostało zredukowane do tego, co Lassalle lekceważąco określili jako nocnego stróża czy policjanta drogowego. Czym było to, co ochrone indywidualnej wolności czyniło dla Milla taką świętością? W swoim słynnym eseju głosi, że jeśli ludziom nie pozwoli się żyć tak, jak tego pragną na drodze, która jest jedyną wchodzącą dla nich w rachubę, to cywilizacja nie będzie mogła się rozwijać; prawda, na skutek braku wolnego rynku idei, nie objawi się; zabraknie pola dla spontaniczności, oryginalności, geniuszu, dla intelektualnej energii, dla odwagi moralnej. Społeczeństwo załame się pod ciężarem "kolektywnej miernoty". Wszystko, co bogate i różnorodne przygniecione zostanie ciężarem przyzwyczajenia, odwieczną ludzką skłonnością do konformizmu, który rodzi jedynie "mizerne możliwości", "nędzne i ograniczone", "odrętwiałe i wypaczone" istoty ludzkie. *Pogańskie samolubstwo tyleż jest warte, co chrześcijańskie samozaparcie. (...) Wszelkie błędy, jakie skłonny jest popełnić człowiek na przekór radom i ostrzeżeniom, są daleko mniejsze od zła, jakim jest zezwolenie innym na to, by zmusili go do tego, co oni uważają za dobre.* Obrona wolności polega na "negatywnym" celu, jakim jest wystrzeżenie się ingerencji. Zastraszać człowieka prześladowaniami póki nie podporządkuje się życiu, w którym nie będzie mu dany wybór własnych celów; zamykać przed nim wszystkie drzwi poza jednymi - bez względu na to, jak wspaniałe są perspektywy, ku którym wiodą, albo jak szlachetne są motywy tego, kto to czyni - to grzeszyć przeciwko prawdzie, że jest on człowiekiem, istotą mającą swe własne życie do przeżycia. Oto jest wolność pojęta tak, jak u liberałów nowożytnego świata od czasów Erazma (inni powiedzą od Ockhama) po dzień dzisiejszy. Każda obrona wolności obywatelskich i praw jednostki, każdy protest przeciwko wyżyskowi i uciskowi, nadużyciom władzy publicznej, czy też masowej hipnozie obyczaju lub zorganizowanej propagandy, ma źródło w tej indywidualistycznej - i szeroko dyskutowanej - koncepcji człowieka.

Odnotowania wymagają trzy fakty dotyczące tego twierdzenia. Po pierwsze Mill połączył ze sobą dwa odrębne pojęcia. Pierwsze głosi, że wszelki przymus, jako unicestwiający ludzkie pragnienia, jest zły jako taki, chociaż może być stosowany po to, by zapobiec innemu, większemu złu. Tymczasem nieingerencja, która jest przeciwieństwem przymusu, jest dobra jako taka, chociaż nie jest dobrem jedynym. Oto "negatywne" pojęcie wolności w jego postaci klasycznej. Drugie głosi, że ludzie powinni dążyć ku odkryciu prawdy, czy też ku rozwinięciu pewnego typu charakteru, który Mill pochwała - nieulekłego, oryginalnego, obdarzonego wyobraźnią, niepodległego, nonkonformistycznego aż po granice ekscentryczności etc. - i że owa prawda może być znaleziona, a taki charakter ukształtowany tylko w warunkach wolności. Oba te poglądy są liberalne, ale nie są identyczne i pokrewieństwo między nimi zasadza się - w najlepszym razie - na empirii. Nikt nie będzie twierdził, że prawda lub swoboda autoekspresji mogą rozkwitnąć tam, gdzie dogmat zabija wszelką myśl. Ale świadectwa historyczne zdają się wskazywać (jak tego dowodził James Stephen w swym potężnym ataku przeciwko Millowi zawartym w pracy *Liberty, Equality, Fraternity*, że uczciwość, umiłowanie prawdy i płomienny indywidualizm rozwijają się co najmniej tak samo często w społecznościach surowo zdyscyplinowanych - na przykład wśród purytańskich kalwinów Szkocji i Nowej

Anglii albo w warunkach dyscypliny wojskowej - jak w społeczeństwach bardziej tolerancyjnych, czy naturalnych; a jeśli się z tym zgodzić, to argument Milla o wolności jako koniecznym warunku rozwoju ludzkiego geniuszu całkowicie upada. Gdyby dwa cele Milla okazały się nie do pogodzenia, przyszedłoby mu stanąć w obliczu okrutnego dylematu, pomijając całkowicie dalsze trudności wynikające z niezgodności jego doktryn z surowym utilitaryzmem, nawet tym w jego własnej, zhumanizowanej wersji /6/.

Po drugie - doktryna jest stosunkowo nowa. Wydaje się rzeczą wątpliwą, aby w świecie antycznym miała miejsce jakokolwiek dyskusja o wolności indywidualnej jako uświadamianym ideale politycznym (w przeciwieństwie do jego faktycznego istnienia). Już Condorcet zauważył, że pojęcie praw jednostki jest nieobecne wśród pojęć prawnych Rzymian i Greków. Wydaje się to również oddnosić do żydowskiej, chińskiej i wszystkich innych cywilizacji starożytnych, jakie dotąd odkryto /7/. Dominacja tego ideału jest raczej wyjątkiem niż regułą - nawet w najnowszej historii Zachodu. Ani też tak pojmowana wolność nie stawała się zbyt często hasłem poruszającym wielkie masy ludzkie. Pragnienie poszanowania, bycia pozostawionym samemu sobie, jest znakiem rozwiniętej cywilizacji zarówno w aspekcie jednostek, jak i społeczności. Samo zrozumienie prywatności, obszaru stosunków osobistych jako czegoś nienaruszalnego w ramach własnego prawa, wywodzi się z pojęcia wolności, które - mimo wszystkich swoich korzeni religijnych - nie jest chyba starsze, w swej rozwiniętej postaci, niż renesans czy reformacja /8/. Utrata tego zrozumienia oznaczałaby śmierć cywilizacji, ogółu poglądów moralnych.

Trzecia cecha charakterystyczna tego pojęcia wolności ma znaczenie poważniejsze. Chodzi o to, że wolność w tym znaczeniu nie jest sprzeczna z pewnymi rodzajami autokracji, a w każdym razie z brakiem samorządności. Wolność w tym znaczeniu dotyczy zasadniczo obszaru kontroli, a nie jej źródła. W rzeczy samej, tak jak demokracja może pozbawić indywidualnego obywatela bardzo wielu wolności, które mógłby mieć w jakiejś innej formie społeczeństwa, tak i najzupełniej możliwe jest, że liberalnie nastawiony despota pozwoliłby swoim poddanym na duży zakres wolności osobistej. Despota, który pozostawia swoim poddanym szeroki zakres wolności, może być niesprawiedliwy, może popierać najskrajniejsze nierówności, nie dbać o ład, o cnotę czy o wiedzę, ale o ile nie tłumi ich wolności, albo przynajmniej tłumi ją w stopniu mniejszym niż inne reżimy, to wychodzi naprzeciw millowskiemu określeniu /9/. Wolność w tym sensie nie jest, w każdym razie logicznie, związana z demokracją czy samorządem. Na ogół samorządność może dawać lepsze gwarancje ochrony wolności obywatelskich niż inne reżimy i jako taka znajdowała obronę u wyznawców wolnej woli. Ale pomiędzy indywidualną wolnością i rządem demokratycznym nie ma związku o charakterze koniecznym. Odpowiedź na pytanie "Kto mną rządzi?" jest logicznie odmienna od pytania "Jak dalece rząd ingeruje w moje sprawy?". Ostatecznie to właśnie w tej różnicy zawiera się wielki kontrast pomiędzy pojęciami wolności negatywnej i pozytywnej /10/. Albowiem "pozytywny" sens wolności wychodzi na jaw nie wtedy, gdy usiłujemy odpowiedzieć na pytanie "Co wolno mi robić lub kim wolno mi być?", lecz wtedy, gdy pytamy "Kto mną rządzi?" albo "Kto ma prawo określić, kim jestem, a kim nie jestem, kim mam być i co robić?". Związek pomiędzy demokracją a indywidualną wolnością jest o wiele słabszy, niż to się wydawało orędownikom ich obu. Pragnienie, aby być rządzonym przez siebie samego albo przynajmniej uczestniczyć w procesie, poprzez który kontrolowane ma być moje życie, może być równie głębokie jak

życzenie sobie obszaru niezależnego działania, historycznie zaś jest starsze. Ale nie jest to pragnienie tej samej rzeczy. Jest do tego stopnia odmienne, że - prawdę powiedziawszy - to ono doprowadziło do wielkiego starcia dominujących w naszym świecie ideologii. Albowiem ono właśnie - "pozytywne" pojęcie wolności: nie wolność od, ale wolność do - jest czymś, co zwolennicy pojęcia "negatywnego" przedstawiają jako nie będące, niekiedy, niczym lepszym od zwodniczego przebrania brutalnej tyranii.

II POJĘCIE WOLNOŚCI "POZYTYWNEJ"

"Pozytywny" sens słowa wolność wywodzi się z pragnienia jednostki, aby być swoim własnym panem. Pragnę, by moje życie i decyzje zależały ode mnie, a nie od zewnętrznych sił jakiegokolwiek rodzaju. Pragnę być narzędziem we własnych rękach, a nie uzależnionym od woli innych. Pragnę być podmiotem, a nie przedmiotem; chcę, by powodowały mną własne racje, moje własne dążenia, a nie sprawy narzucone mi z zewnątrz. Pragnę być kimś, a nie nikim; człowiekiem czynu - decydującym, a nie będącym przedmiotem decyzji, kierującym sobą, a nie działającym pod naciskiem sił zewnętrznych bądź innych ludzi tak, jakbym był rzeczą, zwierzęciem, lub niewolnikiem rzeźdólnym do odgrywania roli człowieka - to znaczy do określania własnych celów i taktyki oraz do ich realizowania. Stanowi to co najmniej część tego, o czym myślę, gdy mówię, że jestem obdarzony rozumem i że to mój rozum odróżnia mnie jako istotę ludzką od reszty świata. Pragnę, ponad wszystko, mieć świadomość samego siebie jako myślącej, posiadającej wolę, aktywnej istoty, ponoszącej odpowiedzialność za swoje akty wyboru i zdolnej wyjaśnić je poprzez odwołanie się do własnych poglądów i celów. Czuję się wolny na tyle, na ile wierzę, że to prawda i zniewolony na tyle, na ile dam sobie uprzytomnić, że to prawda nie jest.

Wolność, która polega na byciu panem samego siebie i wolność, która polega na tym, że nie napotykam przeszkód ze strony innych ludzi w wybieraniu tego, czego chcę, mogą - na pierwszy rzut oka - wydać się pojęciami, których nie dzieli zbyt wielki dysonans logiczny - nie większy niż wyrażenie tej samej rzeczy w postaci przeczenia i twierdzenia. Dotychczas "pozytywne" i "negatywne" pojęcia wolności rozwijały się historycznie w kierunkach rozbieżnych, etapami nie zawsze godnymi szacunku z logicznego punktu widzenia, aż - ostatecznie - doszło między nimi do otwartego konfliktu.

Jedną z dróg ku wyjaśnieniu tego faktu wiedzie przez kategorię autonomicznego pędu, jakiego - początkowo może całkiem niewinnie - nabiera metafora panowania nad samym sobą. *Jestem moim własnym panem; Nie jestem nieczym niewolnikiem*; ale czyż nie mogę (jak, na przykład, powtarza wciąż T.H.Green) być niewolnikiem natury? Albo moich własnych "wyuzdanych" namiętności? Czyż nie są to niektóre tylko spośród rodzajów identycznej kategorii: "niewolnik" - jedne polityczne lub prawne, inne moralne lub duchowe? Czyż ludzie nie posiadli doświadczenia w wyzwaniu się z niewolnictwa duchowego albo z niewolnictwa natury i czyż w trakcie tego nie stali się świadomi, z jednej strony swej jaźni, która panuje, a z drugiej strony czegoś w nich, co jest trzymane pod butem? Ta panująca jaźń jest następnie w różny sposób utożsamiana z rozumem, z *lepszą częścią mojej natury*, z jaźnią, która kalkuluje i dąży ku temu, co na dłuższą metę zapewni jej satysfakcję, z moją "rzeczywistą",

albo "idealna", albo "autonomiczna" jaźnia, albo moja jaźnia w jej "szczytowej postaci", którą z kolei przeciwstawia się irracjonalnym impulsom, niekontrolowanym pragnieniom, mojej "niższej" naturze, pognoni za doraźnymi przyjemnościami, mojej "empirycznej" lub "heteronomicznej" jaźni, opanowanej przez wszelkiego rodzaju pragnienia i namietności, wymagającej surowej dyscypliny, jeśli kiedykolwiek ma się wznieść na pełną wysokość swej rzeczywistej natury. Wkrótce dwie jaźnie mogą być przedstawiane jako rozdzielone jeszcze większą luką: jaźń rzeczywista może być wyobrażana jako coś szerszego niż jednostka (w normalnym rozumieniu tej kategorii), jako społeczna "całość", której jednostka jest elementem lub aspektem; plemię, rasa, kościół, państwo, wielka społeczność żyjących i umarłych i jeszcze nie narodzonych. Taka jedność jest następnie uznawana za jaźń "prawdziwą", która poprzez narzucenie swej kolektywnej, albo "organicznej", jedynej woli swym opornym członkom, osiąga swą własną, a poprzez to również, ich, "wyższą" wolność. Niebezpieczeństwa używania metafor organicznych dla usprawiedliwienia przymusu ze strony jednych ludzi wobec drugich - celów podniesienia tych drugich na "wyższy" poziom wolności - wskazywane były niejednokrotnie. Ale co daje taką wiarygodność temu rodzajowi języka, to fakt, że uznajemy za możliwe, a niekiedy za uzasadnione poddanie ludzi przymusowi w imię pewnych celów (powiedzmy sprawiedliwości albo zdrowia publicznego), do których podążyli by sami, gdyby byli bardziej oświeceni, a nie oścażają, gdyż są ślepi, głupi lub zepsuci. Bardzo łatwo przychodzi im wyobrazić sobie, że poddają innych przymusowi dla ich własnego dobra, w ich, a nie w moim interesie. Potem utrzymuje, że wier lepiej niż oni sami, czego im naprawdę potrzeba. W konsekwencji doprowadza to do konkluzji, że nie opieraliby się, gdyby byli racjonalni i tak mądrzy jak ja, gdyby rozumieli swoje interesy jak ja rozumiem. Ale mogą posunąć się w moich twierdzeniach o wiele dalej. Mogą głosić, że naprawdę dążą oni do tego, czeru w swym nieoświeconym stanie świadomie się opierają, że istnieje w nich tajemnicza jedność - ich utajona racjonalna wola lub ich "prawdziwy" cel - i że ta jedność, chociaż kłam zadaje jej wszystko, co otwarcie czują, robią i mówią, jest ich "rzeczywista" jaźnia, o której uboga empiryczna jaźń danego miejsca i czasu może nie wiedzieć nic albo wiedzieć niewiele i że ten wewnętrzny duch jest jądrem jaźni zasługująca na to, by jej życzenia były brane pod uwagę /11/. Jeśli raz przyjmie ten punkt widzenia, to zajęć stanowisko ignorujące prawdziwe pragnienia ludzi i społeczeństw, stanowisko tyranizowania, uciskania, torturowania ich w imię i w interesie "prawdziwych" jaźni, w bezpiecznym przekonaniu, że cokolwiek nie byłoby prawdziwym celem człowieka (szczęście, wypełnienie obowiązku, mądrość, sprawiedliwe społeczeństwo, samorealizacja) musi być identyczne z jego wolnością - z wolnym wyborem jego "prawdziwej", chociaż zatopionej i niewyartykułowanej jaźni.

Paradoks ten ukazywany był często. Jedną rzeczą jest mówić, że wiem, co jest dobre dla Iksa, podczas gdy on sam tego nie wie, a nawet ignorować jego pragnienia przez wzgląd na nie - i na niego samego, a całkiem inną rzeczą jest mówić, że wybrał on coś, wprawdzie nieświadomie, nie jako ten, którym wydaje się być w codziennym życiu, ale w roli ja racjonalnego, "rzeczywistej" jaźni, która dostrzega dobro, czego jego ja empiryczne może nie znać i nie potrafi dopomóc mu w wybraniu owego dobra, kiedy jest ono objawiane. Ta monstrualna mistyfikacja, która polega na postawieniu znaku równości między tym, co Iks wybrałby, gdyby był kimś, kim nie jest albo przynajmniej jeszcze nie jest, a tym, czego Iks rzeczywiście pragnie i co wybiera, stanowi serce wszy-

stkich politycznych teorii samorealizacyjnych. Czym innym jest powiedzieć, że mogę zostać przymusowi dla mojego własnego dobra, którego w swej ślepotcie nie dostrzegam (może to niekiedy być z korzyścią dla mnie i istotnie może to powiększyć zakres mojej wolności), a czym innym jest powiedzieć, że jeśli jest to dla mojego dobra, to nie jestem poddawany przymusowi, ponieważ sam tego chciałem, czy wiedziałem o tym czy nie i jestem wolny, albo "prawdziwie wolny - nawet jeśli moja biedna ziemską powłoka i głupi umysł zawzięcie to odrzucają i walczą z tymi, którzy z całą życzliwością i najwyższą desperacją starają się mi to narzucić.

Ta magiczna przemiana, czy też kuglarska sztuczka (z powodu której William James tak zasłużenie wyśmiewał heglistów) bez wątpienia z równą łatwością może zostać dokonana w stosunku do "negatywnego" pojęcia wolności, gdzie jaźń, w która nie powinno się ingerować, nie jest już jednością z jej prawdziwymi potrzebami i pragnieniami, tak jak normalnie się to przedstawia, ale "rzeczywistym" człowiekiem wewnątrz niej, identyfikowanym z dążeniem do jakiegoś idealnego celu, o którym ja empirycznemu nawet się nie śniło. I, tak jak w przypadku jaźni wolnej "pozytywnie", jedność ta może zostać sprowadzona do jakiejś jedności ponadosobowej - państwa, klasy, narodu, samego biegu historii - traktowanej jako bardziej "rzeczywisty" zespół cech niż ja empiryczne. Ale "pozytywne" pojęcie wolności jako samopanowania, z jego sugestią człowieka pozostającego w riezgodzie z samym sobą, w rzeczywistości zarówno jako przedmiot historii doktryn, jak i w praktyce, lepiej radawało się do tego dwuczęściowego rozdziału osobowości: na transcedentnego, parującego kontrolera i na empiryczny kłębek pragnień i namietrości, który musi być dyscyplinowany i trzymany pod butem. Demonstruje to (jeśli demonstracja tak oczywistej prawdy jest potrzebna), że pojęcie wolności bezpośrednio wywodzi się z pojęcia, na który składa się to, co stanowi jaźń, osobę, człowieka. Wystarczy manipulować definicją człowieka, by sprawić, że wolność oznaczać będzie to, co tylko zapragnie manipulator. Najnowsza historia aż nazbyt jasno dowiodła, że nie jest to zagadnienie czysto akademickie.

tłum. Interpreter

PRZYPISY

- 1/1 Oczywiście ani myślę zakładać, że prawda jest odwrotność.
- 1/2 Bardzo jasno ujął to Helvetius: *Człowiek wolny to człowiek, który nie jest w kajdanach, nie jest zamknięty w więzieniu, nie jest, jak niewolnik, zastraszony przez lęk przed karami (...)* nie latać jak ptak czy nie pływać jak wieloryb brakiem wolności nie jest.
- 1/3 Marksistowska koncepcja praw społecznych stanowi oczywiście najbardziej znaną wersję tej teorii, ale współtworzy ona istotną część także w niektórych doktrynach chrześcijańskich, utylitarystycznych i we wszystkich socjalistycznych.
- 1/4 *Człowiek wolny* - mówi Hobbes - to ten, który (...) nie jest powstrzymywany od robienia tego, co ma wole robić. Prawo zawsze jest "kajdanami", nawet wtedy, gdy chroni cię od skrepowania łańcuchami, co są cięższe niż te prawne, powiedzmy - od samowolnego despotyzmu czy od chaosu. Bentham w znacznym stopniu powtarza to samo.

15/ "Dla wykładowcy z Oxfordu wolność jest czymś zupełnie odmiennym od wolności dla egipskiego chłopca" - dodawali inni.

Twierdzenie to opiera się na czymś, co jest zarówno prawdziwe, jak ważne, ale saramo to zdanie pozostaje zwykłym politycznym frazesem. Prawdą jest, że zaoferować prawa polityczne albo gwarancje zabezpieczające przed interwencją ze strony państwa ludziom, którzy są półnaczy, niepiśmienni, niedożywni i chorzy to zadziwić z ich położenia; po to, by mogli zrozumieć albo zrobić użytek z poszerzonej wolności, potrzebują wpraw pomocy medycznej i oświaty. Czymże jest wolność dla tych, którzy nie mogą z niej korzystać? Jaka może być wartość wolności bez odpowiednich dla niej warunków? Eliższa kosztowała ciału: bywała sytuacja, jak głosił dziewiętnastowieczny radykalny pisarz rosyjski, w których buty mają pierwszeństwo przed dziełami Szekspira; indywidualna wolność nie dla każdego jest potrzebna pierwszorzędna. Jednak wolność nie jest zwykłą nieobecnością jakiegokolwiek frustracji; to, że słowo oznaczałoby za wiele lub za mało, powodowałoby inflację jego znaczenia. Egipski chłop potrzebuje ubrania i lekarstw pierwszej i bardziej aniżeli wolności osobistej, ale minimalna wolność, jakiej potrzebuje dzisiaj i wyższy stopień wolności, jakiego być może będzie potrzebował jutro, nie jest jakimś gatunkiem wolności specyficznym dla niego, lecz identycznym z tym dla profesorów, artystów i milionerów.

Tym, co dreczy sumienia zachodnich liberałów nie jest, jak sądzę, przekonanie, że wolność, której ludzie żądają, różni się w zależności od ich społecznych czy ekonomicznych warunków, ale to, że mniejszość, która ją posiada, osiągnęła ją poprzez eksploatację albo, co najmniej, poprzez odwracanie spojrzenia od zdecydowanej większości, która jej nie posiada. Wierzą oni, całkiem słusznie, że indywidualna wolność jest dla istoty ludzkiej celem ostatecznym, nikt nie może być jej pozbawiony przez innych; w żadnym wypadku nie wolno się nią cieszyć na koszt innych. Równość wolności; nie traktować innych tak, jak nie chcą, aby oni mnie traktowali; spłacać mój dług jedynie wobec tych, dzięki którym możliwa stała się moja wolność, dobrobyt, czy też oświecenie; sprawiedliwość, w jej najprostszym i najbardziej uniwersalnym znaczeniu - oto podstawy liberalnej moralności. Wolność nie jest dla człowieka celem jedynym. Mogę powiedzieć, jak rosyjski myśliciel Bieliński, że jeśli inni są jej pozbawieni - jeśli moi bracia pozostają w nędzy, brudzie i łańcuchach - to nie chcę jej i dla siebie, odrzucam ją obiema rękami i bezwzględnie wolę dzieć los moich braci. Ale nic nie zyskuje się na pomieszeniu terminów. Aby uniknąć jaskrawej nierówności albo szczenia się nędzy, gotów jestem poświęcić w części, albo w całości, moją wolność; mogę to uczynić dobrowolnie i autonomicznie, ale to wolność jest tym, co ofiarowuję przez wzgląd na sprawiedliwość, równość, bądź miłość moich bliźnich. Powinieniem zostać ukarany, i to należycie, gdybym, w określonych okolicznościach, nie był gotowy do tego poświęcenia. Ale poświęcenie nie oznacza przyrostu tego, co jest poświęcane, a mianowicie wolności, jakkolwiek nie byłaby wielka moralna potrzeba czy kompensata. Wszystko jest tym, czym jest: wolność jest wolnością, a nie równością, uczciwością, sprawiedliwością, kultura, ludzkim szczęściem, czy spokojnym sumieniem. Jeżeli wolność moja, mojej klasy, bądź narodu zależy od niedoli jakiejś liczby innych istot ludzkich, to system, który to popiera jest niesprawiedliwy i niemoralny. Ale jeżeli uszczuple lub utracę moją wolność po to, by złagodzić wstyd związany z taką nierównością,

a nie spowoduje tym samym istotnego przyrostu indywidualnej wolności innych, to nastąpi niewątpliwa strata wolności. Może to być skompensowane przez zysk w sprawiedliwości, szczęściu, albo pokoju, lecz strata pozostanie i mieszaniam pojęć jest mówić, że chociaż moja "liberalna", indywidualna wolność może przepaść, to jakiś inny rodzaj wolności - "społeczna" czy "ekonomiczna" - wzrośnie. Wciąż pozostaje prawdą, że wolność jednych musi być niekiedy uszczuplona, by zapewnić wolność innym. W oparciu o jaką zasadę może się to dokonać? Jeśli wolność jest uświęconą, nietykalną wartością, nie może być takiej zasady. W każdym razie w praktyce jedna lub druga z tych dwu sprzecznych zasad musi ustąpić - nie zawsze dla powodów, które można by jasno określić, a co dopiero zgeneralizować w postaci praw czy powszechnych maksym.

- /6/ Stanowi to jeszcze jedną ilustrację naturalnej skłonności prawie wszystkich myślicieli do uznawania, że wszystkie rzeczy, które są ich zdaniem dobre, muszą być ściśle ze sobą powiązane albo co najmniej dające się ze sobą pogodzić. Historia myśli, tak jak historia narodów, usiana jest przykładami sprzecznych lub co najmniej zasadniczo odmiennych elementów, które w sposób sztuczny sprzęgnięto ze sobą w despotyczny system bądź też utrzymywano razem pod groźbą jakiegoś wspólnego wroga. W pewnym momencie niebezpieczeństwo mija i między sprzymierzonymi wybuchają konflikty, które często rozrywają system - niekiedy z wielkim pożytkiem dla ludzkości.
- /7/ Patrz cenne rozważania na ten temat w pracy *Leçons d'Histoire de la Philosophie du Droit* Michela Villey'a, który zarodki pojęcia praw podmiotowych wytropił u Ockhama.
- /8/ Chrześcijańska (a także żydowska i muzułmańska) wiara w absolutną moc bożych lub naturalnych praw albo w równość wszystkich ludzi w obliczu Boga jest zupełnie odmienna od wiary w wolność życia podług upodobań.
- /9/ Po prawdzie, jest rzeczą do dyskusji, czy w Prusach Fryderyka Wielkiego albo w Austrii Józefa II, ludzie obdarzeni wyobraźnią, oryginalnością, geniuszem twórczym, a nawet wszelkiego rodzaju mniejszości, nie były mniej prześladowane i nie odczuwały mniejszego nacisku ze strony instytucji i obyczajów, niż w wielu wcześniejszych i późniejszych demokracjach.
- /10/ "Wolność negatywna" jest czymś, czego wymiar, w danym wypadku, trudny jest do oszacowania. Może on, *prima facie*, wydawać się zależny po prostu od możliwości wyboru między dwiema co najmniej alternatywami. Jednak nie każdy wybór jest jednako wolny czy też wolny w ogóle. Jeśli w państwie totalitarnym zdradzam pod groźbą tortur przyjaciela albo nawet gdy czynię to z lęku przed utratą pracy, to mogę w sposób uzasadniony twierdzić, że działanie moje nie było wolne. Tym niemniej dokonałem przeciw wyboru, bo mogłem, przynajmniej w teorii, wybrać śmierć, tortury lub uwięzienie. Zwykła obecność alternatyw nie jest przeto wystarczająca, aby uczynić moje działanie wolnym (choć może ono być "dobrowolne") w normalnym tego słowa znaczeniu. Wymiar mojej wolności zdaje się zależeć od tego, (a) jak wiele możliwości stoi przede mną otworem (choćby metoda ich liczenia nigdy nie osiągnie innego charakteru niż czysto impresjonistyczny. Możliwości działania nie są oderwanymi jednostkami takimi jak jabłka, które można dokładnie policzyć); (b) na ile łatwe lub trudne jest spełnienie każdej z tych możliwości; (c) jaka jest hierarchia tych możliwości w moich planach ży-

ciowych, wobec darego mi charakteru i okoliczności; (d) jak dalece możliwości te są dostępne lub trudne do osiągnięcia przez rozmyślnie działanie ludzkie; (e) jaką wartość przydaje różnym możliwościom nie tylko jednostka, ale i powszechna opinia społeczeństwa, w którym przyszło tej jednostce żyć. Wszystkie te wielkości muszą zostać "zintegrowane", a z procesu tego trzeba wyprowadzić - z konieczności zawsze nieprecyzyjną bądź sporną - konkluzję. Możliwe, że istnieje wiele niewspółmiernych stopni wolności, których nie da się nanieść na jedną skalę, jakkolwiek by jej nie opracowano. Co więcej - w wypadku społeczeństw stajemy w obliczu takich (z punktu widzenia logiki - absurdalnych) pytań, jak: "Czy rozwiązanie X zwiększyłoby wolność pana A bardziej niż panów B, C, i D razem wziętych?" Te same trudności pojawiają się przy zastosowaniu kryterium utylitarnego. Mimo to, pod warunkiem, że nie żądamy miar precyzyjnych, możemy podać przekonujące powody, dla których przeciętny poddany króla Szwecji jest, ogólnie rzecz biorąc, dużo bardziej wolny niż przeciętny obywatel Rumunii. Wszystkie wzory życia muszą zostać porównane bezpośrednio jako całości, chociaż metoda, przy pomocy której dokonuje się porównania i prawdziwość konkluzji są trudne, a nawet niemożliwe do pokazania. Ale mglistość pojęć i różnorodność wchodzących w grę kryteriów jest atrybutem samej materii tematu, a nie naszych niedoskonałych metod pomiaru czy niezdolności do precyzyjnego myślenia.

- /11/ *Ideałem prawdziwej wolności jest maksimum możliwości dla wszystkich członków społeczności ludzkiej, żyjących, by uczynić z siebie to, co najlepsze - powiedział w 1881 r. T.H.Green. Poza pomieszeniem wolności z równością powoduje to również, że jeśli człowiek wybiera doraźne przyjemności - które (w czyich oczach?) nie umożliwią mu uczynienia z siebie (jakiego siebie?) tego, co najlepsze, to jego zachowanie nie jest "prawdziwa" wolnością i, jeśli zostanie tego pozbawiony, nie straci niczego istotnego. Green był prawdziwym liberałem, ale niejeden tyran mógłby posłużyć się tą formułą dla usprawiedliwienia najgorszych aktów ucisku.*

Guy Sorman

PROJEKT LIBERALNY

Projekt liberalny nie jest własnością tej czy innej partii politycznej, jego realizacja przekracza możliwości jednego człowieka czy politycznej koterii. Nie wystarczy bowiem zmiana rządu, aby spowodować cofnięcie się etatyizmu. Co więcej, oczekiwanie, że wybór liberalnego przywódcy wystarczy, aby dokonała się przemiana społeczeństwa wydaje mi się błędem w ocenie samego charakteru liberalizmu. Przywódcy rzadko są liberałami; pełnione przez nich funkcje, a tym bardziej nasze scentralizowane instytucje, w konsekwentny sposób prowadzą mężów stanu do popadnięcia w etatyzm. Ludzie polityki są więc w większym lub mniejszym stopniu - ale za to wszyscy - stroną korzystającą z systemu, który nazywam Nową Klasą. Tworzą ją politycy będący u władzy. Ta Nowa Klasa składa się z najzwyczajniejszych ludzi, zatem ożywionych zrozumiałym pragnieniem nieskończonego rozszerzania swej władzy oraz obciążania finansowego społeczeństwa - czyli podatków. Nie dość tego, wspierana przez licznych intelektualistów, nowa klasa jest przekonana - od chwili gdy usadowiła się na szczycie społeczeństwa - że wie, co dla ludu jest dobre. Sama jej pozycja prowadzi ją do planowania, programowania i decydowania za nas. Jej rządzi władzy jest ponadto wspierana przez wszystkie humanistyczne pseudo-nauki, które przekonują nas, że każda społeczna nieprawidłowość ma swoją przyczynę polityczną i że każdy problem osobisty może być rozwiązany instytucjonalnie.

Liberalizm lokuje się na antypodach tego mechanistycznego rozumowania. Opiera się on na prostej, sprawdzonej przez historię zasadzie: postęp wynika z twórczej wyobraźni jednostek, nie zaś z urzędowego planowania. W bardziej uczony sposób powiemy, że "spontaniczny ład jest lepszy od ładu zadekretowanego". Taka jest pierwsza zasada, która kieruje moimi poszukiwaniami i moim projektem.

Druga zasada, dla mnie również istotna, mówi, że liberalizm powinien "procentować" dla wszystkich, dać dodatkową wolność wszystkim obywatelom, a nie jedynie niektórym. Liberalizm jest więc dziś pozbawiony nostalgii; nie jest własnością klasy, ani elity; jest projektem społeczeństwa, śmiałą ideologią wspólną wszystkim Francuzom i dalej, wszystkim narodom.

PRIORYTET: OGRANICZYĆ PAŃSTWO KONTROLUJĄC PIENIĄDZ I PODATEK

Nowym spiszowym prawem* etatyzmu jest we wszystkich krajach zachodnich coroczny jednoprocenowy wzrost podatków. Wybór rządów liberalnych w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Republice Federalnej Niemiec nie wystarczył do odwrócenia tego zjawiska, w najlepszym razie zostało ono osłabione. Nie można więc liczyć na dobrą wolę partii w dążeniu do ograniczenia państwa. Biorąc to pod uwagę projekt liberalny postuluje podporządkowanie wydatków państwa instytucjonalnym rygorom obroży i zajęcie się dochodami zamiast na próżno oczekiwać, że rząd z własnej woli zredukuje swe wydatki. Zmniejszą się one tylko wtedy, gdy państwo będzie do tego zmuszone i gdy przeskodzi mu się w nieograniczonym czerpaniu z kreacji pieniądza i z podatków.

Powrót do ładu monetarnego

Inflacja jest podatkiem każdego ranka dyskretnie ściągany z naszych dochodów. A głównym źródłem inflacji jest nadmierna kreacja pieniądza przez władze bez wiedzy parlamentu czy opinii publicznej. Państwo może więc finansować swe długi w nieskończoność. Jeszcze groźniejsze jest to, iż niestabilność pieniądza utrudnia obywatelom uchronienie się za pomocą oszczędności przed ryzykiem społecznym bezrobocia, choroby, koniecznością przejścia na emeryturę - zmuszając ich tym samym do oddania w ręce państwa starań o swe własne zabezpieczenie. Powrót do ładu monetarnego uniemożliwiłby więc państwu rozszerzać wydatki bez ograniczeń i przywróciłby jednostkom odpowiedzialność za ubezpieczenie się od ryzyka społecznego.

Proponuję zatem, aby emisja pieniądza przeszła odtąd pod kontrolę opinii publicznej poprzez comiesięczne ogłaszanie przez Bank Francji ilościowego wskaźnika pieniądza. Wskaźnik ten nie powinien przekraczać stopy wzrostu gospodarczego. Każde przekroczenie ujawniałoby przerost państwa. Przywrócenie Bankowi Francji niezależności gwarantowałoby, że emisja pieniądza stanowiłaby odpowiedź na potrzeby gospodarki, a nie na apetyty rządów. To właśnie tą metodą, uwalniając ceny i płace, Stany Zjednoczone, Wielką Brytania i Japonia przewyciężyły inflację. Doświadczenia tych krajów wskazują ponadto, że powrót do ładu monetarnego jest bezwzględny warunkiem nowego wzrostu.

Obowiązkowa równowaga budżetu

Deficyt budżetowy nie ma żadnych zalet ekonomicznych i wzmaga jedynie inflację. Równowaga powinna więc stać się regułą krepującą państwo, tak jak to dzieje się dzisiaj w naszych gminach i departamentach. Bardziej jednak roztropnym niż pozostawienie starania o tę równowagę "mądrości" rządzących, byłoby uchronić tych ostatnich przed nimi samymi, wpisując tę zasadę w konstytucję. Podobnie należałoby postąpić z zasadą, że wydatki publiczne nie powinny wzrastać szybciej niż majątek narodowy. Konstytucja gwarantowałaby w ten sposób nasze bezpieczeństwo ekonomiczne, obecnie w pełni uzależnione od dobrej woli władzy. Ta kluczowa reforma naszych instytucji jest, moim zdaniem jedyną prawdziwą reformą w jaką powinien angażować się kandydat liberalny. Cała reszta wynika z niej w sposób naturalny.

* Aluzja do tzw. spiszowego prawa pracy, sformułowanego przez barona Turgot /1787-1781/ - por. E. Rostworowski, *Historia Powszechna, Wiek XVIII, W-wa 1984, s. 624 - przyp. tłum.*

Zastąpić podatek od dochodów podatkiem od wydatków

"Rewolta" podatkowa posiada dwie zalety: zmusza państwo do zmniejszenia swych wydatków oraz wyzwala inicjatywę ekonomiczną u wszystkich, którzy prowadzą działalność gospodarczą i tworzą bogactwo. Rewolta ta ma jednak sens tylko wtedy, gdy organizuje się ona wokół jakiejś mobilizującej idei. Zauważmy, że w Stanach Zjednoczonych rewolta podatkowa obywateli przyniosła tak spektakularne wyniki, koncentrowała się na podatkach płaconych przez wszystkich w mniej więcej porównywalny sposób, a zwłaszcza na podatkach gruntowych. Wydaje mi się więc nierealistycznym dążenie do zniesienia podatku od dochodu, a nawet nadmierne atakowanie jego progresywności, gdyż podatek progresywny, będący bardzo dużym obciążeniem dla nieznacznej mniejszości Francuzów, przez wszystkich innych widziany jest jako element sprawiedliwości społecznej - dzięki niemu bogaci "opłacają" prawo bycia bogatymi. Proponuję więc pogodzenie tego egalitarystycznego wymogu z ekonomicznym zdrowym rozsądkiem, podtrzymując oczywiście progresywność, ale z rozsądnym maksimum w wysokości 50%, tak jak w Stanach Zjednoczonych. Co więcej, należy pozwolić na odejmowanie zainwestowanych oszczędności od podlegającego opodatkowaniu dochodu, rozciągając w ten sposób postanowienia ustawy Monory'ego na wszystkie formy oszczędzania.* Opodatkowany byłby więc nie dochód lecz konsumpcja; nie to, co jest społeczeństwu przynoszone, lecz to, co jest mu zabierane. Korzyści ekonomiczne takiej reformy - zalecanej tak w Wielkiej Brytanii jak i w Stanach Zjednoczonych - byłyby ogromne i uwolniłyby dotychczasowe oszczędności w celu ich twórczego zainwestowania. Zalety polityczne byłyby równie widoczne, gdyż - więcej lub mniej oszczędzając - obywatele bezpośrednio kontrolowaliby dochody państwa.

WRÓCIĆ DO WZROSTU POPRZEZ WOLNOŚĆ PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

Państwo nie jest w stanie wywoływać wzrostu gospodarczego, gdyż nie jest on nigdy produktem racjonalnego planowania; rodzi się z twórczego poruszenia ludzkiej wyobraźni. Ponadto możliwości wywoływania przez rządzących wzrostu zmniejsza fakt, że ich "polityka gospodarcza" jest nieuchronnie bardziej podporządkowana wymogom kampanii wyborczych, niż względem ekonomicznym.

Wzrost jest więc - aby użyć słów francuskiego ojca liberalizmu - Jean-Baptiste Say'a - wynikiem podaży ze strony producentów, która z kolei wywołuje popyt konsumentów. Sama podaż jest uzależniona od klimatu, który zachęca lub zniechęca producentów. Ci "aktywiści" gospodarki, twórcy bogactwa, będący w każdym narodzie mniejszością nie wyróżniają się ani fortuną, ani kulturą, a jedynie wolą przedsiębiorczości rzadko docenianą przez francuskie społeczeństwo i jeszcze rzadziej przez państwo. To, co nazywa się "kryzysem", spowodowane było głównie przez zdzawienie inicjatyw owych "aktywistów", zniechęconych podatkami i interwencjonizmem administracji. Nadmiar państwa pogroził nas w kryzysie, zaś dzięki pomniejszeniu państwa świat przemysłowy - jak dotąd bez Francji - znalazł się na dobrej drodze, aby z tego kryzysu wyjść.

* Chodzi tu o ustawę francuską z roku 1978 mającą na celu skierowanie na inwestycje oszczędności społeczeństwa - przyp. tłum.

Znieść prywatne i publiczne monopole.

Gospodarka jest jak żywy organ, reagujący na bodźce zewnętrzne. Tymczasem jednak, z powodu krótkowzrocznych interesów wyborczych, wszystkie interwencje publiczne zmierzają do ochrony podupadających dziedzin gospodarowania oraz do pomnożenia monopoli i rent sytuacyjnych. Polityka ekonomiczna przypomina więc budowanie przemysłowej linii Maginota, która ustępuje pod pierwszym uderzeniem Japończyków lub Amerykanów. Projekt liberalny nie podlega na interweniowaniu, lecz na "nieinterweniowaniu", nie na reglamentowaniu, lecz na "dereglamentowaniu". Właśnie to zalecał dwadzieścia lat temu raport Rueffa - Armanda sporządzony na życzenie generała de Gaulle'a. Na wzór tego, co robia gdzie indziej kraje liberalne - Wielka Brytania, Japonia, Stany Zjednoczone - otworzmy dla konkurencji świat łączności /telefon, telewizję/, banki, służby publiczne i społeczne. Zrównajmy z ziemią publiczne i prywatne monopole i rzućmy w ekonomiczną, technologiczną i międzynarodową przygodę tysiące gotowych do tego Francuzów! Ruch "dereglamentacji" powinien rozprzestrzenić się na całą Europę.

Europa prawdziwie liberalna

Europa staje się ażylem dla etatyzmu ponadnarodowego, wcale nie bardziej usprawiedliwionego niż etatyzm narodowy. Propozycja liberalna dla Europy polega więc na skutecznym zniesieniu granic ekonomicznych, celnych, fiskalnych i nieangażowaniu się zbyt mocno w politykę wspólnorynkową EWG, równie kosztowną, co bezużyteczną.

Byłoby dobrze, gdyby odąd technokraci przestali już decydować o Europie i nie uotożsamiali postępu idei europejskiej z przyrostem swych "wspólnych polityk". Brośmy Europy liberalnej, pozbawionej granic, ale pozbawionej także biurokracji.

Demokratyczna denacjonalizacja

Denacjonalizacja jawi się w projektach opozycji jako rodzaj politycznej i społecznej zemsty, nie wywołuje więc ona żadnego entuzjazmu, przeciwnie, zakorzenia rozpowszechnione przekonanie, że kapitał i prawica solidaryzują ze sobą. Tymczasem denacjonalizacja daje nam wyjątkową szansę uzyskania społecznego przyczółka zdolnego na dobre oderwać liberalizm od jego konserwatywnego wizerunku. Dobry przykład na to daje Wielka Brytania, gdzie publiczne przedsiębiorstwo transportowe National Freight Consortium zostało wykupione przez ogół swych pracowników. Pierwszą decyzją akcjonariuszy-pracowników było podwyższenie uposażeń dyrekcji i uzależnienie ich od wyników firmy. Ci nie kazali na siebie czekać, NFC nabrało nowego dynamizmu, a dla ogółu personelu denacjonalizacja stała się już nie odległą grą polityczną, lecz osobistym zwycięstwem, którego w razie potrzeby będą bronić przed każdą próbą ponownego upaństwowienia. Denacjonalizacja jest więc nieoczekiwaną okazją do ponownego pogodzenia demokracji i efektywności ekonomicznej.

Prywatyzacja służb publicznych

Dyskusja o zakresie denacjonalizacji niesłusznie ogranicza się do terenu wielkich przedsiębiorstw państwowych - w czasie gdy w naszych gminach wielu merów zabiera się do biurokratyzowania różnych stron życia gospodarczego poprzez municypalizowanie lokalnych przedsiębiorstw tam, gdzie konkurencja i sektor prywatny dałyby sobie doskonałą radę. Merowie ci postępują niczym mali etatyści. Tymczasem wiele tzw. służb publicznych - wodociągi, asenizacja, transport - są, lub

były zarządzane przez prywatne przedsiębiorstwa nie gorzej niż przez lokalne biurokracje. Nie trzeba czekać na zmianę rządu aby angażować się w tę prywatyzację - gdyż nic nie zakazuje merom, radnym municypalnym i radnym generalnym zacząć natychmiast. Niektórym stawka wyda się biała. Tak jednak nie jest. Francja jest równie zagrożona paraliżem biurokratycznym na szczeblu lokalnym, co na szczeblu ogólnokrajowym, a łatwiej zaś jest zmobilizować się w gminach - tam gdzie możemy oddziaływać na coś, co dotyka nas bezpośrednio. Dodam, że badania nad kosztem służb publicznych prowadzone w RFN, Szwajcarii, Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych wskazują wyraźnie, że zarządzanie prywatne jest zawsze dwa razy tańsze od publicznego. Jest to więc także metoda obniżania naszych lokalnych podatków.

Prywatyzacja służb publicznych będzie wreszcie szkołą wolności, wykazując, jak niewiele usług jest publicznymi z natury; są takimi jedynie z woli polityki. W Stanach Zjednoczonych spotyka się zarządzane przez sektor prywatny służby pożarnicze i więzienne. Aby, nie zwlekając, doprowadzić tę prywatyzację do skutku, apeluję do liberalnych merów, aby u siebie zaangażowali się w przywrócenie przedsiębiorstwom prywatnym tego, co z natury do nich należy. Dodam, że taki zryw byłby wszędzie motorem inicjatyw gospodarczych, a zatem tworzyłby lokalne miejsca pracy.

Pełne zatrudnienie

Od dziesięciu lat podtrzymywany jest u nas mit, że jedyną przyczyną bezrobocia jest zwolnienie tempa wzrostu gospodarczego. Nie jest to w pełni prawdziwe. Inne narody nie zaznały prawie bezrobocia /Japonia/ albo tworzyły nowe miejsca pracy /Stany Zjednoczone/ przeżywając kryzys równie głęboki jak nasz. I odwrotnie, szybki wzrost niekoniecznie przynosi miejsca pracy, z uwagi na postępy w sferze wydajności. Oszustwem jest więc upowszechnianie wiary, że - hipotetycznie - powrót koniunktury przyniesie automatycznie pełne zatrudnienie. Bezrobocie w rzeczywistości pozostaje w matematycznym związku z płacami i obciążeniami socjalnymi. "Cud zatrudnienia" w Stanach Zjednoczonych /12 milionów nowych miejsc pracy w ciągu ostatnich dziesięciu lat wobec 3 milionów utraconych miejsc w Europie/ nie jest więc pochodną wzrostu, lecz elastyczności płac.

Nowy system płac

W społeczeństwach bardziej liberalnych od naszego przedsiębiorstwa mogą zatrudniać wciąż nowych pracowników, gdyż płaca zmienia się tam w zależności od wyników osiągniętych przez nie. U nas dzieje się na odwrót - sztywność płac przyczynia się do tworzenia dwóch kategorii Francuzów: tych, którzy mają pracę i jej strzegą oraz wszystkich innych, których szanse wejścia do strzeżonej twierdzy zatrudnieniowej coraz bardziej maleją. Klasa polityków i biurokracja związkowa stara się do tego przystosować, gdyż politycznie - bezrobotni są mniejszością. Zatrudnienie dla każdego jest to więc wybór polityczny, który w pierwszym rzędzie wymaga powiędzenia prawdy o źródłach bezrobocia. Nie proponuję powszechnej i jednakowej obniżki płac/co czyni rząd socjalistyczny/, lecz adaptację wynagrodzeń - przypadek po przypadku. Powrót do pełnego zatrudnienia wymaga więc radykalnej modyfikacji struktury płac, które powinny obejmować część stałą i część ruchomą, uzależnioną od wyników działalności - stałą pensję oraz premie. Propozycja taka będzie przyjęta przez pracowników tylko wtedy, gdy połączona będzie z gwarancjami i rekompensatami - mówiąc otwarcie, z dodatkowymi prawami, które zrównoważyłyby ryzyko płacowe. Te

równowagę nazywam "zasadą harmonii" - terminem zapożyczonym z Japonii. Jest to zarazem nowa umowa społeczna, z którą spotkałem się w najlepiej działających przedsiębiorstwach świata.

Zasada harmonii

Liberalny model przedsiębiorstwa zbyt często interpretowany jest jako powrót do absolutnej władzy dyirekcji. Otóż sama myśl o rynku pracy, na którym ludzie byliby uważani za dające sobą manipulować przedmioty, jest przestarzała, jeśli w ogóle kiedykolwiek była choć trochę logiczna. Dzisiaj - tak jak i wczoraj - liberalizm powinien wszystkim przynieść wzrost wolności, zwłaszcza w sferze pracy. Moralność łączy się tu z wydajnością, gdyż im bardziej doskonalili się ekonomicznie, tym bardziej wartość pracowników staje się kluczem do sukcesu przedsiębiorstwa. Zasada harmonii zapewnia pogodzenie logiki ekonomicznej z wymogami społecznymi i moralnymi, etyki z techniką. Porzucenie starego, biurokratycznego i hierarchicznego modelu przedsiębiorstwa na rzecz modelu liberalnego, zbudowanego w oparciu o zasady demokracji, leży więc zarówno w interesie pracodawców jak i pracowników. Ta nowa partycypacja nie powinna być mylona z pomieszaniem ról w przedsiębiorstwie, ani z zawłaszczeniem przedstawicielstwa przez związki zawodowe.

Dla zdemokratyzowania świata pracy od zaraz nie potrzeba nam nowych praw; każdy - pracodawcy i pracownicy mogliby przystąpić już teraz do uzgadniania "karty przedsiębiorstwa", opartej na kilku podstawowych zasadach. Zasadami tymi mogłyby być: gwarancja zatrudnienia w zamian za elastyczność płac, wprowadzenie wynagrodzeń powiązanych z wynikami w zamian za informację o stanie finansów przedsiębiorstwa, wspólne ustalanie strategii przedsiębiorstwa, zaplanowanie zrównoważonego podziału zysków pomiędzy przedsiębiorstwo, pracowników i konsumentów, zapewnienie demokratycznego przedstawicielstwa na zasadzie jeden człowiek - jeden głos. Dodam, że najlepiej działające firmy świata /IBM, Toyota/ nie wahają się gwarantować dożywotniego zatrudnienia, gdyż widzą w nim najmocniejszą podstawę spoiwości i wydajności, a także zdrowy przymus do rozwijania wizji przyszłości. Stworzenie społecznego ruchu na rzecz "karty przedsiębiorstwa" przyniosłoby liberalizmowi dodatkowe uznanie, trudne do politycznego zakwestionowania.

Mimo to pozostaną mężczyźni i kobiety, którzy ze względów ekonomicznych i osobistych nie będą mogli zmieścić się w tej nowej logice; nie do przyjęcia jest jednak zamykanie ich w "zawodzie" bezrobotnych.

Zatrudnienie użyteczne społecznie czyli koniec bezrobocia

Dwa państwa, jedno liberalne, a drugie socjalistyczne - Stany Zjednoczone i Szwecja - zdecydowały skończyć z korzystającym z opieki "zawodem" bezrobotnego, powierzając osobom bez pracy rzeczywiste funkcje społeczne. W zamian za zasiłek, bezrobotni wykonują tam liczne zadania, które w nowoczesnych społeczeństwach nie są zaspokajane przez rynek, a wcale nie są mniej użyteczne. Wyznaczeni na przykład do pomocy osobom starszym, kalekim, chorym lub przekazani do dyspozycji stowarzyszeniom dobroczynnym, ci bezrobotni odnajdują swą społeczną godność i zaspokajają rzeczywiste potrzeby. Wywoływanie ducha warsztatów narodowych* lub pracy przymusowej, w celu dezawuowania tych doświadczeń oznaczałoby zamknięcie bezrobotnych w trwałym społecznym i duchowym ubóstwie, w oczekiwaniu na hipotetyczny powrót złotego wieku pełnego zatrudnienia gospodarczego dla wszystkich. Li-

* Aluzja do tzw. Ateliers Nationaux - utworzonych w 1848 r. celem umiędziania panującego wtedy bezrobocia - przyp. tłum.

beralny projekt zwalczania bezrobocia nada zatrudnieniu w sferze wy-
teczności społecznej godność odpowiadającą normalnemu zatrudnieniu
ekonomicznemu.

SPOŁECZENSTWO WOLNEGO WYBORU

Rządzący Francją od czterdziestu lat socjaletatyzm w niemal ciąg-
ły sposób kazał nam stopniowo zmieniać się w "społeczeństwo kieszon-
kowe", w którym państwo zajmuje się sednem sprawy, a nam zostawia zaj-
mowanie się dodatkami. Podatek konfiskuje nie tylko nasze dochody,
ale - bardziej jeszcze - pozbawia nas wolności wyboru.

Jedyny sposób na odroczenie tej tendencji, która zdaje się - nawet
niektórym, zbyt pesymistycznie nastawionym liberałom - być nieuchron-
na, polega na przeciwstawieniu jej idei odwrotnej. Zwyciężył socjal-
etatystyczną ideologię tylko wtedy, gdy przyjmujemy ideologię odwrotną,
spójną, ponętą, śmiałą. Jedynie mogąc się odwołać do takiej ideolo-
gii, będziemy w stanie oceniać na ile liberalna jest proponowana nam
polityka, a nawet ujawniać jej kłamstwa. Aby być konkretnym podam dwa
przykłady rozwiązań liberalnych: w oświacie i w ochronie zdrowia.

Zniesienie monopolu szkolnego

Dyskusja nad wolnością nauczania zepchnęła na drugi plan kwestię
jego jakości. Tę pierwszą turę wygraliśmy* i teraz - bez względu na
to, czy nasze dzieci uczęszczają do szkoły publicznej, czy prywatnej
- warto zmobilizować wszystkich Francuzów do działań na rzecz jakości
nauczania. Tu poprawę można uzyskać jedynie w drodze współzawodnictwa
możliwie największej ilości zróżnicowanych systemów oświatowych.
CZEK EDUKACYJNY. Oto mobilizująca ze swej istoty idea. We wszystkich
wielkich społeczeństwach figuruje ona dzisiaj na pierwszym miejscu li-
beralnych rewindykacji, lecz we Francji jest dopiero ledwo zarysowa-
na. Jej prosta zasada wymaga od państwa, aby każdymu rodzicowi wrę-
czyło "bon" opiewający na jeden rok nauczania w wybranej przez niego
instytucji. Bony te, jeśli stanowiłyby główne źródło zasilania finan-
sowego wszystkich szkół, prowadziłyby najbardziej uczęszczane do roz-
kwitu, a omijane do upadku lub do reakcji przystosowującej je do po-
pytu. System taki odwróciłby obecną relację, w której dzieci - klien-
ci nie mają żadnych praw, rodzice płacą za to, czego nie kontrolują,
a nauczyciele monopolizują dystrybucję wiedzy. Aby pójść w tym kie-
runku, proponuję żeby na wzór tego, co właśnie wprowadzono w Stanach
Zjednoczonych, wynagrodzenie nauczycieli zmieniło się wraz z wynika-
mi uzyskiwanymi przez szkołę. Jest rzeczą całkowicie możliwą mierzyć
te wyniki i w moim przekonaniu nie tyle chodzi o karanie złych nauczy-
cieli, ile o ponowne przyznanie do nauczania elit intelektualnych,
które to zajęcie porzuciły.

WSPÓLZAWODNICTWO UNIWERSYTECKIE. Podobnie jak w przypadku gospodarki
lub szkoły, różnorodność i współzawodnictwo przyniosłoby jakość tam,
gdzie monopol i jednorodność ją tłumią. Aby dojść do poziomu najlep-
szych uniwersytetów świata, propozycja liberalna nie zakłada przepro-
wadzenia nowej i daremnej reformy uniwersytetów od środka, lecz umoż-
liwienie tworzenia nowych uczelni, finansowanych przez sektor prywatny.
Jeśli przyznamy francuskim przedsiębiorstwom, podobnie jak w Sta-
nach Zjednoczonych, prawo odejmowania od swych podatków subwencji
przekazanych prywatnym uniwersytetom, to uniwersytety pomnożą się.
Ów prosty środek fiskalny wydaje mi się być jedyną pożądaną "refor-

* Aluzja do mycięskiej kampanii w obronie szkół prywatnych we Francji w 1981
roku - przyp. tłum.

ma" nauczania wyższego. Rozkwit nowych uniwersytetów pozwoli rozwinąć - zbyt często źle stawiany - problem selekcji. Selekcja jest czymś złym, gdy, kompensowana przez uniformizację, równa się odrzuceniu wszystkich tych, którzy nie wejdą do formy. Jest świetna, gdy pozwala każdemu, w zróżnicowanym systemie zdobyć możliwie wysokie wykształcenie dopasowane do popytu gospodarki. W sumie, proponowane przeze mnie zróżnicowanie nauczania wyższego pozwoliłoby pogodzić dwa, dzisiaj nie dające się pogodzić, wymogi: dostęp do studiów wyższych dla większej liczby studentów i kształcenie elit.

Rzeczywista cena ochrony zdrowia

Nasze ubezpieczenia społeczne, ochrona zdrowia i emerytury znajdują się dzisiaj w przededniu finansowego zderzenia wzrostu kosztów z rozwojem potrzeb. Socjaletaryzm nie jest już zdolny przezwyciężyć tej sprzeczności i albo zmusza nas do zmniejszania wartości naszych ubezpieczeń, albo do podwyższenia naszych składek. Dylemat ten opiera się w gruncie rzeczy na niecisłej analizie i na założeniu, że niemożliwością jest poprawienie efektywności służby zdrowia. W rzeczywistości wzrost kosztów tych usług w znacznej części wynika z ich monopolistycznego charakteru. Projekt liberalny polega więc na zagwarantowaniu pełnej swobody popytu na opiekę zdrowotną, obniżając zarazem jej cenę dzięki konkurencji.

ZNIESIENIE MONOPOLU UBEZPIECZALNI.* Przywykliśmy uznawać za normalne, że wszyscy jesteśmy przypisani do jednego reżimu ubezpieczalni; jest zaś absolutnie możliwe, chroniąc zasadę obowiązkowych ubezpieczeń, wyposażyć nas w przywilej wyboru pomiędzy wieloma instytucjami zabezpieczającymi od ryzyka. Proponuję więc dopuścić we Francji tworzenie w pełni prywatnych przedsiębiorstw ochrony zdrowia, zapewniających usługi równoważne z usługami ubezpieczalni obowiązkowych.

Amerkańskie doświadczenie z HMO /Health Maintenance Organizations/ dostarcza nam modelu, w którym każdy ubezpieczony wybiera sobie abonament w przedsiębiorstwie prywatnym, lub w ubezpieczalni publicznej. Przedsiębiorstwa prywatne okazują się tańsze i skuteczniejsze niż służby publiczne, gdyż są one zmuszone - aby utrzymać ilość swych abonentów - do pogodzenia logiki ekonomicznej z logiką społeczną. I u nas więc z powodzeniem możemy doprowadzić do koegzystencji ubezpieczalni społecznej z odpowiednikiem HMO, z korzyścią dla jakości usług każdej z nich zmuszonej przez konkurencję do doskonalenia metod leczenia i podniesienia sprawności. Nasze zabezpieczenie na wypadek choroby skorzystałoby na tym, podczas gdy w obecnym systemie jest ono zagrożone sklerozą biurokratyczną i bankructwem finansowym.

Także i tutaj projekt liberalny nie tylko nie zagraża, lecz przeciwnie, pozwoli uratować socjalne osiągnięcia państwa opiekuńczego.

NIE ANTYETARYZM, LECZ NOWY ŁAD PAŃSTWOWY

Demokracja bezpośrednia

W żadnej nowoczesnej demokracji państwo nie jest równie rozbudowane jak we Francji! Większość naszych trudności ekonomicznych i społecznych pochodzi z tego "przerostu" polityki. Sugerowałem już możliwość jego ograniczenia poprzez utrzymywanie monetarnych i fiskalnych

* Starsze pokolenie czytelników pamięta, że terminem "ubezpieczalnia" posługiwano się również przed II wojną światową jak i przez szereg następných lat dla potocznego określenia dzisiejszego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych /ZUS/. W tym właśnie znaczeniu używa autor terminu *securite sociale*, w odróżnieniu od tego samego zwrotu pisanego z dużych liter, stanowiącego formalną nazwę francuskiej instytucji publicznej, zajmującej się zabezpieczeniem społecznym - przyp. tłum.

zasobów państwa w więzach obowiązkowej równowagi. W tym samym kierunku prowadzi prywatyzacja gospodarki i usług publicznych ogólnokrajowych i lokalnych. W ten sposób powinniśmy przybliżyć się do państwa minimum, gwaranta prawa, sprawiedliwości i ładu, lecz bardziej szanującego nasze bezpieczeństwo osobiste. Dalecy od osłabiania państwa, wzmacnimy w ten sposób jego istotne funkcje i uchronimy je przed próbami antyetatystycznego buntu, mogącego zakończyć się nowym autorytaryzmem. Za pomocą pomnożenia "kontr-władz", za pomocą rodzicielskiej kontroli nad oświatą, konkurencyjnych dla ubezpieczalni społecznej alternatyw, autonomicznych "kart przedsiębiorstwa", prywatnego zarządzania lokalnego - uzyskamy gwarancje wobec biurokratycznego despotyzmu. Koniecznym wreszcie wydaje mi się przywrócenie równowagi pomiędzy społeczeństwem i biurokratyczną Nową Klasą, co będzie możliwe dzięki bardziej systematycznemu odwoływaniu się do głosowania powszechnego.

REFERENDUM Z INICJATYWY LUDOWEJ. Typ demokracji, w której ludzie co pięć czy siedem lat pozbawiają się odpowiedzialności za swoje sprawy na rzecz elity politycznej, jest niewątpliwie przestarzałą formą reprezentacji. Odpowiada ona epoce w której oświata i informacja były znacznie mniej powszechne niż dzisiaj. Zważywszy, że opinia publiczna stała się od tego czasu równie oświecona, jak owa polityczna elita, tendencja do nadużywania władzy powinna być poskramiana przez bardziej bezpośrednią i częstszą interwencję w postaci głosowania powszechnego. Demokracja bezpośrednia powinna być realizowana często w drobnych sprawach lokalnych i regularnie w wielkich sprawach ogólnokrajowych. Ryzyka plebiscytowego lub ryzyka irracjonalnej gwałtowności opinii publicznej, często podnoszonych jako argument przeciw demokracji bezpośredniej, uniknie się wtedy, gdy - tak jak w Szwajcarii - referendum nie będzie praktyką wyjątkową, lecz stanie się czymś swojskim. Za pośrednictwem prawa do petycji, inicjatywa ludowa w zupełnie szczególnie sposób zabezpieczałaby nas przed naturalną tendencją do manipulowania referendum przejawianą przez klasę polityczną. Podobnie jak większość mych propozycji liberalnych, także i ta nie wymaga wielkich reform. Od dziś - gdyż nikt im tego nie zabrania - merowie i radni generalni mogliby podjąć inicjatywy takich referendów, grupując ewentualnie pytania dla uniknięcia nużącej konieczności zbyt częstego głosowania.

JAK NAJMNIEJ REFORMOWAC

Idea reformy jest jedną z najbardziej spaczonych idei. Ugruntowane ona w opinii publicznej przekonanie, że klasa polityczna może zmienić społeczeństwo za pomocą ustaw i dekretów. Nie oczekujemy więc od nowego rządu, że on z kolei - zajmując postawę odwrotną i symetryczną wobec socjaletatyzmu - zaniecha planowania szczęścia. Liberalny program powinien ograniczyć się do nadzwyczaj zawężonych obietnic, polegających jedynie na modyfikowaniu charakteru państwa: zrównoważony budżet, umiarkowane opodatkowanie, stabilny pieniądz, demokracja bezpośrednia z inicjatywy obywateli, zniesienie publicznych i prywatnych monopoli. Jak widać, większość z tych postulowanych zmian jest "interwencjami dereglamentacyjnymi". Cała reszta jest sprawą obywateli i nikt nie zakazuje tym wszystkim, którzy żyją, pracują, zatrudniają, administrują lub nauczają, i którzy powołują się na liberalizm - nikt im nie zakazuje, aby nie czekając na państwo, już od zaraz, sami zajęli się sprawami społeczeństwa. Liberalizm wyniknie nie tyle z aktu wyborczego, ile z ideologicznego zrywu i społecznej spontaniczności, które wywierają będą stały nacisk na biurokratyczną Nową Klasę.

Jędrzej Branecki

ORDOLIBERAŁOWIE I NIEMIECKI CUD GOSPODARCZY

Dzisiejsze Niemcy Zachodnie są dla Polaków ucieleśnieniem dobrobytu, nieomal dotykającym przez swoją bliskość, zagęszczające się wiezi rodzinno-emigracyjne, lawinę paczek i elegancjki, pochodzące stamtąd samochody, krażące po naszych drogach. A przecież ten dzisiejszy gospodarczy olbrzym dźwignął się z ruin i głębokiego upadku moralnego po klęsce wojennej. Zdarzył się "niemiecki cud gospodarczy", niegdyś szeroko komentowany, dziś przesłonięty nieco przez oszałamiające sukcesy gospodarcze Japonii i krajów Azji Południowo-Wschodniej. Jeśli - odrzuciwszy mity i propagandowe kłamstwa - wejrzeć w mechanizm tego "cudu", dostrzeżemy śmiały eksperyment gospodarczy, historie tworzone przez ludzi wybierających spośród kilku stojących przed nimi możliwości. Odsłoni się naszym oczom rola ordoliberałów, ich wyobrażenia i determinacja. Powojenne dzieje RFN stwarzają rzaćka sposobność przyjrzenia się, jak indywidualne pomysły neoliberalistów zlewają się w zwarty program, przyjęty przez rządząca partię i wypróbowany z powodzeniem w praktyce.

PUNKT WYJŚCIA: NA GRUZACH III RZESZY

Bolesne było przebudzenie narodu, który śnił o Tysiącletniej Rzeszy i panowaniu nad światem. Ruina gospodarstwa, zgłiszczca miast, prawie pięć milionów ofiar wojny, wysiedlenia z terenów wschodnich, podział na strefy okupacyjne... Pogrom wojenny i zderzenie z twardymi realiami Poczdamu rodziło niebezpieczny syndrom społecznego rozkładu, zwatpienia i moralnej próżni.

Straty w majątku produkcyjnym Niemiec, wynikłe z działań wojennych i demontażu, szacuje się na 30% stanu wyjściowego (przemysł francuski stracił 20% swej substancji, brytyjski - 5%). Wszystkie aktywa zagraniczne przemysłu niemieckiego zostały objęte sekwestrem i następnie skonfiskowane. Majątek produkcyjny, przeprofilowany dla potrzeb wojny, był po jej zakończeniu słabo wykorzystany - jeszcze przez kilka następnych lat wykorzystanie potencjału produkcyjnego nie przekraczało 50%. Z drugiej strony, półtora miliona osób poszukiwało nadaremnie pracy, a rozpoczął się właśnie napływ przesiedleńców zza Odry i wielomilionowy exodus z radzieckiej strefy okupacyjnej. Podział kraju na strefy poddane odrębnym administracjom zerwał tradycyjne więzi wymiany i kooperacji, przy czym

najszybciej oddalały się od siebie obszary wschodni i zachodni, stanowiące kaleknie i niesamodzielne organizmy gospodarcze. Przy dużej koncentracji przemysłu ciężkiego, terytorium obecnego RFN stanowiło obszar ubogi w surowce (z wyjątkiem węgla), pozbawiony chemii, przemysłu odzieżowego, włókienniczego i optycznego; sytuacja żywnościowa była tam wyjściowo gorsza niż na wschodzie.

Dezorganizacji gospodarki towarzyszył chaos pieniężny. Ilość znajdujących się w obiegu reichsmarek przerastała wielokrotnie potrzeby cyrkulacji towarowej. Ten zdeprecjonowany pieniądz funkcjonował w mocno ograniczonym zakresie, jako przymusowy środek płatniczy przy wynagrodzeniach za pracę oraz płatnościach z tytułu dostaw obowiązkowych na rzecz władz okupacyjnych. Jak to zwykle bywa w takich okolicznościach, nastąpiła neutralizacja stosunków wymiennych - przedsiębiorstwa dążyły do sprzedaży towarów za towary, zwłaszcza surowce i materiały niezbędne do produkcji lub nawet za środki spożycia dla zatrudnionych. Powszechne było tzw. "skarbieństwo" towarów (*Warenhortung*), czyli gromadzenie nieuzasadnionych zapasów towarowych. W obiegu znajdowały się dolary i funty szterlingi, ale role faktycznej monety obieguowej spełniały... amerykańskie papierosy! Cała gospodarka była w drobiazgowy sposób reglamentowana, przy czym - w opinii powszechnej - machina biurokratyczna stworzona przez aliantów działała nieporównanie gorzej aniżeli administracja wojenna III Rzeszy. *Trzysta gramów tłuszczu, dziesięć ankiet, dwadzieścia kart rejestracyjnych, trzydzieści dowodów tożsamości i stu urzędników do zarządzania tym wszystkim* - wspomina jeden ze świadków epoki.

Wymiar materialny kryzysu nie był najważniejszy. Spuścizna duchowa klęski i okupacji zdawała się być jeszcze gorszym zadaniem na przyszłość. Pośpny obraz spustoszenia psychiki zbiorowej narodu utrwałała niemiecka literatura "obrachunkowa". Hans Werner Richter kreślił następujący portret zbiorowy: *I dzisiaj naród jest w drodze... Po części bezdomny, zaludnia dworce kolejowe i pociągi. Żyje na torach. W tysiącach rozmów chce udowodnić swe prawo do życia, błądzi po drogach przeszłości i szuka nadziei na jutro. Zawsze te same problemy nurtują naród: przegrana wojna, granice strefowe, denazyfikacja, niemieckie dziewczyny, rzekoma demokracja i beznadziejna przyszłość.../!*

Wracam do tego nie po to, by Niemcom współczuć; były to wszystko konsekwencje wywołanej przez nich awantury wojennej, możliwej z kolei dlatego, iż naród był przeżarty faszystowskim totalizmem. Rekonstrukcja stanu wyjściowego potrzebna jest po to, by należycie zmierzyć dokonania lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Istotne jest mianowicie to, że aż do roku 1948 nie znajdujemy w Niemczech śladu owej radosnej krzątania gospodarczej, jaka u innych narodów była naturalną reakcją na zakończenie wojny, nawet wtedy, gdy nie oznaczało to odzyskania pełnej suwerenności. Obszar za Odrą zaludniała w tym czasie bezkształtna masa ludzka, wyczekująca, toczona chorobą wielowymiarowego kryzysu; masa plastyczna, otwarta na różne, złe i dobre możliwości...

Elita umysłowa narodu była wewnętrznie skłócona: trwał spór o metody przezwyciężenia istniejącego chaosu. Aljanci nie byli wobec tego sporu neutralni. W strefie amerykańskiej łatwiej było o popularyzację haseł "odrodzenia rynkowego", natomiast Anglicy nakłaniali do pójścia drogą reform, jakie podjęła Labour Party rządząca u nich od roku 1945.

Ścierały się różne koncepcje wśród elit, trwała huśtawka nastrojów "na dole". Cięż, bezrobocie, inflacja, nieudolna regla-

mentacja sprzyjały radykalizacji postaw. Organizowano marsze protestacyjne z powodu niedostatecznych przydziałów żywności. Hasło uspołecznienia miało wielu zwolenników. Warto przypomnieć, że w roku 1947, na mocy referendum (!) wprowadzono do konstytucji Hesji i Nadrenii-Westfalii ustępy mówiące o uspołecznieniu podstawowych gałęzi produkcji i praktycznie tylko veto władz okupacyjnych zapobiegło wprowadzeniu postanowień referendum w życie. Naród, ulegający łatwo w swej masie mitom totalitarnym, sceptycznie odnosił się do dyktowanej przez aliantów "demokratyzacji". *Kiedy mówią o demokracji - relacjonował Richter - słowo to jest jak wyciśnięta cytryna: uosabia w ich pojęciu wszystko, co najgorsze. Demokracja to dla nich jednocześnie: upadek, głód, nędza, korupcja i biurokracja.*

Pełny rejestr psychicznych fobii i materialnych barier, które spały naród niemiecki po wojnie i ciążyły nad jego przyszłością, byłyby znacznie dłuższy. I nagle, od roku 1948, wszystko się zmienia. Niemcy Zachodnie wkraczają na drogę szybkiego wzrostu gospodarczego oraz trwałej demokratyzacji instytucji i obyczajów politycznych. Trzeba koniecznie pamiętać o tym, że rok 1948 znamionował przełom, nie sposób zaś ten przełom zrozumieć, nie uwzględniając roli ordoliberalów.

SZKOŁA FREIBURSKA I EMIGRANCI

Formacja ordoliberalów wywodzi się w swym zasadniczym nurcie z tak zwanej *s z k o ł y f r e i b u r s k i e j* - jednego z ważniejszych ośrodków neoliberalnych, jakie zaznaczyły się w okresie międzywojennym na mapie ideowej Europy. Szkoła freiburska to grupa uczonych skupiona na początku lat trzydziestych wokół *W a l t e r a E u c k e n a*, kierownika katedry ekonomii politycznej uniwersytetu we Freiburgu. Partnerami Euckena byli dwaj prawnicy: Hans Grossmann-Doerth i Franz Böhm, a współpracownikami ekonomiści: F.Lutz, K.F.Maier, F.W.Meyer, B.Pflister. Krag Euckena uzupełniał jego asystent K.P.Hensel, jego żona Edith Eucken-Erdsick, ponadto H.Gestrich, L.Miksich i - wówczas jeszcze w tylnym rzędzie - Alfred Müller-Armack.

Swoista opcja ideowa tej grupy, akcentująca rolę państwa jako siły czuwającej nad przestrzeganiem zasad sprawiedliwej konkurencji rynkowej, ujawniła się w pracach fachowych, wyznaczających stanowisko szkoły w obliczu kryzysu ekonomicznego w Niemczech. W latach 1936-37 wyszły cztery tomy wydawnictwa nieperiodycznego "Ordnung der Wirtschaft", redagowane przez Euckena, Böhma i Grossmann-Doertha. Generalnie jednak, przed wojną oblicze ideowe grupy było stonowane, a fundamentalna sprzeczność z ideologią narodowego socjalizmu - co rozumiało - niedopowiedziana. Czas nie był po temu. Inteligencja, która pozostała w Niemczech, straciła w drugiej połowie lat trzydziestych zdolność mówienia pełnym głosem; trzeba przyznać, że często wyrzekała się tego prawa z zastanawiającą ustępliwością. Uczni z Freiburga nie uczestniczyli w międzynarodowym spotkaniu neoliberalów, jakie zwołał Walter Lippmann w roku 1938 w Paryżu. Większość z nich przeżyła lata faszyzmu w kraju, prezentując cały wachlarz postaw (nie obejmujący jednak aktywnej współpracy) wobec reżimu hitlerowskiego.

Do roku 1945 Krag Euckena uzyskała tożsamość nie jako opcja ideologiczna, lecz nade wszystko jako *s t a n o w i s k o m e t o d o l o g i c z n e*. Była to próba, wysoko w owym czasie oceniona i uznana za udaną, przewyciężenia sporu o istotę i

metody badawcze ekonomii. Spór taki toczył się już od połowy XIX wieku, a w okresie młodości Euckena angażował bezpośrednio "młodsza szkoła historyczna" i "szkołę austriacką"/2/. Szkoła austriacka kontynuowała, w charakterystyczny dla siebie sformalizowany sposób, aspiracje ekonomii klasycznej, narodzonej na przełomie wieków XVIII i XIX jako nauka teoretyczna, formułująca prawa podobne prawom natury, prawa mające powszechne zastosowanie. Opozycja szkoły historycznej sprowadzała natomiast ekonomię, w jednym skrajnym wariacie, do rejestru faktów gospodarczych bez próby ich uogólnienia, zaś w wariacie marksistowskim zamieniała ekonomię w naukę o obiektywnych stadiach rozwojowych (formacjach) i nieubłaganych prawach Historii.

Wyzwalając się stopniowo spod wpływów młodszej szkoły historycznej, dominującej w czasie jego studiów na uczelniach niemieckich, Eucken zaprzagnął usunąć stan niepewności metodycznej w ekonomii, obniżający rangę tej dyscypliny nauki, zwłaszcza w oczach praktyków, którzy nie znajdowali dla siebie oparcia w grzaskim gruncie polemik i sporów. *Dwa typy ekonomii politycznej istnieją obok siebie, mówiąc różnymi językami, nie mogąc się między sobą porozumieć i żaden z nich nie jest w stanie poznać prawdziwego procesu gospodarczego* - pisał Eucken /3/.

Idąc śladem Maxa Webera, szukał takich teoretycznych narzędzi analizy rzeczywistości, które pozwoliłyby wyjść poza ograniczone zdolności poznawcze "logików" (*Sinkhuber*) ze szkoły austriackiej i "faktologów" (*Stoffhuber*) ze szkoły historycznej. Owocem tych wysiłków była praca *Die Grundlagen der National-ökonomie*, ukończona przez Euckena w momencie wybuchu II wojny światowej. Dojrzano w tej pracy oryginalne rozwiązanie problemu Teorii i Historii, doceniono zawartą tam skuteczną obronę statusu ekonomii jako nauki teoretycznej, opartej na bogatej bazie empirycznej - książka miała aż cztery wznowienia w czasie trwania wojny (!) i zachowała wartość do dzisiaj.

Na czym polegało rozwiązanie Euckena, zespalające fakty historyczne i dane statystyczne z teoretycznym myśleniem? Przede wszystkim, na dostrzeżeniu i wzięciu pod lupę całego bogactwa realnych, historycznych przejawów rzeczywistości gospodarczej, które umykają z pola widzenia badacza rozumującego w kategoriach marksistowskich formacji (kapitalizm, feudalizm itp.), epok, czy stylów gospodarczych. Są to, zdaniem Euckena, zbyt wielkie agregaty, wchłaniające całe serie wyodrębniających się typów realnych (*Realtypen*) - takich na przykład, jak różne względem siebie gospodarki Lubeki, Norymbergi i Freiburga w tym samym wieku XV - które powinny być właściwym punktem wyjścia analizy ekonomicznej. Eżyły to bowiem odrębne całości, systemy gospodarcze (*Wirtschaftsordnungen*); dopiero w ich ramach każda czynność gospodarcza nabiera sensu i dopiero ich sekwencja, jak sekwencja klatek filmu, daje wgląd w mechanizm przemian gospodarczych.

Rzeczywiste struktury, te konkrety historyczno-gospodarcze, okazują się przy bliższym wejrzeniu zmiennymi kombinacjami tych samych elementów; czystych pierwotnych form - typów idealnych (*Idealtypen*). Zamknięty, przeliczalny zbiór typów idealnych można porównać do alfabetu: tak jak z dwóch tuzinów liter daje się utworzyć ogromna różnorodność wyrazów o odmiennej budowie i różnej długości, tak z ograniczonej liczby form elementarnych może powstać nieprzejrzana obfitość rzeczywistych struktur gospodarczych. Niepowtarzalność tych realnych struktur jest zatem funkcją niepowtarzalnego układu form czystych, stanowiących ich konstytutywne formy zasadnicze (*konstitutive Grundformen*).

Typy idealne otrzymujemy w drodze abstrahowania, lecz nie chodzi tu o abstrakcję uogólniającą, ale o abstrakcję w rozumieniu Husserla - izolującą, podkreślającą pewne strony rzeczywistości (*Abstraktion im Sinne der pointierenden Hervorhebung*). Ta droga powstaje aparatura teoretyczna, którą z kolei można posłużyć się do analizy budowy i funkcjonowania rzeczywistych systemów gospodarczych.

Eucken porównał własną teorię ekonomiczną do skrzyni pełnej logicznych instrumentów. Każdy konkretny przypadek w swej osobliwości decyduje o tym, jakie instrumenty mają być użyte przy naukowej obróbce, a które mają pozostać w skrzyni. Aparatura sama jest efektem badań. Uczony bierze za punkt wyjścia dane historyczne, zjawiska w ich żywej konkretności i powraca do nich uzbrojony w zestaw czystych form, umożliwiających dogłębne poznanie realnych powiązań. Dzięki szansie zredukowania nieprzejrzanego bogactwa struktur gospodarczych do skończonej ilości form idealno-typowych przewyciężona została "wielka antynomia" ujęcia historycznego i ujęcia teoretycznego, rywalizujących ze sobą w ekonomii.

Klasyfikację form idealno-typowych, czyli morfologię systemów gospodarczych, uprawiali z zapałem uczniowie Euckena. Przejawiała się w tym niemiecka maniera klasyfikowania i pedantycznej systematyzacji, ujawniała się przy okazji preferencje ideowe szkoły freiburskiej. Były one szczególnie widoczne w analizie biegunowych typów idealnych: gospodarki kierowanej centralnie (*zentralgeleitete Wirtschaft*) i "czystej" gospodarki rynkowej (*Verkehrswirtschaft*), ich podtypów, oraz wtedy, gdy analizowano pięć idealnych form rynkowych (monopol, częściowy monopol, oligopol, częściowy oligopol, konkurencja), czy formy własności. Jak już wspominałem, metodologia Luckena oznaczała wyraziste zerwanie z myśleniem w kategoriach "stopni rozwoju" lub formacji historycznych, następujących po sobie zgodnie z jakąś ukrytą logiką. Typy idealne, będące kluczem do zrozumienia poszczególnych struktur gospodarczych, tworzyły aparaturę teoretyczną oderwaną od miejsca i czasu /4/. Rzecz jasna, taki styl analizy naukowej spotkał się z surową reprimendą ze strony marksistów działających w różnych krajach Europy Wschodniej.

W czasie gdy grupa Euckena zdradzała swoją opcję ideową pośrednio, poprzez stanowisko metodologiczne, ci liberałowie niemieccy, którzy wybrali emigrację - przede wszystkim Röpke i Rüstow - włączyli się otwarcie w międzynarodowe środowisko neoliberalne, konsolidujące się w Europie w latach trzydziestych. Właśnie Röpke i Püstow reprezentowali Niemcy na zjeździe w Paryżu w roku 1938.

Na emigracji w Szwajcarii Wilhelm Röpke napisał dwie książki, które przyniosły mu rozgłos i należą niewątpliwie do kanonu neoliberalnego dwudziestego wieku. Pierwsza z nich zatytułowana *Die Gesellschaftskrisis der Gegenwart* ("Kryzys społeczny współczesności") ukazała się w Zurichu w roku 1942. Zachęcony jej sukcesem Röpke napisał szybko i wydał w dwa lata później książkę pod tytułem *Civitas Humana*, ponawiającą ostrzeżenia zawarte w pierwszej pracy, ale niosącą zarazem większy ładunek myślenia konstruktywnego.

Röpke nie był pierwszym głosicielem kryzysu cywilizacji zachodniej, nie był też oryginalny, porównując ten kryzys do schyłku kultury antycznej. Od czasu Spenglera i jego *Zmierzchu Zachodu* powstała cała seria dzieł kwestionujących siłę i żywotność kultury zachodnioeuropejskiej. Książki te różniły się stopniem

fatalizmu w ocenie kryzysowego trendu - jedne ostrzegają, inne, jak dzieło Spenglera, miały wydzwięk katastroficzny. Książki Röpke'go należą do serii "ostrzegawczej". Powstały - jest to ich wyróżnik - na skrzyżowaniu dwóch nurtów myślowych: neoliberalizmu i katolickiej nauki społecznej. Pierwiastek neoliberalny, przynajmniej w diagnozie, wydaje się silniejszy: dramat kultury zachodniej polega, zdaniem Röpkego, przede wszystkim na tym, że zdegenerował się jej oryginalny, zdrowy fundament liberalny. Ów fundament narastał ewolucyjnie, w drodze lokalnych eksperymentów i ich ostrożnego naśladownictwa. Angielska "Magna Charta" (1215), szwajcarski "Bundesbrief" (1291), prawodawstwo szwedzkie Magnusa Eriksona (1350), unia prowincji holenderskich (1579), angielska Petycja o Prawo (1618) i Deklaracja Praw (1689), amerykańska Deklaracja Niepodległości (1776), amerykańska konstytucja (1788) i jej uzupełnienia, konstytucje szwajcarskie z lat 1848 i 1874 - oto znaczące epizody tego procesu dziejowego i prawdziwe korzenie liberalnego świata/5/. Żywotne, autentyczne wspólnoty liberalno-demokratyczne rodziły się powoli, bez fanfar i bez operowej dramaturgii, która towarzyszyła wielkim przełomom i proklamacjom nowej ery - w stylu wydarzeń roku 1789 we Francji.

Dziedzictwo Rewolucji Francuskiej wykreślone zostaje, podobnie jak u Hayeka, z rodowodu i ideowej skarbnicy liberalnej Europy. Wspólnie z Hayekiem, Röpke definiuje fałszywy ton Rewolucji Francuskiej: racjonalistyczna aberracja, wybujały scjentyzm - cechy, które udzieliły się niestety doktrynie i praktyce liberalnej XIX wieku, nadając jej dogmatyczny, socjologicznie "ślepy" charakter, przejawiający się w absolutyzowaniu i ilościowym ujęciu demokracji i dogmatycznym leseferyzmie w ekonomii. *Za dużo Rousseau i Woltera, za mało Monteskiusza* - podsumował Röpke spaczoną recepturę liberalną XIX wieku.

Ale to dopiero połowa nieszczęścia. Racjonalistycznej aberracji towarzyszyło - ten wymiar kryzysu Röpke akcentuje silniej niż inni liberałowie - stopniowe wyczerpywanie się zasobów chrześcijańskiej kultury europejskiej. Ten sam proces sekularyzacji Zachodu, który w klasycznym dziele W.E.H. Lecky'ego (*The Rise and Influence of Rationalism*, 1865) zinterpretowany został jako chwalebna emancypacja rodzaju ludzkiego, wyjście z ery zabobonu i wstąpienie w erę rozumu, u Röpkego oznacza erozję fundamentalnych wartości i norm, stanowiących żywotny rezerwuar kultury europejskiej. Oznacza stacanie się w duchową próżnię (*geistige Interregnum*), nihilizm, agnostycyzm, porzucenie naturalnych drogowskazów i autorytetów, by oddać się w moc ideologii - tych współczesnych pseudoteologii, które za władne wyobraźnia masowa.

Dotknięte dekadencją elity zamilkły, niezdolne pełnić roli sumienia cywilizacji lub, gorzej jeszcze, zaprzęły się w służbę kolektywistycznych ideologii, przyspieszając kryzys państwa i społeczeństwa. Chorobliwy stan społeczeństwa XX wieku określił Röpke mianem *proletaryzacji* (*Proletarisierung*), mając na myśli zjawisko antycypowane przez Milla i Tocqueville'a, a dostrzeżone przez Gustawa le Bon w jego bestsellerze *Psychologia tłumów* (1895) i mistrzowsko sportretowane przez Ortego y Gassetę w *Buncie mas* (1929) - chodzi tu o narodzin "społeczeństwa masowego" i wejście mas na arenę polityczną. Masa, człowiek masowy, społeczeństwo masowe, są to u Röpkego i Ortegi pojęcia zabarwione pejoratywnie; sugerujące ślepy tłum, zbiorową miernotę, ilość zamiast jakości. "Umasowienie" (*Vermassung*) to pojęcie-wytrych: lapidarny opis struktury

nowoczesnego społeczeństwa, skrótna diagnoza socjologiczna (to jest atomizacja po rozpadzie tradycyjnych struktur społecznych) oraz epitet moralny (proces kulturowej niwelacji, redukcja potrzeb duchowych, w tym także zapotrzebowania na wolność).

Wprowadzona przez Röpke'go kategoria "proletaryzacji" sygnalizuje, iż wzbogacił on swoją diagnozę stanu społeczeństwa o dodatkowy odcień, zapożyczony z encyklik papieskich.

Proletariat cierpi na brak tego, co, zupełnie niezależnie od czysto materialnych aspektów życia, cechowało chłopów i rzeźmieśników: niezależności i autonomii całej ich egzystencji, mocnego zakorzenienia w środowisku domowym i rodzinnym, posiadanej własności i wykonywanym zawodzie. Staje się więc dla nas jasne, że w gruncie rzeczy proletariat pozbawiony jest tego rodzaju egzystencji, jaka jest przyrodzona istotom ludzkim i jaka daje nam satysfakcję płynącą z tego, iż żyjemy w harmonii z najgłębszymi pokładami naszej natury/6/.

Ta kaleka, niepełna egzystencja jest nade wszystko pochodną wydziedziczenia szarego człowieka, pozbawienia go własności prywatnej, będącej ostoją samodzielnego bytu jednostki i jej rodziny. Nastąpiła koncentracja własności w rękach nielicznych i przekształcenie szerokich rzesz ludzkich w zatowarowaną, zurbanizowaną masę najemników.

Proletaryzacja, pokazana w szóstym rozdziale *Civitas Humana* jako podstawowy wymiar kryzysu nowożytnego społeczeństwa, jest stanem niebezpiecznym antropologicznie i socjologicznie. Zagrożenie bierze się stąd, iż sproletaryzowana masa ludzka staje się ślepa, podatna na deragację i manipulację siłą na arenie politycznej; sproletaryzowany żywiół społeczny przestaje być odporny na chorobę totalitaryzmu. Nawet jeśli nie padnie ofiarą antydemokratycznego przewrotu, jak w Rosji, Włoszech i Niemczech, ulega kolektywizacji stopniowo, w riarę kumulacji władzy politycznej i gospodarczej w rękach państwa i nieuchronnej biurokratyzacji życia publicznego. Każdy, nawet zdrowy, demokratycznie wyłoniony rząd, pisał Röpke, może być obciążony zadaniami tylko do pewnego, nieprzekraczalnego poziomu. Przekroczenie tego poziomu grozi zniszczeniem równowagi między kolektywną organizacją i jednostką. Biurokratyzacja i centralizacja życia oraz autokratyczny styl rządzenia stają się wtedy nieuchronne, a wraz z tym pojawia się i narasta nieufność, potem konflikt między rządzącymi i rządzonymi. To z kolei podważa i ostatecznie unicestwia moralne fundamenty prawowitej władzy. Podobnie jak było w starożytności, nowożytny rząd i współczesne społeczeństwo znalazły się na progu degeneracji w etatyzm i kolektywizm i, jak wtedy, może to spowodować rozpad całej cywilizacji i kultury.

Jak, już pisałem, traktaty Röpke'go mają wydźwięk alarmistyczny, ale nie katastroficzny. Opisany przezeń kryzys społeczny, osiągający różny stopień nateżenia w poszczególnych krajach, nie jest obiektywnym przeznaczeniem cywilizacji zachodniej. Został zawiniony, jest owocem ludzkich błędów. Jakże się mylimy - pisał Röpke - utrzymując, że proletaryzacja jest procesem naturalnym i że nie mogło być inaczej. Stan jest wprawdzie krytyczny, ale wciąż jeszcze odwracalny.

Żeby to jednak nastąpiło, trzeba odrzucić fałszywe podszepty socjalistów i omijające sedno problemu koncepcje państwa dobrobytu; trzeba przedsięwziąć terapię adekwatną do posiadanej diagnozy, to jest przystąpić do rozwiązywania węzłowego

problemu współczesnego społeczeństwa - problemu proletaryzacji.

Idea pozytywna Röpkego - *deproletaryzacja* (*Entproletarisierung*), była zbieżna ze stanowiskiem Watykanu wobec narosiej w Europie kwestii robotniczej. Röpke pisał:

W dłuższym horyzoncie czasu problem proletariatu może mieć tylko dwa ostateczne rozwiązania:

1. *Albo wszyscy ulegniemy proletaryzacji, czy to w wyniku nagłej rewolucji (jak w Rosji), czy to stopniowo (jak w innych krajach), albo*
2. *Przekształcimy proletariuszy w posiadaczy, dopełniając tego, co encyklika papieska Quadragesimo Anno trafnie określa mianem redemptio proletiorum...//.*

Przywołując autorytet Piusa XI, Röpke podobnie widział wyjście z epoki konfliktów rozdzierających społeczeństwo: w u w ł a s z c z e n i u dotychczasowych najemników. Nie miało to jednak nic wspólnego z marksistowskim uspołecznieniem własności, oznaczało bowiem upowszechnienie własności prywatnej - jedynej formy własności, która stwarza materialną gwarancję wolnej egzystencji. Likwidacja prywatnej własności i budowa kolektywnej struktury gospodarczej zaprzęcałaby potrzebom naturalnym człowieka. Röpke wierzył, że w sferze reformy własności leży klucz do naprawy zwichniętej relacji między jednostką i wspólnotą, że jest to ów poszukiwany grunt, na którym rokwitają cnoty obywatelskie, odradza się poczucie odpowiedzialności, zdrowe układy rodzinne i naturalny szacunek dla wspólnoty - przymioty niezbędne, by rewitalizować społeczeństwa zachodnie i uchronić je przed losem świata hellenistycznego.

Liberalizm Röpke'go, skrzyżowany z ethosem chrześcijańskim, nie mógł zatrzymać się na pozycjach wybujałego indywidualizmu. Röpke powtarzał z raciskiem, że pojmuje liberalizm jako doktrynę równowagi pomiędzy jednostką i wspólnotą. Przedmiotem świadomych zabiegów powinno być tworzenie stabilnych ram antroposocjologicznych życia społecznego, zdolnych równoważyć zasadę indywidualizmu, będącą jądrem gospodarki rynkowej.

Zatem drugi biegun projektu ustrojowego Röpke'go to postulat przywrócenia prawdziwie ludzkiego wymiaru w organizacji życia zbiorowego (*Pückführung aller Dimensionen und Verhältnisse auf menschliche Masse*). Miałyby to polegać na wszechstronnej decentralizacji z a c j i i d e k o n c e n t r a c j i form społecznych, przy czym daje tu znac o sobie zafascynowanie Szwajcarią; druga ojczyzna Röpkego najwyraźniej modeluje jego wizję i dostarcza gotowe wzorce rozwiązań praktycznych. Zasadniczym punktem programu była oczywiście decentralizacja własności - reforma własności ma w systemie myślowym Röpke'go charakter wielostronnej terapii, a szczególne cechy terapeutyczne oraz cechy ułatwiające techniczną stronę reformy posiada, jego zdaniem, własność ziemską. Powołując się na wydana w roku 1942 pracę von Dietze'a *Landwirtschaft und Wettbewerbsordnung*, Röpke usilnie rekomendował model "farmerskiej struktury rolnej" - z warstwą niezależnych farmerów tworzących "zdrowe jądro społeczeństwa". Drugim punktem programu, silnie sprzęgnięty z pierwszym, miała być aktywna polityka decentralizacji produkcji: świadome kształtowanie skali produkcji i rozmiarów jednostek wytwórczych (*Betriebs-grossenpolitik*). Demontażowi gigantów i monopolii powinny towarzyszyć pozytywne impulsy dla rzemiosła, drobnego handlu i innych form aktywności zawodowej, które nie depersonalizują stosunków pracy. Trzecim elementem byłby zespół działań kształ-

tujaczych "socjologicznie zdrowy" kontekst pozagospodarczy - chodziłoby tu o nowy styl planowania przestrzennego (m.in. powstrzymanie żywiołowej urbanizacji) i nowy styl polityki społecznej.

Na tle epoki, gloryfikującej wielkość jako naczelną miarę wartości, epoki rozpedzonej bezkrytycznie ku rekordom wielkiej skali w technice i organizacji, głos Röpke'go wydawać się mógł żalosnym anachronizmem. Ale zbliżał się czas przewartościowań idei postępu i czas zrozumienia, że trzeba płacić za zatrzymanie ludzkiej miary działań. Dziś, kiedy gigantomania wyszła z mody, program Röpke'go, najlepiej streszczający się w hasle Schumachera "małe jest piękne", nabrał aktualności. Poszukiwanie techniki i organizacji przyjaznej człowiekowi należy dziś do uznanych i powszechnie akceptowanych priorytetów rozwojowych, a mocnym sprzymierzeńcem okazały się tu przemiany strukturalne, będące treścią współczesnej rewolucji naukowo-technicznej.

Idee Röpke'go odegrały znaczącą rolę w powojennych Niemczech, gdzie spotkały się z koncepcjami wychodzącymi z kręgu freiburskiego, który bezpośrednio po wojnie przystąpił do otwartego, energicznego kreślenia swego ideału ustrojowego.

Powstająca w otoczeniu Euckena nauka o systemach gospodarczych zamieniła się w normatywny wykład zasad budowy najbardziej pożądanego porządku społeczno-gospodarczego, to jest takiego, jaki dawałby szansę odrodzenia Niemiec i jaki - tak daleko sięgały ambicje neoliberalistów z Freiburga - byłby odpowiedzią na kryzys całej cywilizacji zachodniej (Eucken dał własną diagnozę tego kryzysu w eseju *Über Zeitalter der Misserfolge* z roku 1948).

Dwie daty tworzą klanrę spinającą proces dojrzewania programowego szkoły freiburskiej: rok 1942, kiedy opublikowano wspomniany przeze mnie traktat metodologiczny Euckena oraz rok 1952, kiedy już pośmiertnie wydano pracę tegoż autora *Grundsätze der Wirtschaftspolitik* (Zasady polityki gospodarczej), przygotowaną do druku przez Edith Eucken i Paula Hensela.

Po uporządkowaniu metodologicznych zrebów ekonomii, Eucken postawił sobie następny cel: znalezienie naukowego programu gospodarczo-społecznego, optymalnego i zobiektywizowanego tak dalece, jak to jest tylko możliwe. W erze masowych ideologii chciał wznieść się ponad ich subiektywne prawdy, tendencyjne, klasowo-interesowną retorykę; w erze politycznych eksperymentów i holdowania eklektyzmowi w doborze narzędzi politycznych, chciał zaproponować program długofalowy i wewnętrznie zwarty. Eucken czuł się należycie przygotowany, by podołać tym zadaniom - dotychczasowy dorobek własny i całej szkoły freiburskiej polegał przecież na zinventaryzowaniu potencjalnych systemów gospodarczych i właściwych im narzędzi polityki gospodarczej, na rozpatrzeniu ich wad i zalet oraz pełnych skutków wprowadzenia tych systemów w życie.

Fezstronna analiza wyłoniła spośród nich pożądaną idealną ustrojową: system współzawodnictwa (*Wettbewerbsordnung*), inaczej nazywany systemem z orga-ni-zo-wa-n-e-j k-o-n-k-u-r-e-n-c-j-i. Przybliżyliśmy się do tego ideału, gdy konsekwentnie oczyszczamy pole gry gospodarczej z elementów przymusu, czyli najrozmaitszych form nieuzasadnionego krepowania swobody konsumentów i inicjatyw producentów. Wylania się wtedy o tyle ład wzorowy, o ile zespala logi-

cznie i harmonijnie wszystkie elementy procesu gospodarczego, łączy współzawodnictwo ze swobodą działania po obu stronach rynku. Wszelkiego rodzaju producenci z jednej strony i gospodarstwa domowe z drugiej swobodnie poszukują optymalnych - z własnego punktu widzenia - rozwiązań czy to produkcyjnych, czy to konsumpcyjnych. Ten ład realizuje się nie przez subordynację, lecz przez dobrowolną koordynację działań. Głosy nabywców czyli ich zrealizowane wybory rynkowe, oraz niezakłócone współzawodnictwo sprzedawców, za pośrednictwem mechanizmu cenowego, koordynują plany i decyzje uczestników gry rynkowej, harmonizując produkcję i preferencje budżetów domowych w sposób nieosiągalny dla centralnego planisty, nawet gdyby założyć, iż jest to bezstronny i przepełniony dobrą wolą "mózg" gospodarki. System współzawodnictwa - oto propozycja Euckena i zwięzłe sformułowanie systemu myślowego.

ORDOLIBERALIZM: W POSZUKIWANIU "TRZECIEJ DROGI"

System współzawodnictwa Euckena, pochodzący od Röpkego program deproletaryzacji i decentralizacji, Rüstowa koncepcja liberalnej interwencji, Böhma projekt demonopolizacji rynku, drobek innych myślicieli, których nazwiska pojawiają się dalej - były to wszystko autorskie, częściowo niezależne od siebie wątki i przyczynki, składające się na fenomen liberalnego renesansu w Niemczech. Powstały w ten sposób amalgamat ideowy nazwano *ordoliberalizmem*; nazwa pochodzi od tytułu roczników "Ordo", wznowionych w 1948 r. i będących płaszczyzną integracji środowiska, ośrodkiem krystalizacji i unifikacji neoliberalnego programu odrodzenia Niemiec. Najprościej byłoby uitożsamić ordoliberalistów z szerokim gronem redaktorów i współpracowników tego pisma, ale nie jest to kryterium ścisłe, gdyż nakazywałoby ono zaliczyć do grupy "Ordo" na przykład Hayeka, członka kolegium redakcyjnego, a przecież neoliberalną odrębną formacją myślową.

Poszczególni ordoliberaliści różnie rozkładali akcenty, nie zmierzali nigdy do pełnej jednorodności, ale wspólny dla nich mianownik był na tyle wyrazisty, że pozwala łatwo wyodrębnić ten nurt myślowy spośród innych odmian myśli liberalnej XX w. Oto w kilku punktach najistotniejsze wyróżniki niemieckiej formacji neoliberalnej:

1. Była to formacja *liberalno-chrześcijańska*. Posiadała jawny wymiar metafizyczny, ukryty lub niewidoczny u większości innych liberałów. Stanowiła ona kolejną w dziejach myśli ludzkiej próbę znalezienia porządku naturalnego - optymalnego kształtu struktury społecznej. Idea porządku naturalnego, przyjmująca na przestrzeni dziejów różne wcielenia, odegrała niebagatelną rolę w rozwoju myśli społecznej, asystując także - w oświeceniowej, na wpół zeświecczonej wersji *ordre naturel* - przy narodzinach klasycznego liberalizmu. Dopiero w XIX w. liberalizm wyrzekł się słownika prawa natury, stając się zupełnie świecką sztuką organizacji życia zbiorowego. Ale ten "liberalizm utylitarystyczny" stracił, w porównaniu z "liberalizmem prawa natury", swoją moc perswazyjną - tak jak mechanizmy gospodarki rynkowej, pozbawione sankcji transcendentnej i oryginalnego związku z religijnością, traciły na atrakcyjności w odbiorze społecznym. Ordoliberaliści chcieliby odzyskać dla rynku ową religijno-metafizyczną sankcję, chcieliby zobiektywizować swój wybór ustrojowy. Wydobywają normę z odczytu natury - w ten sposób normy i wartości przestają pochodzić jedynie z wolnego wyboru człowieka, a ład rynkowy odzyskuje moralny sens.

...siał ta idea odżywa znów - pisał Eucken o idei porządku naturalnego - w otloczu naglącej potrzeby znalezienia dla krajów uprzemysłowionych brakującego im, funkcjonalnego i godnego osoby ludzkiej ładu ekonomicznego, społecznego, prawnego i politycznego.

Niemieccy liberałowie nawiązywali w dodatku nie do oświeceniowego *ordre naturel*, patronującego odkryciom Adama Smitha, lecz do tomistycznej kategorii *Ordo universi*, oznaczającej doskonały, rozumny i poznawalny porządek rzeczy, mogący być miarą i odniesieniem dla istniejących systemów. Według Böhma istnieje tylko jeden ustroj, który zasługuje na określenie "ład" (*Ordnung* w wyższym sensie i dlatego zadaniem ludzkim ma być dołożenie wszelkich starań, żeby spomiędzy możliwych społecznych systemów dać pierwszeństwo temu, który ma naturę *Ordo*...

Inaczej ustalał związek swego programu z *Ordo universi* Röpke, którego propozycje miały przywrócić taki porządek, jaki byłby nieuniknionym owocem spontanicznej, wolnej od arbitralnych ingerencji, ale za to sprzęgniętej z etyką chrześcijańską, ewolucji; jeszcze inaczej robił to Eucken, którego "system współzawodnictwa" był przede wszystkim dającym się logicznie wywieść ideałem i inaczej inni ordoliberalowie. W przekroju grupowym prawdziwe będzie następujące podsumowanie: proponowany przez niemieckich liberałów system zorganizowanej konkurencji miał rysy "Ordo", ponieważ był racjonalny i zgodny z naturą człowieka.

2. Nawiązując na innym poziomie łączność z doktryną chrześcijańską, ordoliberalowie akcentowali zbieżność swoich koncepcji z nauką kościoła katolickiego, który po długotrwałym milczeniu w kwestiach społeczno-ekonomicznych, określił swoje stanowisko: najpierw w encyklice Leona XIII *O kwestii robotniczej* (*Rerum Novarum*) z roku 1891, potem w encyklice Piusa XI *O odnowieniu ustroju społecznego i dostosowaniu go do normy prawa Ewangelii* (*Quadragesimo Anno*) z roku 1931. Pisałem już o zbieżności idei "właśczeni" mas jako sposobu wydobycia ich ze stanu proletaryzacji, idei przewodniej u Röpkego i niemniej ważnej u innych ordoliberalów, ze stanowiskiem Watykanu. Co więcej, liberałowie niemieccy reklamowali swój "system współzawodnictwa" jako jedyne praktyczne spełnienie "z a s a d y s u b s y d i a r n o ś c i", naczelnej zasady architektonicznej społeczeństwa sformułowanej w encyklice *Quadragesimo Anno*. Eucken pisał o tym: *Najwyższą zasadą dla ukształtowania życia społecznego jest (według encyklik) zasada subsydiarności: budowa społeczeństwa powinna następować od dołu ku górze. Co mogą samodzielnie zdziałać jednostki lub grupy, to powinny one z własnej inicjatywy i wedle swych umiejętności czynić. Państwo zaś powinno tylko tam wkraczać, gdzie nie sposób się obejść bez jego pomocy. Zgodność zasady subsydiarności z systemem współzawodnictwa widoczna jest jak na dłoni. Także system współzawodnictwa kładzie nacisk na wyzwolenie inicjatywy jednostek - przy ograniczeniu państwa do tych zadań, którym nie może sprostać wolna gra sił. W każdym razie, system współzawodnictwa i tylko ten system, pozwala na pełną realizację zasady subsydiarności...* /8/.

Uznając intencjonalne pokrewieństwo wskazań ordoliberalów z katolicką zasadą subsydiarności i papieskim hasłem *redemptio proletariorum*, trzeba mieć świadomość, iż żaden nurt neoliberalny, ergo prorynkowy, nie może w pełni przystawać do nauki społecznej, zbudowanej konsekwentnie na fundamencie tomistycznym. Ujęcie własności jako zobowiązania społecznego, nieufność wobec motywów pieniężnych, dystans wobec *homo oeconomicus*, potępienie

zdepersonalizowanych więzi rynkowych, nieredukowalność dobra wspólnego do prostej sumy dóbr indywidualnych, organiczna i ścierarchizowana wizja społeczna - oto niezbywalne atrybuty tego stylu myślenia, który powołuje się na Tomasza z Akwinu i który nigdy nie był specjalnie bliski liberałom; nie mógł też całkowicie pociągać dwudziestowiecznych odnowicieli liberalizmu.

Także wśród niemieckich neoliberalistów byli tacy, którzy spoglądali z rezerwą na chrześcijańskie inspiracje programu "Ordo" lub rejestrowali otwarcie różnice dzielące ten program od doktryny kościelnej, zwłaszcza w jej niezbyt fortunnym zapisie z roku 1931. Pewne trudności biorą się stąd - przyznawał Eucken - że w rozumieniu kościoła katolickiego, szczególnie zaś w Quidagesimo Anno z 1931 roku, obok zasady subsydiarności, postuluje się wyraźnie zasadę ustroju stanowego (Ständerprinzip). Przyczyny tego leżą poza obszarem ekonomii. Decyduje o tym raczej pragnienie, by wyobcowanego człowieka doby dzisiejszej ponownie zakotwiczyć w społeczeństwie. Ale państwo stanowe i system współzawodnictwa nie dają się wzajemnie pogodzić.../9/.

Najbliższy ortodoksji katolickiej był, jak wynika z mojej prezentacji, Röpke; liberał osobliwy, idealizujący - wzorem neotomistów - bogobojne średniowiecze i tam, w ówczesnych małych i stabilnych społecznościach, szukający inspiracji. Właśnie u Röpke'go wyczuwa się najsilniejsze pragnienie stopienia egoizmu uczestników gry rynkowej i pragnienie regeneracji tkanki społecznej poprzez zadomowienie w niej szarego człowieka - tym celom podporządkował szereg elementów swojej wizji ustrojowej.

Pozostali ordoliberaliści zrobili w omawianym kierunku krok mniej niż Röpke, ale krok więcej aniżeli inne środowiska neoliberalne. Kontekst historyczny pomógł im docenić wartość pokoju społecznego, będącego tradycyjnym postulatem chrześcijańskiego solidaryzmu i zarazem celem "Ordo", podobnie jak misja reintegracji "proletariuszy" w harmonijną całość społeczną. Był to więc liberalizm chrześcijański i socjalny. Ale, powtarzam, niezależnie od intencji, pełny mariaż z doktryną kościelną nie był możliwy. Nawet wspólne jądro programu: wolność osadzona na własności prywatnej, interpretuje się w nauce katolickiej statycznie - jako fundament pogodnej, uporządkowanej egzystencji, doskonalenia moralnego i równowagi społecznej; zaś u liberałów dynamicznie - jako warunek kreatywności systemu rynkowego, ostoję przedsiębiorczości, katalizator energii rozsadzającej nieustannie zastane ramy życiowe.

3. Na tle środowisk neoliberalnych, formujących się w latach trzydziestych naszego stulecia jako nurt krytyczny wobec rzeczywistości, opozycyjny w stosunku do masowych przekonań i postaw, daleki od sekciarstwa, mający charakter luźnej propozycji światopoglądowej - ordoliberaliści wyróżniali się swoją ofensywnością, pozytywizmem i "domknięciem koncepcyjnym" - preferowali kontratak, a nie defensywę. Inni wyznawali credo Waltera Lippmanna, brzmiące: *Nie ma żadnego planu przyszłości, przeciwnie, jest przekonanie, iż przyszłość musi posiadać kształt, jaki nada jej, oczyszczona tak dalece jak to jest tylko możliwe z arbitralności, energia ludzka*. Ordoliberaliści byli zaś tymi, którzy znali "plan przyszłości". Oparcie normy na poznaniu wydało skończony, panoramiczny projekt ładu gospodarczo-społeczno-politycznego, który miał być największym przybliżeniem do systemu współzawodnictwa - owego ustrojowego optimum, mającego naturę *Ordo universi*.

4. Łączy się z tym jeszcze jeden wyróżnik ordoliberalizmu: nacisk na udział ludzkiej woli, świadomej kształtującej stosunki społeczne. System współzawodnictwa jest wprowadzany przyrodzoną formą życia zbiorowego, ale tylko w tym sensie, iż dążenie do jego ustanowienia odpowiada naturze człowieka. Ten wzorowy ład nie realizuje się spontanicznie. Nie jest to dzika roślina (*Naturgewächs*) lecz kultywowana uprawa (*Kulturpflanze*). System zorganizowanej konkurencji musi być instytucjonalnie wprowadzony i stale pielęgnowany (*Veranstaltung und Gestaltung*). Nie wystarczy, pisał Eucken, wprowadzić w życie określonych zasad prawnych, pozostawiając funkcjonowanie gospodarki samej sobie. Zbudowawszy system zorganizowanej konkurencji pozostawia się wolne pole inicjatywie ludzkiej, ale definiuje się ściśle reguły działania i nadzoruje ich przestrzeganie. Także w tym punkcie rozchodzą się drogi ordoliberalów i innych liberałów, wśród których dominuje postawa aprobaty wobec spontanicznej ewolucji, niosącej ze sobą różnorakie tendencje, swobodnie rywalizujące między sobą.

5. Zasadniczą siłą porządkującą jest w systemie ordoliberalów państwo. Nie może być to zatem instytucja słaba i uległa wobec interesów grupowych. Ideałem niemieckich liberałów nie jest "państwo minimalne" (*Minimalstaat*), lecz państwo silne i bezpartyjne (*Sozialer Rechtsstaat*), jak pisał Röpke, działające w interesie gospodarki rynkowej. Państwo ma być arbitrem na rynku, czuwającym nad tym, aby panował właściwy klimat współzawodnictwa. Pożądanym kierunek aktywności państwa można określić przy pomocy terminu ukutego przez Rüstow już w roku 1933 jako "liberalną interwencję" lub rynkowo-konformistyczny interwencjonizm (*markkonformer Interventionsismus*)/10/.

Z wymienionych względów, doliczając jeszcze realia powojennych Niemiec, samookreślenie się ordoliberalów jako zwolenników "trzeciej drogi", wydaje się szczerze i uzasadnione. Pojęcie trzeciej drogi (*Dritter Weg*), które zrobiło karierę w świecie, uzyskując mnóstwo znaczeń, zostało użyte bodaj po raz pierwszy przez Röpke'go w książce *Die Lehre von der Wirtschaft*, wydanej w Wiedniu w 1937 roku - na oznaczenie programu, który by wychodził poza ówczesne alternatywy ideologiczne, prowadząc kampanię na dwa fronty: przeciw kolektywizmowi i przeciw zdogmatyzowanej wersji liberalizmu.

Podobną intencję wyrażał Müller-Armack: ...musimy dzisiaj skonstatować na trzeźwo, iż obie alternatywy, między którymi poruszała się dotąd polityka gospodarcza, tj. liberalna gospodarka rynkowa i gospodarka kierowana, zużyły się wewnętrznie i dlatego przyszedł czas na rozwinięcie trzeciej formy, która nie jest ani nieokreśloną mieszaniną ani kompromisem, lecz syntezą uzyskaną z pełnego zrozumienia naszej współczesności. (...) Byłoby beznadziejnym przedsięwzięciem, gdybyśmy w okresie najściślejszych przeobrażeń społecznych i kulturowych zalecali ponownie ekonomiczny światopogląd liberalizmu (...) Przyszłość należy do świadomie kształtowanej gospodarki rynkowej.../11/.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, widzimy jasno, że świąteczną formuła "Ordo" była czymś nieodzownym, jeśli miała to być próba znalezienia odpowiedzi na wielowymiarowy kryzys niemiecki i skutecznym, nośnym apelem do zbiorowości skażonej jedną, dopiero ca przezwyjętą formą totalitaryzmu, a noszącej już zarodki innej choroby totalitarnej. Skuteczny mógł być jedynie ofensywny wariant obrony instytucji i wartości Zachodu, a dodatkowym walorem alternatywy ordoliberal-

nej było zaopatrzenie jej w sankcję religijną - co zaspokajało ówczesny głód absolutu i stanowiło ripostę na duchowy wymiar kryzysu niemieckiego. Tu dygresja - Ryszard Legutko, wyliczając w swej bardzo cennej książce pod tytułem *Dylematy kapitalizmu* współczesne próby wsparcia świata wolnego rynku autorytetem religii, wspomina jedynie (mimoходом) Röpke'go, a pomija całą formację ordoliberalów; niesłusznie - całą grupę cechowało pełne zrozumienie tego, iż podkopywanie tradycyjnych chrześcijańskich fundamentów moralności Zachodu było, z punktu widzenia trwałości wolnego społeczeństwa, równie niebezpieczne, co naruszenie równowagi między jednostką a państwem w sferze instytucjonalnej.

SPOŁECZNA GOSPODARKA RYNKOWA

To, co napisałem o Niemczech i o niemieckich liberałach, najlepiej rekapitułuje następujący komentarz C. Möttelli'ego: *Wychodzący się z trzydziestych lat socjalny liberalizm, którego centrum grawitacyjne reprezentowała freiburska szkoła ekonomii politycznej Waltera Euckena, któremu jednak równocześnie Wilhelm Föpke i Alexander Rüstow dali nieocenione impulsy, rozwinął diagnozę i terapię, które wydawały się jak gdyby przykrojone do gorączkowego stanu chorobowego, w jakim Niemcy znajdowały się po katastrofie /12/.*

Potrzebne było jeszcze mobilizujące hasło, wynalazek semantyczny, który pozwoliłby zastąpić zużyta frazeologię, budzącą resentmenty w tym czy innym odłamie społeczeństwa. Wezwanie do budowy "zorganizowanego systemu współzawodnictwa" nie miało pożądanej siły nośnej, choćby dlatego, że nie obiecywało rozwiązania kwestii socjalnych, najbardziej palących i stanowiących tradycyjny punkt zaczepienia dla propagandy antyrynkowej.

Szczęśliwym wynalazcą był Alfred Müller-Armack, który w pracy *Wirtschaftslenkung und Marktwirtschaft* z roku 1947 rzucił hasło "wolnej, czyli społecznej gospodarki rynkowej" (*freie oder soziale Marktwirtschaft*), nadając mu następnie precyzyjny sens treściowy na łamach pierwszego rocznika powojennej edycji "Ordo" (1948). Przypadła mu zasługa wynalezienia sloganu, który w skróconej wersji (*soziale Marktwirtschaft*) zespolił się na trwałe z odrodzeniem gospodarczym Niemiec Zachodnich.

Jaką obietnicę niosła ta szczęśliwa zbitka pojęciowa? Po pierwsze, przypominała mądrość klasycznej ekonomii: prawdziwie wolny rynek, dzięki swej efektywności ekonomicznej, powoduje wzrost zamożności całego społeczeństwa. Im bardziej wolna jest gospodarka, tym bardziej jest społeczna, jako że tym większy i sprawiedliwiej dzielony daje efekt ekonomiczny i socjalny. Po wtóre, rynek ukazany zostaje jako rdzeń struktury wyższego rzędu, struktury uwzględniającej losy słabszych partnerów gry rynkowej i istnienie tak zwanych potrzeb publicznych. Klasyczny liberalizm wzbogacony zostaje o świadomość istnienia problemu socjalnego i postulat jego rozwiązania.

Podobnie jak chwytliwe slogany i atrakcyjne opakowania, wznagające zbytek jakiegoś towaru, wynalazek lingwistyczny Müllera-Armacka ułatwił społeczną percepcję idei ordoliberalnych. Müller-Armack liderował tej generacji niemieckich liberałów, którzy przekształcili teoretyczne dywagacje swoich mistrzów w program praktyczny; "zoperacjonalizowali" je dla celów

mpanii politycznej i ewentualnego wdrożenia.

Retoryka społecznej gospodarki rynkowej powtarza i przetwarza szereg elementów znanych nam z poprzednich punktów. Suwerenem społecznej gospodarki rynkowej ma być konsument (*Herrschaft der Konsumenten*). Demokratyczny proceder głosowania na rynku ma uzupełnić mechanizm wyboru politycznego, właściwy demokracji parlamentarnej. Programowy manifest *Magna Charta der sozialen Marktwirtschaft* przedstawił rzecz następująco: codziennie rano, kiedy otwierają się sklepy, rozpoczyna się głosowanie ludności, co ma być produkowane i co jest najpilniej potrzebne. Wydana przez konsumenta kwota jest rodzajem karty wyborczej - głosu oddanego na wybrane dobra i usługi. Karty te są wprawdzie rozdzielone nierównomiernie, ale, z drugiej strony, demokracja rynkowa urzeczywistnia w sposób doskonały, nieosiągalną dla demokracji parlamentarnej zasadę proporcjonalności: każdy głos ma swoją wymowę i wagę, nie zachodzi niebezpieczeństwo zdławienia mniejszości przez większość.

Żeby zrealizować tę wizję, należy zrobić możliwie najlepszy użytek z potęgi współzawodnictwa, analizowanej przez Euckena i innych ordoliberalów. Konsumenty stają się suwerenami przez ustanowienie konkurencji i swobody wyboru jako naczelnych zasad koordynujących życie gospodarcze. Dla realizacji tego celu niezbędny jest więc aktywny program rynkowy, świadoma budowa wolnej struktury gospodarczej według wskazówek "Ordo" - to jest takiej, gdzie swobodnie swobodnie kształtowanej (w ramach danych możliwości finansowych) konsumpcji odpowiada wolność produkowania tego, co podpowiada barometr cenowy rynku i rozeznanie przyszłych preferencji nabywców.

System współzawodnictwa, będący trzonem społecznej gospodarki rynkowej, budowany miał być przy uwzględnieniu dwojakiego rodzaju zasad, równoważnych i wzajemnie się uzupełniających. Pierwszą grupę stanowiły zasady konstytuujące (*konstituierende Prinzipien*), czyli wytyczne polityki ramowej (*Ordnungspolitik*), przygotowujące warunki dla zaistnienia ładu rynkowego:

- stworzenie i pielęgnowanie elastycznego mechanizmu cenowego (*Marktpreisbildung*), prawidłowo rejestrującego grę popytu i podaży;
- stabilizacja siły nabywczej pieniądza (*konstanter Geldwert*), adekwatne do tego celu zorganizowanie systemu bankowego;
- swobodny dostęp do rynków (*öffentliche Märkte*), co łączyło się ze szczegółowymi zaleceniami odnośnie systemu cel i prawa patentowego;
- ochrona i rozszerzanie prywatnej własności środków produkcji (*Privateigentum*) - ten kardynalny punkt systemu "Ordo" zyskuje właściwy wymiar dopiero w połączeniu z zasadą konkurencji. Z jednej strony, własność prywatna jest jedną z przesłanek konkurencji, z drugiej strony, dopiero system współzawodnictwa gwarantuje, iż własność prywatna nie jest nadużywana przez jednostkę kosztem społeczeństwa - tak to ramy systemowe przesadzają o funkcjonalności własności prywatnej;
- wolność zawierania transakcji i umów (*Vertragsfreiheit*) - także nierozzerwalnie związana z systemem zorganizowanej konkurencji, może być bowiem nadużywana (np. w formie umów kartelowych);
- odpowiedzialność materialna (*Haftung*): kto planuje i decyduje, musi za konsekwencje swych decyzji odpowiadać. Gospodarka kapitalistyczna rozwijała się, zdaniem ordoliberalów, w kierunku niezasadnionych ograniczeń odpowiedzialności materialnej,

... wyjął prawo akcyjne (powstałe w wieku XIX dla ... i narwała wielkich inwestycji infrastrukturalnych, np. koleji ... nie odpowiedzialności, zdaniem Euckena, jest uzasadnione tylko tam, gdzie oferent kapitału nie uczestniczy w decyzjach (drobny akcjonariusz, partner spółki komandytowej);

- stabilność polityki gospodarczej, stwarzająca z kolei stałość parametrów wyboru ekonomicznego, co wzmacnia skłonność do ryzyka i innowacji, a minimalizuje element niepewności, nieodłączny od otoczenia rynkowego /13/.

Wymienione zasady konstytuują rdzeń społecznej gospodarki rynkowej, ale ich dotrzymanie nie gwarantuje jeszcze, iż powstanie system bez luk i słabości. Działanie sił dezorganizujących łańcuch rynkowy przyjmuje się za pewnik. Dlatego niezbędna jest w arsenale społecznej gospodarki rynkowej druga kategoria środków - zasady regulacji (*Regulierenden Instrumenten*) - inaczej mówiąc, środki polityki bieżącej (*Ablaufspolitik*):

- profilaktyka i interwencja antymonopolistyczna. Program społecznej gospodarki rynkowej, czerpiąc z dorobku naukowego Böhma, Mikscha, Röpke'go i innych, zawierał starannie przygotowany projekt ustawodawstwa antykartelowego i stałego urzędu, czuwającego nad przestrzeganiem reguł współzawodnictwa;
- stabilizacja koniunktury: przeciwdziałanie wahaniom koniunkturalnym, oczywiście przy pomocy metod pośrednich, pieniężno-kredytowych, których pełny zestaw można było znaleźć w dorobku szkoły freiburskiej. Zostały one tak zaprojektowane, by stabilizować się nabywcą pieniądza, co należy do zasad konstytuujących społeczną gospodarkę rynkową.

Polityka koniunkturalna i interwencja antymonopolistyczna powinny zapewnić pełną funkcjonalność systemu rynkowego.

Odrębna podgrupa wśród zasad regulacji tworzą narzędzia korekty socjalnej, to znaczy:

- polityka dochodowa; rynkowy mechanizm dystrybucji wymaga korekty, gdyż stwarzane przezeń nierówności w sile nabywczej ludności tak ukierunkowują produkcję, iż wypaczają jej strukturę na korzyść dóbr luksusowych, przy niedostatecznym poziomie nasycenia potrzeb uboższych warstw społeczeństwa; przynajmniej to, Eucken zalecał łagodną progresję podatkową, ponadto zasiłki i subwencje socjalne;
- polityka majątkowa: upowszechnienie statusu "posiadacza" należy, jak widzieliśmy, do wiodących metod ordoliberalnej terapii społecznej;
- korygowanie "asymetrii socjalnej" rynku, czyli uwzględnienie tych wszystkich problemów, jakie wypadają poza obręb rachunku ekonomicznego prowadzonego w skali mikro (np. ochrona środowiska i ochrona stosunku pracy);
- przeciwdziałanie anomaliiom w podaży siły roboczej: rynek pracy reaguje inaczej, niż podpowiadałaby znana zależność między ceną i wielkością podaży danego artykułu; malejące płace wywołują wzrost podaży rąk do pracy, przede wszystkim aktywizację zawodową kobiet, która - jeśli nie jest zjawiskiem wymuszonym - oceniana była przez ordoliberalistów ujemnie; jeśli nie skutkują inne sposoby, ostatecznym środkiem zapobiegawczym powinno być tu wyznaczenie płacy minimalnej;
- polityka "jakości życia", oznaczająca, obok wymienionych już działań, udział finansów publicznych w rozwoju infrastruktury transportowej, turystycznej, rekreacyjnej, w służbie zdrowia i szkolnictwie.

Uwzględnienie tej ostatniej grupy zadań równoznaczne było z przyznaniem, że istnieje niedowład socjalny mechanizmu ryn-

kowego, a obowiązek jego retuszowania ciąży na państwie, uzupełniając funkcję państwa jako siły porządkującej stosunki rynkowe. Założeniem społecznej gospodarki rynkowej było jednak, aby niezbędne publiczne korektury miały uzupełniający, czasowo ograniczony charakter. Rzeczywiste rozwiązanie kwestii socjalnej miało być pochodną sprawności systemu współzawodnictwa; dynamiczny wzrost ekonomiczny uważany był za najlepsze lekarstwo na problemy społeczne; partycypacja wszystkich w rosnącym dobrobycie całości to zasadnicza treść pojęcia "społeczna gospodarka rynkowa".

Obietnica powszechnego dobrobytu stanowiła zwieńczenie całej koncepcji, podobnie zresztą jak ma to miejsce w popularnej frazeologii "welfare state". Pora więc na podkreślenie różnic między tymi koncepcjami, wytyczającymi odmienne drogi dojścia do wspólnego celu. W gruncie rzeczy, to nie teoretyczny model gospodarczego leseferysty i model socjalistycznej gospodarki planowej (nierozwalnie związany z postępami Armii Czerwonej), ale właśnie praktyczne, improwizowane w powojennej Europie Zachodniej modele "welfare state", stanowiły rzeczywistą alternatywę wobec "trzeciej drogi" nakreślonej przez ordoliberalów.

Keynesizm, będący teoretycznym zapleczem powojennych eksperymentów gospodarczych w Europie Zachodniej, spotkał się z surową repliką ze strony ordoliberalów. Niektóre z wyliczonych wyżej zasad społecznej gospodarki rynkowej powstały w wyraźnej opozycji do zaleceń Keynesa i praktyki "welfare state" - weźmy dla przykładu wymóg stabilizacji waluty i stabilnej polityki gospodarczej w ogóle. Z punktu widzenia Freiburga, recepture Keynesa obciążał podwójny grzech: miała ona, po pierwsze, charakter inflacyjny, przez co dezorganizowała mechanizm cenowy i system kredytowy oraz deprecjonowała oszczędności; po wtóre, założona przez Keynesa niestałość narzędzi polityki gospodarczej oznaczała silną fluktuację kursów walutowych, podatków, relacji płacowo-cenowych - czyli niestałość parametrów wyboru ekonomicznego, osłabiającą, zdaniem ekonomistów niemieckich, skłonność do inwestowania i przez to odpowiedzialną za bezrobocie. Imperatyw walki z bezrobociem skłania do kolejnych manipulacji gospodarczych i w ten sposób, obok spirali inflacyjnej, powstaje "spirała interwencyjna".

Szkoła freiburska, Röpke i Püstow, tworząc teoretyczne zaplecze społecznej gospodarki rynkowej, najwcześniej i najtrafniej uchwycili oraz poddali krytyce swoisty dla keynesizmu technokratyzm, nazywając jego zwolenników "inżynierami od koniunktury" (*Konjunktur-ingenieure*) i "żonglerami gospodarczymi": sprowadzenie genezy zakłóceń gospodarczych do dysproporcji we wzajemnym ukształtowaniu się abstrakcyjnych agregatów gospodarczych (siła nabywcza, produkcja globalna, oszczędności, inwestycje) rodziło zdanie, że można te zakłócenia wyeliminować "żonglując" po prostu wielkościami globalnymi.

Podobnej krytyce poddano redystrybucyjny element "welfare state", czyli powszechne, publiczne systemy ubezpieczeń i finansowane z budżetu publicznego programy pomocy socjalnej. Prototypem tego stylu polityki socjalnej był dla ordoliberalów angielski program socjalny opracowany pod patronatem Williama Beveridge'a /14/. Był to znowu wynik uproszczonej diagnozy, dostrzegającej jedynie materialny wymiar kwestii robotniczej. Rodził się z tego biurokratyczny, nawiązujący do Bismarcka model polityki społecznej, utwalającej w gruncie rzeczy zaklęty krąg proletariatu; polityki nie sięgającej, zdaniem ordoliberalów, korzeni istniejącego

wyobcowania pracowników najemnych. Ostatecznym efektem tego typu terapii mogły być tylko rozdęte budżety socjalne i niepokojąca skłonność administracji, rozdzielającej świadczenia, do kontrolowania każdego aspektu życia społecznego.

Interwencja socjalna, przewidziana w planie społecznej gospodarki rynkowej, miała natomiast utwierdzać nawyk samopomocy, przygotowywać możliwie szerokie kręgi ludności do samodzielnego zabezpieczania swej egzystencji, w formach nie angażujących instytucji publicznych. Przypomnę raz jeszcze, że ordoliberalowie nie fetyszyzowali "akcji socjalnej", zwłaszcza "przepompywania dochodów" przez budżet, co okazuje się zupełnie nieskuteczne metoda rozwiązywania problemów strukturalnych w warunkach braku prosperity. Świadoma polityka sukcesu gospodarczego i dbałość o to, by jego owoce przypadły wszystkim - oto jedyna realna metoda rozwiązania kwestii socjalnej i harmonizacji interesów różnych grup ludności.

Społeczna treść projektu ordoliberalów miała więc dochodzić do skutku nie poprzez działania państwa, lecz przez dobrowolny consensus, ustalający się pomiędzy wolnymi jednostkami, utwierdzanymi w swej niezależności, ale zmierzającymi do wspólnego dobra. Jeśli istotą społecznej gospodarki rynkowej, wedle definicji Müller-Armacka, miało być *połączenie zasady wolności rynkowej z zasadą społecznej równości*, to nie chodziło tu o mechaniczny egalitaryzm, lecz o równość w sensie historycznego i genealogicznego pokrewieństwa wszystkich ludzi, zobowiązującego do zapewnienia wszystkim równych szans życiowych i zawodowych - z nieuchronnymi nierównościami majątkowymi, jako drugim biegunem życia społecznego.

Program społecznej gospodarki rynkowej nie narzucał się sam, mocą swej logicznej zawartości. Jego ostateczne zwycięstwo było wynikiem szeroko zakrojonej kampanii, przełamującej utrwalone w Niemczech kategorie myślenia o gospodarce. "Krucjata Ordo" miała swe instytucjonalne oparcie - obok wspomnianego organu w postaci roczników "Ordo" (*Wahrheit für die Ordnung von Wirtschaft und Gesellschaft*), mnożyły się towarzystwa i organizacje propagujące ideę *wolnej, czyli społecznej gospodarki rynkowej*; wymienię tu *Aktionsgemeinschaft Soziale Marktwirtschaft*, *Freiwirtschaftsbund* i Instytut Waltera Euckena w Freiburgu.

Warunkiem wstępnym zadomowienia się tego ideału było pokonanie powszechnego mniemania, że kryzys tej skali, jakiego doświadczały wówczas Niemcy, wymaga istnienia centralnego sztabu, "trzymającego" żelazną ręką życie gospodarcze. Wolnorynkowe formy organizacyjne wydawały się, wedle świadectwa Müller-Armacka, luksusową zachcianką i wspomnieniem z epoki sytości i nadmiaru. Takich przesądów nie wykorzenia się nigdy za pomocą logicznej argumentacji; potrzebna była propaganda wolnorynkowa operująca na poziomie emocjonalnym, jakkolwiek pewną rolę odegrały też świadectwa empiryczne, pokazujące skuteczność liberalnych metod wychodzenia z kryzysu: przypomnienie szybkiego przejścia od inflacji (1923) do stabilizacji (1924-25) w Niemczech oraz wskazanie na powojenne Włochy, gdzie zliberalizowana gospodarka szybko wstawała na nogi, pomimo porównywalnych trudności zaopatrzeniowych i znacznie większej destabilizacji politycznej.

Jeśli stwierdzam, że koncepcja liberalnego "otwarcia" torowała sobie drogę w Niemczech wśród przeszkód, to mam na myśli nie tylko popularne nastroje i obiegowe opinie, ale także

zorganizowana opozycja. Przede wszystkim, istniała alternatywa socjaldemokratyczna. Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (Sozialdemokratische Partei Deutschlands - SPD) pozbawiona była wówczas szerszego zaplecza intelektualnego, ale wygrywała zresztą emocjonalne przywiązania robotników do haseł socjalistycznych, potwierdzone w pierwszych wyborach samorządowych z roku 1946. W tym samym roku, pierwszy powojenny zjazd SPD w Hanowerze, obradujący pod wymownym hasłem "Socjalizm na porządku dnia", przyjął radykalny program reform. Opozycje przeciw koncepcjom wolnorynkowym organizowały też związki zawodowe, które - już na progu liberalizacji, 12 listopada 1948 roku - posunęły się do zwołania strajku generalnego w strefie zachodniej.

Trzeba także pamiętać o tym, że - zanim społeczna gospodarka rynkowa stała się oficjalnym programem politycznym, przyjętym przez chadecję - musiał nastąpić proces dojrzewania CDU (Christlich-Demokratische Union) do tej koncepcji, natrafiającej na wewnętrzną opozycję ze strony zwolenników programu zjazdowego z roku 1947, kiedy uchwalono reformy o posmaku lewicowym: likwidację wielkiego kapitału w drodze uspołecznienia przemysłu węglowego i hutniczego (*Vergesellschaftung*), szeroki rozwój współzarządzania (*Mitbestimmung*) i wprowadzenie elementu planowania państwowego. Dopiero na zjeździe w Düsseldorfie w roku 1949 zniknęły akcenty pseudosocjalistyczne; nowy program, pisany przez Franza Etzela, Franza Pöhma, Bernharda Pfistera i Hugo Scharnberga, ostro przeciwstawił ideały CDU gospodarce planowej. Hasłem programowym CDU stała się "wolna, czyli społeczna gospodarka rynkowa".

REALIZACJA I EFEKTY

Okres chaosu i nieporadnego administrowania gospodarką zachodnich stref Niemiec dobiegał końca w roku 1948. 21 czerwca tego roku okupanci przeprowadzili reformę walutową, pieczętując rozdział stref zachodnich od strefy radzieckiej. Była to starannie przygotowana operacja, równoznaczna z nulifikacją dotychczasowej waluty i wprowadzeniem do obiegu nowej jednostki pieniężnej (*Deutsche Mark*) /15/. Na podobny krok zdobyła się w roku 1949 Austria i był to drugi przypadek wymiany waluty w powojennej Europie Zachodniej. Reforma niemiecka - będzie jeszcze o tym mowa - w sposób świadomie zróżnicowany potraktowała różne aktywa finansowe zgłoszone do wymiany: uprzywilejowała kapitał produkcyjny kosztem kapitału fikcyjnego oraz dobrowolnych i przymusowych oszczędności ludności. Drastyczna redukcja tych oszczędności, między innymi poprzez anulowanie zadłużenia III Rzeszy, zabezpieczyła gospodarkę przed potencjalnie inflacyjnym działaniem odłożonego popytu konsumpcyjnego - na rynku konsumpcyjnym powstała równowaga, jakkolwiek była to wtedy równowaga na niskim poziomie. Reakcja przedsiębiorstw była zgodna z oczekiwaniami: opróżniły się magazyny ze "skarabionych" dotąd towarów; odtworzył się z dnia na dzień kapitał obrotowy w wielkości pokrywającej potrzeby produkcji i cyrkulacji towarowej; pieniądź, którego jedynym źródłem była sprzedaż towarów i usług, był z punktu widzenia przedsiębiorstw dobrym rzadkiem i poszukiwanym. Rozruch mechanizmu gospodarczego został zapoczątkowany.

Peforma walutowa, zażegnując chaos pieniężny i kształtując

w punkcie wyjścia taka struktura kapitału, jaka była najbardziej pożądana z punktu widzenia potrzeb akumulacji i inwestycyjnego zastosoowania tej akumulacji (a więc z punktu widzenia wzrostu), otwierała pole dla liberalnego manewru gospodarczego. Okolicznością sprzyjającą było to, iż - zanim jeszcze nastąpił wspomniany wybór programowy CDU w Düsseldorfie - idea liberalizacji utorowała sobie drogę na forum tymczasowego ciała zarządzającego gospodarką stref zachodnich (*Verwaltung für die Wirtschaft des vereinigten Wirtschaftsgebietes*), na czele którego stał Ludwig Erhard, ekonomista wywodzący się z tzw. *Nürnberger Kreis*, kolejny - po Eucken, Röpke, Müller-Armacku - bohater tej opowieści. Wielka szansa - wspominał Erhard - tkwiła w umiejętności powiązania reformy pieniężnej z takimi poczynaniami, które przyniosłyby zasłużony koniec administracyjnej gospodarki i położyły kres nierozsądnym dążeniom do wprowadzenia jej w przyszłości.

W czerwcu 1948 roku, podczas całonocnego posiedzenia plenarnego tymczasowy zarząd gospodarczy dokonał doniosłego samoo graniczenia swych kompetencji, uchwalając nowe zasady kierowania gospodarką na okres po reformie walutowej (*Gesetz über Leitsätze für die Bewirtschaftung und Preispolitik nach dem Geldreform*). Zarysowana została perspektywa stopniowego i kontrolowanego, ale konsekwentnego przejścia - po dziesięciu latach nakazów - ku wolnej gospodarce rynkowej. Począwszy od tej daty, kurczył się szybko obszar reglamentacji i sztywnych cen państwowych (*Bewirtschaftssektor*), obejmujący wyjściowo podstawowe artykuły spożywcze, podstawowe surowce i materiały, taryfy transportowe, czynsze i płace; rozrastał się natomiast w oczach obszar cen rynkowych (*Preisgebiet*).

Reformy podjęte w roku 1948 przygotowały grunt pod systematyczną realizację społecznej gospodarki rynkowej. Początkowo reforma objęła tylko obszar Bizonii, ale ożywcze efekty szybko skłoniły do rozszerzenia jej zakresu i zaniechania reglamentacji także w strefie francuskiej.

Epoka społecznej gospodarki rynkowej w Niemczech Zachodnich przypada na lata 1948-63. Był to eksperyment nabierający rozmachu, samopotwierdzający się - poprzez swe widoczne osiągnięcia ekonomiczne i socjalne - w oczach społeczeństwa, co z kolei wzmacniało, watył początkowo, mandat ekipy rządzącej. Ciągłość tej ekipy była przesłanką ciągłości obranego stylu polityki gospodarczej. W całym tym okresie Adenauer był kanclerzem federalnym, zaś Erhard ministrem gospodarki i zarazem głównym animatorem społecznej gospodarki rynkowej. Ordoliberalowie tworzyli trust mózgow rządów bońskich.

Zasadniczym rysem okresu przejściowego było to, iż wycofująca się z pola gry gospodarczej administracja Erharda, zgodnie z zapowiedzią, działała na korzyść mechanizmu rynkowego. Reforma walutowa stanowiła pierwszy udany krok na drodze ku cenom równowagi, w podobnym kierunku popychano ceny zaopatrzeniowe, znajdujące się początkowo w większości pod kontrolą władzy. Robiono to cierpliwie i konsekwentnie i dlatego, po wielu latach dyktatu cenowego administracji, powiodła się niezwykle delikatna operacja odbudowy mechanizmu cenowego, tego niewralgicznego oprzyrządowania odradzających się stosunków rynkowych.

W warunkach, gdy urealnienie siły nabywczej pieniądza odsłoniło głębie kryzysu i unaoczniono bardzo niski wyjściowy poziom życia ludności, płynne przechodzenie do stosunków rynkowych

wymagało oczywiście pewnych amortyzatorów socjalnych. Świadom tego Erhard zalecał w roku 1948 obcą modelowi egalitaryzacji dochodowej i majątkowej, ale tylko przejściowo, gdyż wszelka "Gleichmacherei" jest kulą u nogi narodów wkraczających na drogę rozwoju i postępu...

Dla kogoś, kto jest bezsilnym świadkiem i zarazem ofiarą, nieporadnych działań antykrzysowych w Polsce po roku 1981, uderzającym rysem okresu przejściowego w Niemczech Zachodnich, będą "trafione" priorytety polityki gospodarczej i społecznej, która w międzyczasie zmieniała w dodatku swoją formę. Przechodząc, w zgodzie z założeniami, ku instrumentom pieniężno-kredytowym, państwo pobudzało przede wszystkim te dziedziny produkcji i usług, które zaspakajały elementarne potrzeby ludności (środki spożywcze, odzież, materiały budowlane). Niewątpliwym priorytetem było budownictwo mieszkaniowe, stojące przed zadaniem odtworzenia substancji mieszkaniowej i jej rozwoju, stosownie do potrzeb zgłaszanych przez miliony przedsiębiorców i uchodźców. Od roku 1950 działał już długofalowy system ulg i zachęt stymulujących budownictwo indywidualne (znowelizowany w roku 1956). Pożyczki na te cele miały na początku lat pięćdziesiątych 64% udziału w ogólnej sumie kredytów państwowych. Wkrótce problem mieszkaniowy przestał istnieć - społeczeństwo rozwiązało ten problem samo, przy odpowiedniej pomocy państwa...

Struktura kierunkowa pozostałej masy kredytów publicznych odzwierciedlała infrastrukturalną rolę państwa: tworzenie ram i warunków dla funkcjonowania kapitału prywatnego. Poza okresem przejściowym, wymagającym od państwa udziału w budowie nowego, krajowego systemu transportowego i w pokonaniu rażących dysproporcji gałęziowych, wynikłych z podziału Niemiec, program społecznej gospodarki rynkowej nie przewidywał miejsca na politykę strukturalną w dzisiejszym rozumieniu. Było tam natomiast miejsce na politykę koniunkturalną, której podmiotem stał się Niemiecki Bank Federalny, instytucja częściowo niezależna od rządu i przez to sprawująca realną kontrolę nad budżetem. Zgodnie z ordoliberalną instrukcją, manipulowano stopą dyskontową, prowadzono operacje otwartego rynku, oddziaływano na wysokość obowiązujących rezerw bankowych w taki sposób, aby stabilizować walutę pomimo zmiennej koniunktury.

Strategicznym celem społecznej gospodarki rynkowej było uporządkowanie stosunków własnościowych. Porządkowanie to zaczęło się wraz z reformą walutową, która - jak wspominałem - nie była prostym zabiegiem wymiany pieniądza, ale fragmentem strukturalnej reformy kapitału. Po macoszemu potraktowano te formy akumulacji kapitału, które były spuścizną gospodarki wojennej III Rzeszy, przede wszystkim lokaty w państwowych papierach wartościowych - zadłużenie wewnętrzne państwa niemieckiego zostało całkowicie zlikwidowane. Zasadnicza restrukturalizacja majątku polegała na tym, iż akcje i majątek rzeczowy przeszacowano w stosunku 1:1, podczas gdy gotówkę i depozyty bankowe 10:1 (blokując ich część), a inne należności pieniężne 15:1. Kapitał rentierski i pożyczkowy zmalał do 1/5 stanu sprzed reformy. Wobec zamrożenia rynku kapitałowego do roku 1953 (ograniczenie wypłaty dywidend itp.), dochód z działalności produkcyjnej nie ulegał rozproszeniu pomiędzy właścicieli kapitału finansowego, lecz już w momencie powstania był kapitalizowany. Organizm gospodarczy zabezpieczony był przed odpływem pieniądza do rąk tych grup społecznych, u których

skłonność do oszczędzania nie idzie w parze z możliwością i zdolnością podejmowania ryzyka inwestycyjnego. W podobnym kierunku, to jest zgodnie z priorytetem szybkiego wzrostu, działał system podatkowy. Fiskus nie wkraczał w momencie powstawania dochodu w jednostce gospodarczej, lecz dopiero po podjęciu decyzji akumulować - czy - konsumować, a następnie oszczędzać - czy - inwestować, preferując akumulację w ogóle, a inwestowanie w szczególności.

Można to podsumować następująco: jawnym protegowaniem społecznej gospodarki rynkowej stał się prywatny przedsiębiorca, a poszkodowanym - spekulant giełdowy i początkowo rentier.

Zapowiedzi programowe uprawniają do surowego rozliczenia administracji Erharda z działań mających na celu przybliżenie się do ideału "zorganizowanego współzawodnictwa", co - zważywszy, że kartelowa struktura przemysłu była narzędziem kierowania gospodarką III Rzeszy - nie było zadaniem łatwym. Pierwszy krok w tym kierunku poczynili jeszcze alianci, na mocy przepisów z roku 1947. Przygotowanie następnego kroku zajęło wiele lat. Dopiero 27 lipca 1957 roku Bundestag przyjął ustawę *prze ci w o g r a n i c z e n i o m k o n k u r e n c j i* (*Gesetz gegen Wettbewerbsbeschränkungen*, w skrócie GWB), nazwaną "wielką kartą społecznej gospodarki rynkowej". W istocie, był to jeden z filarów chadeckiej regulacji prawnogospodarczej i śmiałe przedsięwzięcie w "kraju największej tęsknoty za kartelami" (*Land grosster Kartellsehnsucht*) - jak określał swoją ojczyznę Ludwig Erhard. Zasadnicza treść ustawy zawarta była w pierwszym punkcie, stanowiącym, iż Umowy zawierane przez przedsiębiorstwa lub związki przedsiębiorstw (...) uznaje się za nieważne, o ile wpływają na produkcję lub stosunki rynkowe w dziedzinie obrotu towarów lub usług przez ograniczenie konkurencji /16/. Ustawa regulowała trzy formy zakłócające konkurencję: porozumienie poziome (*Kartellrecht*), porozumienia pionowe (*Preisbindungen*) i "przedsiębiorstwa opanowujące rynek". Powołano do życia Federalny Urząd Kartelowy (*Bundeskartellamt*), uprawniony do wydawania zakazu działalności firm lub ich związków, tworzących sytuacje sprzeczne z zasadami gospodarki konkurencyjnej.

Czynnikiem obiektywnie utrudniającym powstanie sytuacji monopolu była rosnąca o t w a r t o ś ć gospodarki RFN, przewidziana, jak pamiętamy, wśród cech konstytuujących społeczną gospodarkę rynkową. Dzięki pomocy udzielonej w ramach Planu Marschalla oraz amerykańskiemu przyzwoleniu na instytucjonalne formy współpracy krajów Europy Zachodniej (OECE, 1948 i Europejska Unia Płatnicza, 1950), odbudowujące się po wojnie gospodarki tego obszaru stosunkowo szybko oswobodziły wzajemną wymianę z ograniczeń ilościowych i dewizowych. Będąc nieodzownym uzupełnieniem krajowego systemu współzawodnictwa, liberalizacja handlu europejskiego odegrała od początku rolę czynnika dynamizującego przemysł Niemiec i łagodzącego bariery rysujące się na starcie. Oto bowiem już w latach 1948-49 dało się odczuć w tej "zamkniętej" wówczas gospodarce gwałtowne ożywienie, zarazem jednak pojawiły się wąskie gardła: wzrost popytu inwestycyjnego przedsiębiorstw był zbyt szybki w stosunku do podaży artykułów inwestycyjnych, natomiast rynek dóbr konsumpcyjnych zdradzał objawy deflacyjne - zarobki bieżące, będące po reformie walutowej jedynym źródłem efektywnego popytu konsumpcyjnego, nie równoważyły podaży towarów na tym rynku. Dopiero włączenie, z jednej strony, zagranicznej podaży dóbr inwestycyjnych, a z drugiej popytu zagranicznego na dobra konsumpcyjne, złagodziło wstępne dysproporcje.

Machina gospodarcza została "naoliwiona"; rozpoczął się błyskawiczny marsz Niemiec Zachodnich ku czołówce potęg gospodarczych świata...

Na progu lat pięćdziesiątych produkcja przemysłowa osiągnęła poziom z roku 1938. W dekadzie 1950-1960 Niemcy Zachodnie wykazywały największą dynamikę wzrostu dochodu narodowego, produkcji przemysłowej, wydajności pracy i eksportu na świecie. Wyższą niż Japonia, której epoka dopiero miała nadejść. Już pod koniec lat pięćdziesiątych Niemcy Zachodnie wracają do absolutnej czołówki światowej. W roku 1958, pod względem wartości produkcji przemysłowej, kraj ten zdystansował Wielką Brytanię, a w roku 1960 ranga RFN jako drugiego mocarstwa przemysłowego wolnego świata została ostatecznie ugruntowana - także produkt globalny brutto był po raz pierwszy większy niż w Wielkiej Brytanii.

Świadom osłabionej wymowy liczb dla naszego czytelnika, karmionego od lat produktami GUS-u, zrezygnuję z mnożenia porównań statystycznych. Wolę zauważyć, że sukcesy ilościowe gospodarki zachodniemieckiej szły w parze z interesującymi przekształceniami strukturalnymi: w miejsce tradycyjnych gigantów z Zagłębia Ruhry (Krupp, Flick, Mannesmann), na plan pierwszy wysunęły się dziedziny będące we współczesnym świecie nośnikiem postępu technicznego, między innymi przemysł samolotowy, chemiczny i elektrotechniczny. Ogromnego skoku doznało rolnictwo: kraj, który w roku 1950 importował artykuły rolnicze w takich ilościach, iż stanowiło to 45% całej listy importowej, w dziesięć lat później zbliżył się w tym względzie do samowystarczalności.

Zapytany o dziedzinę, gdzie sukcesy gospodarki RFN były najbardziej spektakularne, wskazałbym jednak bez wahania eksport handlowy zagranicę zwaną z tym karierę marki zachodniemieckiej w systemie finansów międzynarodowych. Przeciż przed wybuchem II wojny światowej przemysł niemiecki poddany został czteroletnim, metodycznym zabiegom przygotowawczym, zwiększającym stopień jego niezależności od zagranicy. Lata wojny pogłębiły autarkizację gospodarki. Skutek? W roku 1947 znajdujemy Niemcy Zachodnie na ... dwudziestej szóstej pozycji na liście eksporterów kapitalistycznych. Dodajmy do tego "głód dolara" i ujemne saldo wymiany handlowej - tak samo było w roku 1950, ale już po raz ostatni: rozpoczynała się właśnie ofensywa przemysłu niemieckiego na rynkach zagranicznych. Już po pięciu latach, RFN wyprzedziła pod względem wartości eksportu Kanadę i Francję; towary niemieckie zaczęły wypierać artykuły brytyjskie, a nawet amerykańskie z rynków Europy kontynentalnej. W roku 1960, jak pisałem, Niemcy uplasowały się już na drugim miejscu w światowym rankingu producentów i eksporterów, a waluta tego kraju - istniejąca od roku 1948 marka, stała się wkrótce drugą (po dolarze) podstawową walutą w systemie finansów międzynarodowych. Nieprzerwana w latach 1951-73 nadwyżka bilansu handlowego, to osiągnięcie, jakim nie może pochwalić się żaden inny kraj świata. Niezwykła zaiste była metamorfoza tego kraju: od długów i trudności płatniczych po największe w świecie rezerwy złota i dewiz!

Najważniejsze było jednak to, że omawiane osiągnięcia nie sprowadzały się do kariery RFN w przekroju roczników statystycznych i porównań ilościowych - którymi zazwyczaj żyje propaganda sukcesu gospodarczego w Europie Wschodniej. Wzrost gospodar-

czy miał bezpośrednią przekładnię na stopę życiową i satysfakcję konsumenta obywateli; postępowy weryfikował się całkowicie na rozstrzygającej płaszczyźnie jakości życia. Względnie szybki wzrost płac realnych możliwy był między innymi dzięki stabilizacji siły nabywczej pieniądza - RFF szczyła się, obok Szwajcarii, najniższym wskaźnikiem wzrostu cen artykułów konsumpcyjnych.

Pomimo ogromnego napływu ludności z zewnątrz (ok. 10 mln), udało się zlikwidować bezrobocie. Dotykało ono w roku 1950 ok. 11% zdolnych do pracy, w roku 1956 jeszcze 4,4%, a w roku 1965 już tylko 0,7%. Rozpoczął się proces "ssania" rąk do pracy z zagranicy, napływ gasterbeiterów z Połudria i Wschodu.

Strona socjalna społecznej gospodarki rynkowej prezentowała się okazale - poziom świadczeń społecznych należał wkrótce do najwyższych wśród krajów uprzemysłowionych. Przywrócono do życia system zabezpieczeń w kształcie sprzed drugiej wojny światowej (co jednak budzi zastrzeżenia z punktu widzenia czystości obranego modelu). Godne zmiany osiągnięcia socjalne chadecji to: ustawa z 1952 r., wprowadzająca 14-tygodniowy bezpłatny urlop macierzyński, przyznane w dwa lata później zasiłki dla rodzin wielodzietnych i reforma rent z 1957 r., przewidująca m.in. coroczną ich waloryzację, stosownie do zmian przeciętnej płacy ubezpieczonej - ten sam postulat, stawiany w ćwierć wieku później przez "Solidarność", do dziś nie został spełniony w krajach realnego socjalizmu/17/.

Biorąc to wszystko pod uwagę i doliczając istotny czynnik harmonizujący stosunki pracy, jakim był rozwinięty w Niemczech Zachodnich udział pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwami, otrzymujemy racjonalne wytłumaczenie p o k o j u s p o ł e c z n e g o , panującego w tym kraju w epoce społecznej gospodarki rynkowej. Jego miarą był brak poważniejszych strajków i konfliktów pracowniczych w latach 1950-69.

Pora teraz przerwać prezentację osiągnięć Niemiec Zachodnich, by uprzedzić prawdopodobny zarzut ze strony czytelników: byłoby oczywistym uproszczeniem, przypisywać cały sukces administracji Erharda i wykreowanemu przez nią modelowi społecznej gospodarki rynkowej. Ale taki związek przyczynowy istniał ponad wszelką wątpliwość i tędy wiedzie droga do rzetelnej interpretacji niemieckiego "cudu gospodarczego". Powstaje na tej drodze inny obraz od tego, jaki spotykamy zazwyczaj w naszej publicystyce. Mając w Niemczech Zachodnich temat dyżurny, nasi propagandziści - jeśli w ogóle dostrzegają sukces gospodarczy spoza ziomkostw i rewanżystów - deprecjonują na ogół rolę wolnego rynku wśród jego przesłanek. Demonizuje się za to na przykład pomoc amerykańską w postaci Planu Marshalla. Dla ścisłości warto przypomnieć, że była to jedna z trzech form pomocy, oprócz funduszu żywnościowo-surowcowego (*Government and Relief in Occupied Areas*, w skrócie GARIOA) oraz udziału w *Technical Assistance Programm*. Plan Marshalla przyniósł Niemcom, w postaci darów, kredytów i pomocy, ok. 1,3 mld dolarów, czyli znacznie mniej niż Wielkiej Brytanii (3,2 mld) i Francji (2,6), mniej nawet niż Włochom, a niewiele więcej niż Holandii. W warunkach odczuwanego po wojnie w Europie "głodu dolara", skłaniającego do surowych restrykcji handlowych, pomoc amerykańska - i na tym polegała głównie jej wartość - umożliwiła szybszą liberalizację handlu, szybsze uruchomienie mechanizmu, który działał dalej mocą swej własnej efektywności.

Działyły też inne czynniki, zauważane w literaturze fachowej, które niewątpliwie należy zapisać po stronie korzystnych uwarunkowań wzrostu gospodarczego Niemiec: mniejsze niż gdzie indziej obciążenie wydatkami zbrojeniowymi, obfitość taniej siły roboczej, która w początkowym okresie, poprzez element płacowy podnosiła konkurencyjność towarów niemieckich na obcych rynkach/18/, sprzyjająca koniunktura międzynarodowa (boom koreański). Pewną rolę odegrał na pewno, ale już po przełamaniu wstępnego impasu, przypisywany Niemcom ethos sumiennosci i pracowitości, ich zdyscyplinowanie i zdolność samoorganizacji. Ale suma tych czynników nie wyjaśnia niemieckiego fenomenu gospodarczego. Przesadził bowiem sprawę czynnik systemowy i dopiero na tym tle "zagrały" inne atuty, które nie byłyby w stanie odwrócić sytuacji, gdyby obrany model okazał się niesprawny.

Doceniając powojenne osiągnięcia Niemiec Zachodnich i łącząc je z walorami modelu gospodarczego, zbudowanego wedle wskazań ordoliberalów, spróbujmy na zakończenie spojrzeć na zagadnienie z innej strony. Zapytajmy o s ł a b e p u n k t y społecznej gospodarki rynkowej: co się w niej nie udało i jakie zapowiedzi programowe pozostały na papierze?

Nasuują się dwie dziedziny, w których osiągnięty stan ekonomiczny nie mógłby być w pełni autoryzowany przez ordoliberalów: polityka antymonopolistyczna i polityka majątkowa. Ostrze tej pierwszej, zinstytucjonalizowanej jak pamiętamy w roku 1957, kierowało się przeciw kartelom, przy nadmiernej tolerancji dla koncentrycznej struktury przemysłu i przy anemicznym przeciwdziałaniu pionowym powiązaniom cenowym, co zresztą dało asumpt do nowelizacji ustawy w roku 1966. Przepisy prawne i częściowo uznaniowa działalność urzędu antykartelowego, nie zdołały więc urzeczywistnić w zadowalający sposób wzorowego "ładu współzawodnictwa", zaprojektowanego przez Euckena i Böhma.

Niewiele też zwojowali chadecy w dziedzinie "uwłaszczenia", które Röpke uczynił centralnym punktem swego projektu ustrojowego. Administracja Erharda podjęła ten temat z opóźnieniem i właściwym sobie realizmem, to znaczy bez złudzeń, że można w tej dziedzinie zbyt wiele zadekretować. Szacuje się, że w latach 1950-59 ok. 75% przrostu majątku przypadało na 17% gospodarstw domowych. Przepisy stymulujące oszczędności z roku 1959 i częściowa reprivatyzacja sektora publicznego, przy równoczesnym wzroście zamożności społeczeństwa (zaistnienie tzw. funduszu dyspozycyjnego) dały pewne efekty, ale nadal przyrost majątku rozkładał się nierównomiernie, zwłaszcza jeśli idzie o aktywną gospodarczo własność, a nie jedynie bierne posiadanie akcji i papierów wartościowych.

, Nie wyróżniając się na tle Europy Zachodniej jakąś szczególną, zreformowaną w myśl założeń ordoliberalnych, strukturą własnościową majątku produkcyjnego, Niemcy Zachodnie były niewątpliwym pionierem w zakresie partycypacji pracowniczej w zarządzaniu (*Mitbestimmung*). Chociaż ten sposób demokratyzacji gospodarki zapożyczony był z innego kręgu ideowego, chadecy zmuszeni byli wyjść naprzeciw oczekiwaniom świata pracy i faktem, istniejącym tuż po wojnie w przemyśle ciężkim/19/. 21 maja 1951 r., po długich rokowaniach, wydano ustawę stanowiącą o parytetowym współzarządzaniu w przemyśle węgla i stali (w skład rad nadzorczych weszła równa liczba przedstawicieli pracy i kapitału oraz neutralny przewodniczący, wybierany przez obie

strony). Ustawa o ustroju przedsiębiorstw z 11 października 1952 r. (*Betriebsverfassungsgesetz*) przyznała przedstawicielom załogi 1/3 miejsc w radach nadzorczych pozostałych przedsiębiorstw, ugruntowując ponadto szeroko rozbudowany system rad pracowniczych, które otrzymały uprawnienia w kwestiach socjalnych, płacowych i czasu pracy.

Jeśli z dziedziny demokracji zakładowej przenieśmy się w dziedzinę świadczeń socjalnych, ocena modelu niemieckiego będzie podobna. Tu także kraj ten ustanowił wysoki pułap dla innych demokracji zachodnich (nie mówiąc już o krajach realnego socjalizmu); imponujące zdobycze wzbogacają konto rządzącej chadecji, ale... rozmijają się z wizją ordoliberalistów i założeniami społecznej gospodarki rynkowej. Wprawdzie zasadniczy mechanizm (samubezpieczenie się pracujących na wypadek określonego ryzyka, przez wcześniejsze opłacanie składek ubezpieczeniowych) bliski był ideałom, ale przepowiednia stopniowej redukcji budżetu socjalnego państwa w miarę wzrostu zamożności społeczeństwa, nie sprawdziła się. Udział państwa w rozszerzającym się wachlarzu świadczeń socjalnych stopniowo wzrastał, system stawał się coraz mniej przejrzysty, ale za to coraz silniej zbiurokratyzowany. Przyczyna tego była stosunkowo prosta: doświadczona nie tylko przez ekipę Erharda niezdolność oparcia się presji różnych grup społecznych w sytuacji, kiedy kwestia socjalna odgrywa istotną rolę w walce wyborczej.

Można tę obserwację uogólnić i dochodzimy wtedy do sedna sprawy - rządząca partia, jeśli nawet ma ona, jak to było w Niemczech, ściśle wytyczoną koncepcję programową, musi się podporządkować prawidłom gry politycznej, które w demokracji parlamentarnej spychają ją na drogę nieuchronnego i zdrowego w gruncie rzeczy **p r a g m a t y z m u**. Zawierane kompromisy kładą się oczywiście cieniem na budowę społecznej gospodarki rynkowej, pamiętajmy jednak, że były to odchylenia, a nie polityczny dryf i zagubienie wytyczonego kursu. Istnieją po prostu granice urzeczywistnienia gotowych wzorów w pluralistycznym, demokratycznym społeczeństwie. Przyznał to główny architekt społecznej gospodarki rynkowej Ludwig Erhard w samoocenie dokonanej w roku 1960, stwierdzając zarazem, że wszystkim odchyleniom od generalnej linii towarzyszył wyrzut sumienia i wszystkie one nie przekroczyły pewnego krytycznego punktu.

Wszelkie reklamacje i zastrzeżenia nie mogą przesłonić faktu, iż w epoce społecznej gospodarki rynkowej, to jest w latach 1949-63, Niemcy Zachodnie stanowiły wyróżniający się fenomen na mapie gospodarczej świata. Państwo, które obok Japonii, polegało na najbardziej "konserwatywnych" narzędziach polityki gospodarczej, osiągnęło najwyższe tempo wzrostu, obierając zaś otwarcie inną drogę niż zachodnie "państwa dobrobytu", osiągnęło bardziej znaczący od nich przrost stopy życiowej obywateli.

KONCEPCJA DRUGIEJ FAZY SPOŁECZNEJ GOSPODARKI RYNKOWEJ I ZMIANA POLITYCZNEGO UKŁADU SIŁ

C. Mötelli, bilansując w roku 1961 blaski i cienie społecznej gospodarki rynkowej, proroczo powątpiewał, czy uda się tej formacji przejście "z wieku młodzieńczego w wiek dojrzały"/20/. I rzeczywiście: żywotność haseł społecznej gospodarki rynkowej

zaczęła się wyczerpywać na początku lat sześćdziesiątych. Miały w tym udział rozmaite czynniki, wśród nich także całkiem obiektywne - jak na przykład sytuacja demograficzna, na którą chciałbym zwrócić uwagę. Rok 1959 znamionował przełom na rynku pracy: liczba osób poszukujących pracy zbiegła się z globalną liczbą ofert ze strony pracodawców. Po kilku latach, potrzebnych na strukturalne dopasowania, problem bezrobocia w RFN, jak już pisałem, przestał istnieć. Zmieniło to, rzecz jasna, układ sił, wzmacniając, także w przekroju globalnym, pozycję świata pracy. Kwestia społeczna wysunęła się przed ekonomiczną. Niespełnione obietnice społeczne chadeków, pomimo wyższości ich modelu w przekroju międzynarodowym, dały znać o sobie, stając się orężem w walce politycznej.

Uprowadzając to nieuchronne "zużycie się" programu z lat 1948-49, Alfred Müller-Armack dokonał już w latach 1957-62 daleko idących przewartościowań, poszukując formuły politycznej odpowiadającej nowym czasom i wyzwaniu ze strony socjaldemokracji. Wzrost ekonomiczny - zadanie górujące nad innymi w epoce odbudowy gospodarczej i dotkliwego głodu konsumpcyjnego - musi nadal zaprzętać uwagę rządzących, pisał Müller-Armack; doskonałe powinny być zwłaszcza metody polityki koniunkturalnej. Ale o szansie kontynuacji tego dzieła zadecyduje umiejętność jego uzupełnienia o przekonywujący program społeczny. Trzeba zwrócić baczniejszą uwagę na harmonizację stosunków społecznych, rozwijającą się najlepiej na fundamencie wspólnych wartości i przekonań. Jeśli chcemy to osiągnąć, jeśli mianowicie ideały ładu rynkowego i wolnego społeczeństwa mają uzyskać pełną akceptację, należy położyć nacisk na wyrównanie szans społecznych oraz zadbać o przyjazny człowiekowi, szeroko rozumiany ekosystem. Dokonać się to powinno, zdaniem Müllera-Armacka, przez:

- ułatwienie dostępu do zawodów wysoko kwalifikowanych, na które nowoczesna gospodarka zgłasza rosnący popyt, poprzez rozwój szkolnictwa zawodowego i egalityzację szans studiowania;
- kształtowanie odpowiedniego środowiska pracy, poprzez zreformowanie konstytucji przedsiębiorstw oraz podwyższenie standardów bezpieczeństwa i higieny pracy;
- usprawnienie sektora usług publicznych i reorientację polityki budżetowej;
- zwiększenie rangi planowania przestrzennego, w tym zwłaszcza świadomego kształtowania układów urbanistycznych i ochrony środowiska/21/.

W tym samym czasie Ludwig Erhard, na zjeździe partyjnym w Hamburgu podjął zaniebdany dotąd, a jakże istotny problem partycypacji klasy średniej w majątku narodowym. Według projektu Erharda, przesłankę demokratyzacji kapitału, przybliżającej społeczeństwo do ideału "własności dla każdego", miałyby stworzyć szczególna forma denacjonalizacji przedsiębiorstw państwowych, polegająca na przechodzeniu ku "współwłasności" w dwóch formach: udziału w zyskach oraz nabywania "akcji ludowych". Proponowano także wprowadzenie nowych form płacy robotniczej poprzez jej rozbitcie na tzw. płacę konsumpcyjną i płacę inwestycyjną. Ta druga część miałaby być deponowana w specjalnych bankach, kredytujących różne typy działalności gospodarczej - zmniejszyłoby to, w porównaniu z posiadaniem akcji konkretnego przedsiębiorstwa, ryzyko depozytariuszy.

Ferment ideowy ogarnął całe środowisko ordoliberalne, tworząc zaplecze intelektualne gabinetu chadeckiego. Zdęcydowana próba odświeżenia aparatury pojęciowej podjęto w roku 1965, dla potrzeb kampanii wyborczej do Bundestagu. Na zjeździe CDU/CSU w Düsseldorfie, Erhard rzucił hasło "sozialer Wettbewerb" (Formierte Gesellschaft), jako drugiej, udoskonalonej fazy społecznej gospodarki rynkowej. Rozumiemy naród w perspektywie społecznej, gospodarczej i duchowej rozwoju jako społeczeństwo uformowane. Co to oznacza? Znaczący to, że społeczeństwo nie składa się już z klas i grup, które usiłowałyby realizować wzajemnie wykluczające się cele.../22/. Grupy interesu? Tak, ale nie jako zwalczające się, dążące do dominacji ugrupowania polityczne, lecz jako przejaw pluralizmu, charakteryzującego nowoczesne społeczeństwo, w którym jest miejsce na organizację pracowników i pracodawców, ruchy ekologiczne i kobiece, związki regionalne i religijne i tym podobne. Chodziło więc o spotęgowanie tych cech społeczeństwa zachodniemieckiego, które zdawały się być mocno zaawansowane już w połowie lat sześćdziesiątych: integracji wokół wspólnych celów, solidaryzmu, pokój społeczny - jakby w przeczuciu, że nadchodzące lata wystawiają je na ciężką próbę. "Społeczeństwo uformowane", obok poświęcenia interesu grupowego, miałoby oznaczać inną dystrybucję informacji (informierte Gesellschaft), uodporniającą organizm społeczny na wirusy demagogii, ponadto reformy strukturalne w zakresie ładu pracy i dystrybucji majątku (wedle planu omówionego wyżej).

Wspomniany ferment i przewartościowania znalazły wyraz, z pewnym opóźnieniem, w inicjatywach ustawodawczych chadeckich. Próbowano między innymi urealnić politykę majątkową na bazie ustawy z 1959 roku, dużego rozgłosu nabrała "reprzywatyzacja socjalna" Volkswagena, sporo uwagi poświęcono sprawie kształcenia zawodowego (Arbeitsförderungsgesetz 1969, Bundesausbildungsförderungsgesetz 1971). Zasadniczo jednak, program drugiej fazy "społecznej gospodarki rynkowej" nie został urzeczywistniony. Konsekwentne podjęcie tego programu nie było możliwe w warunkach rysującego się niepowstrzymanie w Niemczech nowego układu sił politycznych. Zbiegło się to akurat z objęciem przez Erharda, w roku 1963, urzędu kanclerza federalnego. Tak więc systematyczny eksperyment o nazwie soziale Marktwirtschaft wygasł wtedy, gdy jego główny animator stał się odpowiedzialny za całokształt polityki państwa.

Dynamika zjawisk społeczno-gospodarczych w RFN w latach sześćdziesiątych daje się opisać jako seria paradoksów. Oto pierwszy z nich: pomimo niezaprzeczalnych sukcesów gospodarczych chadeckiej, jej wpływ polityczny ulegał erozji, a elektorat opozycyjnej partii socjaldemokratycznej rozszerzał się systematycznie. W kolejnych wyborach do Bundestagu SPD uzyskiwała: w roku 1953 - 28,6% głosów, 1957 - 31,8%, 1961 - 36,3%, wreszcie przełomowym roku 1965 - 39,3%; tworząc rządy "wielkiej koalicji" z chadecką. Kolejny paradoks: jakościowy rozrost bazy wyborczej SPD nastąpił wtedy, gdy partia ta dokonała zasadniczej reorientacji programowej, afirmując w gruncie rzeczy, ideał wolnego społeczeństwa rynkowego.

Ewolucja programowa SPD może być dobitnym świadectwem skuteczności neoliberalnego programu odrodzenia gospodarki Niemiec. Dramatycznym akcentem w tej rewolucji był nadzwyczajny zjazd w Bad Godesberg (13-15 listopada 1959 r.), który wykreślił z programu założenia ideowe przyjęte w Heidelbergu w roku 1925

i potwierdzone w Hanowerze w roku 1946, kiedy rezolucja zjazdu ogłosiła, iż *socjaldemokracja żąda gospodarki socjalistycznej z planowym kierowaniem i ogólnogospodarczą regulacją*. W Bad Godesberg odłożono marksizm do lamusa, łącznie nawet z werbalnym ornamentem "walki klas" i "uspołecznienia". Jednoznaczne odcięcie się od marksizmu - jak ocenił jeden z teoretyków partii, Joachim Türke - ...*stało się palącą potrzebą, powinno zaś być tym łatwiejsze, że w epoce drugiej rewolucji przemysłowej marksizm ma niewiele do powiedzenia ruchowi socjalistycznemu, stojącemu na gruncie wolnościowej demokracji*. Podobne wnioski wyciągnęły inne europejskie partie socjalistyczne, o czym świadczy zbieżna w czasie seria nowych programów: w Austrii (1958), Szwajcarii (1959), Holandii (1959), Szwecji (1960), Francji (1962) oraz przebieg IV Kongresu Międzynarodówki Socjalistycznej, który odbył się w roku 1959 w Hamburgu.

Porzucając dogmat "walki klas", SPD określiła się nie jako "partia klasowa" (partia robotnicza), ale jako "partia narodu" (*Volkspartei*). Program godesberski niedwuznacznie afirmował jądro systemu współzawodnictwa: *Wolna konkurencja i wolna inicjatywa przedsiębiorcy stanowi ważny element socjaldemokratycznej polityki gospodarczej... Dlatego socjaldemokracja aprobejuje wolny rynek wtedy, kiedy istotnie panuje konkurencja. Konkurencja - w miarę możliwości, planowanie - w miarę konieczności /23/. Dewiza Wettbewerb soweit wie möglich, Planung soweit wie nötig*, stała się więc wspólną płaszczyzną obu rywalizujących partii, wzbogacona przez SPD o świadomą politykę państwa w dziedzinie dochodowej i majątkowej oraz dość mgliste wtedy postulaty współzarządzania.

Miał trochę racji Erhard, komentując program godesberski ("Die Welt" z 9 X 1959) jako mieszaninę erhardyzmu i etatyzmu. Musiał jednak ugiąć się pod presją nowego układu sił. Partia mająca szerokie wpływy wśród pracujących, ale cierpiąca notorycznie na brak wartościowego zaplecza intelektualno-teoretycznego, stała się po roku 1965 partią współrządzającą. Resort gospodarki, będący do roku 1963 ostoją jednolitej koncepcji programowej, podmiotem polityki *aus einem Guss*, staje się areną przetargu zorganizowanych grup interesu.

Kryzysowe lata 1966-67 przyspieszyły prace koncepcyjne. W trakcie debaty parlamentarnej koncepcja SPD wzięła górę nad założeniami polityki koniunkturalnej CDU. Ustawa z maja 1967 roku (*Gesetz zur Förderung der Stabilität und des Wachstums der Wirtschaft*) zamknęła okres przejściowy 1963-67. Rozpoczął się nowy eksperyment, autoryzowany przez Karla Schillera, głównego teoretyka SPD i ministra gospodarki w latach 1966-72: *g l o b a l n e s t e r o w a n i e (Globalsteuerung)*, reklamowane jako faza "oświeconej" w miejsce "naiwnej" gospodarki rynkowej; przez Schillera definiowane jako *synteza freiburskiego imperatywu konkurencji i keynesowskiego postulatu sterowania globalnym popytem /24/*. Więcej tam było jednak z Keynesa niż z Euckena; nowa polityka ekonomiczna, wychodząca z podstawowej tezy o zależności stanu zatrudnienia od rozmiarów globalnego popytu, równoznaczna była z przyznaniem, że mechanizm rynkowy nie jest skuteczny w makroskali - nie jest zdolny rozwiązać zadań "magicznego czworokąta" (*Magisches Viereck*), czyli zespołu celów sformułowanych przez radę ekspertów ekonomicznych rządu już w roku 1956: osiągnięcie stałego wzrostu przy równoczesnej stabilizacji cen, pełnym zatrudnieniu i zrównoważonym bilansie płatniczym.

Pomimo nieszczególnych efektów "globalnego sterowania", zwy-

cięskie w kampanii SPD w wyborach z roku 1969 (42,7% głosów) i 1972 (45,9%), wypchnęły chadecję z rządu, umożliwiając "małą koalicję" SPD/FDP. Głównym tematem kampanii wyborczej z roku 1969 była już nie polityka koniunkturalna, lecz demokracja gospodarcza. Socjaldemokraci podjęli program niemieckich związków zawodowych z roku 1963, zakładający uzyskanie parytetowego współzarządzania (na wzór przemysłu węgla i stali) we wszystkich typach przedsiębiorstw. Warto w tym miejscu jeszcze raz przypomnieć, że chadecy i inspirujący ich program ordoliberalistów przywiązywali zawsze większą wagę do udziału w majątku (*Vermögensbildung*), niż do udziału w decyzjach (*Mitbestimmung*). Dzięki równoległym inicjatywom rywalizujących ze sobą partii, społeczeństwo niemieckie osiągnęło wyższy, aniżeli inne demokracje zachodnie, stopień zaawansowania w obu tych zakresach. System rad pracowniczych uległ wzmocnieniu w wyniku nowelizacji ustawy o ustroju przedsiębiorstw w roku 1972 (rady istnieją w każdej fabryce zatrudniającej ponad pięciu pracowników), zaś wieloletnia dyskusja nad formalizacją zasad współzarządzania na poziomie rad nadzorczych - kontrprojekty chadecji miały na celu uniknięcie pata decyzyjnego i nadmiernego rozrostu władzy związków - doprowadziła do kompromisowego *Mitbestimmungsgesetz*, ustawy obowiązującej od lipca 1976 roku.

Dekada lat siedemdziesiątych, kiedy inicjatywa polityczna i ster rządów należał do koalicji SPD/FDP, to nowa epoka, której opis nie mieści się w założonych ramach tego szkicu. Gospodarka przeszła trudną próbę: konflikty pracownicze, presja inflacyjna, światowy kryzys energetyczny w roku 1973 i równoległe załamanie się systemu monetarnego z Bretton Woods. W roku 1974 statystyki odnotowały po raz pierwszy zmniejszenie się wolumenu eksportu RFN (o 3,9%), w roku 1975 zmalał dochód narodowy (o 3,3%), odnowił się istniejący do dziś problem bezrobocia (4,8% w roku 1976). Kłopotom gospodarczym towarzyszyła, zwłaszcza wśród młodzieży, radykalizacja nastrojów i ideologizacja gry politycznej. Ideał społecznej gospodarki rynkowej uległ przejściowej, silnej deprecjacji. Consensus społeczny, budowany mozolnie pod rządami Adenauera i Erharda, zdawał się być zagrożony. *Wrogość wzajemna opanowała scenę polityczną, rosną wpływ nieprzyjaciół systemu* - ubolewał przed śmiercią Erhard.

W wyborach do ósmego Bundestagu w roku 1974, koalicja socjaldemokratów i wolnych demokratów obroniła swe pozycje nieznacznie większością dziesięciu mandatów. Rysował się nowy układ sił, w którym obok tradycyjnych partii i związków zawodowych, silną pozycję uzyskał ruch "zielonych" i ruchy pacyfistyczne. Na progu lat osiemdziesiątych szalał przechyliła się na stronę Helmuta Kohla, ster rządów przejęła koalicja chadeków z FDP i był to tylko jeden z epizodów generalnego zwrotu "na prawo" w skali światowej. Obecna ekipa zapisała własną kartę osiągnięć i niepowodzeń, która poddana zostanie pod osąd publiczny w czasie zbliżającej się elekcji w styczniu 1987 roku.

Na tle nieprzerwanego pasma sukcesów w latach 1948-63, linia rozwojowa gospodarki RFN w następnych latach biegła zygzakiem. Niemniej, zrelacjonowane przeze mnie w wielkim skrócie trudności, nie powinny zafałszować obrazu ogromnego postępu, jaki dokonał się w tym kraju także po roku 1963. Jeśli na przykład nasza propaganda martwi się o tamtejszą inflację, to trzeba pamiętać, że w trudnych latach 1970-84, ceny towarów i usług konsumpcyjnych wzrosły w RFN (według Rocznika GUS) o 194%, podczas gdy w "plannowej" gospodarce PRL aż o 537%! Na zachód od Łaby wyrósł gospodarczy olbrzym, który bije nas na głowę wszelkimi wskaźnikami

ilustrującymi pozycję gospodarki i standard życia obywateli. Co gorsza, w miarę upływu czasu wszelkie porównania tego typu (np. dziewięciokrotnie wyższy wolumen eksportu na głowę mieszkańca, pięciokrotnie wyższy poziom nasycenia dobrami trwałego użytku, jak samochody i telefony, dwukrotnie wyższe plony zbóż z hektara) tracą sens, bowiem zbyt odległy, wręcz niebotyczny, staje się to dla nas punkt odniesienia...

Opisy działań gospodarczych i ich efektów zajęły nam sporo miejsca, ale głównymi bohaterami tej opowieści byli Niemcy ordoliberalowie. O ordoliberalach czasem się zapomina lub próbuje się ich oddzielić, niezasłużenie, od innych neoliberalów, na tle których wyróżniali się rzeczywiście niepowtarzalnym, grupowym stylem myślenia i zdecydowanie praktyczną intencją swojej twórczości - programowym pozytywizmem.

Ich dobrze zorganizowana krucjata, jak widzieliśmy, osiągnęła w Niemczech Zachodnich zamierzone efekty: zaszczepiła wiarę w twórczą moc rynku wśród społeczeństwa, mającego dotąd wątki tradycje liberalno-demokratyczne i wieloletnie nawyki administrowania w gospodarce. Na tym podłożu możliwym stał się dekki eksperyment o nazwie "społeczna gospodarka rynkowa", oznaczający świadome rozejście się z powojenną strategią innych krajów zachodnioeuropejskich, powielających program "państwa dobrobytu". Postawiono śmiało na rynek, szukając wyjścia z kryzysu, który był kryzysem struktur, kryzysem postaw, kryzysem wiary w przyszłość i który, według ówczesnych ocen, nie osiągnął jeszcze dna, mógł się dalej pogłębiać...

Przypomnienie tamtego epizodu, rozpoczynającego niemiecki marsz ku potędze, prowokuje odniesienie do naszej sytuacji, obnaża jałowość drogi obranej po roku 1981 w Polsce, kiedy to każda trudność stwarza alibi dla biurokracji, unicestwiającej skromne załazki mechanizmu ekonomicznego, jaki mógł być jednym z owoców polskiego Sierpnia. W Niemczech administracja dokonała heroicznego samoograniczenia, przygotowując ramy instytucjonalne i tworząc klimat, który wyzwolił przedsiębiorczość prywatną, ujętą w karby "systemu współzawodnictwa". Cud gospodarczy, czy po prostu szczęśliwy wybór takiego modelu rozwojowego, który zgodnie z zapowiedzią Müller-Armacka z 1947 roku, *jako jedyny gwarantuje możliwie szybką odbudowę, dobre zaopatrzenie, pokój społeczny i ludzką wolność?*

Odrodzenie gospodarcze Niemiec Zachodnich, skok gospodarczy Japonii, spektakularne osiągnięcia Tajwanu i Korei Południowej - oto bogate tworzywo komparatystyki systemowej, wzorce sukcesu gospodarczego, które musimy wziąć pod uwagę, poszukując, przy całej odmienności uwarunkowań geopolitycznych, szans na przyszłość.

PRZYPISY

- /1/ H.W.Richter, *Rozmowy na torach. Antologia opowiadań RPN*, Warszawa 1974, s.88.
- /2/ Tak zwana szkoła historyczna w ekonomii zakwestionowała teoretyczne i uniwersalistyczne aspiracje klasycznej ekonomii angielskiej, podjęte w zmodyfikowanej postaci przez różne odmiany ekonomii neoklasycznej, nawiązujące do Jevonsa, Mengera bądź Walerasa. Otwarty i publiczny *Methodenstreit* rozegrał się w latach 1875-84, pomiędzy G.Schmollerem, reprezentantem młodszej szkoły historycznej i K. Mengere, reprezentantem szkoły austriackiej.
- /3/ W.Eucken, *Die Grundlagen der Nationalökonomie*, Jena 1943, ss.36,40. Metodologia Euckena została rzetelnie zaprezentowana w pracy A.Habera, *Mity ekonomiczne w NPF, Ossolineum 1963*, s.39 i nast., ale towarzyszyły temu niestety prymitywne komentarze, właściwe dla krytyki "ekonomii burżuazyjnej" z pozycji marksistowskich.
- /4/ W.Eucken przeprowadził krytykę tzw. *Stufentheorien* w cyt. pracy, s.281 i nast.
- /5/ W.Röpke, *Die Gesellschaftskrisis der Gegenwart*, Erlenbach-Zürich, s.77.
- /6/ W. Röpke, *Civitas Humana. A Human Order of Society*, London 1948, s.140. Podobnie pisali o "proletaryzacji" wcześniej G.Briefs, G.K.Chesterton i H.Belloc.
- /7/ Tamże, s.147; por. *Quadragesimo Anno*, "Znak" 7-9, 1982, s.702.
- /8/ W.Eucken, *Grundsätze der Wirtschaftspolitik*, Tübingen 1975, s.348.
- /9/ Tamże, s.348.
- /10/ A.Püstow, *Liberale Interventionen. Grundtexte zur Sozialen Marktwirtschaft*, Stuttgart 1981, s.223.
- /11/ A. Müller-Armack, *Wirtschaftslenkung und Marktwirtschaft*, Hamburg 1948, s.87.
- /12/ Cyt. za A.Haber, *op.cit.*, s.27.
- /13/ Wykorzystano dorobek teoretyczny szkoły freiburskiej, m.in. w F.Böhm, *Wettbewerb und Monopolkampf*, Berlin 1933; *Ordnung der Wirtschaft*, eseje F.Fohma, W.Euckena i H.Grossmann-Dorthertha z 1936; W.Eucken, *Grundsätze...*, *op.cit.*, s.254-291.
- /14/ Zob. krytyczny opis W.Popke'go w *Civitas Humana*, *op.cit.*, s.141.
- /15/ Nowy pieniądz został wprowadzony do obiegu dwoma kanałami. Każdy mieszkaniec stref zachodnich Niemiec otrzymał kieszonkowe 60 DM (*Kopfbetrag*) w dwóch ratach, bez względu na ilość złożonych do wymiany marek III Rzeszy. Każdy przedsiębiorca otrzymał także po 60 DM na jednego zatrudnionego. W niezwykle krótkim czasie "skarżone" dotąd towary weszły na rynek i znalazły nabywców. Pierwszy zastrzyk 2 mld nowych marek został w ten sposób natychmiast wessany przez ruch określony kapitału. Nastąpiły (do poł. 1949 r.) dalsze intensywne zasilenia, przy czym pieniądz dopływał już także innymi kanałami, np. instytucje publiczne wyposażone zostały w sumy pieniężne odpowiadające

1/6 dochodów z poprzedniego okresu. Zob. A.Krawczewski, *Akumulacja kapitału w PRR*, Warszawa 1969, s.49.

- /16/ F.Pilz, *Das System der Sozialen Marktwirtschaft*, München 1974, s.43; T.Grabowski, *Rola państwa w gospodarce RFN*, Warszawa 1976, s.229. Ustawę znowelizowano w 1966 r., a wkrótce rozpoczęto przygotowania do kolejnej nowelizacji, przeprowadzonej już przez SPD w roku 1973.
- /17/ Ustawy z roku 1957, obejmujące robotników i urzędników, zostały znowelizowane w 1972 r. (zasada elastycznej granicy wieku, rozciągnięcie na wolne zawody) i w roku 1973.
- /18/ Oto przykład absurdalnej argumentacji, zaczerpniętej z poważnej, zdawałoby się, publikacji naukowej: *Przemysł zachodniemiecki korzystał - i robił to na znaczną skalę - z nielegalnego wzbudku wysoko-kwalifikowanych kadr NRD. Do momentu ustanowienia granicy państwowej w Berlinie w 1961 r., NRD straciła na rzecz przemysłu zachodniemieckiego ponad 1/3 najlepszych kadr z wyższym wykształceniem... Po tym okresie stało się to niemożliwe, ponieważ rząd NRD ukrócił tego rodzaju praktykę, mająca charakter grabieży tego kraju... w: M.Tomala, *Gospodarka RFN wczoraj, dziś i jutro*, Warszawa 1979, s.56.*
- /19/ Zasadę współzarządzania i demokracji gospodarczej - jako alternatywę upaństwowienia zakładów pracy - propagowano na wrocławskim kongresie-niemieckich związków zawodowych w roku 1925, a skonkretyzowano w programowym dokumencie pt.: *Demokracja gospodarcza, jej istota i cele*, opracowanym przez Fritza Naphthali na kongres związkowy w Hamburgu w roku 1928. Po wojnie postulat ten wsparł swym autorytetem kościół: zjazd katolików w Bochum w roku 1949 uznał prawo współzarządzania za naturalne uprawnienie pracowników, zaś zjazd ewangelików w Pssen w roku 1950 uznał partycypację za czynnik uzdrowienia stosunków pracy.
- /20/ C.Mötseli, *Licht und Schatten der sozialen Marktwirtschaft*, cyt. za *Soziale Marktwirtschaft*, Zusammenge stellt von D.Ceitner und E.Falte, Berlin, 1974, s.167-182.
- /21/ A.Müller-Armack, *Die zweite Phase der Sozialen Marktwirtschaft, Ihre Ergänzung durch das Leitbild einer neuen Gesellschaftspolitik*, Grundtexte, op.cit., s.63-78.
- /22/ L.Erhard, *Das gesellschaftliche Leitbild der Formierten Gesellschaft*, Grundtexte, op.cit., s.79-82.
- /23/ *Koncepcje ekonomiczne Socjaldemokratycznej Partii Niemiec*, praca zbiorowa pod kier. H.Meissnera, Warszawa, 1961, s.287.
- /24/ K.Schiller, *Preisstabilität durch globale Steuerung der Marktwirtschaft*, Tübingen, 1966 i *Marktwirtschaft mit Globalsteuerung*, Feden zur Wirtschaftspolitik, Bonn, 1967.

NOTY BIOGRAFICZNE

W a l t e r E u c k e n
 Urodzony 17 stycznia 1891 r.
 w Jenie, syn uczonego, laureata Nagrody Nobla, Rudolfa Euckena. Studiował w Kilonii, Bonn i Jenie, uzyskując dyplom w 1913 r. W latach wojny 1914-18 odbywał służbę wojskową. Doktorat poświęcony żegludze morskiej (*Verbandsbildung in der Seeschiffahrt*) zrobił pod kierunkiem Hermanna Schumachera, przedstawiciela "szkoły historycznej", dominującej w owym czasie na uczelniach niemieckich. Napisana w podobnym stylu habilitacja (*Die Stickstoffversorgung der Welt*) nie dała mu satysfakcji, jak i cała metoda historyczna w ekonomii - już w czasie studiów Eucken szukał kontaktu z ekonomią teoretyczną, uczestnicząc w seminarium głównego wówczas przeciwnika "szkoły historycznej", Heinricha Dietzela w Bonn. W roku 1923 powstała pierwsza praca teoretyczna Euckena, będąca reakcją na problemy inflacji w Niemczech. Pracę naukową rozpoczął w 1925 r. Tübingen, w roku 1927 osiadł we Freiburgu, gdzie zainspirował nowy styl badań ekonomicznych ("szkoła freiburska"), wywierając wielki wpływ na rozwój tej dyscypliny w Niemczech. W roku 1934 ukazała się praca *Kapitaltheoretischen Untersuchungen*, dokumentująca ewolucję naukową Euckena (wpływ Eugena von Böhm-Bawerka); rozpoczynały się wieloletnie poszukiwania metodologiczne, uwieńczone przełomowym dziełem *Die Grundlagen der Nationalökonomie*, wydanym w 1940 r. Uczestnik sprzymierzenia antyhitlerowskiego z 20 lipca 1944 r. Po wojnie kontynuował pracę nad konstruowaniem naukowego wzorca polityki gospodarczej. *Grund-*

sätze der Wirtschaftspolitik ukazały się pośmiertnie, w roku 1952, przygotowane do druku przez żonę Edith i współpracowników - Eucken zmarł 20 marca 1950 r. w czasie pobytu na wykładach w Londynie. Duchowy przywódca ordoliberałów. Obok prac teoretycznych, autor licznych analiz bieżących problemów gospodarczych.

W i l h e l m R ö p k e
 Urodzony w 1899 r., ekonomista i filozof niemiecki. Od 1924 r. profesor uniwersytetu w Grazu, w latach 1926-27 wykładał gościnnie w ramach fundacji Rockefellera w USA, w latach 1929-33 na uniwersytecie w Marburgu. Od roku 1930 członek komitetu d/s zatrudnienia w Niemczech, dymisjonowany w 1933 r. udał się na emigrację. W latach 1933-37 profesor uniwersytetu w Istambule. Na stałe osiadł w Genewie, pracując w Institut Universitaire de Hautes Etudes Internationales. Tam powstały książki, które przyniosły mu rozgłos światowy: *Die Gesellschaftskrisis der Gegenwart* (1942) i *Civitas Humana* (1944), analizujące kryzys społeczeństwa zachodnioeuropejskiego i kreślące oryginalny program jego sanacji. W roku 1945 uzupełnił je o projekt odbudowy ładu międzynarodowego na podstawach liberalnych (*Internationale Ordnung*). Pozostając na emigracji w Szwajcarii czynnie uczestniczył w życiu naukowym RFN i krystalizacji neo-liberalnego programu odrodzenia gospodarki tego kraju. Zasiadał swymi pracami roczniki "Ordo", należąc do grona ich zagranicznych współpracowników.

A l f r e d M ü l l e r -
 - A r m a c k
 Urodzony w 1901 r. Ekonomista zaliczany przed wojną do "kregu freiburskiego", od początku zdradzał jednak szer-

sze zainteresowania. Jego pierwsza książka *Entwicklungsgesetze des Kapitalismus* z roku 1932 dokumentuje wieloletnie zainteresowanie antropologią filozoficzną; badał także związki pomiędzy formami gospodarczymi i religią. W czasie wojny zbliżył się z Erhardem. Autor hasła *freie oder soziale Marktwirtschaft* (1947), wieloletni współpracownik roczników "Ordo". W roku 1952 powołany do pracy w ministerstwie gospodarki RFN, pełnił do roku 1957 funkcję dyrektora departamentu polityki ekonomicznej. W latach 1957-63 sekretarz stanu w tymże resorcie. W 1963 r. powrócił do pracy naukowej na uniwersytecie w Kolonii, potem w Münster. Od roku 1966 przewodniczący komitetu doradczego koncernu "Rheinische Stahlwerke". W latach siedemdziesiątych zajmował się problemem reformy uniwersyteckiej. Przed śmiercią dyrektor Instytutu Polityki Gospodarczej uniwersytetu w Kolonii. Zmarł 16 marca 1978 r. Współtwórca "społecznej gospodarki rynkowej".

L u d w i g E r h a r d
Urodzony w 1897 r., ekonomista, działacz gospodarczy i polityk. W latach 1928-42 pracownik naukowy, zaliczany do "*Nürnberger Kreis*". Od roku 1942 dyrektor Instytutu Badań Gospodarczych w Norymberdze. W latach 1945-46 minister gospodarki Bawarii, w latach 1947-49 kierownik administracji gospodarczej zachodnich stref okupacyjnych w Niemczech. W latach 1949-63 minister gospodarki RFN (od 1952 r. jednocześnie wicekanclerz). W latach 1963-66 kanclerz RFN z ramienia chadecji. Swoje credo jako neoliberalnego polityka gospodarczego wyłożył w *Wohlstand für alle* (1957), natomiast przegląd jego poglądów na bieżące problemy polityki gospodarczej RFN zawiera zbiór prac, artykułów i przemówień *Deutsche Wirtschaftspolitik* wydany w 1962 r. w Düsseldorfie. W 1967 r. ufundował *Stiftung für die Weiterbildung an einer freiheitlichen Wirtschafts- und Gesellschaftsordnung*, z zadaniem twórczego rozwijania koncepcji "społecznej gospodarki rynkowej". Zmarł w 1977 r. Współtwórca niemieckiego "cudu" gospodarczego.

Marek Sołtyński

CHILE: GOSPODARKA I POLITYKA

Z rzadka pojawiające się w polskich środkach masowego przekazu informacje dotyczące przebiegu wydarzeń społeczno-politycznych i gospodarczych w Chile oraz ich skrupulatna selekcja - jakby w obawie przed nadmiarem i tak krążących porównań - są przyczyną ukształtowania się w naszym kraju rozbieżnych, często skrajnych poglądów na ten temat, już to z kręgu mitu, już to z kręgu propagandy. Niniejszy artykuł próbuje choć w części wypełnić tę narosłą przez lata lukę, odpowiadając na pytanie: co właściwie dzieje się w Chile?

Nie ulega wątpliwości, że od pewnego czasu gospodarka Chile przeżywa spore trudności, co z kolei zaostrzyło klimat polityczny w tym kraju. Obecny kryzys sprawił, że prawdziwy rozkwit gospodarczy, jaki miał miejsce w Chile w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, stał się nagle kwestią zapomnianej przeszłości. Tym mniej pamiętane są dramatyczne okoliczności społeczno-gospodarcze, w jakich doszło do przewrotu wojskowego generała Pinocheta, kładącego kres socjalistycznym rządów doktora Salvadora Allende.

Warto zatem przypomnieć, że trzyletni eksperyment gospodarczy Allende, oparty na doktrynie marksistowskiej i praktycznych wzorach zaczerpniętych wprost z Kuby i Związku Radzieckiego, przyniósł dotkliwe fiasko. W miarę upływu czasu stawało się jasne, że Allende dokonał jednoznacznego wyboru metod polityki ekonomicznej, polegającej na pozabawieniu pieniądza jego rozlicznych funkcji gospodarczych i zdegradowaniu go do roli biernego rejestratora faktów w warunkach "ręcznego sterowania" gospodarką przez państwo. Swoim ambitnym programem radykalnych reform, suć opatrzonym chwytliwymi hasłami egalitaryzmu społecznego w stylu "mleko dla każdego dziecka", a osadzającym się nade wszystko na szeroko zakrojonej nacjonalizacji - Allende doprowadził gospodarkę do kompletnej ruiny, zubożył najbogatsze dotąd społeczeństwo Ameryki Południowej, tracąc stopniowo jego poparcie.

Ten właśnie fakt - nasilających się z każdym rokiem oznak protestu i niezadowolenia ze strony różnych warstw społecznych wobec rządowej polityki ekonomicznej - usiłowała skrętnie ukryć nasza ówczesna propaganda. O ile pamiętny strajk kierowców ciężarówek miał zapobiec upaństwowieniu tego sektora gospodarki, a uniwersyteckie zamieszki stanowiły protest przeciw coraz ściślejszej kontroli nad uczelniami, o tyle masowa demonstracja z kwietnia 1972 roku miała ogólniejszą wymowę. W ten sposób opinia publiczna zgłosiła swoje zdecydowane "votum nieufności" wobec planów rządzącej koalicji Unidad Popular, nadużywającej mandatu uzyskanego w demokratycznych wyborach, odbiera-

jącej społeczeństwu jego nadzieje i perspektywy. W przededniu dramatycznych wydarzeń z 11 września 1973 roku dezorganizacja gospodarki objawiła się już w pełni na rynku podstawowych dóbr konsumpcyjnych, czego świadkami były załogi polskich statków zawijających w tych, siałach do portów Chile.

Tak krytyczną sytuację ekonomiczną zastał generał Pinochet, kogo antykomunistyczny zamach, pomimo niedopuszczalnych metod łamał oporu poprzez terror, tortury i represje - o dziwo - został przez znaczną część narodu poparty. Społeczna przychylność wobec reżimu Pinocheta rosła wraz z każdą próbą odbudowy spustoszonej gospodarki. Podchodząc z należytą rezerwą do tego typu sprawdzianów opinii publicznej, należy jednak zauważyć, że referendum z 1978 roku, stosunkiem głosów 3:1 usankcjonowało formalnie władzę junty.

Uwaga dyktatora skoncentrowała się na sukcesywnym usuwaniu przeszkód stojących na drodze do dynamicznego wzrostu ekonomicznego - początkowo przy pomocy realizacji programu znacznych oszczędności i ograniczeń, w miarę zaś upływu czasu, poprzez działania zmierzające do zwiększenia liberalizmu gospodarczego, a więc uznania podstawowej roli pieniądza w gospodarce rynkowej i zachęcenia kapitału prywatnego do inwestycji.

Co przesądziło o sukcesie gospodarczych posunięć Pinocheta? W jakim stopniu był on zasługą ekonomistów kierunku neoliberalnego skupionych wokół tzw. szkoły chicagowskiej, którzy na życzenie dyktatora spróbowali swoich sił na chilijskim "polu doświadczalnym". Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych schematy monetarne miały swój udział w projektach polityki ekonomicznej Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn., Wielkiej Brytanii, RFN, Japonii, kiedy to hamowanie ekspansji pieniężno-kredytowej i zaostrzenie sankcji pieniężnych jako środka antyinflacyjnego - doprowadziły w końcowym efekcie do pogłębienia się kryzysu deflacyjnego, drastycznego wzrostu bezrobocia i nasilenia się perturbacji walutowych. Rządy wspomnianych krajów zostały wówczas zmuszone do ponownego sięgnięcia po keynesowską politykę "pompowania popytu". Nie na długo jednak. Na fali kolejnego "odrodzenia neoklasycznego" nieskuteczne i przestarzałe narzędzia Keynesa zostały ponownie zastąpione doktryną monetarystyczną, która za jedyną do przyjęcia formę państwowej ingerencji w gospodarkę uznaje utrzymywanie stałego tempa wzrostu zasobu pieniądza - resztę pozostawiając w gestii samoczynnych mechanizmów adaptacyjnych, tzw. "świętych zasad wolnej przedsiębiorczości".

W Chile, tuż po obaleniu lewicowych rządów prezydenta Salvadora Allende, junta z rozmachem zaczęła podejmować podpowiadane przez amerykańskich monetarystów kroki polegające na poddaniu autarkicznej i nieefektywnej dotąd gospodarki siłom wewnętrznej i międzynarodowej konkurencji: zniosła kontrolę płac i cen, zdenacjonalizowała i wyjęła spod nadzoru państwowego ponad 200 przedsiębiorstw, zredukowała taryfy importowe z poziomu 100% w 1973 roku /lub wręcz 700% w przypadku pewnych towarów/ do zaledwie 10% w 1979 roku.

Pożądane efekty nie kazały na siebie długo czekać. Wkrótce spore zyski osiągnięto w tych gałęziach chilijskiego przemysłu, które z powodzeniem przyjęły wyzwanie międzynarodowej konkurencji. Wartość eksportu miedzi podwoiła się z 1 miliarda dolarów do 2,1 miliarda dolarów między 1973 a 1981 rokiem. Wartość natomiast mniej tradycyjnego eksportu takich artykułów jak: ryby, owoce, drewno itp. wzrosła aż 15-krotnie. Udział miedzi w globalnym eksporcie kraju obniżył się z około 80% do 40% w wyniku rozszerzenia i dywersyfikacji dotąd "mo-

nokulturowego" eksportu, czyli samoczynnie /rynkowo/ dokonującej się, a nie administracyjnie wymuszonej, r e s t r u k t u r y z a c j i. Należy w tym miejscu poczynić zastrzeżenie, iż równoległe przebiegające w tym okresie istotne zmiany cen w poważnym stopniu maskują rozmiar rzeczywistych osiągnięć przemysłowych i handlowych gospodarki Chile. Wskaźnik "terms of trade" w latach 1970-1983 pogorszył się o 2/3, co oznacza w praktyce, że chcąc utrzymać swój import na niezmiennym poziomie kraj ten był zmuszony eksportować 3-krotnie więcej.

W sumie, w latach 1975-1981 średnie roczne tempo wzrostu gospodarczego wynosiło tu 7,1%, a chicagowski eksperci - młodzi absolwenci tamtejszego uniwersytetu, z którego nadal promieniuje sława "monetarystycznego guru" - prof. Miltona Friedmana - byli otaczani nimbem uznania i wdzięczności. Nic więc dziwnego, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych uwaga wielu światowych obserwatorów koncentrowała się nie tylko na dynamicznych przemianach zachodzących w rejonie Azji Południowo-Wschodniej, lecz także na określanej niejednokrotnie mianem kolejnego "cudu gospodarczego" kumulacji osiągnięć ekonomicznych właśnie w Chile.

Sytuacja zmieniła się raptownie w 1982 roku. Światowe ceny miedzi spadły do najniższego od 50 lat poziomu, na przekór prawom ekonomii, bowiem konsumpcja tego metalu w krajach uprzemysłowionych stale rosła. Międzynarodowy kryzys wywołany zadłużeniem wielu krajów rozwijających się objął swym zasięgiem również i Chile. Produkt narodowy brutto tego kraju zmalał w jednym tylko roku 1982 o 14%.

Załamanie gospodarcze w Chile stanowiło asumpt do zakwestionowania skuteczności monetaryzmu, w szczególności do krytyki tych monetarystów, którzy swoim głosem doradczym służyli dyktatorowi w procesie przywracania ładu ekonomicznego. Ich zagorzali przeciwnicy w Chile, propagując idee autarkii oraz przeciwnicy neoliberalizmu za granicą, z zadowoleniem zacierali ręce. Militarny rząd natomiast, odsuwając w cień zasady szkoły chicagowskiej, uciekł się do ingerencji w życie gospodarcze kraju. Powszechna i uzasadniona zresztą niechęć do reżimu Pinocheta nie powinna jednakże przesłaniać istotnych faktów i przenieść się automatycznie na negatywną ocenę monetaryzmu. Po pierwsze, nietrudno sobie wyobrazić w jak apokaliptycznym stanie znalazłaby się zarówno gospodarka jak i społeczeństwo tego kraju, gdyby nie zainspirowane przez monetarystów zmiany, uwalniające rynek z szeregu krępujących ograniczeń. Po drugie, całociowe działania ekonomiczne rządu chilijskiego generała rozchodziły się w wielu istotnych punktach z konsekwentną realizacją idei monetaryzmu.

Pogorszenie sytuacji gospodarczej spowodowała sama junta nieopatrznyimi posunięciami, mającymi na celu objęcie zasadami wolno-rynkowymi wszystkich banków chilijskich. W sprzeczności z monetarystyczną zasadą kontroli stopy inflacji poprzez kontrolę podaży pieniądza, banki zostały obdarzone licznymi przywilejami i szerokim zakresem swobód, łącznie z ustalaniem stopy procentowej oraz potencjalnie nieograniczoną emisją kredytu. Dezorganizację systemu bankowego potęgował fakt, że od roku 1975 szereg banków utworzyło wraz z przedsiębiorstwami, które przeszły ponownie w ręce prywatne, konglomeraty jednoczące kapitał bankowy z przemysłowym. Było to równoznaczne z samowystarczalnością owych grup kapitałowych w zakresie kreacji pieniądza, co przyniosło skokowy i nieuzasadniony wzrost podaży pieniądza w Chile. W roku 1979 rząd Pinocheta popełnił bodaj największy w swojej burzliwej, przeszło 12-letniej historii błąd gospodarczy, który można by uznać za ewidentne odejście od zasad głoszonych przez szkołę chicagowską,

a mianowicie: waluta krajowa - peso - została ściśle powiązana z dolarem. Gdy tylko dolar umocnił swoją pozycję, rozpoczęły się drastyczne zakłócenia walutowe ponieważ chilijski pieniądz nie nadążał za ruchem dolara. W efekcie tych zaburzeń największe straty ponieśli eksporterzy krajowi a import osiągnął nowe rekordowe rozmiary. Ostatecznie, w roku 1982, wspomniany spadek cen miedzi oraz powściągliwość banków zachodnich w udzielaniu nowych kredytów - wymusiły dewaluację peso. W ciągu zaledwie kilku tygodni jego wartość spadła o 50%. Zrzuconą tą serią niekorzystnych zjawisk banki zostały ponownie upaństwowione.

Mogłoby się przez pewien czas wydawać, że z bogatego instrumentarium monetarystów ostały się zaledwie dwa marginesowe i niezbyt symptomatyczne przejawy ich wolnorynkowej filozofii: największe na kontynencie amerykańskim zanieczyszczenie powietrza jako rezultat dotychczasowego bagatelizowania problemu ochrony środowiska oraz permanentnie nadużywany przez taksówkarzy, widełkowo ustalony dodatek do kwoty taryfowej, oryginalnie pomyślany jako kompensata niekorzystnych warunków rynkowych.

Trudne lata osiemdziesiąte przesłoniły więc sukcesy uzyskiwane przez gospodarkę Chile w drugiej połowie lat siedemdziesiątych i komplikując ocenę połowicznego eksperymentu monetarystycznego, przeprowadzonego w tym kraju. Niemniej, bilansując dorobek owej niekonsekwentnej polityki gospodarczej junty, nie można popadać w jednostronność. Pomimo sporego zamętu i licznych usterek wachlarz reform przeprowadzonych przez juntę zapewnił gospodarce chilijskiej trwalsze podstawy. Wśród niekwestionowanych zasług należy wymienić m.in. obniżenie inflacji, która obecnie kształtuje się na umiarkowanym w warunkach latynoskich poziomie 30%. Bezrobocie natomiast spadło jak dotąd w niewielkim stopniu ze szczytowego poziomu 20% w roku 1982 do 14%. Gospodarka Chile znajduje się w o tyle korzystnej sytuacji, że nawet w warunkach bardzo niskich cen miedzi jest ona w stanie spłacić swoje długi i zrównoważyć bilans obrotów bieżących. W państwowym przedsiębiorstwie wydobywania miedzi o nazwie CODELCO kontrolującym 80% ogólnokrajowego wydobycia tego surowca, koszt produkcji jednego funta miedzi wynosi 40 centów, a więc znacznie poniżej cen światowych wynoszących aktualnie ok. 65 centów za funt. Nie zważając na protekcyjnistyczne zakusy konkurentów, w tym zwłaszcza USA, Chile zamierza powiększyć swój potencjał wydobywczy, słusznie uważając, że przemyśl ten jest magnesem tak potrzebnych gospodarce inwestycji zagranicznych. O priorytetowym charakterze tej kluczowej gałęzi przemysłu może świadczyć choćby fakt, iż dwóch głównych przedstawicieli siedmioosobowego zarządu dyrektorów CODELCO to wysocy rangą oficerowie armii osobiście wyznaczeni przez Pinocheta, a pięciu z nich to jednocześnie członkowie rządu.

Jak nietrudno domyślić się, aspiracje reżimu Pinocheta idą w kierunku przyciągnięcia kapitału obcego do wszystkich pozostałych sektorów gospodarki. Dostrzegalne są już dziś na tym polu pierwsze zniewolone sukcesu w postaci pozyskania amerykańskiej firmy SIGNAL czy też korporacji wielonarodowej AMAX. Nadzieje budzi również fakt, iż z chwilą odejścia od stałego kursu waluty krajowej wobec dolara /1982 r./ i zastąpienia go formułą płynnego kursu, konkurencyjność międzynarodowa chilijskiego przemysłu poprawiła się o ok. 70%.

Nowy, piąty z kolei minister finansów w Chile - Hernan Buchi stoi przed koniecznością postawienia systemu finansowego "na nogi" i zapewnienia dostępu do funduszy zagranicznych. W tym celu ambitny minister otoczył się kilkoma przedstawicielami drugiego już pokolenia monetarzystów chicagowskich, którzy po ostatnich niepowodzeniach gos-

podarczych zostali przesunięci na wysokie, acz niezbyt wpływowe stanowiska w administracji i banku centralnym.

Z przebiegu zjawisk na chilijskiej scenie gospodarczej można wyciągnąć kilka ważnych, nie tylko dla przyszłości Chile, wniosków.

I tym razem potwierdza się teza, że czas ekonomistów i polityków nigdy nie płynie równolegle. Jest to przecież jeden z pierwszoplanowych powodów częstych zmian strategii gospodarczej, jakim podlegają wszystkie kraje, zwłaszcza od przełomowego roku 1973, kiedy to kryzys energetyczny wstrząsnął całym światem. Żadna jak dotychczas teoria ekonomiczna nie była w stanie sprostać wymaganiom politycznym w wyznaczonych ramach czasowych. Zresztą okres ostatniego dziesięciolecia okazał się wybitnie niesprzyjający dla różnych odmian polityki stabilizacyjnej i często negatywnie weryfikował recepty sanacji gospodarczej, w szczególności zaś te, które abstrahowały od aktualnych wydarzeń i nowych zasobów informacji.

Fenomen Chile po roku 1973 polega nade wszystko na próbie przywrócenia wolności gospodarczej pod patronatem ostrej dyktatury politycznej. Powodzenie tej strategii gospodarczej, zwłaszcza zdolność złagodzenia bezrobocia i stabilizacji stopy życiowej ludności, miało i ma nadal decydujący wpływ na rozwój sytuacji politycznej. Do roku 1982 wymiar polityki ekonomicznej umacniał juntę, w ostatnich latach działał na jej niekorzyść. Ten polityczno-ekonomiczny dualizm w chilijskim wydaniu, rozumiany jako trudne w teorii do pogodzenia współistnienie politycznej dyktatury z gospodarczym liberalizmem, jest w świecie zjawiskiem dość rzadkim, lecz nie unikalnym. Spektakularny rozkwit Korei Płd. odbywa się w zbliżonych warunkach: wiarygodni, wysoko cenieni przez koła wielkiej światowej finansjery przedstawiciele koreańskiej technostruktury, wywierają presję na wojskowy rząd stopniowo przyczyniając się do zwiększenia zakresu swobód ekonomicznych i społecznych. Dość przypomnieć, że stosunkowo niedawno została w Korei zniesiona godzina policyjna.

W ostatnich wydarzeniach politycznych w Chile, jeśli tylko nie okażą się przypadkowe, można - z pewną dozą ostrożności - upatrywać załążki daleko idących zmian w sferze dotychczasowego układu sił. Do niedawna chilijscy działacze opozycyjni podejmowali niedostateczne wysiłki w celu stworzenia sojuszu prawicy z demokratycznym centrum, co mogłoby stanowić sensowną i poważniejszą alternatywę wobec istniejącego reżimu wojskowego.

Spore nadzieje może więc rokować oświadczenie złożone 25 sierpnia 1985 r., w którym 9 frakcji politycznych zaapelowało o przywrócenie swobód obywatelskich, zbudowanie gospodarki mieszanej oraz zastosowanie nowych, pewniejszych w skutkach katalizatorów rozwoju gospodarczego. Mowa była również o konieczności przeprowadzenia wolnych wyborów prezydenckich i zwołania zgromadzenia narodowego, które byłoby władne wprowadzić zmiany do konstytucji Pinocheta z 1980 roku.

Za tym stonowanym wezwaniem kryją się zupełnie nowe w chilijskich warunkach zjawiska. Po raz pierwszy w historii tego kraju partie konserwatywne, dotąd słuźalczo podporządkowane generałowi, dołączyły do centrum oraz partii demokratyczno-socjalistycznych w celu podpisania wspólnej deklaracji. Jedynie komuniści wraz z pozostałymi radykalnymi partiami lewicy zostali tej możliwości pozbawieni. Umocniona opozycja spotkała się z poparciem ze strony Kościoła, a jej wystąpienie zostało z zadowoleniem powitane przez ruch związków zawodowych. Przedstawiciele kapitału natomiast przychylnie ocenili zwłaszcza

wzmianki dotyczące gospodarki mieszanej i przestrzegania prawa własności prywatnej.

Generał Pinochet jako wierny czytelnik Clausewitza może być wkrótce zmuszony do wykonania odwrotu taktycznego w celu utrzymania władzy do 1989 r. Najbardziej prawdopodobne wydaje się z jego strony koncesje polegające na zalegalizowaniu partii politycznych i określeniu zasad wyborów do zgromadzenia narodowego.

Ostatnie badania opinii publicznej w Chile wykazały, że umiarkowany i liberalny rząd zaufania przez Pinocheta zaliczono do przegranych. Wskazano, że obecny rząd za nie do przyjęcia, około 27% jest zdania, iż istniejący reżim należy ocenić negatywnie, natomiast zaledwie 15%-owej części społeczeństwa odpowiada polityczne status quo.

Pinochet jako jeden z niewielu dyktatorów w Ameryce Latam, obok generała Alfredo Stroessnera w Paragwaju i sułtana Desi Boutera w Surinamie, ma "zatem wszelkie powody aby się cieszyć z sukcesów, zwłaszcza że i Amerykanie do pewnego czasu nie wyryją z niego pilwie-nia wobec rządów junty, czyżby więc zmierzono kolejnej wojskowej dyktatury?"

MAREK SOŁTYŃSKI

Marcin Król zabierając głos w dyskusji przeszedł przez odparcie się, a jego argumentację można streścić w podsumowaniu: do się stało, to się nie odwróci. Dotyczy to przede wszystkim taktyki, będącej z natury rzeczy elementem przetrwania, związanym z miejscem i czasem. Król przypisuje podziałowi Waickiego w sprawie właściwych sposobów działania charakter taktyczny. Przypada w wielu miejscach racja Królowi, uważam jednak, że w tym skrajnie wypadku jego rozumowanie zawodzi. Taktyka nie zawsze jest automatyczna wobec celów - często z nich wynika. Pora tym przeszedł, a szkodliwie błądy przesłodził, między innymi swa prostą i bezpośrednią kontynuację w teraźniejszości; zdaje się, że tak jest tym razem.

Gdzie leży istota rzeczy? - Odeś wydatę mi się, iż podobały jakie prezentuje Waicki, faza się ściśle z pewnym mitem, nigdy dotąd (o ile mi wiadomo) nie opisanym, a funkcjonującym w świadomości znacznej części naszej inteligencji już od lat około trzydziestu. Chodzi o mit "absolutizmu despotycznego", to jest nurtu, w którym dyktatura prowadzi do rozwoju państwa, w oparciu o właściwe rozpoznanie rzeczywistości. Przez dyktaturę racjonalizm rozumie się tu tak, która w wysoki (jeśli nie maksymalny) - przy takich warunkach możliwościach - stopniu zaspożywa społeczne potrzeby. Mit ten ma dwie odmiany. Pierwsza - zawsze ja tutaj prześledzowa - kiedyś nacięła na mechanizm ścisłego informowania władzy. Chodzi o stworzenie

* Patrz cykl artykułów polemicznych z tekstem A. Waickiego zatytułowany "Inteligencja", "Solidarność", "Władza i demokracja" w "Ankara", nr 35-37, zawierający teksty W. Krawczyńskiego, J. J. Lipińskiego, K. Pomiana, J. Krawczyńskiego, S. Krawczyńskiego, M. Króla, J. Holera, J. Kołakowskiego i J. Szarykowskiego.

Jarosław Kaczyński

MIT „ABSOLUTYZMU OŚWIECONEGO”

Warto jeszcze raz wrócić do artykułu Andrzeja Walickiego *Myśli o sytuacji politycznej i moralno-psychologicznej w Polsce* oraz do dyskusji, jaką wywołał. Spór na łamach "Aneksu" dotyczył bowiem podstawowych problemów politycznych dzisiejszej Polski. Jak często się zdarza w takich wypadkach, powodem kontrowersji stała się przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Głównym problemem rozważań była rola inteligencji, a ściślej tej jej warstwy, której przysługuje miano intelektualistów. Biorąc rzecz jeszcze precyzyjniej, szło o polityczne i moralne wybory dokonywane przez tę grupę i o ich pragmatyczny oraz zasadniczy sens. Problem ten wymaga przemyśleń zawsze, tym bardziej zaś w czasach, które mogą przynieść sytuacje bardzo go wyodrębniające. Stąd poniższe uwagi, które wypadnie jednak zacząć od przeszłości.

Marcin Król zabierając głos w dyskusji przestrzega przed oglądaniem się wstecz, a jego argumentację można streścić w powiedzeniu: "co się stało, to się nie odstanie". Dotyczy to przede wszystkim taktyki, będącej z natury rzeczy elementem przejściowym, związanym z miejscem i czasem. Król przypisuje poglądom Walickiego w sprawie właściwych sposobów działania charakter taktyczny. Przyznając w wielu miejscach rację Królowi, uważam jednak, że w tym akurat wypadku jego rozumowanie zawodzi. Taktyka nie zawsze jest autonomiczna wobec celów - często z nich wynika. Poza tym przeszłość, a szczególnie błędy przeszłości, miewają nieraz swą prostą i bezpośrednią kontynuację w teraźniejszości; zdaje się, że tak jest tym razem.

Gdzie leży istota rzeczy? - Otóż wydaje mi się, iż poglądy jakie prezentuje Walicki, łączą się ściśle z pewnym mitem, nigdy dotąd (o ile mi wiadomo) nie opisanym, a funkcjonującym w świadomości znacznej części naszej inteligencji już od lat około trzydziestu. Chodzi o mit "absolutyzmu oświeconego", to jest ustroju, w którym dyktatura prowadzi racjonalną politykę, w oparciu o właściwe rozpoznanie rzeczywistości. Przez politykę racjonalną rozumie się tu taką, która w wysokim (jeśli nie maksymalnym) - przy istniejących możliwościach - stopniu zaspokaja społeczne potrzeby. Mit ten ma dwie odmiany. Pierwsza - nazwę ją tutaj proreżimową - kładzie nacisk na mechanizm służący informowaniu władzy. Chodzi o tworzenie

* Patrz cykl artykułów polemicznych z tekstem A. Walickiego zatytułowany *Inteligencja, "Solidarność", władza, zamieszczony w "Aneksie", nr 35-37, zawierający teksty W. Kuczyńskiego, J. J. Lipskiego, K. Pomiana, J. Karpińskiego, S. Kisielewskiego, M. Króla, J. Holzera, L. Kożakowskiego i J. Surdykowskiego.*

grup ekspertów oraz instytucji służących sygnalizowaniu nastrojów i potrzeb społecznych. Zakłada się tu, że ośrodek decyzyjny obdarzony jest z natury rzeczy dobrą wolą i będąc wolnym od społecznych uwikłań a mając dobre informacje, prowadzić będzie właściwą politykę, rozumianą jako swoista technologia.

W wersji opozycyjnej mitu nacisk położony jest na rolę intelektualistów jako nosicieli wiedzy. Ich wysiłki, ich gra wobec rządzących ma prowadzić do oświecenia politycznych decydentów i narzucania im właściwych kierunków działania, czy przynajmniej (w wersjach najbardziej wstrzemięźliwych) do wymuszenia od nich zgody na swobodne działanie innych. Ocena sytuacji i uwikłań ośrodka decyzyjnego nie jest tu tak wyraźna, ale przynajmniej *implicite* zbliża się do tej, która właściwa jest wariantowi poprzedniemu.

Rzecz jasna, ta systematyzacja ma charakter bardzo skróto-
wy i upraszczający. W rzeczywistości elementy obu odmian omawianego mitu mogą mieszać się ze sobą. Istotą wszakże całej koncepcji (czy raczej przeświadczenia) pozostaje założenie, iż możliwa jest sytuacja, w której istniejący w Polsce system polityczny, nie poddany zasadniczej reformie, a jedynie oświecony, wcielić będzie w życie interesy społeczne czy też interes narodowy. Szczególna rola przypada tutaj intelektualistom, ale warunkiem powodzenia tej misji jest ich związek z władzą. Nie musi to być związek ścisły, organizacyjny (przynajmniej w wersji opozycyjnej, która bardziej tu nas interesuje). Wręcz przeciwnie. Można, a nawet trzeba zachowywać duży dystans, aby tylko nie przekraczać pewnej miary. Niewiele dotąd było publikacji, w których ten typ przeświadczeń - w wariacie opozycyjnym - przedstawiony został bardziej bezpośrednio, niż w artykule Walickiego. Dobrze, że się tak stało. Wiemy dzięki temu, iż mit jest trwały i możemy spróbować źródła tej trwałości ustalić, a poza tym w ogóle przyjrzeć się nieco temu fenomenowi.

Zacznijmy od źródeł trwałości. Pięć z nich wydaje się być najważniejszymi. Po pierwsze mit ten pomaga rozwiązać dylemat, do jakiego prowadzi połączenie przekonania, iż ustroj jest w zasadzie niezmienny i imperatywu działania dla dobra publicznego, który jest głęboko osadzony w świadomości znacznej części inteligencji. Dzięki mitowi dokonuje się racjonalizacja aktywności w istniejących ramach polityczno-organizacyjnych. Po drugie, u tych wszystkich, którzy byli, lub są, przekonani o zaletach socjalizmu, to jest systemu, w którym podstawowe środki produkcji są własnością państwa, powstać mogło przekonanie, iż oświecenie ustroju jest drogą do wykazania tych zalet. Po trzecie, oświecenie jako metoda zmiany polityki jest przekonaniem dobrze osadzonym w prostym myśleniu poprzez sąd, iż władza tak rządzi, jak rządzi, gdyż jest głupia. Po czwarte, do umocnienia trwałości mitu przyczyniła się również władza. Tezy absolutyzmu oświeconego prezentowane były często (szczególnie lub nie) przez ludzi władzy, a w pewnych momentach nawet konkretne posunięcia wydawały się wskazywać, że jest szansa na - choćby tylko wycinkowa - realizację mitu. Przykładem mogą być tu komisja do spraw reformy z 1957 roku, komisja Szczepańskiego i wreszcie cała polityka różnych ciał doradczych powstałych po roku 80. Po piąte wreszcie, absolutyzm oświecony posiada dużą atrakcyjność dla intelektualistów, a przynajmniej ich części.

Leszek Kołakowski polemizując z Walickim przypisuje mu chęć

racjonalizacji i przez to absolutyzacji postawy łączącej intelektualną uczciwość w pracy z odczuciem opozycyjnego (a więc w polskich warunkach ryzykownego) zaangażowania. Wydaje mi się, że nie można sprowadzić motywacji autora *Myśli o sytuacji...* do tego elementu. Z artykułu wyłania się obraz intelektualisty nie uczestniczącego bezpośrednio w życiu politycznym, ale mimo to wywierającego na nie (w pojedynkę, lub wraz z innymi) znaczny wpływ. I nie o paszporty ani cenzuralne ulgi tu chodzi, ale o sprawę dużej wagi. Idzie wręcz o manipulację władzą, udział w podejmowaniu decyzji. A wszystko to jednak bez płacenia jakiegokolwiek ceny, to znaczy bez brania na siebie odpowiedzialności, bez utraty prywatności, bez poddania się specyficznym regułom gry życia politycznego. Któż zaprzeczy, iż jest to sytuacja bardzo wygodna, mająca właściwie same zalety; sytuacja, w której może realizować się stare marzenie o połączeniu najwyższej pozycji intelektualnej z wpływem na praktyczny bieg rzeczy w szerokiej skali. Nic więc dziwnego, że kandydatów do oświecania władzy było zawsze wielu - zarówno indywidualnych, jak i zbiorowych. Spośród tych ostatnich wystarczy wymienić przykładowo wczesny DiP, grupę "Życia i Nowoczesności" sprzed 1973 roku, grupy ekonomistów po 56 roku. Miało elementów mitu oświeconego absolutyzmu można znaleźć w aktywności rewizjonistów, szczególnie tych, którzy wywodzili się z wydziałów nauk społecznych na uczelniach, a także w przedsięwzięciach katolickich pozytywistów. W ogóle polski "dziurawy totalitaryzm" po 56 roku ze swymi marginesami swobód, kontaktami z Zachodem itd., sprzyjał bardzo szerzeniu się opisywanych tu przeświadczeń. Do połowy lat siedemdziesiątych było to poniekąd naturalne. Inne opcje nie zostały wyraźnie sformułowane (co nie znaczy, że ich w ogóle nie było). Intelektualista, który chciał działać, a nie miał kwalifikacji na przywódcę czy twórcę przełomowych programów, niemal automatycznie wchodził w krąg oddziaływania mitu. Chyba, że wiazał się z Kościołem (co nie jest równoznaczne zresztą ze stanieniem się katolickim pozytywistą).

Proces emancypacji był powolny. Opóźniły go wyraźnie wydarzenia marca i sierpnia 68 roku. Znalazło to swoje odbicie w kształcie sytuacji wczesnych lat siedemdziesiątych. Od roku 1975 alternatywa jednak już była. Najpierw "List 59" (w istocie - 66), potem powołanie KOR-u i zbliżonych doń instytucji (w tym, na początku 1978, TKN-u) stworzyły nowe możliwości. Walicki uznaje te przedsięwzięcia za błąd, sądząc najwyraźniej, że postawa intelektualnej elity mogłaby proces emancypacyjny zatrzymać, czy nawet odwrócić. Jest to bardzo grubą nieporozumieniem. Możliwa była jedynie sytuacja, w której ruch dysydentki (co prawda w nieco słabszym pod wieloma względami składzie) rozwijałby się w ostrej polemice ze środowiskami, których reprezentantem, ale i mentorem, chce być profesor z Australii (Chwilowo). Skutki byłyby rozliczne i wyłącznie negatywne. Przy największym bowiem optymizmie trudno uwierzyć w zmianę polityki ekipy Gierka pod wpływem intelektualistów, których legitymacją miałyby być odrzucenie wezwań Kuronia czy Czumy. Natomiast stereotyp zaliczający intelektualistów (czy w ogóle inteligencję) do grupy uprzywilejowanej, związanej lub zgoła tożsamej z władzą, umocniłby się niepomierne. A był on wówczas i tak silnie załamany w świadomości społecznej. Kształtowało go codzienne doświadczenie robotnika stykającego się z nadzorem i chłopca, stykającego się z urzędnikami. Umocniały zaś środki masowego przekazu z telewizją na czele, pokazująca na codzien profesorów, docentów i doktorów będących eksponowanymi elementami fasady systemu. Oddziaływał też na robotniczą i chłopską elitę angażującą się w nowy ruch społecz-

ny. W 1978 roku grupa robotników z gdańskich Wolnych Związków Zawodowych, wśród których był Lech Wałęsa, uczestnicząca w zajeciach samokształceniowych, nie mogła uwierzyć, że ich wykładowca, asystent uniwersytecki, nie ma własnego mieszkania i musi wynajmować pokój. Sądziła, że takie dolegliwości obce są komuś, kto pracuje na uczelni. Wielką zasługą KOR-u i innych ugrupowań opozycyjnych było przełamanie tego stereotypu - przynajmniej wśród tych środowisk, które miały odegrać decydującą rolę w nadchodzącym konflikcie. Później ta świadomość wspólnoty interesów i podobieństw społecznej kondycji - w odniesieniu do władzy - inteligencji oraz robotników i chłopów zatoczyła nieporównanie szersze kręgi i stała się podstawą "Solidarności": organizacji, która można i trzeba krytykować, ale której nie sposób odmówić tego, że zmieniła Polskę - i to na lepsze (tu zgadzam się z M. Królem).

Rezygnacja z oddzielnego związku zawodowego naukowców, nad czym, jako kolejnym błędem, boleje Walicki, była jedną z najskusniejszych decyzji całego okresu między sierpniem a grudniem. Gdyby jej nie podjęto to "dziewięcioliterowiec" albo stałyby się przedmiotem ataku "Solidarności" w sytuacji, gdyby starał się być zbyt blisko władzy, czyli instytucjonalizowałby i podkreślał przeciwstawienie intelektualistów - społeczeństwo, albo też, dotrzymując kroku "Solidarności", stałyby się głównym siedliskiem "kontrrewolucji", ze wszystkimi tego konsekwencjami. W żadnym wypadku, poza wywoływaniem i wzniecaniem nastrojów antyinteligentkich, nicby nie zdziałał.

Pochwały decyzji włączenia się do "Solidarności" nie wyczerpują rzecz jasna kwestii oceny postaw intelektualistów w okresie 16 miesięcy. Czy mit, o którym tu mowa, znikł? Otóż i tak, i nie. Konieczność reform stała się niby oczywista, ale nie od rzeczy jest wspomnieć o tych wszystkich koncepcjach proponujących połączenie istnienia "Solidarności" z utrzymaniem niezmienionego w niczym przedsierpniowego systemu politycznego. Bez wątpienia było to wynikiem obaw przed interwencją, ale jakieś echa mitu też się w tym odzywały. Niezależny związek miał formułować potrzeby społeczne, a władza je realizować. Nie tym jednak wypada się tu zająć, jako że nadmierną wstrzemięźliwość zastąpił wkrótce trend zbyt jej pozbawiony. Chodzi natomiast o pewne struktury myślenia jawnie już związane z opisywanym tu zjawiskiem, a szczególnie tymi jego aspektami, które służyć mogą uzasadnieniu zachowań mających głównie na względzie wygóde działającego.

Aktywność środowisk akademickich i intelektualnych była w tym czasie duża, nosiła jednak pewne specyficzne cechy. W składzie różnego rodzaju ciał doradczych "Solidarności", w jej ośrodkach badawczych, niewiele było ludzi ze szczytów akademickiej hierarchii - nawet w szerokim ich rozumieniu. Jeszcze mniej tych ludzi znalazło się wśród działaczy regionalnego i centralnego szczebla. Na uczelniach i w instytutach mówiło się o rewolucji adiunktów. Bujnie natomiast rozkwiły inne formy działalności: komisje ekspertów przygotowujące różnorakie projekty czy rozwinięty niepomiarnie DiP. Tam, gdzie chodziło o wykorzystanie wiedzy fachowej, można to zrozumieć, choć pamiętać też trzeba, że ośrodki badawcze regionów i OPSZ stały otworem dla fachowców najwyższej klasy - nie zawsze ich znajdując. Inaczej rzeczy się mają, gdy szło o politykę. Tu znów próbowano oświecać - tyle, że już nie władzę (albo nie tylko władzę), ale ruch związkowy reprezentujący większość społeczeństwa. Towarzyszyło temu przekonanie, przynajmniej niektó-

rych, o posiadaniu jakichś totalnych doktoratów, pozwalających na rozstrzygnięcie *ex cathedra* spraw publicznych przez ludzi nie mających profesjonalnie z nimi nic, albo prawie nic wspólnego. I to wszystko z dystansu, bez angażowania się, bez brania na siebie odpowiedzialności. Nazywało się to najczęściej działalnością środka. Środek miał być siłą mediacyjną, a składać się z grupek wszechwiedzących intelektualistów, z "wiedzy czystej", chciałoby się powiedzieć. Centrum było i jest Polsce potrzebne. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że jest to pojęcie odnoszące się do realnych sił politycznych, a nie do czegoś, co w najlepszym wypadku może być określone jako grupa dobrych usług. W naszych warunkach rolę środka może w pewnym zakresie odegrać Kościół, przy czym jednak nie jest on instytucją polityczną. By więc ów środek rzeczywiście stworzyć, trzeba się było najpierw zaangażować bezpośrednio w działalność polityczną. W "Solidarności" na przykład szansę taką miała sieć wielkich zakładów przemysłowych (jej przywódca to zreszta szef "Solidarności" w PRL), mogąca odegrać w pewnych warunkach i przy odpowiednim wsparciu rolę politycznego stabilizatora związku. Szanse były też i poza ruchem związkowym, jednak pod warunkiem porzucenia dotychczasowej, omawianej tu postawy. Ale A. Waliński i jemu podobni sędziłi, iż wystarczy napisać jakiś artykuł, po którym nastąpi powszechna iluminacja; że wiedza i autorytet (co do którego zreszta mieli bardzo przesadne mniemanie) mogą działać same. Inaczej mówiąc: porządek polityczny i poznawczy mogą być tożsame, a jeśli nie są, jest to wynikiem głupoty polityków. W tym można chyba szukać źródeł przekonania, że polityka "Solidarności" to wynik takiej czy innej woli grupki doradców wywodzących się po części z kręgów elity intelektualnej. Jest to po prostu nieprawda. W tym miejscu jednak muszę poświecić parę zdań polemice z Waldemarem Kuczyńskim, który stara się przedstawić wydarzenia między sierpniem a grudniem jako wynik li tylko spontanicznie wyrażanej woli ludu. Zadanie to ułatwia mi przykład, którym się posłużył - powołanie "Solidarności" w dniu 17 września 1980 roku. Byłem tych wydarzeń uczestnikiem i dlatego z całą pewnością mogę powiedzieć, że rzecz nie przedstawiała się tak prosto, jak to opisał Kuczyński.

Powołanie ogólnokrajowej organizacji budziło - z różnych, lecz nie pozbawionych racjonalnych przesłanek względów - opór właściwie wszystkich poważniejszych grup i osób skupionych wokół gdańskiego MKZ. Delegacja Dolnego Śląska, która przybyła z projektem powołania "Solidarności", a nawet z gotowym statutem i sądziła, że zdoła przeforsować swój plan siłą jego oczywistej słuszności, zawiodła się całkowicie. Spotkała ją odmowa. Jeszcze raz potwierdziła się stara prawda, że w polityce najczęściej decydują konkretne interesy grup zaangażowanych bezpośrednio w wydarzenia - przy czym mogą one rozpoznawać je błędnie. Dalej wydarzenia potoczyły się następująco: pomysł dokonania wspólnej rejestracji wszystkich regionalnych związków zrodził się także w Warszawie jako odpowiedź na pamiętną uchwałę Rady Państwa, której oczywistym celem było podtrzymanie partykularyzmu i stworzenie pola do dyferencjującej rodzzący się ruch gry władzy. Zrodził się, dodam, w trakcie narady tej kategorii działaczy, która nazywano ekspertami. Porozumieli się oni w Gdańsku z jednym z tamtejszych ekspertów, który ułatwił Janowi Olszewskiemu zabranie głosu w części obrad, która zastrzeżono dla działaczy i wzięli na siebie operacje zakulisowe. Olszewski głos zabrał i propozycja wspólnej rejestracji zyskała entuzjastyczne poparcie sali. Obrady jednak przerwano (przedtem jeszcze próbowano odebrać głos

J. Olszewskiemu), a na zapleczu, gdzie zebrało się prezydium, wybuchła nie lada awantura. Wspomniany ekspert dał sobie jednak radę i propozycję przyjęto - w takiej jednakże wersji, która, jako prawnie niemożliwa do realizacji, miała być zapewniona w toku dalszych obrad odrzucona. Przeciwnikom tej koncepcji chodziło więc o to, aby uspokoić salę, której przedstawiono zgodę, ale jednocześnie postawić na swoim. (Szło o to, że ma powstać federacja - forma, której uchwała Rady Państwa nie przewidywała - a nie jeden ogólnopolski związek). Rzecz w tym jednak, że zwolennikom jedności ogólna zdołała wystarczać. Wiedzieli bowiem, iż w dalszej części narady wystąpi Karol Modzelewski z propozycją stworzenia "Solidarności" jako jednej organizacji dla całej Polski z Lechem Wałęsą na czele. Tak też się stało i propozycja została przyjęta z entuzjazmem, a Wałęsa, kierując się swym znanym wyczuciem politycznym, zgodził się być przewodniczącym.

Ma więc rację Kuczyński: decydowała sala; ale zapomniał lub nie znał pewnych faktów (co zresztą dziwi, gdyż wtedy Olszewski a nie Modzelewski był bohaterem dnia), których pominąć się nie da, jeśli chce się na tym przykładzie pokazać mechanizm działania Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego. Rola ekspertów nie była czysto techniczna, a dalsze wydarzenia pokazały ich duże znaczenie, szczególnie w kontaktach z władzami, gdzie doradcy często dominowali (na przykład w sierpniu 1981, gdy w gmachu Rady Ministrów toczyły się rozmowy KKP z Wałęsą na czele pod przewodnictwem Rakowskiego, a jednocześnie w Sejmie czterej doradcy rozmawiali poufnie z Farcikowskim, czyli na wyższym szczeblu, o czym nie wiedzieli nawet bardzo wybitni działacze związku). Ale działało się to wszystko w ramach wyznaczonych przez poglądy i nastroje mas członkowskich, a szczególnie aktywistów różnych szczebli. Oni tworzyli ciężką sytuację nieprzewidzianą, a brzemienną w skutki - czy to w zakładach pracy, czy też na szczeblu regionów. Aby temu zapobiec, aby racjonalizować politykę tych ogniw, trzeba było działać także na tym poziomie i w lokalnej prasie. Na to zaś brakowało sił z powodów, o których już była mowa.

To, co napisałem, nie oznacza, by można było przejść do porządku dziennego nad zarzutem politycznego błędu, jaki w większości popełnili doradcy. Ich koncepcje opierały się bowiem, jeśli nie do końca, to długo - o wiele za długo - na błędnej ocenie rzeczywistości. Zarzut ten można jednak zaadresować do tych wszystkich, którzy stali z boku i narzekali, zamiast włączyć się do gry. Był to bowiem pierwszy warunek skutecznego działania. Wymagał także rozstania się z komfortem. Zbyt wielu na to się nie zdobyło.

Po 13 grudnia powstała sytuacja rowa. Jaka - wszyscy wiemy. Z punktu widzenia omawianego tu mitu sytuacja ta jest, a raczej była, wielce interesująca. Tzw. reformy okrojone przez władzę tworzyły system instytucji znakomicie wręcz oddających ideę oświeconego absolutyzmu - i to w obu wersjach naraz. Dotyczy to zarówno licznych ciał doradczych, jak i PROM-u, związków zawodowych (które mają być, wedle określenia Jaruzelskiego, "systemem wczesnego ostrzegania"), czy wreszcie autonomii uczelni, które miały zagwarantowane przez ustawę z 1982 roku znaczny margines swobody. Co więcej, język, którym często posługuje się (a raczej posługiwała) władza, nawiązuje do "technologicznej" wizji polityki i społeczeństwa. Rakowski, jeszcze przed rokiem 1980 w którejś ze swych wypowiedzi przedstawił projekt systemu, w którym rządy Polską sprawować będzie

dyktatorska władza, ale w kontakcie z intelektualistami a także z Kościołem.

Okres po 13 grudnia - szczególnie zaś po zniesieniu stanu wojennego - jest zgoła idealny dla "oświeceniowych" eksperymentów. W innych warunkach są one zawsze zagrożone przez społeczną aktywność. Okrojone przez władzę instytucje, choć ekskluzywne i mało znaczące, mogą stać się ośrodkami skupiającymi uwagę opinii publicznej, a wypowiedzi czy propozycje wygłaszane na ich forum zyskiwać wagę politycznych haseł i programów zjednujących sobie szerokie poparcie. Gdy większość społeczeństwa "pójdzie w zaparte", a mniejszość zachowująca bojowego ducha neguje wszystko, co wiąże się z władzą, niebezpieczeństw takich z zasady nie ma. Rzecz jasna i chetnych do współpracy intelektualistów jest mniej, ale w końcu zawsze się znajduje i to niekoniecznie tylko spośród tych z mniejszych gildii. Można więc wnieść wiedzę do procesów politycznych, rozszerzać marginesy swobody itd., itp. Można też sądzić, że w swoistej walce systemu "oświeconego" z "nieoświeconym" wygra ten pierwszy. Tyle tylko, że są to całkiem niesłuszny. Cołym okiem widać dziś, kto wygrawa. Iile znaczą ciała doradcze, jak warunkiem autonomii uczelni okazuje się to, żeby uczeni działali wbrew wspaniałym poglądom - nie tylko politycznym, ale i naukowym (nie ukrywa się przecież ani chęci przywrócenia dominacji marksizmu-leninizmu, ani też zdecydowania zastosowania w tym celu tzw. "administracyjnych metod"). Wiadomo, czym jest PRON, jak likwiduje się reformę gospodarczą, tnie wydatki na kulturę, a ledwie zipiająca oświata zaprzęga w polityczny (a raczej politrucky) kierat. Jak wreszcie powraca wszędzie nomenklatura, rządy aparatu. Czytając uchwały Piura Politycznego i plenów KC oraz sprawozdania z różnych narad PZPR dostrzec można z łatwością zawartą w nich wizję przywrócenia starego systemu - tyle tylko, że już bez luk. Lektura ta jest bez wątpienia bardziej instruktywna niż czytanie deklaracji PRON o pluralizmie i tolerancji. Pozwala też na odróżnienie socjotechniki władzy od jej polityki. Ta pierwsza zmieniała się znacznie. PRON-y, rady, związki, komitety i konsultacje są tego przykładem. Istota rzeczy pozostaje jednak ta sama. Nie twierdzę przy tym, iż mam pewność, że wśród grup rządzących nie było zwolenników rzeczywistych reform. Nie mieli oni jednak - jeśli byli - najmniejszych szans. 13 grudnia zepchnięte zostały z areny politycznej autentyczne (choć nie zawsze racjonalne) siły społeczne dążące do zmian, do wielkiej reformy. Pozostały zaś te, którym dawny system odpowiadał. Były co prawda wystraszone, zdeorganizowane i wewnętrznie skłócone, ale dostatecznie silne, by, przy zewnętrznym poparciu, powstrzymać grupki przeżiwimych reformatorów i z biegiem czasu umocnić swe pozycje. Przebudowa systemu gładko być prowadzona tylko wtedy, gdyby uzyskała poparcie poważnej części zwolenników "Solidarności". Warunkiem tego było jednak zdecydowane wyjście poza koncepcje absolutyzmu oświeceniowego, a także zaspokojenie potrzeb społecznych w sferze symbolicznej, emocjonalnej. Tego zaś, bez przywrócenia w tej czy innej formie Niezależnego Samorządnego Związku, nie dało się zrobić (a na tym opierały się nadzieje tych, którzy po 13 grudnia wierzyli w możliwość odbudowy "Solidarności" na podstawie porozumienia z reformatorskim skrzydłem władzy). Ekskluzywne grupy, racjonalnie myślące nowe elity opozycyjne nic tu nie mogły i nie mogą zmienić. To ostatnie zdanie piszę w związku z artykułem Marcina Króla w poszukiwaniu racjonalnej drogi.

Wystąpienie to, będące wyrazem zespołu poglądów, który przejawia się szerzej w niezależnej publicystyce, wskazuje na moż-

liwość ciągłego odradzania się opisywanego tu mitu. Możliwość, a nie konieczność, gdyż zwolennicy "nowego realizmu" nie piszą zbyt jasno. Musi to być niejasność zamierzona, bo przecież M.Królowi nie sposób odmówić pisarskich kwalifikacji. Dokonując tu więc jednej z możliwych interpretacji - zakładając, że musiała być ona co najmniej dopuszczona przez autora *W poszukiwaniu racjonalnej nadziei*. Formuluje on dwie podstawowe myśli. Pierwsza, stanowiąca przesłankę całego rozumowania, mówi, że należy pozbyć się złudzeń co do możliwości skutecznego nacisku na władzę jako narzędzia wymuszania zmian oraz uzyskiwania w tym względzie pomocy Zachodu. Konkluzją jest wezwanie do pracy formacyjnej dla przygotowania elity gotowej uprawiać opozycję na zasadzie uznania rzeczywistości ustrojowej PRL (w tym kierowniczej roli partii) oraz przekonanej, że w tych ramach można działać na rzecz poprawy sytuacji w naszym kraju. Szansę dla takiej inicjatywy upatruje M.Krół w tej nowej socjotechnice władzy, wcześniej już tu omówionej. Jest ona dla niego przynajmniej symptomem możliwości przemian w porządanym kierunku, tzn. ku formule ustrojowej, w której mieścić się będzie opozycja. Zauważmy najpierw podobieństwo tej koncepcji do idei oświeconego absolutyzmu. W proponowanych ramach opozycja będzie przecież niczym innym jak zbiorowym doradcą - tyle tylko, że zorganizowanym na nieco innych zasadach. Jej rola sprowadzi się więc do elementu socjotechniki rządzenia. Gdyby nawet pozwolono jej powstać, kierunek w jakim toczą się wydarzenia, zdaje się wskazywać, że propozycja jest spóźniona o jakieś trzy lata.

Żałujemy jednak, że się mylą, a prawdziwe nadzieje inicjatorów "nowego realizmu" opierają się na przekonaniu o słabości władzy i o tym, że nie jest ona w stanie odbudować dawnego ładu, a nowe metody są tego dowodem. Formuła wewnątrzustrojowej opozycji to tylko przyzwołek, który ma być rozszerzony wraz z pojawiającymi się możliwościami i szansami racjonalizowania społecznych działań w razie nowych przesileń. Omawiany artykuł nie daje podstaw do takich interpretacji, ale załóżmy na chwilę jej możliwość.

Jak tedy przedstawiają się szanse realizacji pomysłu w takiej wersji? Czy z pozycji wyżej opisanych da się wpłynąć na bieg wydarzeń, gdy nabiorą one tempa? Doszliśmy tu do podstawowego, jak sądzę, zagadnienia stojącego przed polityczno-intelektualnymi elitami naszego kraju. Polska od 30 lat przeżywa swego rodzaju cykl rewolucyjny. Jego dotychczasowym szczytem były wydarzenia lat 1980-81, a po części także 1982. Specyficzne warunki, w jakich rozgrywały się wydarzenia, sprawiły, że cele, które stawiały sobie siły rewolucyjne, były ograniczone. Nigdy nie dążono do obalenia władzy, chciano jedynie zmienić status społeczeństwa. Gdy 13 grudnia okazało się, że usiłowania te są bezskuteczne, że substytutowa wobec pełnej reprezentatywnej demokracji idea porozumienia z władzą, uzupełniona później rozbudowaną koncepcją samorządności, zawiodła - zaczął się proces psychospołeczny, którego istotą jest odchodzenie od tych koncepcji w kierunku celów dalej idących. Rozerwany przy tym zostaje związek między celami, a narzędziami mającymi służyć ich urzeczywistnieniu. Sposób osiągnięcia zamierzeń albo w ogóle znika z pola widzenia, albo też jest tak określony, że przestaje zależeć od samych zainteresowanych. Programy polityczne tak formułowane odwołują się wyłącznie do indywidualnej motywacji zasadniczej, czyli stają się w istocie moralizowaniem.

Opisywany proces, którego elementem jest też skrajnie intencjonalne zmitologizowane widzenie rzeczywistości polskiej i międzynarodowej, ma poważne i bardzo negatywne skutki polityczne. Obciąża zarówno bowiem bieżącą działalność opozycji, w tym i "Solidarności", prowadząc do popełniania rażących błędów osłabiających jej prestiż w Polsce i na świecie, jak i - co ważniejsze - czyni prawdopodobną sytuację, w której kolejne przesilenie próby przebiegać będzie w warunkach uniemożliwiających jakiegokolwiek pozytywne rozwiązanie polityczne. Takie rozwiązanie wszak, czy to się komuś podoba, czy nie, musi opierać się na tej lub innej formie powrotu do idei dialogu i porozumienia. Powrót ten jest zresztą bardzo trudny zupełnie niezależnie od postawy opozycji, a to ze względu na nastawienie władzy. Nie jest jednak całkowicie wykluczony - pod warunkiem racjonalizacji postaw strony społecznej (używam tego pojęcia zdając sobie sprawę z poparcia części społeczeństwa dla władzy), tzn. dziś w pierwszym rzędzie opozycyjnego aktyw. On bowiem najprawdopodobniej kształtować będzie postawy szerszych kręgów ponownie zaktywizowanego społeczeństwa, w tym także robotników (wyłoni się i nowy aktyw, ale wzory przynajmniej będzie czerpał od "starego").

Kto może dokonać owej niezmiernie trudnej dziś operacji racjonalizacyjnej? Otóż własne elity intelektualno-polityczne, pod warunkiem pozyskania sobie autorytetu i wiarygodności. Działalność, która proponuje M. Król, wyklucza taką możliwość. Ewentualne analogie z rolą Klubów Inteligencji Katolickiej w czasie organizowania się "Solidarności" są całkowicie fałszywe. Wtedy sfera opozycyjna były słaba, nie była otoczona szerzej uznawanym mitem, a jej przywódcy byli mało znani. Wówczas KIK-i, a nawet ODiSS czy wręcz PAX funkcjonowały w powszechnej świadomości jako organizacje bliskie opozycji (w wypadku KIK-ów zresztą po części słusznie). Nie było też emocjonalnej aury zrodzonej przez stan wojenny - owych głębokich podziałów i ostrych niechęci. Dziś to wszystko jest i kto w rozumieniu społecznym - nie przeczę, że bardzo uproszczonym i często niesprawiedliwym - zostanie uznany, choćby częściowo, za kolaboranta, ten nie ma szans. Pierwszy więc wymóg to jednoznaczność wypowiedzenia się po społecznej stronie. Wymóg drugi, niejako natury psychologicznej, to odrzucenie tego sposobu myślenia, który zaprezentował w "Aneksowej" dyskusji Jerzy Surdykowski. Jeśli się uzna, że kolejny protest społeczny musi być dużo radykalniejszy niż poprzedni, że nie da się uzgodnić procesów psychospołecznych toczących się w Polsce z wymogami politycznego realizmu, to pozostaje jedynie wierzyć w cud, albo oczekiwać katastrofy. Uwarunkowania zewnętrzne, choć nie są niezmienne, i mogą ewoluować, do naszych wymagań same się nie dostosują. Także fakt, że władza w Polsce ma i będzie miała się czym bronić i dlatego proponowanie jej kapitulacji jest bez sensu, można uznać za trwałe. Trzeba więc zrezygnować z przeświadczeń, jakie głosi Surdykowski, albowiem politycznie są one całkowicie jałowe.

Wymóg trzeci jest najtrudniejszy, ale i najważniejszy. Trzeba przygotować i rozpropagować program polityczny, z którym mogłoby wystąpić społeczeństwo w nowej fazie kryzysu. Jest to przedsięwzięcie ryzykowne - i to nie tylko dlatego, że prowadzi do narażenia się rządzącym. Także z innych względów. Można na przykład popełnić błąd i pójść "za blisko", okazać się za mało radykalnym. Jaka to kompromitacja wie każdy, kto zna Polskę. Można też pójść "za daleko" i - ponieść tego konsekwencje. Trzeba narazić się wielu ludziom, umieć znosić niezrozumienie i ataki. A wielkie są też w tym przedsięwzięciu przeszkody natury

intelektualnej.

W Polsce ostatnich lat, wbrew pozorom, programów politycznych było mało. Owszem, pisywano często raporty. Tym razem jednak nie chodzi o zajmowanie się wszystkim: kulturą i melioracją gruntów, przemysłem i wychowaniem przedszkolnym. Rzecz leży w skonstruowaniu politycznej wizji takiej przebudowy relacji między władzą a społeczeństwem w Polsce, która zaspokajałaby choćby część społecznych aspiracji i umożliwiała utrzymanie politycznej równowagi. Wizja ta musi być przy tym zrozumiała dla szerokich kręgów społeczeństwa, odwoływać się do istniejących emocji i przekonań społecznych. Powinna być konkretna, postulować zarówno zmiany instytucjonalne, jak i zawierać żądania dotyczące partycypacji w instytucjach już istniejących, a uznanych za pożyteczne. Musi też łączyć się z programem wyjścia z zapaści, w jakiej wciąż znajduje się nasz kraj. Czy takie zadanie jest w ogóle możliwe do wykonania? Nie wiem. Ale brak takiej próby stanowi wielkie obciążenie politycznego i moralnego sumienia tych wszystkich, którzy widzą siebie jako członków intelektualnej i politycznej elity Polski.

JAROSŁAW KACZYŃSKI

Mirosław Gajda

SPRAWA WALICKIEGO

Spotkania z Miłoszem Andrzeja Walickiego* to książka ważna, której problematyka mieści się w samym centrum polskich dylematów społecznych i politycznych. Jest to zarazem książka domagająca się zasadniczej polemiki. Walicki określa swoją pracę jako "autobiografię intelektualną", dla której oś konstrukcyjną stanowi wymiana korespondencji między nim a autorem *Zniewolonego umysłu*. Dwa wstępy i dwa posłowia ujawniają skalę niepewności i niepokoju autora *Spotkań z Miłoszem* odnośnie tego, czy mówiąc "pełnym głosem" zostanie należycie zrozumiany. Obawy te są w pełni uzasadnione, bowiem lektura ta jest w przeważającej części drogą przez zarośla sprzeczności, w które utknięty jest Walicki jako wybitny naukowiec podejmujący ryzyko myślenia politycznego.

W założeniu *Spotkania z Miłoszem* są autokomentarzem Walickiego do jego wcześniejszych prac naukowych. Zachowując z grubsza prawa chronologii ujawnia ideowe motywacje swych życiowych wyborów oraz polityczne (w szerokim rozumieniu) przesłanki, którymi kierował się w pracy naukowej. Pracy tej nadawał

* Andrzej Walicki, *Spotkania z Miłoszem*, wyd. „Aneks” Londyn 1985.

zreszta szeroki sens społeczny i historyczny. Miał świadomość jej doniosłości, a towarzyszyło temu poczucie szczególnej misji dziejowej, którą ma do spełnienia. Polegała ona, najogólniej rzecz ujmując, na pracy na rzecz wzajemnego zbliżenia się i lepszego zrozumienia kultur polskiej i rosyjskiej oraz, w innym planie, na działaniu w kierunku "historycznego kompromisu" między narodem a panującym w Polsce systemem politycznym. Gdy wspomina o tym teraz (w 1984 roku), pisze z pozycji człowieka, który przegrał. Co jednak charakterystyczne, winą za ową klęskę obarcza nie siebie, nie reżim nawet, lecz społeczeństwo, a przede wszystkim jego elity. Ton tej pretensji brzmi na przestrzeni całej książki, a najgłośniej w *Postoiwii*. Warto przyjrzeć się bliżej przegranej Walickiego i jej przyczynom, albowiem wnioski, jakie on sam z niej wyprowadza, są po prostu fałszywe.

Pierwszy, a zarazem fundamentalny zarzut, jaki trzeba postawić autorowi *Sprytak z Miłozem* dotyczy pomieszania porządków nauki (dokładnie: historii idei) i polityki. Rzecz polega nie tylko na tym, że Walicki przecenia "polityczne znaczenie humanistyki", do czego się zreszta przyznaje. Idzie o to, że swój idealny plan życiowy uczynił podstawą do budowy politycznych konstrukcji i diagnozowania rzeczywistości. Stał "realizm" jego politycznego myślenia jest pozorny i mając niewiele wspólnego z polityką jako taką, bezużyteczny w praktyce społecznego działania.

Walicki uprawia niebezpieczne ekstrapolacje. Pisze: *Łodatkowa przesłanką przyjętej przez mnie taktyki był brak spody na odróżnienie działania od pracy. Świdziler, że właśnie rola pracy jest najważniejsza dla wrd. forma działania... (s.181)*. I na to zgoda. Tyle że w porządku politycznym postawa taka jest absurdalna. Czy bowiem społeczeństwo i jego elity również powinny przestać odróżniać "działanie od pracy"? Nonsens, a przecież pretensje Walickiego do społeczeństwa na tym właśnie polegają, że nie doszło do wymyślonego przezeń scenariusza, nie poszło drogą jego koncepcji. Polityka polega na działaniu - bez względu na to, czy to się Walickiemu podoba, czy nie. "Działania od pracy" może nie odróżniać generał Kiszczak, musi jednak to rozróżnienie przyjąć polityk opozycyjny.

Walicki jest szczerze przywiązany do swojego "planu życiowego", który realizował konsekwentnie przez 25 lat pracy naukowej. Szkopuł w tym, że nie doceniając konwencji języka nauki, swoją wiedzę naukową potraktował jako polityczną i do rzeczywistości zaczął się odnosić z perspektywy uniemożliwiającej zobaczenie jej w prawdziwym kształcie. Tymczasem u podstaw myślenia politycznego powinna leżeć przede wszystkim wiedza o rzeczywistości. Walicki definiuje "naszą współczesność" poprzez trzy czynniki: Rosję, marksizm i Polskę. O ile trudno kwestionować jego znawstwo w zakresie dwóch pierwszych elementów tej definicji, o tyle ze znajomością trzeciego nie jest dobrze. Zastępując prawdziwą Polskę jej teoretycznym wyobrażeniem, Walicki znalazł się na drodze prowadzącej prosto do rozczarowania: *byłem nadmiernym optymistą w ocenie nie tylko elit władzy, lecz również cił społecznych (s.192)*. Obserwując społeczeństwo polskie w działaniu po Sierpniu '80 zobaczył *dokładną odwrotność tego, co pragnąłem widzieć w społeczeństwie polskim i na czym budowałem swoje nadzieje (s.192)*. W świetle tego wyznania widać, że "realizm" Walickiego ufundowany jest na błędzie polegającym na

uznaniu teorii za rzeczywistość. Nie jest to błąd niewybaczalny, gorzej jednak, że autor *Spotkań z Miłozsem* nie chce zdać sobie z niego sprawy i uparcie w nim tkwi. W tonie mentorskim wybrzydza na społeczeństwo za to, jakie jest i gani opozycję, że podejmuje działania zakłócające, jego zdaniem, harmonijny proces asymilacji między narodem i komunizmem. Z pozycji "tego, który wie" rozkłada akcenty krytyczne bardzo tendencyjnie - do tego stopnia, że od pewnego momentu jego, skądinąd celna i słuszna, krytyka społeczeństwa i opozycji, jako nadto jednostronna, traci na wiarygodności.

Walicki mówi o swej ostatniej książce, że jest to właściwie *opowieść o indywidualnych sukcesach i społecznej porażce* (s.177) Szkoda tylko, że nie widzi, iż płaszczyzny tych sukcesów i tej porażki są całkowicie różne, brak im wspólnego politycznego mianownika. Tak samo różne przy ich ocenie powinny być kryteria moralne. Polityk nie może odnosić sukcesów wbrew klęsce społeczności, której mieni się ekspozytariuszem. "Indywidualne sukcesy" Walickiego pozostają w obszarze profesjonalnie uprawianej nauki, a on sam, swoją dzisiejszą postawą, znacznie minimalizuje szanse, aby przekroczyły one horyzont, za którym buduje się powszechna świadomość społeczeństwa.

Nie powiodła się Walickiemu próba przełożenia swojej pracy na język polityki. "Działanie z pracą" uzgodnił za cenę narażenia się na zarzut, że świadomie popełnia metodologiczne oszustwo. Że konstruuje misterną sieć ideowych pajęczyn, za którą pragnie skryć mniej chwalebne motywacje swoich działań (lub ich zaniechania). I nie idzie tu o to, aby w jakiś szczególny sposób napiętnować osobę zasłużonego profesora. Rzecz w tym, iż taktyka życiowa Walickiego jest charakterystyczna dla większej grupy polskich intelektualistów - i jako zjawisko warta z pewnością analizy, której konkluzje będą płodne politycznie. Polemiczna wrzawa, jaką wywołał autor *Spotkań z Miłozsem* i innych publikacji w "Aneksie"*, powinna być zapisana na jego plus. Bez względu na to, jak dalece wnioski z niej płynące będą odległe od poglądów Walickiego. Jego ostatnia książka przesycona jest w ogromnym stopniu klimatem osobistym, pójdzmy więc, ośmieleni przez autora, tym tropem, asekurując się jednocześnie, że nie osoba, lecz sprawa ma w tym omówieniu podstawowe znaczenie.

Walicki jest zauroczony swoim "konsekwentnym planem życiowym" (którego rozmach rzeczywiście budzi szacunek, podobnie jak jego dokonania naukowe w dziedzinie historii rosyjskiej myśli filozoficznej, polskiego romantyzmu, czy twórczości Brzozowskiego). Aby móc zrealizować ten plan, musiał - podobnie jak wielu innych naukowców - pogodzić siebie z panującym w PRL systemem. Przyjął go za "fakt długofalowy" i wobec tego realistycznie dopasował zamiary do sił. Przyniosło to cenne efekty intelektualne w postaci jego książek i rozpraw. Rzecz skomplikowała się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Powstała wówczas w Polsce jawna opozycja artykułująca wprost wolnościowe aspiracje społeczeństwa - polityczne, obywatelskie, kulturalne, ekonomiczne i naukowe. Tego życiowy plan Walickiego nie przewidywał. Szczególnie negatywnie odniósł się do utworzenia Towarzystwa Kursów Naukowych. *Dostrzegłem w tym - sądzę, że słusznie - ostentacyjne odrzucenie gry na rzecz otwartej walki* (s.

* *Myśli o sytuacji politycznej i moralno-psychologicznej w Polsce*, "Aneks" nr 35 i w odpowiedzi moim krytykom, "Aneks" nr 37, 1964

191). Mało tego. Powstanie TKN odczuł Walicki jako zorganizowaną formę moralnej presji, mającej zmusić ludzi takich, jak ja, do zasadniczej zmiany ich strategii życiowej. Oparłem się tej presji... (s.191). Tu więc znajduje się moment, kiedy dochodzi u Walickiego do wspomnianej wyżej podmiiany myślenia naukowego na pseudopolityczne; próba pogodzenia "działania z pracą" przy zaniechaniu działania jako takiego. Od tej chwili staje się autorem "szeregu rękopiśmiennych artykułów", których adresatami byli wybrani ludzie z grona opozycji i z elity władzy. W artykułach tych wyraża obawy co do skutków działań opozycji, przestrzega przed brakiem politycznego realizmu i zastępowaniem go odruchami moralnymi. Przyjęta przezeń strategia życiowa i tkwiąca u jej podstaw ideowe przeświadczenia nie pozwalają Walickiemu włączyć się w działalność opozycyjną. Jak wyjaśnia, liczyła się dla niego efektywność, a nie efektywność pracy - i temu znow, w charakterystyczny dla siebie sposób, miesza porządek intelektualny z politycznym. Z drugiej jednak strony, chcąc ocalić drogą sobie wizję "historycznego kompromisu", nie pozostaje obojętny na rozwój wypadków i włącza się w nie poprzez swoje listy. Ponosi jednak klęskę, która staje się później przyczyną jego kompleksu. Klęska Walickiego polega bowiem nie tylko na tym, że społeczeństwo i władza zawiodły nadzieje, jakie w nich pokładał. Przegrana, której poczucie ma Walicki, jest z gatunku klęsk moralnych i to jest właśnie źródło kompleksu czytelnego w *Spotkaniach z Mitoszem* i we wspomnianych artykułach opublikowanych w "Aneksie".

Dystans, jaki zachował w latach siedemdziesiątych wobec opozycji jest zrozumiały zważywszy, w jakim stopniu działalność jawnie opozycyjna nie mieściła się w jego wizji ewolucji systemu. A także jak bardzo nie pasowała do przyjętej przezeń taktyki. Włączył się wówczas "tylko ubocznie", ponieważ, jak pisze, skala politycznej nieodpowiedzialności tego ruchu była tak duża, że ogłoszenie stanu wojennego nie było dla mnie niespodzianką (s.191). Szczerze powiedziawszy, w perspektywie wywodu Walickiego, każdy ruch społeczny nastawiony na emancypację polityczną narodu jest błędem. Rozumowanie to razi naiwną apriorycznością. W polityce oprócz książek należy czytać też rzeczywistość i, co ważniejsze, lekturę tę uprawiać permanentnie. Nie wystarczy zapoznać się z Polską lat pięćdziesiątych, żeby wiedzieć, jaka ona jest w dwadzieścia lat później. Nie jest prawdą, że opozycja lat siedemdziesiątych działała tak zupełnie w sferze gestów symbolicznych, nie dokonując politycznego rachunku. To właśnie dzięki niej przecież w dużym stopniu udał się Sierpień, powstała "Solidarność", a tym samym społeczeństwo po raz pierwszy uzyskało zinstytucjonalizowany instrument do prowadzenia gry politycznej z władzą. Ta gra bowiem, o której pisze Andrzej Walicki, gra w karty z władzą, do której siadał pisząc swoje książki, miała wymiar indywidualny, a transmisja jej rezultatów do społeczeństwa, jak sam to widzi, była zawiła i długotrwała.

Odkłómy na bok jałowe teoretyzowanie i zastanówmy się nad jednym: czy gdyby do powstania "Solidarności" w ogóle nie doszło, gdyby rzeczywistość przedsierpniowa zachowała ciągłość aż do dzisiaj, to byłibyśmy jako społeczeństwo w lepszym położeniu? Tak by wynikało z tego, co pisze Walicki. Dla niego biulniu istnienia "Solidarności" przedstawia się przynębiająco: polaryzacja postaw społecznych tożsama z zahamowaniem procesu asymilacji narodu i systemu, klimat moralnego regresu i charakterystyczny dla niego duch nietolerancji, społeczna skłonność do intelektualnych, wulgaryzacji. Owszem, to wszystko jest,

ale to nie jest wszystko. Znaczenia "Solidarności" nie można oceniać wyłącznie z perspektywy grudnia 81. Trzeba być bardzo zaślepionym, aby nie widzieć zmian w systemie sprawowania władzy w PPL przed i po Sierpniu '80. To zaś, co wydaje się największą wartością solidarnościowych 16 miesięcy, to jedyna w swoim rodzaju możliwość, aby społeczeństwo żyjące w realnym socjalizmie zobaczyło samo siebie w kształcie niezafałszowanym przez ideologiczną reżyserię. Że obraz uzyskany tą drogą daleki jest od wizerunku optymistycznego, to inna sprawa. Rzecz w tym jednak, że na jego podstawie można uprawiać obecnie myślenie polityczne trzymające się bliżej rzeczywistości. Podobnie wartościowa lekcja polityki był uzyskany wówczas i potem obraz PRL-owskiej władzy, zasad jej funkcjonowania i granic, w ramach których zachowuje zdolność politycznego manewru w duchu kompromisu na rzecz aspiracji społeczeństwa. Sadzę, że wbrew temu, co mówi Walicki, więcej zyskaliśmy niż straciliśmy.

Spotkania z Mitosem to swoiste wyznanie wiary. Wizja Walickiego była następująca. Postępująca dezideologizacja systemu zmusza go do poszukiwania "legitymacji narodowej". Społeczeństwo stosując w umiejętny sposób taktikę współpracy i wywierania nacisku będzie się oswajać z systemem powodując równocześnie, że ten znacznie ewoluować w kierunku liberalizacji. To w planie wewnętrznym. Na zewnątrz zaś Polska ma do spełnienia doniosłą misję w dziele desowietyzacji Rosji i przybliżenia jej ku wartościom zachodniej demokracji.

Wiara ta łączyła się z przeświadczeniem, że skutecznie może być tylko działanie od wewnątrz. Jawna opozycja nie wchodzi w grę, albowiem jej powstanie grozi przerwaniem delikatnych symbiotycznych nici łączących strony tego układu. Całe to rozumowanie podpira teza, że gdy władza w PPL nie czuje się bezpośrednio zagrożona ze strony społeczeństwa, to wówczas bardziej skłonna jest do ustępstw na jego rzecz.

Trudno o fakty sąd ten potwierdzające. Doświadczenie po prostu mu przeczy. Właśnie w momentach swojej politycznej słabości władza gotowa była do większych koncesji na rzecz społeczeństwa.

Wiara Walickiego i wysrute z niej wizje polityczne - jak każda wiara - jest praktycznie nieweryfikowalna. Potraktowana jako scenariusz zachowań społecznych jest jednak z pewnością programem utopijnym. Oczywiście, osnuta wokół niej praca intelektualna, jak tego dowiódł autor omawianej książki, może przynieść interesujące, nie pozbawione politycznego znaczenia rezultaty.

Walicki nie bierze w ogóle pod uwagę ekonomii, co jest dziwne, jeśli zważyć jego bliska znajomość z marksizmem. Uprawiając myślenie życzeniowe, by posłużyć się językiem ustroju, zajmuje się nadbudowa w izolacji od bazy. Stąd uykają jego uwadze rzeczywiste przyczyny kryzysów w PPL, u podłoża których tkwi permanentna niewydolność gospodarcza systemu, a nie tylko właściwości duchowe społeczeństwa czy rozgrywki personalne u wierzchołka władzy.

Reasumując, wizja Walickiego, aby móc stać się programem politycznym, musiałaby w daleko większym stopniu uwzględniać fakty, albo... mieć rzeczywistą moc ich stwarzania.

Osobnego omówienia wymaga silnie wweksponowana w *Spotkaniach z Mitosem* problematyka związana z Rosją. Nie dziwi to, jako że Walicki jest jednym z najwybitniejszych znawców rosyjskiej

myśli filozoficznej. Uznawszy, że Polska na długo zakotwiczyła na Wschodzie, Walicki podjął - samotny, jak podkreśla - trud polegający na rzetelnym przyswojeniu kulturze polskiej tego, co najcenniejsze w duchowości rosyjskiej. Swoje naukowe zainteresowania skupił przede wszystkim na wieku XIX. I z czasem przybrały one charakter fascynacji.

Walicki poczuł się posłanym do dzieła odzyskania, przez Rosję jej własnego dziedzictwa, zagłuszonego przez sowietyzm. W tej perspektywie, wyznaczając sobie rolę "katalizatora" w procesie powrotu Rosji do swych kulturowych korzeni, nie odnosił się do problemu niesuwerenności Polski jako do tragedii. *Satelitarna pozycja Polski wobec ZSRR była w myśl tej koncepcji czynnikiem umożliwiającym Polakom oddziaływanie na Rosję od w e w n a t r : przyspieszanie zachodzących w niej destalinizujących przemian* (s.81). Tak myślał w czasach październikowych i zasadniczo poglądów nie zmienił, choć przyznaje się do grzechu "nadmiernego optymizmu".

Jednak oprócz optymizmu jest też w tych poglądach rodzaj naiwności, jaki wynika z zauroczenia Rosją. Rosja od wieków pozostaje specjalistką w czarowaniu. Jest tak duża - fizycznie i duchowo - że, jeśli się nie ma wobec niej zapieklego urazu - zawsze można w niej znaleźć coś, co pozwoli ją pokochać. I takich romansów świat przeżył już wiele. To dzięki nim w znacznej mierze Rosja jest dzisiaj tym, czym jest - pełnoprawnym obywatelem świata, mocarstwem, które osiągnęło swoją polityczną i wojskową pozycję międzynarodową nie naruszając przy tym zasady wewnętrznego zniewolenia własnego społeczeństwa.

Ma rację Walicki, gdy mówi, że Polaków cechuje ignorancja w sprawach rosyjskich. Rosja nie stanowi nad Wisłą przedmiotu ważnych prac intelektualnych i istnieje w świadomości polskiej poprzez zespół niechętnych jej stereotypów. Nie trzeba zresztą tłumaczyć, skąd się to bierze. Pisze o tym Miłosz w liście do Walickiego: *Fosjan bardzo lubię - ale jeżeli spotykam ich p o z a o b r e b e m ich cywilizacji* (s.95). Na luksus takiego dystansu Polska sobie w tej chwili nie może pozwolić.

Oczywiście, racjonalnie biorąc, praca na rzecz lepszego wzajemnego poznania się kultur polskiej i rosyjskiej, a szczególnie tych ich sfer, w których przebywają ocalone z historii autentyczne wartości, jest czynnością pożyteczną i nawet konieczną. Podejmując ją wszakże w Polsce nie wolno zapominać, że zarówno zabory, jak i okres powojenny to są czasy, w których usiłuje się zasymilować naszą kulturę w obrębie rosyjskiej (sowieckiej) tzw. "metodami administracyjnymi". Katalizujący wpływ kultury polskiej przejawiał się wśród rosyjskiej inteligencji, nie ma jednak wpływu na pracę jej armii i funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa.

Wizja procesu zbliżania się naszych kultur jest naiwna, gdyż zakłada nieantagonistyczny jego przebieg i wynik. Tymczasem zarówno dzisiaj w Europie Wschodniej, jak i kiedyś w czasach helleńskich, procesy asymilacyjne w kulturze miały równocześnie charakter utraty suwerenności (politycznej i duchowej) przez jednego z uczestników takiego procesu.

To więc, co jest fascynujące i płodne intelektualnie, nie zawsze musi być pożyteczne z punktu widzenia interesów narodowych. Blisko połowa romantycznej myśli jest o tym. A że jest to problem ciągle żywy, (historycznie, niestety) świadczy właśnie książka Walickiego i emocje, jakie ta lektura wywołuje.

Autor *Spotkań z Miłozsem* przyznaje się, że urzekła go rosyjska siła tkwiąca choćby w języku. *Język rosyjski, zwłaszcza język rosyjskiej poezji, urzekał mnie siłą, umacniał we mnie wiarę w możliwość wielkiej przyszałości rosyjskiego narodu* (s.162).

W ten sposób Walicki, decydując się na swój trudny i samotny romans z Rosją, znalazł się w długim szeregu idealistycznych miłośników, którzy pokochali w Rosji to przede wszystkim, co w niej potencjalne, a nie rzeczywiste. Ulegając przy tym szlachetnemu złudzeniu, że potencjalność owa da się urzeczywistnić, skoro tylko uda się rosyjskim procesom duchowym nadać odpowiedni ewolucyjny (w stronę demokracji) kierunek.

Gdy takim złudzeniem ulegają Francuzi, to ich sprawa. Gdy jednak "zaczarowany" zostaje Polak, wówczas naraża się na surowe badanie, na ile jego postawa da się pogodzić z niepodległościowymi aspiracjami Polski, a na ile służy ona "obcej sprawie".

Rzeczywiście, atmosfera naszej współczesności nie sprzyja tolerancji. Językowe doświadczenie totalitaryzmu nauczyło nas jednak także i tego, że ważne są zarówno słowa, jak i kontekst, w którym się je wypowiada. Kontekst nawet słowo prawdy potrafi zmienić w kłamstwo. Świadomość tego, to podstawowa kwalifikacja do uprawiania myślenia politycznego.

Walicki oburza się na polską inteligencję, że poddaje się bezrefleksyjnie działaniu "tradycji imponderabiliów" przeciwstawionej "racjom rozumu". Przywołuje Mickiewiczowski podział na "ludzi rozsądnych" i "ludzi szalonych", i zarzuca tym ostatnim (współczesnym, założycielom TKN-u), że zapominają o *etyce odpowiedzialności - odpowiedzialności nie za intencje, lecz za skutki działania* (s.149-150).

Na tym tle chce uchodzić za "człowieka rozsądnego", jednego z nielicznych w Polsce intelektualistów, którzy "rozumem panują nad emocjami". Poczuł się wyalienowany ze swojego środowiska, poddany moralnej (niemoralnej?) presji, a rozwój wydarzeń zaczął zagrażać unicestwieniem ideałów, którym poświęcił lata pracy. Od tej chwili rozsądek okazał się postawą trudną do pogodzenia z "szaloną" rzeczywistością. Gdyby pozostał aktywnym jedynie w obszarze profesjonalnie uprawianej nauki, nie doznałby poczucia tak dojmującego wyobcowania. Spiesząc jednak do politycznego aktualizowania tego, co stanowiło przedmiot jego intelektualnej pracy, uwikłał się w daremny trud zniesienia dychotomii "myśli i czynu".

Bolesnym paradoksem tych zmagañ było (i jest) także to, że Walicki mając wiele racji w krytyce społeczeństwa, wypowiadał (i wypowiada) te krytykę w taki sposób, że niefortunnie współbrzmiała ona z argumentami wrogów tego społeczeństwa. Albo, co gorsze, tych argumentów dostarcza, stanowiąc uzasadnienie dla represji. Nie wiem, czy można mówić tu o winie. Na pewno o niepokojącej nieodpowiedzialności. (Jest to więc w istocie ten sam zarzut, który on sam stawiał z pozycji "rozsądku" "ludziom szalonym" z opozycji).

Andrzej Walicki próbuje i dzisiaj pozostać "człowiekiem rozsądnym". Poszukuje dla siebie jakiegoś centrum, w którym przebywając, mógłby ocalić drogą mu intelektualną niezależność. Niezależność od stadnych emocji społeczeństwa i od zbrutalizowanej władzy. Wiele pisze na temat konieczności zawierania politycznych kompromisów. Przypomina, że *dogmatyczno-moralistyczna*

na pewność siebie prowadzi do absolutyzowania własnej racji i kompromis uniemożliwia. *Celem negocjacji i dialogu jest przecież kompromis, a więc żaden rozsądny człowiek w dialogu z silniejszym (choćby tylko fizycznie) partnerem nie będzie stosował taktyki "mówienia całej prawdy" w sposób upokarzający tego partnera, prowadzący do polaryzacji stanowisk, do zaostrzenia antagonizmu (s.182).*

Do dialogu i porozumienia potrzeba jednak co najmniej dwóch stron deklarujących dobrą wolę. Nie ma czegoś takiego jak kompromis jednostronny. Siły muszą być zrównoważone. Negocjacje z "fizycznie silniejszym partnerem" mogą doprowadzić jedynie do koniecznej, ale uległości. (Zgodzimy się żyć, jak oni chcą, być-my żyli, a oni w zamian za to pozwolą nam żyć w ogóle.) Nie ma sensu nadbudowywać zrelatywizowanych teorii nad rzeczywistością, bo to nie służy prawdzie, tylko prawdy zaciemnianiu. To samo odnosi się do igrania pojęciami w zakresie demokratycznej teorii i praktyki istnienia społeczeństw w odniesieniu do zbiorowości, których możliwość politycznego manewru w historii ograniczona jest u samych podstaw przez brak kulturalnej, politycznej i obywatelskiej wolności.

Problem polskiej państwowości i naszego stosunku do niej był w ostatnich latach często dyskutowany - np. przy okazji wystąpienia Grupy Publicystów Politycznych*. W wykonaniu Walickiego sprawa ta jest zbyt uproszczona. *Ogólne wzmocnienie i umocnienie organizmu państwowego nie jest bowiem bezwarunkową wartością dla polskiego społeczeństwa. Aby tak się stało, konieczna jest reforma władzy, ograniczenie charakteru i zakresu jej sprawowania, poszerzenie jej "społecznej bazy".*

Jest prawdą, że Polska cieszy się większą swobodą, niż pozostałe kraje bloku. Ale przecież nie dlatego, że Polacy skłonni są do większej ustepliwości wobec systemu niż Czesi, czy wschodni Niemcy i że władza w PRL czuje się silniejsza niż w tamtych krajach. To właśnie skala społecznego oporu (ujęta skądinąd w wyważone, rozsądne ramy zbiorowych zachowań i tradycji) skłania władzę do większej powściągliwości w centralizowaniu dusz, rozumów i sumień.

Trudno mieć pretensje do społeczeństwa, że nie godzi się biernie oczekiwać na "duchowe odrodzenie Rosji" i demokratyczną "ewolucję systemu". Ono wykazuje i tak dość rozsądki i umiaru we współistnieniu z ustrojem, który wyrządził mu tak wiele szkód. A że ciągle się opiera i opór ten manifestuje, to jego prawo i ... interes. (Walicki przesadnie ocenia możliwości wpływu elit na kształt i kierunek wyborów, jakich dokonuje społeczeństwo.) I to także rodzaj jego "polityki" - z braku możliwości uprawiania jej w inny, bardziej aktywny sposób.

Pragnienie, aby społeczeństwo nauczyło się *konstruktywnego współpracowania z władzą przy jednoczesnym wywieraniu na nią nacisku* jest sensowne wówczas, gdy zarysowałyby się zbieżność celów społeczeństwa i władzy. W sytuacji jak dotychczas, współdziałanie to oczywiście występuje w obszarze całej codzienności, nie dotyczy jednak polityki. Zbyt duże są to rozbieżności celów i aspiracji. W tej sferze współpraca (dialog, negocjacje, kompromisy) możliwa była jedynie w czasach "Solidarności" - do 13 grudnia. Wtedy społeczeństwo dysponowało instrumentem do prowadzenia gry politycznej. Przedtem (a być może, w szcztątko-

* Por. "Przeгляд Polityczny" nr 4 i 5.

wym zakresie i teraz) taką grę prowadzić mogli pojedynczy ludzie lub środowiska, ale to jest zupełnie co innego. Inna stawka, inny rodzaj wygranych i przegranych.

Życie polityczne Polski toczy się w napiętym klimacie moralnym. Walicki zdaje sobie z tego sprawę, gdy mówi: *skuteczność była dla mnie miarą moralną* (s.190) i dopowiada w tonie osobistym: *jeżeli wchodzi się do gry, to trzeba wyrobić sobie odpowiedzialność na moralizatorskie zarzuty* (s.188). Czy można to zrozumieć w ten sposób, że skoro "Solidarność" w opinii Walickiego była porażką społeczeństwa, to *eo ipso* działania, które doprowadziły do jej powstania nazwać trzeba niemoralnymi? Na szczęście ani ta porażka nie jest tak jednoznaczna, ani kryteria moralne Walickiego tak oczywiste, aby uprawomocnić ten wniosek.

Zawarty w *Spotkaniach z Miłoszem* przepis na historyczne trwanie Polski nie trafia do przekonania. Książka ta jednak przez swą szczerość jest świetnym pretekstem do uzupełnienia dyskusji, jaką Walicki wywołał swoimi artykułami w "Aneksie". Poza wszystkim zaś, *last, not least*, książka ta prowokuje do refleksji, którądy przebiega w naszej rzeczywistości cienka kreska granicy oddzielającej podłość od bycia porządnym człowiekiem. To rozróżnienie jest dzisiaj sprawą niezwykle istotną.

Gdańsk, maj 86

MIROSLAW GAJDA

Leszek Nowak

O HISTORIOZOFII, ANTROPOLOGII, UTOPII I GNOZIE

P. lem. w artykule *Teoria nowego totalitaryzmu* /"Przegląd Polityczny", 6, 1985, s.77-111/ wytacza obszerną argumentację na rzecz tezy, iż koncepcja niemarksowskiego materializmu historycznego jest odnowioną gnozą /s.99/. Z tej kwalifikacji wyprowadza zaś wniosek, iż poglądy niżej podpisanego stanowią ideologię "nowego totalitaryzmu": społeczeństwo partię na ideologicznych zasadach Marksa doprowadziło/ do niewolnictwa i despotyzmu. Tego samego możemy się spodziewać po realizacji bezmomentowego społeczeństwa Nowaka./s.10/ Uzasadnienie dla tego ostatniego podejrzenia czerpie wszakże nie z moich licznych tekstów politycznych, lecz pracowicie dedukuje je z niemarksowskiego materializmu historycznego. Dlatego poprzestaną w niniejszej replice na próbie pokazania, iż teza wyjściowa Autora, o gnozie zawartej jakoby w niemarksowskim materializmie historycznym, jest fałszem, pominię więc problematykę ściśle polityczną. Uczynię to nie bez ulgi zresztą. O ile bowiem wywody filozoficzne Autora są często wnikliwe i zasługują na szczególne rozważenie, o tyle im bliżej polityki, tym gorzej. Zaś na tym terenie zdarzają się i pospolite niedorzeczności. Przed tymi, ufam, moja publicystyka polityczna obroni się sama. Tym bardziej, że łatwiej jest dostępną niż moje teksty teoretyczne.

NIEMARKSOWSKI MATERIALIZM HISTORYCZNY I GNOZA

1. Podstawowe tezy niemarksowskiego materializmu historycznego są, w prezentacji Autora, następujące:
- /A/ o poszerzeniu paradygmatu klasowo-materialistycznego na sferę polityki i na sferę produkcji duchowej,
 - /B/ o potęgowaniu podziałów klasowych i społeczeństwach supraklasowych,
 - /C/ o konieczności przekształcenia się kapitalizmu w totalitaryzm, a potem socjalizm,
 - /D/ o priorytecie historycznym Rosji w procesie totalitaryzacji kapitalizmu,
 - /E/ o konieczności zaniku systemu trój-władzy,
 - /F/ o priorytecie historycznym Polski w procesie wyzwiania się z socjalizmu.

I rzeczywiście: są to główne tezy koncepcji, którą Autor krytykuje. Była ona w rozmaitych polemikach tylekrót już zniekształcona, że trudno mi nie odnotować, że Autor streszcza ją wyśmienicie. Znać rolę zwawcy.

W referacie przedstawionym w artykule jedna wszakże z wiodących idei niemarkowskiego materializmu historycznego została pominięta, a mianowicie koncepcja postępu ewolucyjnego poprzez przegrywane rewolucje. Autor cytuje co prawda artykuł /I/*rozwijający tę ideę, odnotowuje gdzieś jej *paradoksalność* /s.97/ - i na tym koniec. Idea ta, ani leżąca u jej podstaw koncepcja pętli obywatelskiej, nie pojawia się w obrazie niemarkowskiego materializmu historycznego przedstawionym przez Autora. Pojawiają się natomiast wielokrotnie - jak zobaczymy - zarzuty wynikające z tego właśnie, iż tę składankę krytykowanych przez siebie poglądów Autor całkowicie zignorował. Nie chciałbym twierdzić, iż uczynił to rozmyślnie. Przypuszczam raczej, że koncepcja postępu poprzez przegrywane rewolucje tak dalece odbiega od wstępnych założeń, z jakimi przystępował do analizy niemarkowskiego materializmu historycznego, że bezwiednie redukował jej rolę do minimum. Takie rzeczy w robocie interpretacyjnej się zdarzają. Wyjaśnić nie znaczy wszakże usprawiedliwić. Fakt pozostaje faktem.

I tak pozostaje faktem, iż komuś, kto już w tytułach prac /*Ani rewolucja, ani ewolucja*/ szuka trzeciej drogi między marksistowskim rewolucjonizmem a liberalistycznym czy chrześcijańskim ewolucjonizmem, kto w końcu - trafnie, czy nie, rzecz do dyskusji - stawia na mechanizm przegrywania kolejnych rewolucji wymuszających z coraz wyższego poziomu ewolucyjnie przeobrażenia stosunków społecznych, Autor zarzuca, iż *przejmuje młt rewolucji /.../ jako cudownej przemiany społeczeństwa z tego w doskonałe na mocy jednego aktu /np. obalenie władzy trój-panów/. Niemal z dnia na dzień nastanie wolność, równość i braterstwo* /s.105/.

Zwykła wnikliwość interpretacyjna zawiodła tu Autora. Tu już stwierdzić muszę, iż pomylił niemarkowski materializm historyczny z jakąś inną koncepcją. Najprawdopodobniej z marksowskim.

2. Jeśli jednak uprzytomnić sobie mechanizm postępu leżący u podstaw tezy /E/, to można uznać wyliczony wyżej zestaw tez za główne idee krytykowanej przez Autora koncepcji. Tym bardziej więc zaskakuje jej kwalifikacja - jako szczególnego rodzaju gnozy. Kwalifikacja ta pociąga takie oto twierdzenia, które Autor przypisuje niemarkowskiemu materializmowi historycznemu:

- /I/ świat ludzki jest totalnie zły /doszczętnie zepsuty/ i zasługuje tylko na potępienie /s.99/,
- /II/ istniejący świat jest tak zepsuty, iż naprawić go niepodobna i /.../ z tej właśnie racji świat, który po nim nastąpi będzie pełnią doskonałości /s.105/,
- /III/ warunkiem przekształcenia świata totalnie złego w świat totalnie dobry jest posiadanie w pełni prawdziwej i całkowicie pewnej wiedzy o świecie aktualnym i o drogach wiodących do przyszłego wcielenia absolutu /s.93, 99/.

3. Mam bardzo prostą metodę polemiki z tego rodzaju supozycjami. Weźmy pod uwagę tezę /II/, kluczową skądinąd z punktu widzenia Autora. Oto je d y n e miejsce w cytowanych przezeń moich pracach, w których używam pojęcia społeczeństwa bezmomentowego i usiłuję je jakoś charakteryzować. Jest to fragment *Wolności i władzy* /9/ poświęcony klasyfikacji rozmaitych typów społeczeństw dających się wyróżnić na gruncie niemarkowskiego materializmu historycznego:

I jeszcze jeden typ społeczeństw daje się wyróżnić w ramach niemarkowskiego materializmu historycznego. Taki, w którym wszystkie trzy podziały

* Tak sygnowane będą prace zestawione na końcu niniejszego tekstu.

klasowe są zniesione, a więc w którym nie istnieje żadna klasa siemichów. W takim społeczeństwie bezmomentowym wszyscy mogą być w jednakowej mierze dysponentami sił wytwórczych, sił przymusu i sił produkcji duchowej. W takim więc społeczeństwie wszyscy są materialnie równi.

Spółczesństwo bezmomentowe jest, jak widać, społeczeństwem bezklasowym, ale w rozumieniu operującym uogólnionym pojęciem klasy - jako wyznaczonej przez nierówny stosunek do sił materialnych społeczeństwa /a nie jeno sił wytwórczych/. Społeczństwo bezklasowe w uogólnionym rozumieniu to społeczeństwo, w którym nie występuje żaden z trzech podziałów klasowych /a nie tylko takie, w którym nie występuje podział na klasy ekonomiczne/, ani w sposób rozdzielony, ani spotęgowany. Jest to więc społeczeństwo bezmomentowe, które zakłada nie tylko zniesienie wyzysku, ale i panowania fizycznego i duchowego człowieka nad człowiekiem.

Pomijam w tej książce bliższą charakterystykę oraz możliwość osiągnięcia takiego społeczeństwa. Na razie wspominam o nim ze względu w całości teoretycznych, aby zarysować typy społeczeństwa, jakie wyróżnił powala niemarksowski materializm historyczny. /9-s. 206/.

I to jest w s z y s t k o /plus jedno zdanie z Polskiej drogi od socjalizmu /, co mógł na "tematy utopijne" przeczytać Autor w pracach niżej podpisanego, w każdym razie w tych, które zna. Pytam, gdzie tu jest powiedziane, iż społeczeństwo bezmomentowe to świat bezwzględnie dobry /s. 106/, pełnia doskonałości /s. 105/, radykalne przerwanie łańcucha zła i cierpienia /s. 98/, system napawiający wszystkich ludziom maksimum szczęścia /s. 93/, itd, itd?

Byłoby to dobre miejsce, by po jakimś może mniej lub bardziej efektywnym znaku zapytania polemikę zakończyć. Jeżeli ją kontynuuję, to z powodu następującego: otóż nie jest wykluczone, że mimo zdecydowanej powściągliwości w wypowiedzaniu się na temat społeczeństwa bezmomentowego idea ta ciąży nad moimi poglądami kształtując zawartość merytoryczną niemarksowskiego materializmu historycznego. Może więc być tak, iż jej rola dla tej koncepcji nie pozostaje w żadnym stosunku do ilości zdań /ani prac, ani stron lecz właśnie zdań/ jej poświęconych i że ujawnia się to dopiero w pełnej rekonstrukcji tej koncepcji, czy też w takiej jej interpretacji, jaką Autor przedstawił w swoim tekście. Może więc być tak, że ja po prostu nie rozumiem w pełni struktury niemarksowskiego materializmu historycznego, uchwyciłam ją natomiast Autor patrzący na nią ze stosownego dystansu. Tak bywa przecież w robocie interpretacyjnej, niepodobniestwem jest z góry wykluczyć, iż zdarzyło się to i w dyskutowanym przypadku.

Otóż nawet gdyby tak było, to i tak miałbym prawo domagać się od rzetelnego polemisty, by owe elementarne fakty pisarskie odnotował. By zatem wyraźnie napisał czytelnikowi, że swoją wykładnię niemarksowskiego materializmu historycznego opiera na dziesięciu zdaniach, jakiego materializmu historycznego opiera na dziesięciu zdaniach, jakiego materializmu historycznego znalazł na setkach stronik moich prac. Ludzie mają w końcu pilniejsze zajęcia niż czytanie moich tekstów - tym bardziej tyle, ile naczytał się ich Autor - gotowi więc uwierzyć mu, że głównie spekulują na temat społeczeństwa bezmomentowego popadając w ten sposób w jedną z najbardziej monstrualnych aberracji ludzkiego umysłu /s. 105/ /nawiasem mówiąc, pocieszające jest to, że to nie tylko o mnie, już to gdzieś u kogoś czytałem/ i przybierając ją jeszcze dla zmylenia poczciwego odbiorcy w scjentystyczną frazeologię. No, ale cóż - gdyby Autor to wyraźnie napisał, jakaż byłaby moc perswazyjna jego wywodów? Jakże cienko brzmiałoby wówczas ostrzeżenie: Jeszcze nie wyszliśmy z jedynej ciemności, a już możemy pogrążyć się w kolejnym totalitarnym mroku /s. 107/, gdyby wyraźnie napisał, że to wszystko z powodu założeń, których dopatruje się - hipotetycznie przecież - za dziesięć zdaniami.

Nie chcę, by sformułowania powyższe były rozumiane jako zarzut nie-

uczciwości intelektualnej. Przypuszczam, że Autor nie zdał z tego wszystkiego sprawy przed czytelnikiem, bo całkiem poważnie uważa niemarksowski materializm historyczny za gnozę, która w jakiejś szczególnej konfiguracji politycznej może naprawdę okazać się niebezpieczna społecznie. Dlatego właśnie - tak, dopowiemy to do końca - podporządkowuje wymogi uczciwości intelektualnej koniecznościom perswazji, prawdę - skuteczności, filozofię - polityce. On krytyk marksizmu-leninizmu.

O ROLI WARTOŚCI W POZNANIU HUMANISTYCZNYM

Może więc być tak, iż niemarksowski materializm historyczny jest podporządkowany idei społeczeństwa bezmomentowego, że w szczególności domniemane "prawa" rozwoju społecznego, które w sposób nieomylny mają nas prowadzić od socjalizmu do społeczeństwa bezmomentowego, są zupełnie przesiąknięte ideą totalnego zbawienia ludzkości i człowieka /s.106/.

Niech więc będzie, że tak właśnie jest. Powstaje wszakże - teraz dopiero - pytanie podstawowe: i co z tego? Dlaczego ma być dla koncepcji teoretycznej dyskwalifikujące to, że ma obraz świata takiego, jakim być powinien i stąd wywodzi obraz świata, jakim jest /s.107/.

Jest to dyskwalifikujące tylko przy pewnym dodatkowym założeniu, jakie Autor milcząco przyjmuje, a mianowicie, iż odwoływanie się w konstrukcji teorii do wartości jest metodologicznie niepoprawne. Istotnie, jest taki pogląd, nazywam go deskryptywizmem pozytywistycznym i w jednej z prac cytowanych przez Autora sporo z tym poglądem polemizowałem /15 - s.67n, 96n/. Nie będę powtarzać tych argumentów, skoro są one dostępne publicznie. Tutaj chciałbym zwrócić uwagę na fakt elementarny. Oto pogląd pozytywistyczny jest tylko jedną z funkcjonujących w metodologii humanistyki hipotez na temat statusu wartości. Jest i inne stanowisko, którego systematyzacji można dopatrywać się u M.Webera /16 - s.65n/: w nauce wolno wartościować, nie wolno tylko uznawać wartościowania za uzasadnienie dla tego, do których ono prowadzi. To właśnie stanowisko w powoływanej książce /15/ usiłuję rozwijać pokazując, iż wartościowania są jednym z zasadniczych źródeł inspiracji w konstrukcji teorii idealizacyjnych, że tedy model podstawowy takiej teorii z reguły buduje się tak, by przedstawiał on w czystej postaci świat chciany /albo, przeciwnie, właśnie nie chciany/ przez teoretyka, że zakazać tego, a więc usunąć wartości z humanistyki, to zakazać humanistyki samej. Zakazać należy natomiast czego innego: zastępowania standardowego uzasadnienia tych teorii przez eksklamacje moralistyczne; czego w istocie nie wolno - a tak często humaniści skądinąd czynią. Nic zatem nie przeszkadza fakt, że teoretyk buduje swój model odpowiednio do swoich /pozytywnych czy negatywnych/ wartości, jeżeli uzasadnia go w standardowy poznawczy sposób - wyprowadzając zeń stwierdzenia wcześniej fakty czy tendencje, przewidując inne, jeszcze nie stwierdzone itd. Nie jest więc żadnym argumentem przeciwko marksowskiej teorii wartości dodatkowej, że właściciel jest w niej wyidealizowany w sposób negatywny - jako istota łaknąca zysku dla zysku; podobnie, jak nie jest to argumentem za tą teorią. Nie jest żadnym argumentem za teorią Marshalla, że właściciel jest w niej wyidealizowany w sposób pozytywny - jako "doskonały innowator"; podobnie jak nie jest to argumentem przeciwko tej teorii. Autor nie rozumie jakoś, iż fakt, że konstruktor teorii kieruje się swoimi wartościowaniami jest jeno środkiem heurystycznym - podstawowym skądinąd w humanistyce, a spotykany i poza nią - który staje się naganny metodologicznie dopiero wtedy, kiedy zaczyna zastępować standardowe metody uzasadniania. Świetnie rozumiał to natomiast Fryderyk Engels pisząc: *Naukowo /.../ apel do moralności i prawa nie posiada nas ani*

krok naprzód; w oburzeniu moralnym, choćby najbardziej uzasadnionym, nauka ekono-
mii nie może widzieć żadnego dowodu, lecz tylko symptom /Anty-Duhring, Warsza-
wa 1949, s.147/. Właśnie. Dopóki tylko wartości naprowadzają nas na
model i kiedy ten jest już zbudowany, to sprawdza się go standardowo,
dopóty metodologicznie wszystko jest w porządku - wtedy są one "tylko
symptomem" orientacji światopoglądowej badacza, nie zaś "dowodem" praw-
dziwości modelu.

Skądinąd jest częstym zjawiskiem w humanistyce, że się myli tryb
wartościowania i tryb uzasadniania, że jako /pseuda/ argumenty w "dys-
kusji teoretycznej" funkcjonują odesłania do wartości. Ba, na tym po-
mieszaniu oparte są całe koncepcje. I tak - przykładowo - głosi się,
że osobie ludzkiej przysługują jakoweś niezwykłe prawa /już to jako
"dziecko Boga" już to z innych powodów/. A przecież elementarna wie-
dza o rzeczywistej historii poucza, że osób ludzkich, którym - też
tylko z grubsza - owe prawa naprawdę przysługują jest mikroskopijna
mniejszość; boć są to przecież tylko szczęśliwcy z jednej jedynej cy-
wilizacji zachodniej, a więc z kilkunastu społeczeństw, a i to w os-
tatnich dopiero kilkadziesiąt lat, bo jeszcze sto lat temu wal-
cząc o owe prawa byli straszliwie represjonowani. Normą statystyczną
i historyczną jest więc zniewolenie jednostki, a więc pozbawienie jej
owych praw, które na papierze humaniści tak łatwo przyznają zastępu-
jąc w ten sposób rozpoznawanie ponurej rzeczywistości apelami do -
szlachetnych skądinąd - wartości i nazywając tę swoją działalność
czynieniem nauki humanistycznej. A więc problem rzeczywistości istnieje
i Autor ma rację, że jest na to uwrażliwiony, że sprzeciwia się temu,
iż *ze świata pożądanego lub wyśnionego wyprowadza /sie/ reguły, wedle których rze-
czywistość ma być interpretowana, które więc pomagają ustalić, czym są fakty w
swojej "istocie" /s.107/*. Zwraca się wszakże ze swoimi słusznymi preten-
sjami w niewłaściwą stronę. Lepiej by się z nimi zwrócił tam, gdzie
tak właśnie się czyni: w chrześcijańskiej teorii osoby ludzkiej czy
ogólniej - w chrześcijańskiej nauce społecznej.

Krótko: wartościowania są dopuszczalne w nauce, niedopuszczalne
jest tylko czynienie z nich argumentów. Mogłoby więc być tak, że w
wszystkie tezy mojej koncepcji byłyby "prześiąknięte ideą zbawienia
ludzkości" i nic by to im - jeśli idzie o ich prawdziwość - nie prze-
szkadzało; ani nie pomagało zresztą. Nawet gdybym miał skłonności mes-
janistyczne nie miałyby to żadnego znaczenia dla kwestii prawdziwości
czy fałszywości moich tez.

A czy tak nie jest? Nie zamierzam zdawać z tego sprawy, w każdym
razie nie tutaj. To, co publicznie przy okazji tej polemiki istotne,
sprowadza się do kwestii, czy mimo oczywiście wartościującego charak-
teru też niemarksowskiego materializmu historycznego mają one jedno-
cześnie sens poznawczy.

Moim zdaniem, odpowiedź jest pozytywna. Weźmy tytułem przykładu
tezę, która stanowi typowy przedmiot dyskutowanych obiekcji Autora,
a mianowicie tezę /F/ o priorytecie historycznym Polski procesie
wyzwalania się z socjalizmu. Otóż teza ta wynika z dwóch przesłanek
teoretycznych - z tezy /C/ o konieczności totalitaryzacji kapitalizmu
/stanowiącej z kolei konkluzję piątego modelu teorii społeczeństw kla-
sowych/ oraz z tezy /E/ o konieczności zaniku systemu trój-władzy
/wynikającej z kolei z pięciomodelowej teorii socjalizmu, por. 6 / -
- a także z oczywistych danych historycznych o tym, iż zakres autono-
mii obywatelskiej w PRL jest wyższy niż w jakimkolwiek innym systemie
socjalistycznej trój-władzy /co z kolei wyjaśnia się wielością prze-
granych rewolucji, które wymusiły dalej idące niż w innych krajach
wcołanie się aparatu partyjnego z regulowania spraw społecznych/.
t gdyby było prawdą, że to "gnostyczne skłonności" podpisanego
y, że na tezę /F/ wpadł, zaś jego postawa mesjanistyczna spo-

wodowała, że ją opublikował, to i tak mówi on albo prawdę albo fałsz. I przecież jest zgoła oczywiste, że ta, charakterologiczna powiedzmy, kwestia nie ma nic wspólnego z zagadnieniem, czy /F/ aby rzeczywiście wynika z /C/ i /E/ oraz owych danych historycznych; czy - dalej - te ostatnie są rzeczywiście tak bezsporne, jak to się podipsanemu wydaje; czy - w końcu - modele, z jakich wyprowadza się tezy /C/ i /E/ są aby dobrze skonstruowane i prawdziwe. Wszystko to jest do podważenia - i wielokroć w swoich pracach to stwierdzałem. Sam wskazywałem na możliwość trendu historycznego, który pozbawi nasz kraj rzeczoności priorytetu, a mianowicie na możliwość sojuszu komunistycznych władz z hierarchią kościoła katolickiego za cenę oddania temu ostatniemu monopolu światopoglądowego, a więc na możliwość przekształcenia systemu trój-władzy w katolicki totalitaryzm, gdzie aparat partii komunistycznej dysponowałby środkami przymusu i produkcji, a hierarchia kościelna środkami indoktrynacji /6 - s.143-144/, trendu zatem, który falsyfikuje tezę /F/. Wszystko zatem w niemarksowskim materializmie historycznym jest do podważenia. Ale do podważenia w drodze analizy trafności konstrukcji modeli, poprawności rozumowania wyprowadzającego z założeń modeli ich konsekwencje w rodzaju tezy /F/, zgodności z rzeczywistymi trendami historycznymi, itd - nie zaś poprzez przypisywanie osobie autora koncepcji wątpliwych intencji i wydziwianie nad ich nagannością moralną. Tymczasem Autor często tak właśnie postępuje - na przykład nawet nie usiłuje wykazać poznawczej bezzasadności tezy /F/ kontentując się całkowicie tym, iż powody dla jej wprowadzenia są podejrzane. Może są podejrzane, ale teza ta jest albo prawdą albo fałszem. I podejrzliwość Autora *nie posuwa nas ani o krok naprzód* w tej właśnie kwestii, którą uznaje on za automatycznie rozstrzygniętą, bo koliduje z jego wartościami - w kwestii prawdziwości czy fałszywości tezy, iż Polska pełni w procesie rozkładu socjalizmu tę samą rolę historyczną co Rosja w procesie jego powstawania. To zadziwiające, z jaką łatwością pozytywistyczny zakaz wartościowania w humanistyce przekształca się w humanistyczną dezynwolturę prowadzącą do skreślania poglądów alternatywnych na tej li tylko zasadzie, iż się komuś - na przykład moralnie - nie podobają.

O METODOLOGICZNYM STATUSIE HISTORIOZOFII

1. Autor mógłby jednak bronić się przed powyższymi zarzutami twierdząc, iż normalny tryb postępowania naukowego nie wchodzi w wykłuk niemarksowskiego materializmu historycznego w rachubę: *Nowakowa koncepcja materializmu jest więc przede wszystkim nadzieją Nowego Czasu. Dlatego też doktryna ta jest zupełnie oporna na racjonalne argumenty, we właściwej swojej postaci nie jest ona bowiem "teorią", ani stanowiskiem intelektualnym, ale pasją duchową* /s.98/.

Po raz kolejny okazuje się, jak łatwo pozytywistyczny agnostycyzm łączy się z "humanistycznym imperializmem" - do przeżywania "pań" duchowej" mają być pono zdolni jedynie artyści, pisarze, no, mo filozofowie, a cała ta nudna czereda naukowców to trywialni wyrobki. Nadto, cóż, zdrowy rozsądek - właśnie ten sam, na który Autor tak chętnie się powołuje - wymagałby tego, by najpierw wytoczyć te racjonalne argumenty przeciwko niemarksowskiemu materializmowi historycznemu, i dopiero stwierdziwszy "zupełną oporność" tej koncepcji na nie, orzec, jak w sentencji wyroku. Autor jednak od wyroku zaczyna. Przemyrzmy się wobec tego uzasadnieniu.

Wskazuje się ono do tego, iż za *obowiązujący paradygmat nauki* uznaje się metodologię pozytywistyczną /s.83/ i z jej to punktu widzenia orzeka, iż niemarksowski materializm historyczny jest nie nauką /s.86/.

Oczywiście wolno - stwierdzam ten komunał tylko po to, by uniemożliwić Autorowi zastosowanie po raz kolejny "sztuki podejrzeń" - każdemu założyć taką metodologię, jaka zdaje mu się trafna. Wynika wszakże z tego, że i mnie wolno to samo. Tak właśnie dawno już temu postąpiłem odrzucając pozytywizm - metodologia pozytywistyczna jest typowym przedmiotem krytyki ze strony idealizacyjnej koncepcji nauki /por. np. 2/. Co miałem do powiedzenia przeciw pozytywizmowi, już powiedziałem.

2. Nie będę więc prowadzić dyskusji ściśle metodologicznej, to zresztą nie jest odpowiednie miejsce po temu. Dyskusji wymaga natomiast sposób, w jaki Autor prezentuje metodologię idealizacyjną. Zaproponowany bowiem własnymi założeniami pozytywistycznymi przeinacza podstawowe jej tezy.

I tak, stawia jej zarzut sankcjonowania dogmatyzmu /s.85/ - wbrew elementarzowi idealizacyjnej koncepcji nauki uznającej twierdzenia idealizacyjne za rodzaj hipotez, a więc zdań odwoływalnych, takich przy tym, co do których z zasady nigdy nie będzie wiadomo z całą pewnością, czy są prawdziwe, czy fałszywe, itd. Może nie będzie od rzeczy, jeżeli przypomnę, iż idealizacyjna metodologia odrzuca jakikolwiek niezawodny, pozaempiryczny sposób na odkrycie "istoty rzeczy". Odrzuca jednak również pozytywizm redukujący naukę do opisów regularności empirycznych. Powiada natomiast, że nauka usiłuje odkryć - metodą prób i błędów, a więc na sposób hipotetyczny, a nie dogmatyczny - ową ukrytą, niedostępną naszym zmysłom głęboką strukturę zjawisk. A mianowicie, iż teoretyk wychodzi z jakichś hipotetycznych założeń /zwanych hipotezami istotnościowymi/ na temat tego, jakim czynnikiem badane zjawisko podlega i tego, wpływ jakich spośród tych czynników jest podstawowy /czynniki główne/ a jakich jest wtórny /czynniki uboczne/; odpowiednio do tego wprowadza założenia idealizujące, które abstrahuje od wszystkich czynników uznanych za uboczne, a dopuszczają w modelu wyjściowym teorii idealizacyjnej wyłącznie czynniki uznane za główne; dalej konkretyzuje ten model uchylając stosowne warunki idealizujące, a więc wprowadzając doń kolejne czynniki uboczne; wszystko to konfrontuje z faktami i jeśli te zaprzeczają konstrukcji /rozbieżności z danymi empirycznymi okażą się zbyt wielkie/, to obala to teorię idealizacyjną, a w szczególności wyjściowe hipotezy istotnościowe. /szerzej 3 - s.88-105 i in/. I tyle.

Niemarkowski materializm historyczny od początku budowany jest jako zespół tak rozumianych teorii idealizacyjnych - każda z nich odpowiada pewnemu stadium rozwojowemu cywilizacji europejskiej i jest dosyć rozbudowaną hierarchią modeli teoretycznych. Zgodnie z własnymi założeniami metodologicznymi tej koncepcji trzeba zatem przyjąć, iż są to wszystko odwoływalne hipotezy. A gdyby przypadkiem ktoś o właściwych tej koncepcji założeniach metodologicznych zapomniał, to z łatwością mógł odnaleźć w każdej bodaj pracy - bo specjalnie o to dbałem - przypomnienia takiego oto rodzaju: *tezy powyższej naszkicowane są jako status /hipoteza/ teoretycznych wprowadzonych w ramach wysoce, jak wiadomo, wyidealizowanych modeli. To, czy są one prawdziwe należy przede wszystkim od tego, czy właściwy jest przyjęty w owych modelach sposób idealizowania procedury społecznych. Przekonać się można o tym, w jeden tylko sposób: konfrontując te tezy z empirią, to znaczy - by użyć terminów idealizacyjnej koncepcji nauki - aproksymując te idealizacyjne co do swej natury hipotezy /.../ Analizy, do których się tu odwołuję nie muszą być - rzecz to oczywista, ale stale goła postawiana - prawdziwe, bo różni przecież nie na patentu na prawdę. Jeżeli jednak są, to wynika z tego ... itd /6 - s.145/.*

Na nic jednak tego typu zastrzeżenia, na nic odesłania do metodologii właściwej niemarkowskiemu materializmowi historycznemu. Autor wie swoje: Nowak w swojej utopii społeczeństwa beznomentowego nakłada harmonię.

wiedny proponowaną przez siebie organizacja życia a potrzebami człowieka. On wie, czego ludzie naprawdę potrzebują. Nigdy też nie na wątpliwości, że to i tylko to zapewni wszystkim ludziom maksimum szczęścia, choćby wykonanie tych ludzi miało na ten temat zupełnie inne zdanie, itd /s.93/.

Szkoda, że Autor nigdy nie zdobył się na wątpliwości, czy aby należyce sam rozumie niemarksowski materializm historyczny. On wie, że wymieniony jest dogmatyczną gnozą i to bez względu na to, co tam w pracach wykładających ten pogląd jest napisane... W ortodoksyjnym Popperowskim sensie można by powiedzieć, że scharat interpretacyjny proponowany przez Nowaka jest nieempiryczny i nienaukowy zaraniem /s.86/. Polemizowałem z Popperem swego czasu tyle /19./4/, że nie będę już może powtarzać argumentacji abstrakcyjnej. Przyjrzyjmy się raczej konkretno. Oto teza /C/ powiada, iż kapitalizm ulega totalitaryzacji i że jest to proces konieczny. Teza ta jest wnioskiem z modelu kapitalizmu opartego na licznych założeniach idealizujących pomijających m.in. wpływ stosunków międzynarodowych, rozwiązań instytucjonalnych, doktryn społecznych itd itp. Otóż przy tych wszystkich założeniach eliminujących z modelu czynniki /hipotetycznie/ uznawane za uboczne okazuje się, że z mechanizmów opisywanych w modelu wynika, iż reakcją na procesy łączenia się własności i władzy są rewolucje, przy czym zarówno wygrane rewolucje prowadzą /poprzez pętlę obywatelską, jak to się zdarzyło w Rosji/ do totalitaryzmu, jak i przegrane. W tym sensie teza /C/ mówi o konieczności - w tym, że wielościękowy model rozwoju obowiązujący dla wcześniejszych formacji, a nawet dla początków kapitalizmu, przechodzi w jednościękowy. Ale żeby sens tej tezy zrozumieć, rozumieć należy naturę twierdzeń idealizacyjnych.

Przed wszystkim więc teza /C/ ma, z grubsza, postać taką: jeżeli S jest społeczeństwem złożonym z klas władców i właścicieli¹ oraz z klasy ludowej, jeśli S jest jedynym społeczeństwem w świecie, jeżeli, dalej, nie istnieją w społeczeństwie S jakiegokolwiek doktryny społeczne wpływające na świadomość zbiorową ludzi, jeżeli nadto... itd itd, to społeczeństwo S przekształca się w społeczeństwo z klasą podwójną władców-właścicieli oraz z klasą ludową. Mówi więc ona o wyidealizowanym świecie, jakiego nigdy nie było: świecie, w którym jest jedno tylko społeczeństwo, w którym nie ma klasy dysponentów środków indoktrynacji /kapitałów/, w którym świadomość poszczególnych jednostek nie jest /współ/kształtowana przez żadne ideologie ani też żadne utopie społeczne - w związku z czym ci abstrakcyjni ludzie nie są w stanie np. podjąć zorganizowanych działań przeciwko groźbie łączenia się własności i władzy, i tak dalej. Świat rzeczywisty społeczeństw zachodnich różni się natomiast oczywiście pod wszystkimi tymi względami od świata modelowego, wszędzie zaś pominięte czynniki wpływać mogą różnorodnie na tendencje do totalitaryzacji.

Pierwszym wnioskiem, jaki wynika ze zrozumienia metodologicznego statusu tezy /C/ jest ten, że co nieuchronne w modelu wcale nie musi być nieuchronne w świecie empirycznym. Pominięte w tezie /C/ czynniki mogą wszak przeciwdziałać tendencji totalitarnej wyrastającej z natury związków własności i władzy w warunkach późnego kapitalizmu /systemu zapewniającego dynamiczny rozwój techniki produkcji/. Może się więc snadnie zdarzyć, że tendencja ta w jakimś społeczeństwie zostanie zahamowana całkowicie - jeśli nastąpi tam szczególna kumulacja kontrtendencji. Teza /C/ odniesiona być może, mówiąc językiem technicznym metodologii idealizacyjnej, do świata empirycznego co najwyżej w drodze konkretyzacji statystycznej /4 - s.168n/. Jeśli więc ogółem jest prawdziwa, to tylko w tym sensie, że większość społeczeństw kapitalistycznych przekształci się dzięki działaniu wewnętrznych mechanizmów opisywanych w modelu, z którego teza ta wynika - w systemy dwój-władzy totalitarnej. Ale nawet i to nie zachodzi. Bo nawet w

tych przypadkach, w których kontrtendencje nie potrafią przeważać działania tendencji, jaką modelować usiłuje teza /C/, z całą pewnością są w stanie wywołać odstępstwa od idealnego systemu dwój-władzy totalitarnej. Mówiąc raz jeszcze językiem metodologii idealizacyjnej: teza /C/, jak wszystkie zresztą idealizacyjne tezy teorii społecznych, może być odnoszona do świata empirycznego tylko w trybie aproksymacji statystycznej /4 - tamże/. Znaczy to, że nawet jeśli teza /C/ jest prawdziwa, to prognozuje ona tyle tylko, że w większości społeczeństw zachodnich powstają systemy, które tak będą się miały do idealnego totalitaryzmu, jak np. PRL do idealnego socjalizmu. Byłoby absurdem oczekiwać tego, że powstanie dwój-władzy w Wielkiej Brytanii na przykład będzie kopią późniejszego caratu, a powstanie tamże trój-władzy - kopią ZSRR. Sens tej tezy na gruncie metodologii idealizacyjnej jest taki: w większości krajów zachodnich dojdzie do kumulacji dyspozycji środków produkcji i środków przymusu w rękach jednej i tej samej mniejszości. Jak zaś rozległa będzie to mn. jszość, w jakie instytucje przybrana, jakim ideowym wyznaniem wiary się pieczętująca, itd. - to sprawy, dla których np. rola dziedzictwa cywilizacyjnego i kulturowego jest olbrzymia. A tym przecież Zachód różni się od ZSRR, i to ogromnie.

Pierwszy wniosek z należytego rozumienia metodologicznego sensu tezy /C/ jest więc taki: konieczność orzekana w tej tezie występuje tylko w świecie teoretycznym, w świecie empirycznym jest to tendencja, która w szeregu wypadków może zostać zahamowana, choć na ogół się zrealizuje; ale i tam, gdzie się zrealizuje doprowadzi nie do jednego wzorca powielanego we wszystkich realizacjach, ale do wielości różnych systemów mniej lub bardziej od owego idealnego wzorca totalitaryzmu odbiegających. Czyż to doprawdy "fatalizm", jak utrzymuje Autor /s.102/?

Chciałbym przy tym zwrócić uwagę, że w replice tej nie ułatwiam sobie zadania i biorę pod uwagę właśnie tezę /C/ wywiedzioną z modelu jednościeżkowego. Tymczasem często modele rozwojowe są wielościeżkowe /głównie dlatego, że różnym wynikiem mogą skończyć się rewolucje obywatelskie czy ludowe/, dają więc nawet w świecie wyidealizowanym wielość dróg rozwojowych otwartych przed społeczeństwem modelowanym. Uwzględnienie zaś np. wpływu stosunków międzynarodowych /5/, /6/ powoduje, że na tym bardziej skonkretyzowanym poziomie modele jednościeżkowe w ogóle znikają - i wszystkie stają się wielościeżkowymi. Dlatego nieprawdziwy jest zarzut: *Socjalizm w wersji Nowaka jawi się nam więc jako zupełnie irracjonalny fatalizm, za powstanie którego nikt nie ponosi odpowiedzialności. Tym irracjonalnym fatalizmem ma być zresztą dotknięta cała cywilizacja europejska. Może ona jedynie bezwolnie oczekiwać nieuchronnego nadejścia totalitaryzmu* /s.102/.

O etycznych składnikach "irracjonalnego fatalizmu" będzie jeszcze mowa. Na razie chodzi mi tylko o to, by pokazać, że jeśli rozumie się idealizacyjne założenia niemarksowskiego materializmu historycznego, to nie jest on w każdym razie irracjonalny.

Albowiem drugim wnioskiem wynikającym z rozpoznania idealizacyjnego statusu tezy /C/ jest ten, że teza ta jest obalana i że może zostać obalona przez bieg wydarzeń. Kto wie, może już jesteśmy świadkami jej falsyfikacji? Teza ta opublikowana została w 1979, a więc w zasadzie przed falą neoliberalizmu w polityce zachodniej. Tymczasem neoliberalizm jako kierunek polityczny jest właśnie wynikiem reakcji społeczeństw zachodnich na rosnącą groźbę totalitaryzmu kryjącą się pod fasadą "państwa opiekuńczego", jest też skierowany w swej warstwie ideologicznej wyraźnie przeciwko omnipotencji państwa. Powstaje pytanie, czy jest on w stanie zahamować trend totalitarny w społeczeństwach zachodnich. Z pewnych dalszych modeli uwzględniających wpływ in-

stytucji politycznych /7/ i doktryn politycznych /8/ na rozwój kapitalizmu wynika wniosek negatywny. I - zobaczymy: jeśli neoliberalizm zrealizuje swoje zapowiedzi doprowadzając na powrót do tego, że państwo stanie się li tylko "nocnym stróżem", a przynajmniej znacznie zredukuje rolę ekonomiczną władzy /powiedzmy, że przez budżet typowego państwa zachodniego będzie przechodzić kilkanaście procent dochodu państwowego - wobec kilku na przełomie stuleci i ok. połowy dzisłaj;/ jeśli zahamowana zostanie fuzja biurokracji gospodarczej i państwowej; jeśli odrwócony będzie proces przechodzenia władzy politycznej z wybieralnych ciał ustawodawczych do władzy wykonawczej; i to niekiedy skrytej /ciała rzekomo "doradcze" przy egzekutywie;/ jeśli wygaśnie władza gospodarcza biurokracji w wielkich korporacjach i wróci na powrót do żywych właścicieli, itd. itd.; jeśli tak się stanie, to przecież będzie to jawnie świadczyć przeciwko /idealizacyjnej/ prognozie totalitaryzacji Zachodu.

Pierwsze doświadczenia raczej uzasadniają sceptycyzm. Ale - zobaczymy. Sprawy te, jak w ogóle w teoriach społecznych, są trudno rozstrzygalne z powodów wielokrotnie w metodologii humanistyki opisywanych /niejasność języka jakiego używamy, brak wyraźnych kryteriów operacjonalizacji itd/. Ale przecież są jakoś rozstrzygalne empirycznie. Nikt przy nieideologizowanych zmysłach nie ma przecież dziś wątpliwości, że marksistowska prognoza - takie idealizacyjna przeciwieństwo - "wspólnoty wolnych wytrórców" zawiódła. A więc idealizacyjne teorie rozwoju społecznego są falsyfikowalne. Nie są one wyprowadzalne z doświadczenia - bo, wbrew pozytywizmowi, żadne teorie nie są uogólnieniem faktów - ale są kontrolowalne na podstawie doświadczenia. Autor po prostu nie rozumie należycie metodologicznych założeń niemarksowskiego materializmu historycznego.

3. Widać to szczególnie dobrze na przykładzie, który powołuję, aby pokazać, że w humanistyce *wielość sprzecznych, a równie prawomocnych sposobów opisu, jest trwale obecna* /s.85/. Idzie o pytanie, kto sprawuje władzę w współczesnym państwie. Pokazuje dalej, że pytanie to można rozumieć rozmaicie /już to organy stanowiące prawo, już to organy wykonawcze, już to ci, co dysponują faktycznie przymusem - przy całej gamie możliwych ustaleń w tej ostatniej kwestii, itd/. Rzeczywiście, przy założeniach metodologicznych, jakim daje wyraz Autor, sytuacja jest doprawdy rozpaczalna - wszystko w humanistyce wolno. Ale to są jego założenia. To on sądzi, że prawdziwy jest pozytywistyczny model przyrodoznawstwa i że humanistyka nie podpada pod ten model, bo nie jest w gruncie rzeczy nauką, a raczej formą namysłu człowieka nad sobą samym i światem, w jakim mu być wypadło. To Autor jest wyznawcą pozytywistycznego antynaturalizmu. Podpisany natomiast sądzi, że przyrodoznawstwo podpada pod metodologię idealizacyjną i że w zasadzie i tę samą metodologię podpada humanistyka /w przybliżeniu wyznaczonym przez funkcje społeczne, jakie pełni/, opowiada się więc za naturalizmem antypozytywistycznym.

A jak zasadniczo odmienne podejścia pociągają te przeciwstawne założenia, widać dobrze właśnie na przykładzie, o którym mowa. Rzeczywiście, zjawisko władzy jest nad wyraz skomplikowane i złożone. /Jak wszystkie reszta zjawiska - to tylko nam, którzy obracamy szkolnymi przykładami zagadnień już rozwiązanych przez przyrodoznawców, wydawać się one mogą "proste". Nie były zaś z pewnością takimi dla tych, co pierwsi podejmowali trud ich konceptualizacji/. W państwie współczesnym mamy i środki przymusu, i hierarchiczność decyzji, i wielość hierarchii, itd. Ktoś, kto rozumie metodologię idealizacyjną wie przede wszystkim, że najgorszą rzeczą, jaką może uczynić próbując zrozumieć zjawisko władzy to poddać się tej złożoności. Rozumie, że musi myśleć nad nim zapanować, musi porzucić ten zawiły świat władzy, drastycz-

nie go uprościć, zrozumieć najbardziej elementarne jego mechanizmy w czystej postaci, a dopiero potem może - w stopniowy, kontrolowany sposób - doń wracać odtworzając krok po kroku jego złożoność. Musi więc zdobyć się na radykalne cięcia. Inaczej będzie tylko w stanie mnożyć opisy, za którymi czai się bezradność.

Nie ma, rzecz jasna, żadnych apriorycznych reguł, które dostarczają wiedzy o tym, jak należy idealizować. Wszystko jest tu kwestią prób, błędów, korekt. Także podpisany traktuje hipotetycznie swoje własne konceptualizacje - stwierdzałem to wielokrotnie, także w pracach cytowanych przez Autora. Ta próba konceptualizacji zjawiska władzy wygląda następująco/6/. Najpierw abstrahuje się od wszystkiego, co władza nie jest - pomija się więc sferę gospodarczą i kulturową. Potem w sferze samej władzy ignoruje się wpływ rozwiązań instytucjonalnych, a także wpływ doktryn politycznych. W modelu pozostają tylko składowe materialne - środki przymusu, mniejszość nimi dysponująca i większość, co nimi nie dysponuje. A i na tym nie koniec, bo przyjmuje się upraszczająco, iż ci, co nimi dysponują sami ich używają /pomija się więc istnienie policji, armii itd/. Z zawichości systemu władzy pozostaje w pierwszym modelu teorii władzy ledwie jeden jej rys: monopol siły w rękach mniejszości. W oparciu o to, jak również o pewne dodatkowe założenia sprzeczności interesów między władzami /pojętymi, jako ci, co monopolizują przymus/ a obywatelami /resztą społeczeństwa/ wprowadza się model stosunków międzyklasowych z pewnymi regularnościami, takimi jak samopogębiania się władzy czy pętłe obywatelskie.

Ale, gotów zapytać Autor, co to daje do zrozumienia skomplikowanych zjawisk władzy w świecie rzeczywistym? Otóż nawet ten czysto materialistyczny, ubogi model trochę daje. Daje on choćby to, że kiedy obywatel PRL otwiera gazetę i czyta wywiad z b. ministrem, który rozpacza: *Przez pierwsze 3 lata /kadencji min. Krasińskiego/ .../ wszyscy mieli ważniejsze smartwienia i zajmowali się czym innym. Później coraz więcej instytucji zaczęło się interesować cenami, a im bardziej się interesowało, tym cięższe miałem życie. Czy Pan wie, ile dziś instytucji ma prawo kontrolowania cen? 19! Słownie: dziewiętnaście. .../ przez ten wigor kontrolny ceny umowne stały się fikcją, stanowi się je dziś dokładnie według zasad stanowienia cen regulowanych! .../ To, że o cenach umownych stanowi tylko popyt i podaż, jest dla tych panów czymś niepojętym. A przecież jeśli już ktoś nie czytał Marksa .../, to mógł przynajmniej przestudiować ustawę o cenach. /Wywiad z Prof. Krasińskim, "Polityka" 3/86/, to widzi przynajmniej jałowość pretensji byłego ministra, który nie rozumie, że ani ideologia oficjalna systemu, ani akty prawne stanowione przez jego instytucje nie są w stanie przezwyciężyć materialnego interesu szeregowych władców: mnożenia władzy dla władzy. Materialistyczny charakter modelu, w którym np. różnic między władzą komunistyczną i władzą liberalną nie da się po prostu wyrazić, nie pozwala też obywatelowi PRL na łatwe iluzje co natury władzy w państwach zachodnich. Pozwala mu, mianowicie, bez zaskoczenia czytać, iż w ostatnich latach w Anglii*

obiecivano .../, że zawężone zostaną granice władzy państwowej. Tymczasem zostały one rozszerzone. Zostało wprowadzone prawo pozwalające rządowi decydować jaka część podatku komunalnego ma być przekazywana do skarbu państwa. W wyniku tego samorządność władz lokalnych została poważnie ograniczona. W krótkim czasie duże gminy przestały istnieć /B. Jarborg, Lata z Margaret Thatcher, "Tiden", za przekładem w "Prezentacje" 2/85, s.78/. Rozumie dzięki modelowi bowiem, że premier czy I sekretarz może sobie i innym dużo obiecywać. Ale będzie to, co uczynią rzesze szarych działaczy, a te czynią z grubsza to samo pod wszystkimi sztandarami - pogłębiają władzę na tyle, ma ile obywatele im na to pozwalają. Rysy abstrakcyjne modelu odpowiadają więc - choć tylko statystycznie i w przybliżeniu - tendencjom rzeczywistym.

Aby te tendencje ściślej określić potrzebne są, rzecz jasna, konkretizacje. I tak wprowadza się do modelu hierarchizację władzy - jed-

polita dotąd klasa dysponentów przymusem zostaje podzielona na "pozycję" w piramidzie władczej - od aparatu poprzez elitę do przywódcy. Okazuje się w tym modelu - bogatszym już o pewien rzeczywisty wymiar od modelu czysto materialistycznego - że prosty lud w swoim stosunku do władzy /"car jest dobry, urzędnicy źli"/ dużo lepiej rozumie naturę hierarchizacji władzy niż domorośli specjaliści kpiący z jego naiwności. Albowiem to, rzeczywiście, z aparatu wypływa tendencja do podporządkowywania sobie obywateli, która może być regulowana w rozmaitych ustrojach instytucjonalnych rozmaicie, ale jest im wspólna. Same te ustroje /demokracja, autokracja, dyktatura, despotia/ nie są przy tym przypadkowe lecz zależą od stopnia regulacji życia społecznego. W kolejnym modelu rozdziela się dysponowanie środkami przymusu od ich stosowania wprowadzając poza hierarchią władzy - hierarchię sił przymusu i określając warunki, w których ta ostatnia jest powolna pierwszej. I tak dalej.

Z pewnością, daleka jeszcze droga do uchwycenia, w grubym choćby przybliżeniu, zjawiska władzy w pełnej jego komplikacji. Podział władz, partie polityczne poza hierarchią władzy, itd. - wszystko to wymaga kolejnych, jeszcze bardziej realistycznych modeli. Nigdy też do końca nie wiadomo, czy obrana stratyfikacja charakterystyk władzy /pierszorzędna-materialne, dalej instytucjonalne, jeszcze dalej doktrynalne/ jest aby trafna. Jedyna możliwa forma rozstrzygnięcia tej ostatniej kwestii jest następująca. Niech ktoś, kto wierzy w rolę instytucji politycznych zrobi model czysto instytucjonalny i niech go konkretyzuje. Jeśli taka teoria pozwoli zrozumieć więcej z rzeczywistej złożoności zjawiska władzy niż materialistyczna, będzie to argumentem na jej rzecz. Ale też trzeba to zrobić, a nie kontentować się opisywaniem, co tam po kolei - i gdzie - było, albo i jest. Każdy wie że świat jest zawiły i nie ma co tego po raz tysięczny powtarzać. Sztuka polega na tym, by potrafić o tym zapomnieć. A więc zastosować idealizację - możliwie wiele i możliwie różne - materii społecznych. Tylko ich porównanie jeśli idzie o moc wyjaśniającą i prognostyczną może zdecydować, która jest poznawczo trafniejsza. Ale przeciw któremś jest! To nie jest tak, że z racji nieuchronnych ograniczeń, na jakie cierpią wszelkie badania nad zjawiskami ludzkiej kultury /s.86/ każdy pomysł na temat człowieka czy społeczeństwa jest tyle wart, co każdy inny. Pomysły Marksa na temat "socjalizmu realnego" są dziś mniej warte niż pomysły Besançon - chyba się na to z Autorem zgodzimy? No, więc choćby dlatego nie jest tak, że wszystkie propozycje humanistyczne są równie prawomocne /s.85/. Humanisci mają czasem skłonność do popadania w podniosłe labidzenie.

4. Czysm takim właśnie jest następujący wywód: *jeśli rozkład sił, których działania domyślamy się mgliście za jakimiś wydarzeniami historycznymi, jest nam nieznany i jeśli wobec tego ani wyjaśnienia ani przepowiednie nie są możliwe, to nie dlatego, że wiedza nasza jest "jeszcze" niedokończona, ale dlatego, że nie jest a b s o l u t n a, to zaś oznacza, że jest ona pod tym względem t k a, jaką będzie zawsze. /.../ Ktokolwiek pretenduje do tego, iż potrafi wyjaśnić poszczególne zjawiska z dziejów powszechnych stawia siebie w pozycji *Geniusza*, który jeśli się objawi, nie będzie kim innym jak tylko wszechwiedzącym Bogiem /s.8* Wywód ten brzmi urokwilwie, ale też płaci za to, jak często u Autora, ubóstwem treści. Wbrew bowiem cokolwiek napiętej frazeologii mówi się tutaj filozoficzny komunał - przynajmniej dzisiaj jest to komunał. Powiada się mianowicie, że wiedza absolutna o dziejach jest nieosiągalna i to raz na zawsze. Otóż jeśli przez wiedzę absolutną rozumie się taką, co do której niepodważalnie wiadomo, iż jest prawdziwa, to Autor ma całkowitą rację. Podobnie, jeśli przez absolutność rozumie się znajomość /choćby już tylko hipotetyczną/ wszystkich właściwości zjawiska wyjaśnianego. Całkiem tak samo, jeśli przez absolutność rozu-

mie się zdolność do określenia jednostkowego zbioru alternatyw, w jakie zjawisko ma się przekształcić. We wszystkich tych sensach słowa Autor ma całkowitą rację. I właśnie dlatego wywód ten jest całkowicie jałowy, przynajmniej dzisiaj. Bo żadnej z tych rzeczy teoretycy przyrodoznawstwa również nie potrafia. Nie potrafia podawać prawd niepodważalnych - produkują wyłącznie hipotezy lepiej czy gorzej uzasadnione. Nie potrafia podać kompletnego opisu jakiegokolwiek zjawiska przyrodniczego. Nie potrafia też - choć ta akurat sprawa jest w pewnych działach nauki dyskusyjna - posunąć się w kompletowaniu determinant tak dalece, żeby zawsze uzyskać determinację jednoznaczna. I co z tego? Wynika z tego tylko, że tradycyjne, metafizyczne pojęcie wiedzy, jakim filozofia operowała przez stulecia jest do niczego nieprzydatne, jest puste. Uświadomiono to sobie już dość dawno /można poczytać o tym w lekturze przez Autora niezbyt lubianej, w *Dialektyce przyrody* Fryderyka Engelsa/, a dzisiaj wykazano to /np. w hipotezie tymie Poppera/ no, prawie "absolutnie". To tylko, jak ktoś się łudzi, że przyrodnicy takie rzeczy potrafia, jest w stanie rozpaczać nad humanistyką. Ale nawet przyrodnicy takich rzeczy nie potrafia. A mimo tego wiemy dzięki nim o świecie dosyć sporo. Daj nam, Panie Boże, kiedyś setnej części tego rozumienia materii społecznych... Widać przyrodoznawstwo zakłada inne, nieplatońskie i niekartezjańskie, pojęcie wiedzy - pojęcie wiedzy hipotetycznej. I to tylko pojęcie może być rozsądnym układem w odniesieniu do humanistyki. "Rozsądnym" także i w tym znaczeniu, że kiedy tę, niepusztą, miarę odniesiemy do nauk społecznych, to jest motyw skłaniający do roboty teoretycznej, a nie do uchylania się od niej pod patetycznymi pozorami.

5. To, że Autor nie rozumie należycie metodologii idealizacyjnej prowadzi również do cokolwiek pośpieszno, jak mi się zdaje, obalania pewnych tez niemarkowskiego materializmu historycznego. I tak, powołuje rewolucję angielską XVII czy amerykańską XVIII stulecia jako kontrprzykłady dla koncepcji petli obywatelskiej /s.101/. /Tak nawiasem, to okazuje się, że tezy koncepcji *petli obywatelskiej i niemarkowskiej sąrazem* są jednak falsyfikowalne.../. Teza o petli obywatelskiej, jak sama nazwa skądinąd wskazuje, obowiązuje w ramach modelu czystego społeczeństwa politycznego, a więc złożonego z dwóch tylko klas - władców i obywateli. Model ten zaś może mieć egzemplifikacje empiryczne - przybliżone i statystyczne skądinąd - tylko w takich systemach społecznych, w których władza polityczna dominuje nie tylko nad ludem, ale i nad własnością oraz kapłanami. Otóż systemami takimi nie są bynajmniej społeczeństwa klasowe /z rozdzielonymi klasami panującymi/, w żadnym zaś razie społeczeństwa klasowe typu markowskiego /z dominującym momentem ekonomicznym -/9/-s.201/, także, jak angielskie społeczeństwo w XVIIw. Społeczeństwami takimi są natomiast systemy trój-władzy, bo tu władcy sami stali się właścicielami i kapłanami /6 - s.119-120/. Dlatego to jest tak, iż tego typu społeczeństwa są terenem - przybliżonej i statystycznej - stosowności tezy o petli obywatelskiej. I rzeczywiście: w wyniku tego rodzaju petli systemy trój-władzy powstają. W każdym razie tam, gdzie dochodzi do rewolucji samoistnych.

6. Z powyższych rozważań wynika wniosek bardziej ogólny - ten mianowicie, że składowa /III/ charakterystyki gnozy nie stosuje się do niemarkowskiego materializmu historycznego. Metodologiczne założenia tej koncepcji nie tylko nie pociągają tego, że tezy jej dostarczają pewnej i całkowicie /"absolutnie"/ prawdziwej wiedzy o świecie społecznym, ale zgoła możliwość taka wykluczają.

O ANTROPOLOGICZNYCH PODSTAWACH NIEMARKSOWSKIEGO MATERIALIZMU HISTORYCZNEGO

1. Aby rozważyć zasadność odniesienia do dyskutowanej koncepcji dalszych składowych charakterystyki gnozy, przyjrzyjmy się następującemu wywodowi: *Proces wychodzenia z socjalizmu ma w sposób nieuchronny doprowadzić nas do powstania społeczeństwa bezmomentowego. W myśleniu tym zawarta jest żywa wiara w możliwość wielkiego skoku z królestwa konieczności do królestwa wolności /.../. Nieomal z dnia na dzień nastanie wolność, równość i braterstwo. Wszystko będzie lepsze i piękniejsze, znikną podziały między ludźmi i złe cechy ich charakterów, choroby i nieszczęścia, smutek i głupota, brzydota i niedostatek. Nawet kwiaty będą ładniej pachnieć /s.105/. Kiedy to czytam, nachodzi mnie nieodparcie pytanie, skąd Autor to wszystko wie? To znaczy, skąd wie, że niżej podpisany takie rzeczy głosi? Wielkodusznie odpuszczam mu kwiaty i choroby. Ale ta "wolność, równość, braterstwo"? Gotów byłbym złożyć się o niewielką kwotę /to nie z poznańskiego skapstwa, tylko dlatego, że nie mam pod ręką wszystkich swoich tekstów, a nie jest to w końcu tak ważna sprawa, by biegać po ludziach i wiersz po wierszu sprawdzać/, że wyrażenia tego użyłem tylko raz, a i to w kontekście ironicznym, pisząc o pętli obywatelskiej - o tym, że rewolucjoniści pod tymi właśnie frazesami restaurują taki sam system, jak ten, z którym ongi walczyli...*

Dajmy temu pokój. Poniosło Autora i nawypisywał głupstw. Zdarzają się takie rzeczy w zaciętrzewieniu. Ja też się zaciętrzewiam czytając np. o marksistowskich korzeniach socjalizmu. Ludzkie. To wszakże, co rzeczowo ważne w cytowanym fragmencie /i innych podobnych/ to przypisanie mi mitu rewolucji totalnej /a także mitu nieuchronności dziejowej - ale o tym już była mowa wcześniej/. A więc takiej, która nie tylko zmienić ma /jak rewolucja społeczna/ stosunki społeczne między ludźmi, ale i naturę ludzką - stworzyć ma nowego człowieka, doprowadzić do *wszechstronnego rozwoju sił i pełnego zaspokojenia potrzeb przez ludzi, zjednoczyć jednostkę z ludzkością* itd./s.95-98/. Otóż w żadnej ze swoich prac nie znajduję cienia racji po temu.

Nie jest to jeszcze argumentem dyskwalifikującym interpretację Autora. Może bowiem być tak, iż moja koncepcja zakłada mit rewolucji totalnej, a tylko ja o tym nic nie wiem. Tak być może z racji już wcześniej wyłuszczonej, a więc dlatego, że autor koncepcji nie zna przecież wszystkich ważnych konsekwencji, do jakich ona prowadzi, ani wszystkich istotnych założeń, jakie są niezbędne, aby stanowiła ona spójną całość. Zdarzyć się więc może, że interpretator bystrzej doszreże, do czego koncepcja prowadzi, czy też, na jakich fundamentach się wspiera, niż jej autor. Tak być może, ale - moim zdaniem - w tym przypadku interpretator nie ma racji. Albowiem mit rewolucji totalnej jest logicznie mocniejszy od mitu rewolucji społecznej - rewolucja totalna czynić ma to, co czyni rewolucja społeczna, a nadto dużo więcej. To więc odrzuca tę ostatnią, tym bardziej odrzucić musi pierwszą. To chyba oczywiste.

2. Jak w takim razie wyjaśnić to, że interpretator tak wnikliwy tak prostych rzeczy nie widzi? Odpowiedź jest taka jak zawsze w tego rodzaju wypadkach - bo przyjmując jako oczywiste pewne założenia przypisuje je z tej racji koncepcji interpretowanej. Na ślad tych założeń naprowadza sformułowanie następujące: *Nowak swojej obietnicy ostatecznego zbawienia nie czerpie, oczywiście, od Boga. Źródłem jej jest marksizm - ta świecka religia. I to właśnie przede wszystkim - a więc aksjologię a nie metodę, czy też poszczególne tezy - zawdzięcza autor "Wolności i władzy" Marksowi /zdanie to wyróżnione jest spacją w oryginale/. To ostatnie stwierdzenie w niczym nie umniejsza zasługi Nowaka w stworzeniu nowej wersji totalitaryzmu /s.98/. Cóż, chociaż tyle... Ale na ten temat, to jeszcze pomówimy. Teraz natomiast o oczywistościach Autora. Oto one.*

Karol Marks rdzeń swego systemu obmyślił w *Rękopisach filozoficzno-ekonomicznych*, gdzie wyklada ideał prometejskiego humanizmu i znajduje w proletariackiej rewolucji totalnej środek na stworzenie człowieka totalnego, na usunięcie rozbieżności między esencją człowieka a jego egzystencją, na likwidację alienacji. Wszystko, co Marks zrobił potem, w okresie dojrzałości, to poszukiwanie środków realizacji tej wizji. Doprowadziły one do wielu odkryć szczegółowych - Autor, rzecz to rzadka w naszym piśmiennictwie niezależnym, nie traktuje Marksa jak "zdechłego psa" oddając mu respekt należny - ale jedynie dookreśliły tę wizję zasadniczą, jakiej dopracował się już w zasadzie w młodości.

Otóż wszystko to p.lem. uznaje za rzecz samo przez się oczywistą. Wierzy w prawdziwość tych konstatacji tak dalece, że na myśl mu nie przychodzi, iż niżej podpisany może w to właśnie nie wierzyć. Przypisuje mu to zatem - w dobrej z pewnością wierze. A przypisawszy, pojmuję niemarkowski metarializm historyczny jako zastąpienie materializmu historycznego Marksa dojrzałego przez pewną inną historiozofię, ale lokującą się w tym samym kontekście antropologicznym, w filozofii człowieka młodego Marksa.

Teraz wyjaśnia się, skąd ten dziwny dla mnie język, w jakim Autor przedstawia moje poglądy - to język młodego Marksa. Wyjaśnia się też, dlaczego Autor musiał pominąć koncepcję postępu poprzez przegrywane rewolucje - bo jest ona dysonansem nawet odniesiona do umiarkowanie radykalnych poglądów społecznego Marksa dojrzałego, zaś na tle rewolucyjnych uniesień młodego Marksa byłaby ona czymś zupełnie obcym.

Nie chciałbym wkiąć się w dyskusję na temat stosunku *Capital* do *Rękopisów*... Od strony historycznej nie umiałbym - nie jestem przecież historykiem idei, a od strony teoretycznej sprawy te nie są już dziś dla mnie istotne. Poprzestanę w związku z tym na jednej uwadze. Otóż ja nie mogłem nigdy pojąć i do dziś nie pojmuję, jak poważny historyk filozofii może głosić, iż Marks wyłożył rdzeń swego światopoglądu w dziele, które przez czterdzieści lat trzymał w szufladzie, którego wtedy przez całe dojrzałe życie nie zdecydował się opublikować. Publikował tysiącami stron "teorie środków do celu", a "cel" pozostawił w rękopisie? Powtarzał dziesiątki razy te same myśli dalszego rzędu, a tych jakoby pierwszoplanowych nie zdecydował się powiedzieć ani razu? Wielokrotnie wznawiał *Manifest Komunistyczny*, a nie zdecydował się na pierwodruk głównego ponoć dzieła? Wolne żarty. Sprawa zdaje mi się być zupełnie oczywista. Każdy z nas miał kiedyś dwadzieścia lat i spędzał ten czas na pisaniu "dzieł wiekopomnych". Podpisany na przykład napisał w tym okresie "traktat ontologiczny". Trzymam to gdzieś w jakiejś pękatej teczce z powodów sentymentalnych, ale gdyby znalazł się ktoś ciekawski, kto by to chciał ogłosić, i to jeszcze jako rdzeń moich poglądów, które od tego czasu jedynie "uszczegóławiałem" i "dopełniałem", to bym takiego faceta do sądu podał. Autorzy nieżyjący nie mogą tego uczynić. A szkoda. Byłoby na co popatrzeć! Krótko mówiąc, młody Marks nie był marksistą. "Oczywiste założenie" Autora jest, moim zdaniem, oczywistym fałszem.

To jećnak mniej ważne w kontekście tej polemiki. Z tego bowiem punktu widzenia ważniejsze jest to, iż pomysł, by antropologię młodego Marksa potraktować jako podstawę niemarkowskiego metarializmu historycznego jest całkowitym nieporozumieniem. Niczym też Autor nie uzasadnia - i nic dziwnego, bo nie sposób znaleźć w moich pracach czegośkolwiek, co by na założenie "młodomarksizmu" wskazywało. Nigdy nie wypierałem się związków niemarkowskiego materializmu historycznego z Marksem /np. 9 - s.28/. Ale to chodziło o Marksa poważnego, nie o chłiasztę z *Rękopisów*... Z interpretacją marksizmu w duchu Kołakowskiego nigdy zaś nie miałem nic wspólnego. Przeciwnie - jak to już

miałem okazję wyjaśniać /14/, właśnie "młodomarksowska" wykładnia marksizmu była krytycznym układem odniesienia dla tej interpretacji marksizmu, do której w swoim czasie w jakiejś mierze usiłowałem się przyczynić. Rozumiem, że można być głęboko przekonanym o prawdziwości wykładni przedstawionej w "warszawskiej szkole historyków idei". Ale nie wolno z tego wnosić, że inni też są o tym przekonani.

3. Jest przy tym rzeczą oczywistą, że dyskutowana historiozofia, jak każda zresztą teoria makrosocjalna, opiera się na pewnych założeniach antropologicznych. Autor nie dotarł jednak do prac, w których usiłują je wstępnie naszkicować. Trudno czynić mu zresztą z tego powodu zarzut, bo opublikowane są one w miejscach słabo dostępnych /11/, /12/. Niech wytłumaczy to zarazem krótkie streszczenie ważniejszych spośród nich - bez tego moje odpowiedzi na dalsze zarzuty Autora, a w szczególności te dotyczące utopii, jaką mam wyznawać, pozostałyby trudno zrozumiałe.

Otóż punktem wyjścia dla koncepcji człowieka założonej w niemarkowskim materializmie historycznym jest antropologia *Nowego Testamentu*. Chrystus dokonał pewnego odkrycia teoretycznego: zobaczył w człowieku istotę, której potrzebą egzystencjalną jest miłość ze strony innych ludzi. Zgodnie z podstawową przesłanką antropologiczną Ewangelii - jeżeli właściwie rzecz rozumiem - postawy człowieka wobec ludzi są odzwierciedleniem postaw ludzi wobec człowieka. Jest, mianowicie, tak, że im więcej życzliwości ze strony innych napotyka, tym więcej sami skłonni jesteśmy jej dawać, a im więcej spotyka nas nienawiści, tym bardziej sami nienawidzimy. Jest to więc założenie o charakterze prawa teoretycznego, które powiada, że człowiek odpowiada życzliwością na życzliwość i nienawiścią na nienawiść oraz że zależność ta jest liniowa. W szczególności, zło czynione przez jednostkę bierze się ze zła, które ją dotyka lub ongi dotknęło. Dlatego to jest tak, że mamy obowiązek moralny przerwać to błędne koło nienawiści rodzącej nienawiść i okazywać życzliwość bliźnim - bez względu na to, jak oni odnoszą się do nas. Mamy ten obowiązek wobec wszystkich, nawet naszych nieprzyjaciół. Tylko nasza życzliwość jest bowiem, wedle przesłania Ewangelii, zdolna wyprowadzić ich z nienawiści. Zło tylko dobrem można zwyciężyć.

Błąd Marksa nie na tym wcale polegał, że poniechał wartości chrześcijańskich - moim zdaniem, kiedy Marks stał się marksistą, a więc zarzucał prometejski humanizm swej młodości, wartości te respektował. Polegał on natomiast m.in. na tym, że jego krytyka chrześcijaństwa była za płytka, ograniczona li tylko do materii społecznych. Ewangeliczny model człowieka natomiast Marks w pełni zakładał /13/ - i nic w tym dziwnego, bo wyznacza on przeciwieństwo obowiązujący w naszej kulturze horyzont antropologiczny. Tymczasem są w tym horyzoncie bardzo poważne luki. Mniej metaforycznie: Ewangeliczny model człowieka w swej oryginalnej postaci jest po prostu fałszywy. Trafnie przedstawia on mechanizmy postaw indywidualnych, ale tylko w pewnym obszarze normalnych doświadczeń jednostki, zawodzi natomiast całkowicie w obszarach granicznych.

Pierwszym takim obszarem granicznym jest zło skrajne, jakie nas spotyka. Kiedy zagrożone są największe nasze wartości - sens życia, samo życie itd, kiedy więc zagrożeni jesteśmy największym wyobraźalnym dla nas złem, wówczas bynajmniej się nie buntujemy, jak wtedy, kiedy spotyka nas zło średniowysokie. Wówczas nie stać już nas na bunt. Zmieniamy się wtedy w istotę zdolną li tylko do myśli o odsunięciu tej przerażającej groźby i zdolną w związku z tym, a także skłonną, do świadczenia dobrem swemu ciemniejszy. Odpowiedzią typowej jednostki na skrajne zagrożenia jest "patologiczna życzliwość" - staje się ona skłonna do przejmowania wartości jej narzuconych, do odgadywania i re-

alizowania życzeń silniejszego. Dlatego nazwiemy ten pierwszy obszar graniczny - obszarem zniewolenia. Literackim obrazem zniewolenia jest 1984 - Winston Smith, zagrożony w swoich największych wartościach, właśnie wtedy, i dopiero wtedy, pokochał Wielkiego Brata. Orwell z niezwykłą przenikliwością uchwycił to, czego nie rozumiał Chrystus - że człowiek znajdujący się pod skrajną presją ze strony silniejszych odeń nieporównanie potęg staje się niezdolny do sprzeciwu, nie jest w stanie wyrzucić zła swemu ciemni. Nic dziwnego, Chrystus miał dosyć w końcu ograniczony krąg doświadczeń życiowych - komuś żyjącemu wśród pasterzy i rybaków mogło się zdawać, że najgorsze, co człowiek jest w stanie wyrzucić innemu człowiekowi, to sprowokować go do zła. Gdyby znał doświadczenia ofiar Inkwizycji, albo ofiar procesów moskiewskich, wiedziałby, że człowieka można tak zniewolić, że nie jest już zdolny do myśli o odpłacie złem za zło.

Drugim obszarem granicznym, w którym również zachowujemy się - mo- wa stale o jednostce typowej, nie o "wszystkich ludziach" - inaczej niż to zdaje się zakładać Ewangelia, jest obszar skrajnego dobra. Również i wówczas nie utrzymujemy się w normie ewangelicznej i kiedy nas ono z czyjejś ręki spotyka, reagujemy - paradoksalnie - złem, "biesimy się" /stad nazwa - obszar zbieszenia/.

Ewangeliczny model człowieka spełnia się więc dla sytuacji normalnych - kiedy napotyka nas standardowe zło, odpłacamy złem, kiedy normalne dobro, odpowiadamy dobrem. Zawodzi jednak dla obszaru zniewolenia i obszaru zbieszenia. Człowiek jest, mówiąc inaczej, istotą "średnich temperatur" w stosunkach międzyludzkich - nie znosi ani skrajnej nienawiści ani skrajnej życzliwości. Funkcjonuje normalnie, a więc jest zdolny do buntu, obojętności, życzliwości, tylko wtedy, jeżeli inni ludzie nie doprowadzają go do reakcji skrajnych, "patologicznej życzliwości" czy "patologicznej nienawiści".

4. Być może na tym tle "dialektyka wolności i władzy" zawarta w niemarksowskim materializmie historycznym lepiej się wyjaśni. Otóż jednostka zniewolona czyni to, co za dobro uważa ten, kto nad nią panując wyrządza jej zło; kieruje się więc ona preferencjami tego, kto ją krzywdzi. Jednostka zbieszona czyni to, co za zło uznaje ten, kto wyrządza jej dobro; także i ona nie kieruje się więc swymi preferencjami, lecz preferencjami odwrotnymi do swego dobroczyńcy. Człowiek normalny natomiast podejmuje decyzje kierując się tym, co sam uznaje za słuszne, postępuje więc odpowiednio do własnych preferencji. I to właśnie uznaje za definicyjną cechę wolności: wolność to zdolność do kierowania się swymi preferencjami.

Tak pojęta wolność nie jest bynajmniej stanem naturalnym człowieka, jest natomiast stanem, do którego normalny człowiek zdąża i którego brak odczuwa jako coś nieznośnego. Jest to też stan, który normalny, dojrzały człowiek maksymalizuje - w tym oto rozumieniu, że zmierza do tego, by być wolnym /autonomicznym w swoim poczuciu słuszności/ w największej ilości sytuacji decyzyjnych. Znaczy to tyle, że wyrokować chce o sprawach go dotyczących tylko w oparciu o to, co sam uznaje za słuszne. Nie znaczy to natomiast, że musi sam te miary słuszności wymyślić - może je przecież przejąć od mądrzejszych od siebie, może je też zaczerpnąć z tradycji. Nie znaczy to też, że człowiek wolny ma być całkowicie niezależny duchowo od innych ludzi, że ma być duchem wolnym i autonomicznym, że ma być "jedynym". To są wszystko urojenia wywodzące się z tradycji filozoficznej, z którą doprawdy nie mam nic wspólnego - a pod którą Autor usiłuje mnie, via młody Marks, podciągnąć. Znaczy to, raz jeszcze, tyle tylko, iż typowy człowiek ma swój stan równowagi w stanie wolności rozumianej tak, jak to zostało wyżej określone; że skądkolwiek bierze swe miary słuszności, to zmierza do tego, by stosować je samemu; że potrzeba tego, by decydować o swoich

poczynaniach dlatego, że samemu u z n a j e j e z a s ł u s z - n e, jest potrzeba egzystencjalną człowieka. O tym, że ta teza dotyczy jednostki typowej, że ma charakter idealizacyjny itd nie będę już wspominał. Także dlatego, że w tej dziedzinie nie posunąłem się wiele poza model podstawowy.

Mimo tego widoczne jest natychmiast, że jest to inne pojęcie wolności niż *wolność w rozumieniu liberalnym*, a więc *zakres rozstrzygnięć, jakie organizacja państwowa pozostawia do uznania jednostce* /s.96/.

Myślę, że organizacja trój-panów pozostawiła do uznania Pawlikowi Morozowowi, czy wydać ojca władzom bezpieczeństwa, czy nie - nie nakażywała przecież donosicielstwa. Tym niemniej powiedzieć, że był on wolny podejmując tę decyzję to powiedzieć fałsz piramidalny. Cytowane pojęcie wolności sięga stanowczo za płućko.

Sięga też ono za wąsko. Dlaczego bowiem mówi się tylko o władzy politycznej? Czy bezrobotny wodzący wzrokiem za pracodawcą, zdolny do wszystkiego, byle tylko uzyskać pracę - nie jest przezeń zniewolony? Czyż ktoś, z kogo się robi katolika w niemowlęctwie, kogo się potem indoktrynuje w duchu jednej li tylko religii /a ściślej, jednej ze stu kilkudziesięciu oficjalnych interpretacji tej religii/ nie dając jakiegokolwiek możliwości porównania z innymi, i jakiegokolwiek możliwości świadomego wyboru między nimi, czyż ktoś taki nie jest przynajmniej ograniczony w swojej wolności?

Liberalizm widzi i za płućko i za wąsko. Powiadając tedy, *Koncepcja wolności Nowaka /.../ okazuje się totalnym atakiem na filozofie liberalizmu* /s.96/ Autor mówi prawdę. Rzeczywiście, o to między innymi chodzi. Dlatego nie o "dialektykę wolności i władzy" idzie, lecz o dialektykę wolności i /wszelkiego/ panowania człowieka nad człowiekiem.

5. Naszkicowany powyżej w wielkim skrócie model człowieka jest, od strony metodologicznej, wzmocnieniem modelu ewangelicznego. To znaczy, dla pewnego obszaru przechodzi - jeśli pominąć subtelności, których nie ma potrzeby tu dyskutować /13/ - w model ewangeliczny. Na tym to obszarze normalnego zła i normalnego dobra, z jakim przeciętnie ludzie się stykają jest zatem tak, jak utrzymuje /jeśli naszkicowana interpretacja jest trafna/ *Nowy Testament*: odpowiadamy złem na zło i dobrem na dobro. Na tym to obszarze obowiązują też - przynajmniej wedle naszych intuicji moralnych - etyka chrześcijańska, łącznie z najbardziej paradoksalnymi jej konsekwencjami, takimi jak ta domagająca się miłości do nieprzyjaciół.

Alte mimo, iż etyka ta oddaje nasze intuicje moralne w tak wielkim obszarze spraw ludzkich, nie znaczy to, iż ma ona powszechną moc obowiązującą. Moim zdaniem - nie ma. Poza złem normalnym jest jeszcze zło graniczne, które grozi człowiekowi zratą zdolności do kierowania się własnym poczuciem słusznosci, czy też zratą wolnej woli. Otóż w tego rodzaju sytuacjach mechanika presji sama przekształca nas w "patologicznego chrześcijanina" - w zwierzę myślące tylko o przetrwaniu, które domaga się, byśmy świadczili życzliwość temu, kto właśnie nas sponiewierał i kto tego właśnie, usłużności wobec silniejszego, od nas oczekuje. W tego rodzaju sytuacjach mamy - sądzę, iż jest to dość powszechna intuicja - moralne prawo do buntu, nawet z użyciem przemocy, jeśli to konieczne. Wolno nam bowiem sięgnąć po broń, jeśli stawką jest nasze człowieczeństwo /i jeśli nie zwiększamy poprzez to w istotny sposób szansy na wygraną - ten dodatek uprawomocniony jest już przez teorię społeczną, nie antropologię, przez koncepcję "przegraną rewolucji"/. W obszarze zniewolenia, mówiąc inaczej, etyka chrześcijańska traci swą ważność - na rzecz etyki rewolucjonisty /tragicznego rewolucjonisty, nie tryumfalistę - znowu przypominam o doktrynie postępu poprzez przegrwane rewolucje/.

ład wezwania św. Pawła do niewolników, by ze zcją służyli swym *doczesnym panom, jak Chrystusowi* /Efe, 6,5-6/ są moralnie niedopuszczalne. W obszarze zniewolenia chrześcijańska zasada "zło dobrem zwyciężaj" traci moc obowiązującą na rzecz zasady "zło skrajne złem odpie-raj". Podobnie zasada ta traci walor w obszarze zbieszenia. Kiedy ktoś jest "za dobry" dla mnie, wówczas mam moralny obowiązek okazać mu surowość - bo inaczej doprowadzi mnie do zbieszenia, do stanu, w którym czepać będę satysfakcją z czynienia "na złość" memu dobroczyńcy. Skrajne dobro należy więc pewnym złem uprzędzić. Ład stosunków międzyludzkich opiera się na pewnej ich surowości.

Trzy są więc etyki leżące, jak przypuszczam, u podstaw naszego poczucia moralnego - etyka chrześcijańska, etyka rewolucyjna, etyka porządku publicznego. Nie mamy wszak na ogół wątpliwości, czy więźniowie obozów koncentracyjnych słusznie czynili, jeśli - jak np. więźniowie Gułagu w początku lat 50-tych - w buncie sięgali po przemoc, ani też co do tego, że państwo ma prawo stosować przemoc wobec terrorystów. A zatem zakładamy, przypuszczamy, że obywatele mają moralne prawo bronić się przed zniewoleniem ze strony władzy, a władza ma moralne prawo poskramiać zbieszonych obywateli.

Tyle cokolwiek pośpiesznych uwag na te tematy. Tyle, ile potrzebne było do tego, by odeprzeć zarzut immoralizmu, jaki Autor mi stawia /s.94/. Jeśli przez immoralizm rozumiem koncepcję, która nie daje teoretycznych podstaw do wyróżnienia jakiejś określonej etyki normatywnej - z którą wtedy każda etyka normatywna jest do pogodzenia - to niemarksowski materializm historyczny immoralizmem w tym znaczeniu nie jest. W każdym razie wówczas, jeśli bierze się go w kontekście właściwych mu założeń antropologicznych.

6. Rozumiejąc już, że z antropologia młodoco Marksa niemarksowski materializm historyczny nie ma nic wspólnego, spróbujmy teraz rozważyć, na ile zasadne jest przypisanie mu składowej /I/ z podanej na początku artykułu charakterystyki owozy: że świat ludzki jest totalnie zły /"doszczętnie zepsuty", jak to wypowiada Autor/.

Nie jest przede wszystkim jasne, o co właściwie chodzi. Nie mam więc innego wyjścia, jak próbować się tego domyślić. Rozważę trzy interpretacje wyrażenia "totalnie zły".

Wedle pierwszej, idzie o to, że obraz świata społecznego, jaki przyjęty jest w niemarksowskim materializmie historycznym pociąga całkowitą negację wszystkich jego elementów. Rzecz wszakże w tym, że rzeczona koncepcja nie jest przeciwieństwem czymś danym i skończonym, lecz - jak każda teoria idealizacyjna - rozwija się poprzez dobudowywanie kolejnych, coraz bardziej skonkretyzowanych modeli. To tedy, iż w jakimś punkcie prezentuje - dajmy na to - "totalne zło" nie znaczy bynajmniej, iż prezentuje tym samym świat rzeczywisty jako taki. W kolejnych bowiem modelach uwzględniane są dalsze czynniki i może być tak, iż wprowadzają one do owego obrazu jaśniejsze barwy. Przykładowo stwierdza Autor: *Koncepcje in-oktrynacji kapitalistycznej /panowania technologicznej wojny a wojny /.../ jako atak na wszelką tradycję i wszelki autorytet* /s.94/.

Otóż równie sensowny byłby zarzut, że koncepcja klas politycznych jest atakiem na administracyjne funkcje władzy, a koncepcja klas ekonomicznych na produkcję towarów. Że społeczeństwom ludzkim potrzebne są dobra ekonomiczne, ład publiczny, normy moralne czy estetyczne - to są komunały godne powtarzania co najwyżej w podręcznikach, a i to dla klas młodszych. Starsze dzieci bowiem doskonale już wiedzą, że np. przepisy ruchu drogowego albo rozkłady jazdy to dobra rzecz, którą zawdzięczamy urzędnikom państwowym. Sprawa staje się interesująca ponieważ dopiero wtedy, kiedy spytamy, które z funkcji pełnionych przez owych urzędników - administracyjne czy władcze - są podstawowe, które

więc włączyć trzeba już do modelu pierwotnego władzy, a które można dołączyć dopiero w kolejnej konkretyzacji. Otóż cała ideologia władzy /a całkiem podobnie ideologia wielkiej własności i ideologia kapłańskie/ wychodzi z dogmatu, że fundamentem władzy jest służba społeczeństwu, a więc działalność administracyjno-organizatorska, a to i tamto coż, zdarzają się nadużycia... A to właśnie uważam za fałsz podstawowy - tę stratyfikację funkcji. Dlatego w pierwszym modelu władzy /a także własności, a także religii - 17/ mowa jest tylko o panowaniu a od administrowania się abstrahuje. Nie dlatego, że go nie ma - czuje się zażenowany musząc wyjaśniać rzeczy tak oczywiste - dlatego, że w ramach *paradygmatu materialistyczno-antagonistycznego* /6-s.106/ administrowanie uznaje się za funkcję poboczną, a sprawowanie władzy za główną. I problem teoretyczny nie na tym polega, by powtórzyć parę komunałów na temat ogólnospołecznych funkcji klas wódców, właścicieli czy kapłanów, ale na tym, by funkcje te wprowadzić w ramy paradygmatu antagonistycznego. Rzeczywiście, niewiele się na ten temat zrobiło. Całkiem niedawno napisany został artykuł *Władza i zarządzanie* usiłujący wprowadzić owe ogólnospołeczne funkcje klasy dysponentów przymusem do czysto antagonistycznego modelu i odpowiedzieć na pytania o klasowe warunki ich wypełniania przez wódców, a także o to, w jakich warunkach popadają one w konflikt z funkcją panowania i jak te konflikty są rozstrzygane. Autor tego tekstu znać nie mógł, mógł jednak być nieco ostrożniejszy w wyciąganiu wniosków z braku czegoś w dyskutowanych pracach.

Z czyjegoś milczenia na pewno tematy nie wolno przecież wnosić, że ów ktoś odrzuca o nich banały. Trzeba raczej założyć, iż banały mamy wspólne. Inaczej na przykład mógłbym wnosić z milczenia Autora na temat budowy ciała ludzkiego, iż kwestionuje on to, że mamy ręce albo nogi.

Tak rozumianą tezę /I/ mógłby Autor wszakże nieco zmodyfikować powiadając, iż - właśnie wedle metodologii idealizacyjnej - nie ma bynajmniej równoprawności modeli w strukturze teorii, albowiem model pierwszy odgrywa rolę wyróżnioną. Jeśli więc on pokazuje świat społeczny jako "doszczętnie zepsuty", to kolejne modele mogą co najwyżej korygować nieco ten obraz, ale zasadniczej tonacji przedstawiania spraw społecznych nie zmieniają. Nie mógłbym się jednak zgodzić nawet z tak wysubtelnionym argumentem. Przyjrzyjmy się bowiem od strony moralnej zawartości owych pierwszych modeli składających się na teorie idealizacyjne z dyskutowanej historiozofii. Przedstawiają one wyzysk, ucisk polityczny, ubezwłasnowolnienie duchowe społeczeństwa przez mniejszości, ale przecież zarazem pokazują opór społeczny przeciwko temu wszystkiemu, pokazują rewolucje i ich rolę historyczną. I nigdy przecież nie kryłem lewicowego charakteru moich wartościowań. Nie jest więc tak, iż modele podstawowe społeczeństw klasowych czy supraklasowych pokazują jedynie wartości negatywne, bo pokazują one również ludzki bunt przeciwko zniewoleniu, a więc wartość - dla mnie - zdecydowanie pozytywną, jedną z najwyższych wartości. Naturalnie, obraz ten różni się od optymizmu tradycyjnej lewicy rewolucyjnej /podobnie zresztą, jak od optymizmu tradycyjnej lewicy ewolucyjnej/, skoro powiada, że korzystne dla mas następstwa mają tylko rewolucje przegrane, wygrane zaś są najwenniejszą drogą do kataklizmów społecznych. Jeśli więc ktoś jest przywiązany do tradycyjnych iluzji tradycyjnej lewicy, to - rzecz jasna - koncepcja, o której mowa jawić mu się będzie jako pesymistyczna. Ale też historia nie okazała się szczególnie optymistyczna w ostatnim stuleciu, chyba się nie mylę? A nadto, pesymizm co do następstw zwycięskiej rewolucji to chyba jednak co innego niż potępienie świata jako całkowicie i bez reszty złego.

Dруга interpretacja tezy /I/ jakoby świat ludzki miał być obciążony totalnym złem jest następująca: natura ludzka jest taka, iż czło-

wiek zmierza do pogwałcenia bliźniego swego, każdy człowiek, zawsze i za każdą cenę. Na gruncie antropologicznych założeń powyżej wyliczonych daje się to eksplikować następująco: każdy człowiek zmierza do tego, aby zniewolić jak największą liczbę innych ludzi. Otóż tak rozumiana teza /I/ jest jawnie przez niemarksowski materializm historyczny odrzucana /11/, /13/. Widać to nawet z powyższego, skrótego referatu. Nie ma przecież żadnego założenia kierunkowego wyróżniającego którykolwiek ze stanów możliwych /zniewolenia, buntu, normalnej wrogości, normalnej życzliwości, miłości, zbieszenia/; to, jak jednostka postępuje zależy ma wszak od postępowania innych jednostek względem niej. Nie ma więc - jak to już wyjaśniałem w jakiejś polemice /20/ - u podstaw niemarksowskiego materializmu historycznego jakiegokolwiek "czarnej teorii natury ludzkiej". Ludzie są, wedle antropologicznych założeń tej koncepcji, tacy jacy są: skłonni do zła, kiedy ich samych zło spotyka, skłonni do dobra, kiedy na nie sami napotyka; i jedno i drugie wtedy, kiedy postawy innych ludzi wobec nich są w granicach normy - po przekroczeniu jej występują opisywane wyżej efekty. Główna składowa zła społecznego bierze się natomiast ze źródeł społecznych - z mechanizmów konkurencji wymuszających działanie na szkodę innych pod groźbą śmierci cywilnej za życia i z tego, co ową krwiożerczą konkurencję umożliwia: monopolu mniejszości na środki materialnej kontroli innych ludzi /szerzej - 20/.

Trzecia wreszcie interpretacja tezy /I/ powiada, iż świat ludzki jest w tym rozumieniu totalnie zły, że normalnym jego stanem jest zniewolenie większości społeczeństwa przez klasę panującą. Otóż także i przy tym rozumieniu przypisanie niemarksowskiemu materializmowi historycznemu skłonności gnostycznych jest bezzasadne. Po pierwsze, to tylko w pewnym typie społeczeństw, a mianowicie, w społeczeństwach supraklasowych opartych na dominacji momentu politycznego jest tak, iż zniewolenie większości przez mniejszość /władców-właścicieli, władców-właścicieli-kapitanów/ jest stanem równowagi tych społeczeństw, ku któremu panujący "zmierza" /tj., ku któremu prowadzi mechanizm konkurencji między nimi/. W społeczeństwach klasowych, w każdym razie typu marksowskiego /opartych na dominacji własności/, bynajmniej tak nie jest - tam stanem równowagi jest akurat stan pokoju klasowego /9 - s. 216-217/. Po drugie, nawet jeśli ograniczyć się do tych pierwszych - powiedzmy, do systemu trój-władzy - to to, iż klasa trój-panów "zmierza" /w sensie mechaniki procesu, nie koniecznie świadomie/ do zniewolenia większości znaczy tyle samo, iż czyni wysiłki w tym kierunku, nie zaś, iż wysiłki te są skuteczne. Faktyczne położenie mas obywatelskich zależy bowiem od stosunku sił obu klas antagonicznych, ten zaś ulega przemianom, które model podstawowy socjalizmu usiłuje uchwytać teoretycznie. I tak, udaje się to faktycznie klasie trój-panującej tylko w pewnej fazie rozwojowej /zwanej stąd właśnie fazą zniewolenia/, a potem ich zdolność do zniewolenia mas maleje, i to nie równomiernie /chyba, że ma miejsce pętla obywatelska/.

Słowem, w żadnej rozsądnej parafrazie pojęcia "totalnego zła" nie daje się wyrazić w terminach antropologicznych założeń niemarksowskiego materializmu historycznego, nie jest prawdą, iż klasa panująca wszą składową gnostycyzmu. Myślę zresztą, że żaden rozsądny historyk nie przyznałby, iż żaden system polityczny nie zakłada aksjomatycznie odstępstwa od jakiegokolwiek ów system. Aczkolwiek są, rzeczywiście, i różnorodny, tak na przykład co to hipnotyzują nas wizją imperium lub pasteryzacji, diabolicznie na opanowanie naszej duszy, a dokładniej - na "złamanie znaczeń słów", by w ten sposób niepostrzeżenie wprowadzić nas w sko-leninowskiej myśli. Tego typu idee są rzeczywiście i faktycznie - niewątpliwie gnostycyckie - przynajmniej w pierwszej jej składowej części. Autor tak wytrwale śledzi w niemarksowskim materializmie historycznym.

Rzecz jasna, Autor mógłby utrzymywać, iż żadna z trzech interpretacji wyrażenia "totalne zło", jakie wyżej przedstawiłem, nie odpowiada jego intencjom, że miał on natomiast na myśli jakąś inną, czwartą. Możliwe. Zwrócić wszakże chciałbym uwagę na fakt, iż musiałyby to być takie rozumienie tego wyrażenia, przy którym spełnione są dwa dezideraty na raz. Przy którym, mianowicie, ktoś, kto powiada o systemie komunistycznym w ten sposób: *Partia leninowska staje się obrazem rządów sekt millenarystycznych w wydaniu gigantycznym, demonstrując zgodne połączenie natchnienia, politycznej dewocji, świątobliwego donosicielstwa i namaszczonego terroru. Innymi słowy, władza ta zapragnęła być kościołem i niech będzie za to na zawsze napiętnowana /s.89/* nie uważa go za wcielenie zła, natomiast ocenę taką wyraża ktoś, kto na ten sam temat wygłasza takie na przykład sądy: *Z chrześcijaństwa wynika nakaz moralny miłości do naszych nieprzyjaciół. Z materializmu społecznego wynika wiedza o tym, że w dziejach liczą się nie słowa, lecz rewolucyjne czyny. A zatem, to przecież proste: trzeba nam rewolucji, która by ich, naszych przeciwników, wyzwołała, trzeba nam rewolucji bez nienawiści a z życzliwością do naszych nieprzyjaciół, trzeba nam rewolucji, które skierowane będą przeciw trój-władzy, ale pozwolą odzyskać ludzką godność komunistom. Jeden jest typ takich rewolucji: te, które nie kończą się obalaniem przeciwnika i wcale do tego nie zmiierzają. Tylko świadomie odrzucając zwycięstwo pozwalamy im na łagodzenie systemu ucisku. Tylko podnosząc się do masowego ruchu społecznego, ale i poluzniając presję właśnie wtedy, kiedy można byłoby przygnieść przeciwnika do ziemi, pozwalamy podnieść się jemu samemu. Tylko co najwyżej ponosząc ofiary, ale nie powodując ich, znosimy nagromadzone we wrogu pokłady nienawiści, nienawiści wyrosłej ze strachu przed nami. Strachu przecież w jakiejś mierze uzasadnionego. Nie wolno nam - właśnie nam nie wolno - pamiętać tylko o swoich poległych a zapomnieć kaprala Izdebskiego rozerwanego przez tłum na dworcu poznańskim, czy milicjanta rozgniecionego w Gdańsku między dwójgim zdjętych z futryn drzwi. I nic w tej sprawie nie zmienia ohydny mord, jaki wstrząsnął ostatnio całą Polską. Bo wszyscy wiemy, że ks. Jerzy pierwszy by zaprotestował przeciwko myśleniu w kategoriach "mord za mord"/12 - s.34/.*

Przepraszam Czytelnika za te cytaty z samego siebie, ale bronić się chcę przed zarzutami, które - wyrażając rzecz bez ogródek - uważam za niedorzeczne i wynikające z postawy, którą Rosjanie określają wyrażeniem *padganjat' pod schiemu*. Jeśli idzie o dyskusowaną obecnie *schiemę* wyrażoną w tezie /I/, to - obawiam się - Autor jest sam bardziej do niej zbliżony niż ten, kogo pod nią *podgania*.

O UTOPII NADBUDOWANEJ NAD NIEMARKSOWSKIM MATERIALIZMEM HISTORYCZNYM

1. Tak więc, jeśli nie jestem w błędzie, ani składowa /III/, ani składowa /I/ postawy gnostyckiej nie przysługują niemarksowskiemu materializmowi historycznemu, a twierdzenie Autora, że jest inaczej bierze się stąd, że ignoruje - w sposób niezawiniony - antropologiczne założenia tej historiozofii oraz stąd, że ignoruje - w sposób w pełni zawiniony - jej założenia metodologiczne. Pozostaje jeszcze do dyskusji charakterystyka /II/. Wyraża ją ulubione sformułowanie Autora: *Myśl, że istniejący świat jest tak doszczętnie zepsuty, że naprawić go niepodobna i że właśnie z tej racji świat, który po nim nastąpi będzie pełnią doskonałości i ostatecznym wymowieniem - jest jedną z najbardziej monstrualnych aberracji umysłu ludzkiego /s.105/.* Otóż na to pełna zgoda. Pod warunkiem, że inną z owych "monstrualnych aberracji umysłu ludzkiego" będzie konserwatywne przekonanie prominentów pieniądza, władzy, kultury, że "tak jak jest, jest najlepiej, jak być może". Cały problem ideowy współczesności, nawiasem mówiąc, wyraża się w tym, by potępić obie te aberracje na raz, by skończyć tedy z obłudnym miotaniem się między rewolucjonizmem a konserwa-

tyzmem. Cała zaś trudność, jaką ma Autor ze zrozumieniem niemarksowskiego materializmu historycznego polega na tym, iż nie uchwycił on, iż rzeczona koncepcja usiłuje jakoś to właśnie czynić: odrzucić tryumfalizm rewolucyjny bez popadania w konserwatyzm /nawet ten kryjący się za reformistycznym ewolucjonizmem/. *Aberracja ta /rewolucyjna, o której serwatywnej Autor nie mówi/ jest szczególnie rażąca w doktrynach świeckich, które zapewnijają nas, że możemy własnym wysiłkiem z dnia piekła podnieść się jednym skokiem na szczyty ludzkiego raju. Takiej przemiany społecznej nigdy nie będzie. /s.105/. Święte słowa zastanawiają w nich wszakże dwie rzeczy. Najpierw to, że Autor niepostrzeżenie pewnie dla samego siebie: sformułował całkiem ogólne "prawo historii", i to, powiedzmy, z niejaką stanowczością. Nie pierwszy to wypadek, że namiętni przeciwnicy historiozofii wykazują przy bliższym wejrzeniu "metodologię Kalego": "historiozofia jest zła, tylko moja jest dobra". A nadto to, dlaczego Autor formułuje ten całkiem prawdziwy sąd przeciwko niemarksowskiemu materializmowi historycznemu powiadając w następnym zdaniu, że *Taki też los /niespełnienie zapowiedzi "ludzkiego raju" - L.N./ czeka społeczeństwo bezmomentowe Nowaka /s.105/. I dalej: *Wiara Nowaka w zniszczenie utopii jest uważaniem, nie zaś naukową teorią, jest słowem proroka, nie zaś uczonego /s.105/.***

"Prorok"... Już widzę oczyma wyobraźni te tłumy skandujące "Chcemy spo-łe-czeń-stwa bez-momen-to-we-go!" Cała rozprawka Autora przesiąknięta jest nieukrywaną obawą przed ewentualnym *zdobyciem władzy przez niemarksowski materializm historyczny /s.99/.* Doprawdy nie przyszło mu do głowy, że trudno o tym myśleć z tak niezręcznym terminem? Doprawdy sądzi, że nie byłbym w stanie wymyślić bardziej chwytliwego miana dla "ludzkiego raju"?

Najtypowszym zarzutem, z jakim spotykałem się w czasach "Solidarności" na licznych odczytach, był ten, że "niemarksowski materializm historyczny nie zawiera koncepcji pozytywnej", to znaczy, że nie wiadomo, jak ma być rządzony świat społeczny wedle projektu, którego się słuchacze ode mnie domagali i domagają. Nie będę referować, co odpowiadam w dyskusjach, bo nie chcę stwarzać wrażenia, że wymyślam argumenty na użytek niniejszej repliki. Ograniczę się zatem w odpowiedzi do tego, co może zostać poświadczane odesłaniem do tekstów już opublikowanych.

O tym, że niemarksowski materializm historyczny odrzuca ideę rewolucji totalnej była już mowa. Dopuszcza tedy jeno rewolucje społeczne a i to pod warunkiem, że będą przegrane - skierowane przeciwko monopolom materialnym /władczym, własnościowym, kapłańskim/. Monopole te najpierw musiały skupić się w jednych rękach, aby możliwe było ich ostateczne zniszczenie - w drodze stopniowego nadwężenia przez kolejne przegrywane rewolucje. W społeczeństwie bez owych monopolii /bezmomentowym/ można tedy oczekiwać tego tylko, że ta część zła społecznego, która pociągana jest przez fakt, iż niewielka liczba rodzin kontroluje większość dochodu narodowego, że nieznaczna ilość prominentów blokuje aspiracje obywateli do działania publicznego, że nieliczne elity kulturowe opanowując rynek spychają na marginesy twórców rzeczywistych i przeprowadzają "duchową urawniłowkę" odbiorców kultury masowej - otóż w społeczeństwie bez takich monopolii można oczekiwać - aż i tylko - tego, iż zaniknie ta część zła społecznego, która z nich wynika. Dlaczego zaś miałyby być tak, iż zaniknie całe zło społeczne - nie pojmuję. I nigdy w głowie mi taki nonsens nie powstał. Są na to dowody. Na przykład tekst, jaki napisałem - trudno dostępny, więc się nie dziwię, iż Autor go nie zna - o dominacji /"typu klasowego"/ mężczyzn nad kobietami w naszej cywilizacji /18/. Skłonność Autora do przypisywania przeciwnikowi podniosłych niedorzeczności jest wysoce rozwinięta, ale chyba nie aż tak, by przypisać mi sąd, że w społeczeństwie bezmomentowym kobiety zmieniają się w mężczyzn? Taką mam przynajmniej nadzieję /co do p.lem-a, nie co do żeńskiej połowy naszego rodu/.

A więc już choćby z tego powodu społeczeństwo bezmomentowe byłoby obciążone istotnym źródłem zła społecznego; a jak ważny jest to czynnik ukazuje się przecież w miarę łagodzenia podziałów klasowych dotyczących obie płci na równi, dopiero więc po ich zniesieniu nabrałaby on pełnej doniosłości.

2. Uwagi powyższe nie powinny stworzyć wrażenia, że dają się sterylizować tak rozpowszechnionym u nas uprzedzeniem anty-utopistycznym i pośpiesznie pokazują, że ja też do znacznej, socjalistyczno-liberalno-konserwatywnej, kompanii należę. Nie należę - i bardzo jestem z tego powodu rad. Nie mam więc uprzedzeń zakazujących myślenia nad lepszą niż istniejące formą organizacji społecznej. Rozumiem bowiem, że ci co takiego myślenia odmawiają nie czynią tego z powodów, jakie innym do wierzenia podają /to są tylko metodologiczne racjonalizacje decyzji już podjętej/, ale z tego prostego powodu, że ich utopia została już wcielona w życie - są nią "wysoko rozwinięte" systemy wolnego rynku i/lub demokracji wielopartyjnej. Oni też mają więc swoją utopię - bo posiadanie jakiejś utopii społecznej jest, jak to wykazuje w swoich ostatnich pracach Andrzej Falkiewicz, zgoła warunkiem podejmowania refleksji nad życiem społecznym - tyle, że została ona już gdzieś na świecie zrealizowana.

Rozumiem też, jak mi się zdaje, bardzo dobrze, że dla dobrej utopii rzeczą absolutnie podstawową jest dobra teoria społeczna. Moja powściągliwość w wypowiedaniu się na temat optymalnych form organizacji społecznej wynika więc po prostu z tego, iż wiem, jak słabe są stale teoretyczne podstawy do tego rodzaju projektów. I nie wymyślam tego dopiero teraz, na użytek tej repliki: *wydaje mi się, że niemarksowski materializm historyczny zawiera pewne elementy tak rozumianej utopii społecznej. Jeżeli nie eksponowałem ich zbyt, to dlatego, iż koncepcja ta jest stale nader uboga i słabo rozwinięta od strony czysto teoretycznej: stale brak w niej jakiejś wyraźnej teorii momentu produkcji a i teorii dwóch pozostałych momentów, ekonomicznego i politycznego, pozostawiają wiele do życzenia, jeśli idzie o stopień ich skonkretyzowania. W niniejszym tekście chciałbym owe elementy utopii społecznej wyraźnie sformułować oraz poddać wstępnej systematyzacji. Nie trzeba dodawać, że dalsza rozbudowa dyskutowanej koncepcji o nowe teorie składowe albo też wyłożonych już w teorii o dalsze, bardziej skonkretyzowane modele może doprowadzić do korekty naszkicowanego niżej ujęcia. Także i z tego powodu tekst ten będzie napisany żargonem socjentyzycznym: zawarte w nim idee nie są jeszcze godne wyrażenia w języku publicystyki /11 - s.45/.*

Znowu muszę przeprosić za cytowanie siebie samego, ale Autor tego tekstu - jedyne, w którym napisałem cokolwiek o możliwym kształcie społeczeństwa bezmomentowego - nie zna. I znowu nie mogę mu stawiać z tego powodu zarzutów, bo także i ten tekst opublikowany jest w czasopiśmie o znikomym nakładzie, streszczając go tu jednak nie zamierzam. Krótko powiem natomiast, o co chodzi w postulowanej utopii społeczeństwa bezmomentowego. Nie taję przy tym, iż kieruję się zamysłem dydaktycznym. Idzie mi o to, by uświadomić p.lem-owi, że kiedy się zabiera do polemiki z czyimiś poglądami, to obcuje z żywym człowiekiem, a nie ze schematami, które sobie ongi urobił podczas wieloletnich zapewne wcześniejszych lektur. Może mu się to przydać na wypadek, gdyby zechciał w przyszłości z kimś jeszcze polemizować.

3. Myślę, że naszej kulturze od czasów Chrystusa przyświeca jeden tylko właściwie ideał społeczny - ideał społeczeństwa, w którym naprawdę, a więc w praktyce życiowej a nie rytualnej, respektowane są zasady *Nowego Testamentu*. I nie ideałem różnią się utopie, lecz metodami jego osiągania.

Metoda samego twórcy Ewangelii była idealistyczna, a więc zakładała idealizm historyczny. Skoro jest tak, iż człowiek odpowiada dobrem

na dobro, to wystarczy, by ktoś każdemu ofiarował kiedyś dobro po raz pierwszy, by ktoś każdemu z nas uświadomił, że ludzie są dobrzy, by swoim dobrem nasze zło z nas wykorzenił. Potrzebni są więc pionierzy dobra, ci, którzy zdobędą się na bezinteresowną życzliwość wobec bliźnich, nawet wobec swoich nieprzyjaciół, którzy tworzyć będą dzięki temu enklawy życzliwości wzajemnej, którzy tedy tworzyć będą przyczółki dla przyszłej Cywilizacji Miłości. Takich ludzi trzeba najpierw wychować - i to właśnie jest zasadniczym posłannictwem Kościoła. Im więcej tedy będzie prawdziwych chrześcijan, im większy więc wpływ duchowy Kościoła, tym bliżej do Królestwa Chrystusowego na Ziemi.

Fałszywość tej doktryny społecznej była dostrzegana przez wielu, ale wyjaśnienie, dlaczego utopia Chrystusa jest zasadniczo wadliwa zawdzięczamy dopiero Karolowi Marksowi. Gdyby społeczna teoria Ewangelii była prawdą - rekonstruuje argumentację Marksa - wówczas można by oczekiwać, że im bardziej chrześcijańska będzie świadomość ludzi, tym więcej chrześcijańskiej miłości między nimi. Historia wszakże bynajmniej tego nie potwierdza. Zgoła przeciwnie: dominacji chrześcijaństwa w średniowiecznej Europie Towarzyszyło akurat pozbawienie ogromnej większości ludzi elementarnych swobód i praca przymusowa. Zniesienie przymusu pracy współwystępuje natomiast z falą laicyzacji i poważnym kryzysem chrześcijaństwa. Nie wynika z tego bynajmniej, by przywiązanie chłopa do ziemi, nierówność stanowa itd. były jakoś związane z treścią doktryny Chrystusa. Przywiązano chłopa do ziemi, bo wymagał tego ekonomiczny interes feudała, a zwolniono go, bo wymagał tego interes burżuazji, która potrzebowała rąk do pracy w przemyśle. I to właśnie, interesy najsilniejszych, są tutaj istotne. Wpływ zaś wartości chrześcijańskich na procesy społeczne jest minimalny, praktycznie żaden - jak wszelkich w ogóle wartości. Ludzie postępują zgodnie ze swymi wartościami co najwyżej w życiu prywatnym. Na arenie społecznej, kiedy uczestniczą w działaniach zbiorowych, postępują odpowiednio do swoich interesów ekonomicznych. Gdyby było inaczej, gdyby było tak, jak utrzymuje chrześcijańska teoria społeczna, gdyby tedy ludzie zawsze kierowali się swoimi wartościami, wówczas - powiada Marks - kapitaliści nie pędziliby do katorżniczej pracy nieletnich dzieci. Widać nie wartościami chrześcijańskimi się kierują - o tych, to przypominają sobie raz na tydzień, na mszy - ale tym samym, co powoduje żydowskimi bankierami czy mużułmańskimi handlarzami niewolników: żądzą zysku.

Chrystus nie ma więc racji - kontynuuję rekonstrukcję marksowskiej krytyki - powiadając, że im ludzie są życzliwsi dla człowieka, tym człowiek jest życzliwszy dla ludzi. Którzy to mianowicie "ludzie" mają być życzliwi dla siebie? Nie fabrykant dla fabrykanta przecież, bo walczą ze sobą na rynku, bo powodzenie jednego jest klęską życiową drugiego. Nie fabrykant dla robotnika, bo choćby nawet był przejęty naukami Ewangelii, choćby chciał inaczej, to musi go wyzyskiwać, bo inaczej wygrząza go w konkurencji inni fabrykanci. Musi więc czynić z pracownika narzędzie mnożenia własnego bogactwa. Chrystus nie rozumiał roli własności prywatnej i powstałych na jej podstawie podziałów społecznych. Dopóki społeczeństwo wspiera się na monopolu mniejszości na środki produkcji, dopóty dominować w nim musi wrogość człowieka do człowieka. I propaganda miłości bliźniego nie pomoże nic a nic wtedy, kiedy każdy akt życzliwości wobec innego człowieka odbierany jest jako objaw słabości i wykorzystywany w grze o większe bogactwo. Dopiero zniesienie klas poprzez uspołecznienie środków produkcji zlikwiduje ekonomiczne podstawy wrogości między ludźmi, umożliwi dostrzeżenie w bliźnim nie konkurenta, nie zawady na drodze do własnego bogactwa, lecz takiego samego człowieka, jak ja sam. Dopiero w społeczeństwie komunistycznym znikną ekonomiczne przeszkody do tego, by człowiek mógł odnosić się do człowieka po ludzku, dopiero wówczas stać

go będzie na bezwarunkową i bezinteresowną życzliwość dla bliźnich - dopiero wtedy, kiedy nie będzie już garstki potentatów trzymających w swych rękach cały prawie majątek społeczny. Dopiero wtedy bezinteresowna życzliwość będzie mogła stać się zasadą regulującą stosunki międzyludzkie.

Nic innego, jak podział klasowy uniemożliwił wielkie marzenie Ewangelii o Królestwie Bożym na Ziemi. To potęga pieniądza, której Chrystus nie rozumiał spowodowała, iż marzenie to stało się próżnym rojeniem i musiało, wobec oczywistego fiaska, zostać przeniesione w zaświaty. Prawdziwym urzeczywistnieniem Ewangelii będzie dopiero komunizm.

A wprowadzić go mogą tylko najbardziej uciśnieni. Proletariat w buncie przeciw wyzyskowi kapitalistycznemu dokonuje rewolucji przejmując władzę państwową. Jest to już "bój ostatni" uciemionych, bo uspołecznienie środków produkcji likwiduje potrzebę władzy politycznej, która nie była dotąd niczym innym niż narzędziem w rękę własności prywatnej. Kolejne więc źródło zła społecznego, państwo, samo obumiera. Znikają wszystkie materialne przeszkody, które dotąd uniemożliwiały tryumf tej wielkiej idei, że człowiek jest w stanie wyprowadzić innego człowieka z nienawiści - swoją doń miłością. Dopiero wtedy zło można dobrem zwyciężać. Dopiero w komunizmie.

Tyle dziesięcioleci doktryna ta służy trój-panom do usprawiedliwiania systemu najbardziej drastycznej nierówności społecznej, tyle razy poniewierana była przez zastępy zdyscyplinowanych durniów, tyle razy wycierali sobie nią gębę zawodowi kłamcy, a przecież zła jest w niej wielkość widoczna gołym /a raczej nieuprzedzonym/okiem. Jakże nam daleko do czegokolwiek, co dałoby się z tym choćby porównać.

Tak więc /dojrzały/ marksizm to ewangeliczny ideał społeczeństwa plus teoria marksistowska. A na tę ostatnią składa się ewangeliczny model człowieka, ekonomiczny materializm historyczny i mit rewolucji społecznej.

I w każdym z tych trzech działów teorii społecznej Marks popełnia podstawowe błędy. Dziedziczny więc błąd Chrystusa nie rozumiejąc, iż zło największe, jakie można uczynić człowiekowi nie na tym polega, że się go do zła sprowokuje, lecz na tym, że się go zniewoli tak, iż nie będzie nawet w stanie odpowiedzieć złem na zło. Błądzi w ekonomizmie, nie pojmując, iż monopol na środki przymusu dzieli ludzi jeszcze drastyczej niż monopol na środki produkcji - że to władza przede wszystkim zniewala ludzi gwoli swych interesów. I błądzi w zapale rewolucyjnym nie rozumiejąc, że zwycięska rewolucja jest najpewniejszym sposobem utrwalenia tego, z czym walczy, a może okazać się sposobem na udrastycznienie podziałów klasowych. I tak właśnie stało się z rewolucjami odwołującymi się do jego idei - tam, gdzie one wygrały, społeczeństwa klasowe przekształciły się w supraklasowe, a jego doktryna stała się osłoną ideologiczną systemów trój-władzy. Jak ongi idee Chrystusa stały się ideologią władzy i wielkiej własności.

Ale przecież Marks nie mylił się w jednym - w tym, że idzie o taki system społeczny, który likwidując materialne podstawy podziału ludzi na antagonistyczne klasy uczyni miłość bliźniego możliwą dla ludzi. Nie mylił się, bo w tej sprawie w kulturze zainspirowanej Ewangelią mylić się nie można. I to bez względu na to, co Kościoły Chrześcijańskie mówią aktualnie na te tematy - Ewangelia jest dobrem tej kultury, nie tej czy innej hierarchii kościelnej. A przyznanie sobie przez hierarchię prawa do nieomylnego orzekania w sprawach wykładni tego - być może największego - dobra kultury europejskiej nie jest niczym innym jak przybraniem własnych interesów w szaty dogmatyzmu.

Toteż kiedy Autor powiada *Cała właściwie myśl /niemarksowskiego materia-*

lizmu historycznego/ ma za punkt wyjścia stwierdzenie, że rewolucja socjalistyczna /.../ zawiodła. Myśl ta rodzi wiarę w potrzebę nowej utopii /s.77/, to ma całkowitą słuszność. Istotnie, o to chodzi. Chodzi o to, by zrozumieć dla czego zawiodła utopia Marksa. Chodzi o to, by się ucyścić z klęsk kolejnych prób myślowego oswojenia natury rzeczywistości społecznej. Tak, aby - może dopiero w odległej przyszłości - kiedyś komuś się to udało. By ktoś kiedyś był w stanie odpowiedzieć na pytanie, w jakich to obiektynych warunkach społecznych mógłby w y m stać się ten prosty fakt, że jeżeli zdobywam się na bezinteresowną życzliwość wobec bliźniego swego, to mam rozsądne prawdopodobieństwo, że nie uzna on tego za objaw mojej słabości i nie wykorzysta przeciwko mnie, że wtedy nie zostanę ukarany za próbę wcielenia w życie, w granicach moich sił i możliwości, idei Kazania na Górze. Bo na razie, i to we wszystkich znanych formach społecznych, ludzie są za to bici, niekiedy srode. I to często przez tych, którym od cytowania Ewangelii, Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, Manifestu Komunistycznego - usta się nie zamykają, którzy tedy te świętych słów uczynili sobie jeszcze duchowe narzędzie zabiegania o swoje interesy. Jakby mało mieli materialnych.

KONKLUZJA: O taką tedy tylko "zagadkę historii" chodzi, nie o żadne tam chiliastyczne chimery. Jak ją rozwiązać - nie wiem. Powtórzyć musiałbym, co cytowałem parę stron wcześniej o ubóstwie teoretycznym niemarksowskiego materializmu historycznego; w cytowanej tam pracy znaleźć można moje wstępne przypuszczenia na te tematy.

Dla celów niniejszej repliki ważne jest wszakże to tylko, że kolejna, ostatnia już, składowa charakterystyki gnozy /teza /II/ przeciwstawiająca "ziemski raj" "doszczętnie zepsutej" rzeczywistości nie ma nic wspólnego z utopią społeczną, do ugruntowania której zmierza niemarksowski materializm historyczny. A w takim razie gnoza pojęta tak, jak to rozumie Autor nie ma wiele wspólnego z koncepcją, za którą się opowiadam. Ta ostatnia nie jest zestawem "prawd niepodważalnych", lecz obalalnych hipotez. Nie zakłada, iż świat ludzki jest "totalnie zły" - w żadnym rozsądnym sensie tego wyrażenia. Nie wieści w końcu nadejścia "raju na ziemi". Próbuje natomiast modelować proces historycznego rozwoju cywilizacji zachodniej, by znaleźć teoretyczne podstawy dla określenia warunków, przy jakich mógłby stać się w p r a k t y c e postępowanie, które wszyscy, ukształtowani przez kanoniczne teksty tej cywilizacji, uznajemy za godne człowieka.

CZY NALEŻY BAĆ SIĘ UTOPII?

Nad całą tą polemiką ciąży ta właśnie kwestia. Autor zakładając to, co w swoich pracach nazywam mitem komunistów - a więc przekonanie, iż system, w jakim żyjemy wziął się z prób wcielenia w życie utopii marksowskiej - uważa, że jakkolwiek próba budowania utopii społecznej "grozi recydywą". Pisałem na ten temat wiele opując za tezę, że system ten wziął się z kumulacji podziałów klasowych, a marksizm nie odegrał w tym żadnej innej roli niż np. chrześcijańska nauka społeczna w feudalizmie - roli sankcji ideologicznej dla systemu nieprawości. /10, 21, 22/. Nie będę więc może rozwijać po raz któryś systematycznej argumentacji przeciwko tej tezie. Chciałbym natomiast na zakończenie zadać Autorowi kilka pytań. Oto one:

a. Przyjemny obiegowa definicję totalitaryzmu jako systemu, który ma wbudowaną w siebie tendencję do wyłuszczenia ludzi totalnie - fizycznie i duchowo - i do przekształcania ich we własność państwową /L.Koźlakowski - Totalitarianism and the Virtue of Life, w /ed/ I.Howe, 1984. Totalitarianism in our Century, New York 1984, s.123/. Otóż trudno nie dostrzec - jeśli traktuje się tę definicję serio, a nie jako środek do "przyłożenia pzer-

wonemu" - że systemy komunistyczne są dosyć powściągliwymi "totalitaryzmami" w porównaniu ze znanymi nam z historii. Pozostają na przykład daleko w tyle w dziedzinie "zawłaszczania ludźmi" za społeczeństwem inkaskim. I widać to zarówno sięgając do wskaźników globalnych / w państwie Inków było ponad 1200 urzędników państwowych na 10 tys. mieszcz., wielokrotnie więcej niż w dzisiejszej Polsce/, jak i do tego, co wiadomo o sytuacji jednostki wobec machiny państwowej. W "komunistycznym totalitaryzmie" istnieje wszak własność osobista - poddany Inków pozbawiony był jakiegokolwiek, wszystko, co miał stanowiło własność państwa i mogło w każdej chwili być mu odebrane. W "komunistycznym totalitaryzmie" nie ma przywiązania do zawodu - w państwie Inków syn musiał wykonywać ten sam zawód, co ojciec. W "komunistycznym totalitaryzmie" każdy ubiera się sam - w państwie Inków co dwa lata wydzielano poddanym z magazynów królewskich odzież sandały, nakrycie głowy i nie wolno mu było chodźć w czymkolwiek innym. W "komunistycznym totalitaryzmie" córki wychowują się w rodzinach - w państwie Inków najurodzawsze były zabierane przez urzędników państwowych w dorocznym przeglądzie powszechnym i oddawane warstwie rządzącej i kapłanom w charakterze nałożnic; rodzice nie mieli nawet prawa dowiadywać się, gdzie przebywają. Starczy chyba, by widzieć, że z punktu widzenia przytoczonej definicji /jak również ideologii "praw człowieka"/ systemy komunistyczne są stosunkowo liberalne zaś tezy /za którą m.in. opowiada się cytowany wyżej autor/, że przed XX w. miały miejsce "tylko" wypadki despotii, podczas kiedy prawdziwą groźbą dla człowieka stanowił ma "dopiero" totalitaryzm, zwłaszcza komunistyczny - otóż tego rodzaju tezy są zrozumiałe w porządku walki politycznej /aczkolwiek i tam są, moim zdaniem, naganne/, ale są niezrozumiałe w porządku intelektualnym. A teraz pytanie: który to historiozof był winien powstania tego systemu, w porównaniu z którym błędnie nawet stalinizm? Kto był tym nieszczyśnym Marksem Inków?

b. Domyślam się, że Autor mógłby w ewentualnej replice pójść tropem modnej ostatnio "lingwistycznej teorii socjalizmu" /np. teorii logokracji Besançona/ powiadając, że dopiero komunizm zmienił znaczenia słów, że dopiero on zaprzął język do opanowywania ludzkich umysłów, że - słowem - dopiero stąd rozlega się "zgiełk dręczonych wyrazów". Z góry więc proponuję mu rozważenie pytania następującego: jaki to sens nabierały słowa "bliźni", "miłość", "dusza", kiedy inkwizytor w średniowiecznej Europie posyłając skazańca na stos oświadczał mu, że niszczy jego ciało, by zbrać duszę, że paląc go wypłynia przykazanie ewangeliczne miłości bliźniego?

c. Jeżeli rzeczywiście utopia ma być tak niebezpieczna, to czyż nie jest w Polsce dzisiejszej równie niebezpieczny np. liberalizm? Przecież on też wzywa ludzi do wcielenia w życie pewnej utopii - tej samej, która już została zrealizowana na Zachodzie. A jeśli nic nie wiadomo o prawach społecznych, to czyż wezwania takie nie mogą równie zasadnie uchodzić za niebezpieczne, jak ewentualne wezwania do poszukiwania nowych form życia społecznego? Wszak warunki u nas są zupełnie inne niż na Zachodzie - przede wszystkim nie ma siedziałej, zakorzenionej w każdym zakamarku życia burżuazji. To jak na tej pustyni społecznej wzywać do postawienia budowli systemu demokracji parlamentarnej? Gdzie gwarancje, że nie znajdzie się jakiś nowy Piłsudski, który powie szlachetnym demokratom, gdzie ich ma i zbuduje "totalitaryzm", przy którym z łezką w oku będziemy wspominać batiuszków-komunistów? Ludzie tak łatwo szermujący argumentem "to groźne" przeciwko tym, którzy skłonni są sądzić, że historia raczej się nie powtarza i że raczej winni kierować się ku przyszłości, zapominają, że jest to argument obawny i z łatwością może zostać zwrócony przeciwko nim.

d. Autor obciąża niżej podpisanego odpowiedzialnością moralną za ewentualne próby wcielenia w życie "utopii społeczeństwa bezmomentowego". Czy jest również skłonny obciążyć taką samą odpowiedzialnością Leszka Kołakowskiego za falę nienawiści do "czerwonego", jaka podniosła się w młodym pokoleniu? Nie ma przecież wątpliwości, że to autor "Głównych nurtów marksizmu" jest najważniejszym propagatorem "mitu komunistów" w naszym kraju. Nie ma też chyba wątpliwości co do tego, że w odbiorze społecznym zastrzeżenia jakie czyni np. w powoływanym dziele, znikają i że funkcjonuje on w pamięci zbiorowej jako autor historiozofii głoszącej, że system, w jakim żyjemy jest efektem wcielenia w życie utopii Marksa. /I to czytelnicy mają słuszość tak streszczając tę koncepcję, a więc ignorując zastrzeżenia - bo z takiej tezy model podstawowy tej historiozofii naprawdę się składa; dowodzą tego choćby tytuły w rodzaju "Marksistowskie korzenie stalinizmu"/. Otóż, czy Autor byłby na tyle wierny własnym założeniom, by obciążyć ludzi uzasadniających historycznie i teoretycznie ów "mit komunistów" odpowiedzialnością moralną za ewentualne wieszanie komunistów - nie wykluczone, niestety - w następnej rewolucji?

Zadałem to ostatnie pytanie w formie drastycznej. Chciałbym bowiem uprzytomnić Autorowi, jak bardzo nie panuje nad własnym przewodem myślowym, jak bardzo daje się powodować emocjom ideowym nie kontrolując konsekwencji, do jakich jego założenia wyjąciowe prowadzą.

Myślę, że Autor zgodzi się ze mną, że jeśli przyszła rewolucja będzie krwawa, to przyczyny tego będą leżeć całkiem gdzie indziej niż na kartach dzieł idealistów historycznych, że wpływ tych ostatnich nie tylko jest znikomy, ale zgoła wtórny - to znaczy dostarczyliby oni li tylko racjonalizacji ideowej dla skłonności, które powstały samoistnie, dawałoby tedy w tej sytuacji jeno sankcję czemuś, co i tak miałyby miejsce z całkiem innych powodów. To wszystko jest chyba dosyć oczywiste. Ale uznając to za oczywiste, uznając tedy za prawdę, że w ewentualnym przyszłym krwawym przebiegu rewolucji rola czynnika "kryzys mieszkaniowy" czy "zbrojne stłumienie ruchu 'Solidarność'" byłaby nieporównanie wyższa niż rola jakichś tam lektur, Autor przechodzi nieopatrzenie na grunt materializmu historycznego /niemarksowskiego, na poaciech/. Jest tedy idealistą dla wrogów ideowych, materialistą dla przyjaciół. Otóż - albo albo. Trzeba się zdecydować. Ja się już dawno zdecydowałem i nie mam w związku z tym skłonności, by dopatrywać się szczególnej groźby społecznej w pisarstwie Kołakowskiego czy Besançona. Myślę, że po prostu nie mają racji, i tyle. Ale w świecie niewiele od tego zależy. Tym bardziej dotyczy to skromnych tekstów niżej podpisanego. Ale dotyczy to nawet dzieł wielkich, nawet dzieł Karola Marksa. Jeśli już coś musi być konieczne "winne" powstaniu systemu trójpanowania /nawiąsaem, dlaczego niekt nie pyta o "winnych" niewolnictwu, czy choćby inkwizycji?/, to jest to raczej żądza władzy niż cokolwiek innego. Niech więc cisną kamieniem w bolszewików ci, co od niej są wolni.

UWAGA KOŃCOWA

Niniejszy tekst nie zawiera odpowiedzi na wszystkie uwagi i zarzuty Autora, lecz na te tylko, które określone są tytułem. /A raczej na ważniejsze z nich, bo jest on i tak bardzo obszerny, nie chciałem więc, przeciążając go detalami, wydłużać repliki jeszcze bardziej/.

Stawia Autor ponadto szereg obiekcji dotyczących teorii socjalizmu w niemarksowskim materializmie historycznym. Ponieważ jednak ostatnio ukazało się w różnych miejscach więcej tekstów krytycznych podejmujących tę właśnie problematykę, przeto Autor pozwoli, że na te zarzuty odpowiem w replice zbiorowej. Tutaj stwierdzę tylko, że zawdzię-

czam mu szereg instruktywnych uwag zasługujących na analizę.

Ponadto są jeszcze w tekście p. lem-a uwagi bezpośrednio politycznej natury przypisujące mi leninowską koncepcję działania partyjnego i takiej skłonności. Ale o tym już mówiłem: wdać się w polemikę na ich temat znaczyłoby nadać im niezasiłowanej powagi.

Poznań, styczeń 1986

LESZEK NOWAK

ZESTAWIENIE POWOZYWANYCH W TEKSCIE POZYCJI

- /1/ *Ani rewolucja, ani ewolucja*, "Aneks", 33, 1983.
- /2/ *U podstaw markowskiej metodologii nauk*, Warszawa 1971.
- /3/ *Wstęp do idealizacyjnej teorii nauki*, Warszawa 1977.
- /4/ *The Structure of Idealization. Towards a Systematic Interpretation of the Marxian Idea of Science*, Reidel, 1980.
- /5/ *Dwa szkice z nie-Markowskiego materializmu historycznego*, WIW, Poznań 1985.
- /6/ *Okoliczności socjalizmu i konieczności jego zaniku*, "Przyjaciel Nauk" 1-2, Aspekt, Poznań-Wrocław 1985.
- /7/ *Neither revolution nor evolution*, Istituto Gramsci, Roma 1983.
- /8/ *Pętla pracownicza i kontrpętla ideowa*, "Przyjaciel Nauk", 3, 1986.
- /9/ *Wolność i władza. Przyczynek do nie-Markowskiego materializmu historycznego*, NŻS AR, Poznań 1981.
- /10/ *Polska droga od socjalizmu*, WIW, Poznań 1980.
- /11/ *Człowiek i Ludzie, czyli o tym, ile utopii społecznej da się wyrazić na obecnym poziomie konkretyzacji nie-Markowskiego materializmu historycznego*, "Obecność" 9, 1985.
- /12/ *O Chrystusie, Kościele i rewolucji*, w: *Długos o Kościele*, Biblioteka "Veta" Poznań, 1985.
- /13/ *Man and People. The problem of the Individual in non-Marxian Historical Materialism*, Proceedings of the 10th Wittgenstein Symposium, Vienna 1986.
- /14/ *Wypowiedź w: "Wakat"*, 3, wrzesień 1981.
- /15/ *U podstaw marksistowskiej aksjologii*, Warszawa 1974.
- /16/ /wspólnie z J.Kmitą/ *Studia nad teoretycznymi podstawami humanistyki*, Poznań 1968.
- /17/ /wspólnie z P.Buczowskim i A.Klawiterem/ *Religia jako struktura klasowa*, maszynopis, Poznań 1984.
- /18/ *Pokrzywa dla Ewy*, Biuletyn NSZZ "Solidarność" Akademii Rolniczej w Poznaniu, 8.03.1981.
- /19/ *Anatomia krytyki marksizmu*, Warszawa 1973.
- /20/ *Parę uwag o konieczności historycznej, sensie dziejów, naturze ludzkiej i paru innych sprawach*, "Spotkania", 25.
- /21/ *Mit Marksizmu*, "Obecność", 8, 1984.
- /22/ *Marksizm w socjalizmie: ideologia dysfunkcyjna*, "przyjaciel Nauk" 1-2, 1985.

MIĘDZY TOTALITARNĄ GROŻBĄ A „ZACNĄ SOCJALISTYCZNO-LIBERALNO- KONSERWATYWNĄ KOMPANIĄ” ?

*Wyszli oni z nas, lecz nie byli oni z nas;
bo gdyby byli z naszego ducha, pozostaliby
z nami, a to stało się po to, aby wyszło
na jaw, że nie wszyscy są naszego ducha*

/ 1J 2,19 /

Generalnie można stwierdzić, że p. Leszek Nowak odrzuca proponowaną przeze mnie interpretację jego materializmu jako odnowionej gnozy, uważając, że jest ona po prostu fałszywa /s.437/. Sądzi on dalej, że: *Cały problem ideowy współczesności /.../ wyraża się tym /.../ by skończył tedy z obłudnym miotaniem się między rewolucjonizmem a konserwatyzmem /.../ racjonalna koncepcja /tj. niemarkowski materializm - dop. lem./ usiłuje jakoś to właśnie czynić: odrzucić tryumfalizm rewolucyjny bez popadania w konserwatyzm /nawet ten kryjący się za reformistycznym ewolucjonizmem /s.437/. Dopowiadając zaś myśl stwierdza: Uwagi powyższe nie powinny stworzyć wrażenia, że daje się stereoryzować tak rozpowszechnionym u nas uprzedzeniem antyutopistycznym i pośpiesznie pokazuje, że ja też do samej, socjalistyczno-liberalno-konserwatywnej, kompanii należę. Nie należę - i bardzo jestem z tego powodu rade /s.437/.*

Okazuje się, że autor *Wolności i władzy* nie wiadomo już który raz w dziejach najnowszych wybiera się na poszukiwanie mitycznej "trzeciej drogi" między wolnościową demokracją a totalitarną niemotą. Na temat tych poszukiwań i, co ważniejsze, ich fatalnych skutków dla życia społecznego i dla samego myślenia napisano tyle, że naprawdę warto dobrze zastanowić się, czy należy ponownie to czynić. Na polemikę p. Nowaka można by zatem udzielić krótkiej staropolskiej odpowiedzi: "Szczęść Boże!" i zająć się innymi sprawami. Ze względu jednak na to, że w jego odpowiedzi pojawiają się rzeczywiście nowe dla mnie elementy - np. Chrystus /chyba z punktu widzenia Nowaka właściwiej byłoby mówić - Jezus z Nazaretu/ nie jako rewolucjonista, pierwszy socjalista lub komunista, czy antyrzymski rebeliant, względnie kosmita, ale jako ... naukowiec formułujący pewne tezy teoretyczne /s.447/ - raz jeszcze postaram się określić charakter niemarkowskiego materializmu. Słowem, czy jest prawda, że materializm Nowaka zajmuje pośrednią pozycję między totalitarną groźbą w wersji gnostycznej a "zacną socjalistyczno-liberalno-konserwatywną kompanią"?

DOBRA NOWINA O KRÓLESTWIE BOŻYM A ANTROPOLOGICZNE PODSTAWY
NIEMARKSOWSKIEGO MATERIALIZMU HISTORYCZNEGO

Jednym z zarzutów, który postawiłem konstrukcji niemarksowskiego materializmu, jest, że jej twórca w sposób wyraźny nie ujawnia wartości pierwotnych, które są aksjologicznym zapleczem tej koncepcji /1/. Tego zaś czynić mu nie wolno. Nowak w odpowiedzi ucieka się do przytoczenia stanowiska Maxa Webera, który dopuszcza możliwość wartościowania na gruncie humanistyki /s.135/. Tenże jednak Weber wyraźnie zaznacza, że wartościowanie jest wtedy i tylko wtedy możliwe do zaakceptowania, *gdy nauczyciel akademicki uzna za swój bezwarunkowy obowiązek w każdym przypadku - nawet wobec zagrożenia, że jego przykład może się stać wskutek tego bezbarwny - bezwzględnie wyjaśnić swoim słuchaczom, a co ważniejsze sobie samemu: co z jego aktualnych rozważań jest czysto logicznie wywnioskowane, bądź co jest czystą empiryczną konstatacją faktu, a co praktycznym wartościowaniem. Postępowanie takie wydaje mi się w każdym razie po prostu n a k a z e m i n t e l e k t u a l n e j r z e t e l n o ś c i /podkr. lem/, skoro już raz się uznano odrębność tych sfer; w tym przypadku jest to absolutne minimum tego, czego należy wymagać /2/.*

Na podstawie przeprowadzonej przez siebie analizy dialektyki wolności i władzy w koncepcji Nowakowego materializmu ustaliłem, że wartością pierwotną tej koncepcji jest idea ostatecznego zbawienia ludzkości. Nowak w swej odpowiedzi chyba zgadza się z tą tezą. Piszę "chylba", bo z jednej strony stwierdza, że gdyby nawet tak było, to i tak nie miałoby to żadnego znaczenia dla oceny prawdziwości tez niemarksowskiego materializmu /s.136/, a z drugiej jednak na pytanie o wyznawane wartości zdecydowanie odpowiada: *Nie zamierzam zdawać z tego sprawy, w każdym razie nie tutaj /s.136/.* W jednej sprawie na pewno nie zgadza się on ze mną. Otóż w swoim artykule wykazywałem, że Nowak aksjologię zaczerpnął od Karola Marksa, on natomiast zdecydowanie protestuje przeciwko takiemu twierdzeniu. Według Nowaka jego aksjologia, podobnie jak i Marksa, wywodzi się z Nowego Testamentu. Pisze wręcz: *Otóż punktem wyjścia dla koncepcji człowieka założonej w niemarksowskim materializmie historycznym jest antropologia Nowego Testamentu /s.147/.*

Zanim przystąpię do dyskusji z poglądem Nowaka na temat źródeł jego antropologii i sposobów poprawiania przez niego orędzia ewangelicznego - bowiem Jezus poczynił pewne "błędy teoretyczne", które udaje się wyeliminować na gruncie niemarksowskiego materializmu /s.147/ - należy przedstawić rzeczywisty sens przesłania ewangelicznego /3/.

Jezus w momencie podjęcia działalności publicznej obwieszcza ludziom nadzwyczaj ważną chwilę, a mianowicie w trwającej tysiące lat historii stosunków między Bogiem a ludzkością nastąpił moment spełnienia. Owo spełnienie poprzedzała prorocza obietnica przyszłego czasu zbawienia, kiedy Bóg przyjdzie, aby wybawić swój lud i w sposób definitywny założyć swoje Królestwo. Wraz z działalnością Jana Chrzciciela /którego właśnie niedawno zabito/ stary ład został zamknięty, a zapoczątkowany został nowy porządek. Charakteryzuje ten nowy porządek Dobra Nowina o Królestwie Bożym.

Zbliżające się Królestwo Boże, to centrum i ramy przepowiedni i wystąpienia Jezusa. Nie chciał On jednak żadnego lepszego świata, ale oczekiwał nadejścia nowego świata, nowego nieba i nowej ziemi. Orędzie Jezusa o nadejściu Królestwa Bożego musi być zatem rozumiane w aspekcie ludzkiej tęsknoty za pokojem, wolnością, sprawiedliwością i życiem. Według Biblii człowiek nie posiada pokoju, sprawiedliwości, wolności i życia sam z siebie. Życie jest stale zagrożone, wolność tłumiona i tracona, sprawiedliwość deptana. To zagrobie człowieka jest tak wielkie, że człowiek o własnych siłach nie potrafi się wyzwolić. Niezbędny jest więc nowy, całkowicie samoistny

początek, którego dawcą może być jedynie Bóg jako Pan na równi życia i historii. W pojęciu Królestwa Bożego mieści się to nowe, to, czego nigdy przedtem nie było, czego nie można sobie wyobrazić, co znikąd nie wynika - nadzieja ta nie wywodzi się również ze zrozumienia prawideł, jakie rządzą światem i historią lub trendami i tendencjami rozwojowymi - a czego tym bardziej nie można stworzyć, czego stwórcą i dawcą może być jedynie sam Bóg. Wynika z tego, że w idei Królestwa Bożego idzie nie tyle o Królestwo w sensie przestrzeni, terenu, na którym panuje Bóg, lecz przede wszystkim o to, aby uznano, że Bóg jest absolutnym Panem świata, Panem historii. Wszystko inne nie byłoby ludzkie, lecz doprowadzałyby do nadludzkich wysiłków, a tym samym - łatwo i do nieludzkich skutków.

Pranadziei ludzkiej na nowy początek Jezus nadaje jeszcze jedną nową cechę. Otóż głosi On, że owa eschatologiczna nadzieja spełnia się już teraz. Przełom eonów nie jest nieosiągalną granicą, lecz leży w bezpośredniej bliskości. *Czas się wypełnił i bliskie jest Królestwo Boże* /Mk 1,14. Królestwo Boże jest jednak rzeczywistością ukrytą. Oczywiście, nie jest ukryte, jak sądzą apokaliptycy w zaświatach, w niebie, lecz tu i teraz w najbardziej codziennej rzeczywistości, w tej, w której trudno poznać, co w niej naprawdę zachodzi.

Królestwo Boże jest nie tylko spełnieniem najgłębszych ludzkich nadziei, ale także wezwaniem. *Nawracajcie się i wiercie w Ewangelię* /Mk 1,15/. W Nowym Testamencie na każdym kroku widzimy, że działanie Boże wzywa człowieka; orędzie staje się apelem. Nieodwracalna jest także kolejność: w pierw działa Bóg - działanie Boże zobowiązuje człowieka. Człowiek musi się więc opowiedzieć wobec Królestwa Bożego. Jest ono bowiem tą potęgą, do której należy przyszłość, która teraz przynagla do podjęcia decyzji i która z tej racji działa w teraźniejszości i tę teraźniejszość całkowicie określa. Obietnica Boga otwiera więc przed człowiekiem nową możliwość; jednak konkretny sposób jej urzeczywistnienia zależy od człowieka, od jego wiary lub niewiary. A zatem Królestwo Boże nie przechodzi obok wiary człowieka, lecz pojawia się tam, gdzie Bóg w wierze faktycznie staje się Panem. Orędzie Jezusa o zbliżającym się Królestwie jest zobowiązująca, apelująca do opowiedzenia się, osłateczną ofertą Boga. Lecz jest to oferta zaadresowana do wolnej decyzji człowieka; kwalifikuje ona aktualną sytuację jako eschatologiczny moment decydowania. Boska obietnica spełni się jednak dopiero wtedy, gdy Bóg naprawdę będzie "wszystkim we wszystkim" /1 Kor 15,28/.

Czy Jezus formułując obietnicę Królestwa i widząc społeczne i polityczne niedomagania swoich czasów, nie gorzył się i nie chciał ich usunąć? Czy obok etyki indywidualnej nie rozwinął także etyki społecznej, która nam wydaje się tak niezmiennie ważną? Na podstawie tekstów ewangelicznych należy zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że nie; przynajmniej nie bezpośrednio. Jego zasadniczą troską jest troska czysto religijna i moralna, a nie polityczna. Nie pozwolił na to, by uwikłano Go w żądny władzy mesjanizm. Jezus odrzuca jakąś bezpośrednią, wprowadzającą ład ingerencję w zakłócony mechanizm tego świata. Często przez Niego powtarzane "przyszedłem" odsłania Jego "świadomość powołania": *zostałem powołany, by wzywać grzeszników* /Mk 2,17/, *ratować zagubionych* /Łk 19,10/, *oddać swe życie jako okup za wielu* /Mk 10,45/. **C h c e p r z y w r ó c i ć ś w i a t u b o s k i e ż y c i e.** Przed Piątą oświadcza: *Królestwo moje nie jest z tego świata* /J 18,38/. Za przeciwnika swego orędzia o zbliżającym się Królestwie, Jezus nie uważał - jak by to odpowiadało Mesjaszowi w oczekiwaniach żydowskich - władzy politycznej, lecz szatańską władzę zła. Stąd nie dążył do zdobycia władzy i sprzeciwiał się stosowaniu przemocy.

Nie oznacza to jednak, że Jego moralne orędzie nie ma żadnego związku z życiem doczesnym, z etyką społeczną, ze sprawami doczesnymi. Jezus

nie chciał bynajmniej wyłączać swoich uczniów ze świata. Jezus posyła ich do świata /Mt 10,16/, naprzód Izraelowi, a potem wszystkim narodom, posyła ich z przesłaniem miłości, a zwłaszcza z przykazaniem miłowania swoich nieprzyjaciół /Mt 5,39-48/. Miłość niejako przewyżcza zło; w ten sposób pokonuje je i daje początek czemuś nowemu. Rewolucja, którą przynosi Jezus jest znacznie radykalniejsza, niż jakikolwiek przewrót polityczny; jest ona bowiem rewolucją bezgranicznej miłości w świecie egoizmu i siły. Inaczej mówiąc, skoro tylko człowiek zacznie realizować przykazanie miłości, miłość okaże się zarazem motywuem całego jego dążenia, także i szukania Królestwa. Tylko miłość zdoła wypełnić "prawo" Kazania na Górze. Miłość jest więc najbardziej wewnętrzna siłą motywacyjną dla każdego, kto szczerze dąży do Królestwa Bogoż.

W przykazaniu miłości Jezus dokonuje czegoś w rodzaju reinterpretacji Bożego panowania i Jego bycia Panem. Według Jezusa polega ono na suwerennej miłości Boga, który jest Panem: Jego nadejście i Jego bliskość - to zbliżanie się Królestwa Jego miłości. Bóg jest bliski człowiekowi przez miłość - oto nowy sposób rozumienia Boga przez Jezusa. Zbawienie Królestwa polega więc na tym, że w człowieku i przez człowieka dochodzi do władzy samodzielażąca się miłość Boga. Miłość okazuje się sensem bytu. Jedynie w miłości znajdują swe spełnienie człowiek i świat. Otwiera ona bowiem - wbrew alternatywie przemiany świata na drodze przemocy, tudzież bezwzględnej ucieczki przed światem - możliwość przemiany i uczłowieczenia świata przez miłość. W tym sensie rozwiązaniem zagadki historii jest właśnie miłość, a nie co innego.

Gdzie zaczyna panować Bóg, tam dokonuje się nowe stworzenie, tam przeminęło stare, tam wszystko staje się nowe w blasku Jego miłości, tam wszystko jest możliwe /Mk 14,36; Mt 19,26; Łk 18,27/. Królestwo Boże - jak wynika z całego wywodu - jest wyłącznie i we wszystkim sprawą Boga. Nie można na nie zasłużyć ani religijno-etycznymi osiągnięciami, ani wywalczyć politycznie, ani przewidzieć na drodze rozmaitych spekulacji filozoficznych. Nie możemy go zaplanować, zorganizować, zbudować, czy wymyślić i wyobrazić sobie. Będzie dane /Mt 21,43/ i przekazane /Łk 22,92/. My możemy je tylko wziąć w posiadanie /Mt 25,34/. Nadejście Królestwa Bożego jako objawienia się bytu Boga w miłości nie prowadzi jednak do kwietyzmu. Nawet jeżeli my ludzie nie możemy budować Królestwa ani konserwatywnie, ani progresywnie, ani ewolucyjnie, ani nawet poprzez przegrane rewolucje, to człowiek mimo wszystko nie jest skazany na czystą bierność. Wymaga się od niego nawrócenia i wiary /Mk 1,15/. A wiara - to rezygnacja z własnych osiągnięć, przyznanie się do ludzkiej niemocy, uznanie, że człowiek nie może pomóc sam sobie własnymi siłami oraz nie może uzasadnić swojej egzystencji oraz jej zbawienia. W taki sposób wiara otwiera się na coś innego, nowego i przyszłego. Wiara oznacza pozwolenie na działanie Boga i uznanie Jego władzy.

Już wstępnie widać, że w Nowakowej interpretacji przesłania Nowego Testamentu dochodzi do zasadniczego pęknięcia między pierwszym a drugim członem przykazania miłości, między miłością Boga a miłością bliźniego, między teocentryzmem a antropocentryzmem. Źródłem wewnętrzznego pęknięcia przykazania miłości jest zapewne idea samoemancypacji człowieka. Samo pojęcie wywodzi się z terminologii prawniczej. W prawie rzymskim oznaczało ono łaskawie wyzwolenie niewolnika lub wyzwolenie spod władzy ojcowskiej dorosłego syna. Podobnie Paweł pojmuje chrześcijańskie odkupienie jako wyzwolenie spod "mocy i potęg" i nie ulega wątpliwości, że chrześcijaństwo odegrało poważną rolę w europejskiej historii wolności. Właściwie dopiero chrześcijaństwo dostrzegło, że w wolności tkwi godność każdego człowieka, niezależnie od jego rasy, pochodzenia, pozycji i pici. Z pojmowania emancypacji jako łaskawie udzielonej wolności wyrasta jednak w czasach nowożytnych, pojmowane

autonomicznie, pojęcie samowyzwolenia człowieka. Jednocześnie proces wyzwolenia jednostki przerodził się w proces społeczny, w którym oszabadyły się całe grupy społeczne spod duchowego, prawnego społecznego lub politycznego skrupowania i upośledzenia. W taki to sposób ów początkowo prawniczy termin przekształcił się w ideologiczną kategorię totalną. *Wszelka emancypacja* - mówi Marks /4/, z którym - mimo niechęci do wczesnej twórczości autora "Kapitału" - chyba zgodzi się Nowak - *jest sprawadaniem świata ludzkiego, stosunków ludzkich do samego człowieka*. Ta totalna emancypacja - u Nowaka wyraźnie odrzucona /s. 146/, chociaż jej efekt w postaci społeczeństwa bezmomentowego pozostaje - wyraźnie wyklucza wszelką mediację przez jakiegóś pośrednika. Dlatego Chrystus, obiecany Zbawiciel, jedyny Pośrednik między Bogiem a ludźmi, sprawdzony zostaje do paradoksalnej roli odkrywcy jakichś tez teoretycznych i to w dodatku błędnych.

Duch rewolucyjny do głębi jest przeniknięty dążeniem do przejęcia inicjatywy w dziejach. Wielkość człowieka nie polega na poszanowaniu dla istniejącego ładu, lecz na jego przekształcaniu. Dla Nowaka cała historia to dzieje walk klasowych; podstawowym prawem historii jest dialektyka władzy i zniewolenia, alienacji i wyzwolenia. Rozwiązanie zagadki zła nie polega więc na jego wyjaśnieniu, ale na walce z nim, na nieustannym dążeniu, aby zło zniknęło. Działanie rewolucyjne zresztą ma za przedmiot nie tylko świat i społeczeństwo, lecz również jednostkę, która w ten sposób staje się przyczyną dla siebie samej, tworzy swą rzeczywistość i swój los. Człowiek może się urzeczywistnić, może się rozwinąć jedynie dzięki swej twórczej wolności. Działalność rewolucyjna wyraża w postaci najbardziej jaskrawej, najdalej idącą inicjatywę człowieka w historii. Podjęcie tej inicjatywy staje się równoznaczne ze złożeniem Boga z tronu.

Tak więc w ramach dziejowego ruchu zmierzającego do wyzwolenia człowieka, jaki powstał pod wpływem chrześcijaństwa, pojawia się marksizm i inne formy religii politycznych ostatnich dwu stuleci. Przesłanką dla ich powstania była myśl o bezowocności Ewangelii. *To zbyt długo trwa!* - zda się mówić Nowak. Zbyt długo czekamy na stworzenie takich warunków, jakich można by oczekiwać, rozumiejąc dobrze wewnętrzną treść Ewangelii. Nowożytne religie polityczne, przełamując ramy chrześcijaństwa, formułują eschatologiczną obietnicę przeskoku do królestwa wolności na Ziemi, jeśli człowiek weźmie inicjatywę we własne ręce /5/. Dobrze tę myśl oddaje Marks, który, wskazując na przemoc jako siłę dziejotwórczą, mówi, iż temu, kto w walce ze starym boi się przemocy grozi *podobnie jak pierwszym chrześcijanom, którzy tego zaniebali i gardzili tym - niebezpieczeństwo, iż nigdy nie ujrzą swego królestwa na tym świecie* /6/.

Nowak próbuje dziś na nowo interpretować chrześcijańską prawdę zbawienia jako programu wyzwolenia społecznego. W tym sensie ewolucyjnie poprzez przegrane rewolucje czy stricte rewolucyjne zmiany struktur zewnętrznych, solidarności z uciśnionymi i realna utopia doskonałej humanizacji świata, obiecują człowiekowi niezmierne przestrzenie wolności. Jednak *fałszem jest twierdzenie, że wyzwolenie polityczne, ekonomiczne i społeczne zbawienie jest ze zbawieniem w Jezusie Chrystusie; że Królestwo Boże identyczne jest z królestwem ludzkim*. /7/.

Chrześcijańska Dobra Nowina o Bogu jako właściwym, jedynym i ostatecznym celu człowieka porusza się w zupełnie innym wymiarze. Nie można jednak odbierać człowiekowi wolności i szczęścia doczesnego. Wszyscy ludzie powinni do tego dążyć. Dzięki pracy dla doczesnego szczęścia, dla sprawiedliwości i przerywiania egoizmu społecznego chrześcijanin jest tym, który oczekuje wiecznego życia w Bogu i wie oczywiście, że tylko dzięki takiej postawie miłości do bliźniego może osiągnąć obiecane mu przez Boga życie wieczne, czyli zbawienie. W tym sensie dążenia Nowaka, aby wywalczyć dla świata jak najwięcej wolności, szczęścia i sprawiedliwości, są nierozzerwalnie związane z chrześcijańskim orędziem zbawienia.

Sądzę, że w przeprowadzonym wywodzie udało mi się ustalić aksjologiczne źródło antropologii niemarksowskiego materializmu. Jeśli nawet przyjmijemy, że źródłem tym jest posłanie Nowego Testamentu, to jest to posłanie rozumiane w bardzo specyficzny sposób, a mianowicie po przepuszczeniu przez filtr Marksowskiej religii politycznej. Źródłem koncepcji społeczeństwa bezmomentowego jako obietnicy Nowego Czasu szukać zatem winniśmy w dokonanej przez Marksa laicyzacji idei Królestwa Bożego, w próbie realizacji tego, co eschatologiczne w porządku doczesnym. Materializm Nowaka prowadzi swoją walkę na tym właśnie terenie, gdzie od dawna jest chrześcijaństwo - i z samego wnętrza cywilizacji chrześcijańskiej. Ten bój jest raczej próbą zastąpienia czy rugowania, niż tworzeniem czegoś nowego; jedynymi prawdziwymi chrześcijanami dla Ziemi i wyzwolonymi od Boga transcendentnego - okazują się być wyznawcy niemarksowskiego materializmu /8/.

O POZNAWCZYM STATUSIE TEZ NIEMARKSOWSKIEGO MATERIALIZMU

Wypada zgodzić się z Nowakiem, że w humanistyce - pod dwoma wszakże warunkami - wolno wartościować.

Po pierwsze, dokonując aktu wartościowania, zwykła rzetelność naukowa wymaga od nas wyraźnego ujawnienia przyjętej aksjologii. Jest to konieczne, aby umożliwić nam za pomocą właściwych sobie intelektualnych środków ustalić /.../ "sens" wartościowań, a więc ich ostateczną strukturę znaczeniową i ich znaczenie i owe konsekwencje, czyli wskazać ich "miejsce" w obrębie zbioru wszelkich w ogóle możliwych "ostatecznych" wartości oraz wytyczyć odpowiadające ich znaczeniu granice sfer ich ważności /9/. Nowak tego nie uczynił, ale mimo to wydaje mi się, że sprawę można uznać za wyjaśnioną. Po drugie, jest oczywiście, że na podstawie poznanych założeń aksjologicznych jakiejś teorii naukowej, nie można orzekać o jej prawdziwości czy fałszu. Jest tak jednak tylko pod warunkiem, że tryb uzasadniania tej teorii jest inny niż jej tryb budowy, tzn. że w falsyfikacji teorii nie odwołujemy się do wyznawanej aksjologii jako uzasadnienia wyłożonych tez. Twierdząc nadal, że tego warunku niemarksowski materializm historyczny nie spełnia. Nie jest go zresztą w stanie, w większym lub mniejszym stopniu, spełnić żadna teoria naukowa.

Aby mieć możliwość przetestowania tez jakiejś teorii naukowej, trzeba najpierw ustalić, jaką koncepcją prawdy posługuje się autor danej teorii. W idealizacyjnej koncepcji nauki sprawa ta nie jest dostatecznie jasna. Twórca tej teorii pisze bowiem, że uprawianie działalności naukowej doprowadza do pewnego efektu obiektywnego: *stałego przybliżania się do pełnego i absolutnie ścisłego wyjaśnienia badanych zjawisk /prawdy absolutnej/*. Z kolei ten ciąg teorii coraz bliższych prawdziwej absolutnej pozwala na podejmowanie działań praktycznych coraz bardziej skutecznych, a więc takich, których następstwa obiektywne coraz mniej różnią się od zamierzonych celów. Im bardziej bowiem skuteczne są działania oparte na pewnej teorii, tym bardziej musi być ona teorią adekwatną /tym bliższą prawdziwej absolutnej/ - tym bliższe muszą być wyniki przewidywań oparte na tej teorii wynikom rzeczywistym /10/. Wydaje mi się, że w poglądzie tym mamy do czynienia z dwoma teoriami prawdy - klasyczną i pragmatyczną - i w dodatku w sposób nieuprawniony są one pomieszane ze sobą. Bowiem wcale nie musi być tak, aby działania rzeczywiście skuteczne wynikały jedynie z tez prawdziwych.

Istota klasycznej teorii prawdy, o czym mówi Arystoteles, sprowadza się do tego, że z jednej strony występuje mówienie, iż jest tak a tak, z drugiej zaś strony właśnie jest tak a tak; zatem wypowiedzi nasze odnoszą się do czegoś poza sobą, a prawda jest postacią tego odnoszenia. Teoria ta odrzuca więc pogląd, że my niczego nie wiemy w

sposób godny zaufania, a w szczególności nie wiemy niczego o istnieniu jakiegos niezależnego od nas świata. Niechętna jest również stanowisku, że poznawany przez nas świat jest korelatem naszego poznania, a wszelkie "przechodzenie" ku światu istniejącemu poza tą korelacją jest przechodzeniem do bytów konstruowanych przez nas. Uznaje natomiast za swoje twierdzenie, że poznajemy wprost i bezpośrednio pewien niezależny od nas świat.

To ostatnie stanowisko - adekwatne do klasycznej teorii prawdy - wydaje się być również właściwe Nowakowi. Uważa on przecież, że tezy ontologiczne są niezależne od akceptowanych poglądów epistemologicznych i antropologicznych. Z tego powodu poznawana przez niego "esencjalna stratyfikacja" bytu pełni funkcję arbitra w sporach o czynniki "główne" i "uboczne" /11/. Słowem, Nowak dla siebie samego uchodzi za doskonałego ontologa, który jedynie odwzorowuje obiektywną rzeczywistość i, posługując się idealizacją jako metodą, dochodzi do wyników, które świat społeczny mu po prostu "dyktuje".

Gdy mówimy, że zdanie jest prawdziwe, nasz werdykt też ma postać zdania, mianowicie metazdania, które głosi, że zdanie wyjściowe jest prawdziwe. Jeżeli więc chcemy ustalić, czy prawdziwe jest owo zdanie wyjściowe, musimy ustalić, czy prawdziwe jest zdanie, że zdanie wyjściowe jest prawdziwe. I tak w nieskończoność. Słowem, gdy przyznajemy zdaniu prawdziwość, czynimy to w zdaniu, któremu przyznajemy prawdziwość, to zaś z kolei czynimy w zdaniu, któremu przyznajemy prawdziwość, itd. Broniąc się przed zarzutem *regressus in infinitum* Nowak powie, że w dowolnym miejscu możemy przerwać ów łańcuch i odwołać się do czegoś, co według niego nie jest zdaniem, a co jest faktem, stanem rzeczy, czy doświadczeniem.

Tak jest w istocie na gruncie idealizacyjnej teorii nauki, gdzie doświadczenie traktowane jest jako empiryczne kryterium prawdy /12/. Tu jednak rodzą się nowe trudności. Sednem poglądu Nowaka na sposób testowania tez naukowych jest ujmowanie człowieka - a przynajmniej siebie samego w roli naukowca - jako swoistego "przyrządu pomiarowego", którego czujniki /zmysły/ reagują na stany świata zewnętrznego, a również na stany własne, w ten sposób, że między tymi stanami zachodzi przyporządkowanie na zasadzie "kopiowania" rzeczywistości przez człowieka. Jest to jednak nieprawda /13/. Otóż, po pierwsze, klasyczna definicja prawdy, a więc ta, którą Nowak uznaje za swoją, nie jest bezzałożeniowa. Wręcz przeciwnie. Zakłada ona pewne twierdzenia dotyczące świata /"esencjalistyczna stratyfikacja" jako odmiana materialistycznej metafizyki/ oraz twierdzenia dotyczące naszego poznawania świata /zasada "kopiowania" między sądem a rzeczywistością/. Są to elementarne tezy dość naiwnego realizmu. Po drugie, *wobec tego, że wiemy, iż przynajmniej w niektórych przypadkach sam akt badania /.../ wpływa znacznie na wielkość badaną /mierną/, przeto rozróżnienie sytuacji, w których wpływ ten jest istotny, od sytuacji, w których można go negliżować, wymaga akceptacji pewnej teorii, w świetle której odpowiednio interpretujemy wyniki obserwacji i pomiaru jako wiarygodne, "obiektywne", bądź jako obciążone nieuchronną niedokładnością* /14/. W ten sposób dochodzi do obalenia koncepcji "idealnego obserwatora" zdolnego do uzyskiwania za pomocą przyrządu pomiarowego - np. własnych zmysłów - informacji o badanym przedmiocie bez naruszania jego stanu; głównym i decydującym ciosem w tę koncepcję okazała się zasada nieoznaczoności Heisenberga /15/.

Wskazane wyżej argumenty upoważniają do stwierdzenia, iż żadne sądy sprawozdawcze oparte na wyniku doświadczenia, w którym uczestniczy człowiek jako swoisty przyrząd pomiarowy, nie mogą być akceptowane na mocy samego doświadczenia bez odwołania się do jakichś teorii, założeń lub po prostu wyznawanych wartości. W tej sytuacji można próbować twierdzić, jak zdaje się to czynić Nowak, że chodzi nam o "goly fakt"

empiryczny /16/. Zasadnie można jednak zapytać, czy rzeczywiście gdziekolwiek mamy do czynienia z tego rodzaju faktami, że ich treść uwarunkowana jest wyłącznie obiektywnymi cechami przedmiotów i niezmiennym z pokolenia na pokolenie, bo genetycznie wyznaczonym, funkcjonowaniem aparatu poznawczego, a nie zależy od zmiennego, społecznie dziedzicznego intelektualnego wyposażenia podmiotu /17/. Zapewne nie. Skoro tak, to w nauce niemożliwe jest *experimentum crucis*, tzn. niemożliwa jest sytuacja, w której nieodwołalnie i jednoznacznie falsyfikuje się pewną hipotezę na korzyść drugiej. Jeżeli zaś hipotezy sprawdza się jedne przez drugie, nie zaś przez apel do pierwotnych i gołych faktów, to zawsze istnieje wielość możliwych i sprzecznych wzajemnie systemów teoretycznych równie dobrze tłumaczących całość doświadczenia. Twierdzenia zdające sprawę z bezpośrednich obserwacji zmysłowych /wyrażone w określonym aparacie pojęciowym/ akceptujemy lub odrzucamy bowiem nie bez udziału przekonań teoretycznych dotyczących funkcjonowania naszego aparatu poznawczego, wiarygodności informacji, jakimi dysponujemy, wreszcie bezrefleksyjnie opierając się na wyznawanych wartościach /18/.

Przedstawione przeze mnie trudności ze stwierdzeniem prawdy lub fałszu na gruncie klasycznej teorii prawdy nie dotyczą, oczywiście, wyłącznie niemarksowskiego materializmu; nie jest od nich wolna cała nauka. W ramach dyskutowanej koncepcji istnieją jednak tezy, które - na skutek złamania zasad nominalizmu i fenomenalizmu - w ogóle nie poddają się falsyfikacji /obaleniu/ przez doświadczenie. Zaliczam do nich twierdzenia typu: "postępowa wyzwalanie pracy", "postęp poprzez przegrane rewolucje", "nieuchronność powstania i upadku socjalizmu", "konieczność wyłonienia się społeczeństwa bezmomentowego" itp, itd. Twierdzenia te, do odrzucenia których nie może nas zmusić żadne doświadczenie, określam za Popperem jako metafizyczne /w sensie pozytywnym tego słowa, a nie tomistycznym/. W twierdzeniach tych w sposób zupełnie nieusprawiedliwiony pomieszane są sądy o faktach wraz z elementami wartościowania pierwotnego. Stąd też nie da się stwierdzić ani ich fałszu, ani prawdy, przynajmniej na gruncie klasycznej teorii prawdy.

Nowak posługuje się - obok klasycznej - również pragmatyczną koncepcją prawdy /19/; niestety bardzo w sposób nieusprawiedliwiony mieszając je ze sobą. Pragmatyczną teorię prawdy można wysłowić możliwie lapidarnie odwołując się do źródłowej metafory: *Bo po owocach poznaje się każde drzewo* /Łk 6,44/. Chodzi więc o to, że aby ustalić znaczenie jakiegoś poglądu intelektualnego, trzeba rozważyć, o jakich konsekwencjach praktycznych można pomyśleć, że wypływają one nieuchronnie z realizacji tego poglądu.

Mówiąc o klasycznej teorii prawdy, wskazywałem, że myślenie, badanie, poznawanie nie ograniczają się do zadań czysto intelektualnych, poznawczych. Na odwrót, angażują one nasze emocje, dotyczą wartości, które uznajemy za własne oraz jawnych bądź ukrytych interesów i w wyniku działania, same w istocie będąc działaniem, reorganizowaniem środowiska, prowadzą ku nowym sytuacjom. Zdania, w których utrwalamy wyniki naszych poczynań badawczych, są więc narzędziami, środkami przekształcenia sytuacji. Jak wszystkie narzędzia, poddają się ocenom dotyczącym ich jakości podstawowej, tzn. skuteczności lub nieskuteczności. Jeśli rozporządzamy zdaniem skutecznym /tj. efektywnie wskazującymi, jak rozstrzygnąć jakiś problem/ rozporządzamy tym samym dobrymi narzędziami. Dobre narzędzia zaś zwykliśmy cenić, aprobować. Ale zdania, które cenimy, aprobujemy, mamy zazwyczaj za prawdziwe.

Stosunek Nowaka do pragmatycznej teorii prawdy nie jest jednoznaczny. Z jednej strony zakłada on, że skuteczne działania mogą wynikać jedynie z sądów prawdziwych /jest to oczywista nieprawda/. Z drugiej jednak pisze: *Dlatego nauka trwa jako odrębna instytucja społeczna, iż efektem*

globalnym procesu społecznego, osiąganym wprost przez nauki praktyczne, a pośrednio również przez teoretyczne, jest czynienie innych sfer działalności ludzkiej coraz bardziej skutecznymi. Nauka jest tą formą działalności człowieka, której funkcją jest czynienie bardziej efektywnymi innych form działalności ludzkiej /20/ Stąd słusznie mówi S. Amsterdamski: *Jest to pogląd na naukę szeroko współczesnie rozpowszechniony, zgodnie z którym poznawcza funkcja wiedzy podporządkowana zostaje jej funkcji technologicznej /21/.* W takiej zaś sytuacji pojawia się groźba, że racjonalizacja życia społecznego, dostarczając technik efektywnego działania doprowadzi do manipulowania przedmiotami i symbolami, a przede wszystkim ludźmi.

Korzystając z uczynionego przez Nowaka /22/ rozróżnienia pomiędzy naukami teoretycznymi, a więc takimi, które wyjaśniać mają fakty stwierdzone w doświadczeniu, a naukami praktycznymi, które określają, w jaki sposób mogą być urzeczywistnione założone wartości, implicite zaliczyłem niemarksowski materializm do nauk praktycznych. Oznacza to że traktuję go przede wszystkim jako instrument celowego działania. Skoro klasyczna teoria prawdy wikała się w nieprzezwyciężalne dylematy to o prawdziwości jakiejś teorii może przesądzić praktyka społeczna. Stąd też mój lęk - jak wydaje mi się całkowicie uzasadniony - przed zdobyciem władzy przez materializm Nowaka. Idea /sąd, twierdzenie, teoria/ nie jest przecież żadnym obrazem, "kopią" rzeczywistości, ale planem działania. Koresponduje zatem z faktami, gdy poprzez działanie wytwarza stan rzeczy, który rozważa lub ku któremu zmierza. Wtedy mamy do czynienia z ideą słuszną, dostosowaną do faktów, gdy posługując się nią zostajemy doprowadzeni do oczekiwanego wyniku, w tym przypadku osiągniemy wyspę szczęśliwą - społeczeństwo bezmomentowe.

Idee stają się prawdziwe - podkreślam: *s t a j ą s i ę*, bowiem prawdziwość idei nie jest czymś stałym, ona im się tylko przytrafia - gdy program działania, jakim jest idea, zostaje niejako wypełniony czy umocniony przez fakty, jakie owa idea zapowiada. Sprawdzenie idei dokonuje się w działaniu i daje wynik pozytywny, gdy stosując ideę do sytuacji zastanej, stosując ją jako hipotezę roboczą czy próbna metodę otrzymujemy wyniki, konsekwencje, jakie owa idea zapowiada. Ostatecznym więc sprawdzianem idei są jej konsekwencje, wszelkie myślenie musimy tedy odsyłać do jego konsekwencji. Pisząc swój artykuł i tę polemikę z polemiką p. Nowaka, chcę ustrzec nas przed tymi konsekwencjami.

Nieprawdą byłoby stwierdzenie, że Nowak zupełnie nie zdaje sobie sprawy z poznawczych trudności, które towarzyszą konstrukcji też niemarksowskiego materializmu. Z naciskiem podkreśla, że uznaje *twierdzenia idealizacyjne za rodzaj hipotez, a więc dań odwoływalnych, takich przy tym, co do których z zasady nie będzie wiadomo z całą pewnością, czy są prawdziwe, czy fałszywe, itd /s. 138/.* Wskazuje na możliwość sfalsyfikowania swojej tezy o ewolucyjnej socjalizacji kapitalizmu przez współczesne odrodzenie nie liberalizmu na Zachodzie /s. 160/ /23/. Mimo tych elementów świadczących o tym, że autor *Wolności i władzy* nie utracił zupełnie kontaktu z empirią społeczną, nie jest on w stanie pozbyć się ze swojego materializmu takich bytów, jak np. konieczność powstania i upadku socjalizmu, czy postęp dokonujący się poprzez przegrane rewolucje.

W tym miejscu należy zwrócić uwagę na bardzo charakterystyczne różnice pomiędzy materializmem starożytnym a jego nowożytnymi odpowiednikami /24/. Materializm starożytny - w przeciwieństwie do logicznej niekoherencji nowożytnych materializmów - jest rygorystycznie naukowy. Wyklucza on więc perspektywę ziemskiego millenium, mającego się dokonać albo rewolucyjnie, albo ewolucyjnie, np. poprzez przegrane rewolucje; tym samym odrzuca się ewangeliczne motywy zawarte zarówno w komunizmie jak i społeczeństwie bezmomentowym. Wraz z usunięciem tych

teologicznych wtrąć obraz kosmosu sprowadza się do materii w ruchu. Ruch ten jest wieczny i nieustanny, a jedyny porządek, jaki można w nim dostrzec, polega na linii wyginającej się to w górę, to w dół, przy czym opadanie wskaźnika jest za każdym razem równoważone z jego poprzednim podniesieniem. Starożytność uważała zatem siły historii za cykliczne i najczęściej przedstawiała je jako ruch po kole. Raz po raz, tu i tam, udaje się ludziom opanować opór elementów, które wywołują depresję w historii, a kiedy tego dokonają odbywa się zjawisko gromadzenia i zdobywania ponad zwykłą miarę. Lecz nigdzie nie ma dowodu na istotny, organiczny wzrost historii. Ponadto zasada ekspansji działa jednocześnie jako zasada ograniczenia. Albowiem jako nieunikniony skutek swojej działalności wytwarza opór, którego siła i trwałość są proporcjonalne do wywieranego nacisku. Z tego oporu zaś powstaje konflikt, w którym ulegają wstrząsowi i zniszczeniu kolejne nagromadzenia potencjalnej *eudaimonia*. Tak więc proces, któremu podlega ludzkość, jest procesem samounicestwienia; jest on podobny do kołysania się wahadła.

Dla chrześcijan, oczywiście, nie mogło być nic bardziej odpychającego od teorii cyklicznej /25/. Albowiem stoi ona w jaskrawej sprzeczności z poglądem Biblii na *saeculum* jako na stałe i stopniowo odświeżające, od początku do końca, zasady twórczej i poruszającej. Pośrednio teoria ta przeczy również chrześcijańskiemu orędziu o zbawieniu człowieka. To Augustyn jako pierwszy daje świadectwo wierze chrześcijan, że wbrew wszelkim oporom historia ludzka nie składa się z szeregu powtarzających się wzorów, lecz stanowi pewne, choć niestałe, posuwanie się ku ostatecznemu celowi. Takie przekonanie pozwala mu widzieć szeregi wyznawców Chrystusa niejako w marszu naprzód.

Znając sens materializmu antycznego i zmiany, jakie w nim wprowadziło chrześcijaństwo, łatwiej jest nam zrozumieć źródła Nowakowej historiozofii. Źródłem tym jest oczywiście zlaicyzowane chrześcijaństwo, z którego czerpie on teleologiczną wizję historii; ten teleologizm w języku Nowaka nabiera miana "dziejowego postępu". Analiza niemarksowskiego materializmu utwierdza mnie w przekonaniu, że problem modelu rozwoju dziejów poza determinizmem historycznym w ogóle jest zagadnieniem źle postawionym, a nawet na gruncie determinizmu stawia nas wobec jednej z tych spraw, które właściwie wykraczają poza wszelkie naturalne możliwości poznawcze naszego intelektu i należą do sfery tajemnicy, której rąbek odsłonić nam może, co najwyżej, jakieś objawienie, w którego prawdziwość wierzymy. Jeżeli więc istnieje dziedzina, która jest zdolna dać nam jakieś informacje na temat schematu rozwoju dziejowego, to nie jest nią filozofia, lecz tylko teologia dziejów.

Nie sposób zatem jednoznacznie określić status poznawczy tez wyłożonych w niemarksowskim materializmie. Obok wspólnych z całą nauką - na gruncie klasycznej teorii prawdy - trudności związanych z określeniem prawdy bądź fałszu poszczególnych tez materializmu Nowaka zawiera szereg twierdzeń nie dających się w ogóle sfalsyfikować. O tezach tych, w których pomieszanie sądów o faktach z aktami wartościowania pierwotnego jest szczególnie ewidentne, zasadnie można powiedzieć, iż są one wykładem swoistej teologii dziejów. Trudności związane z klasyczną teorią prawdy nie przesądzają, oczywiście, wartości dyskusowanego materializmu z punktu widzenia czysto pragmatycznego, a więc jako nauki praktycznej. W pewnych okolicznościach bowiem teoria ta może okazać się nad wyraz skuteczną.

"POSTĘP POPRZEZ PRZEGRANE REWOLUCJE", CZYLI O MOŻLIWOŚCI I SPOSOBIE
POWSTANIA SPOŁECZEŃSTWA BEZMOMENTOWEGO

Jednym z istotniejszych zarzutów, które stawia mi p. Nowak, jest nieuwzględnienie sposobu, w jaki można osiągnąć społeczeństwo bezmomentowe, czyli postępu dokonującego się poprzez przegrane rewolucje /s. /26/. Jest to jednak nieprawda, gdyż o samej możliwości i o sposobach powstania społeczeństwa bezmomentowego pisałem wielokrotnie w swoim artykule /np. ss. 88-89, 90-91, 94-95/. W tym miejscu chciałbym jedynie zebrać te zastrzeżenia, które poczyniłem uprzednio.

Społeczeństwo bezmomentowe Nowaka ma na uwadze ideał usiłujący jednocześnie zaspokoić potrzebę równości, wolności /w różnych jej wymiarach/ i efektywności gospodarczej. W społeczeństwie bez owych monopolii /tj. materialnych monopolii władzy, własności i indoktrynacji - dop. lem/ /bezmomentowym/ można tedy oczekiwać tego tylko, że ta część sta społecznego, która pociągana jest przez fakt, iż niewielka liczba rodzin kontroluje większość dochodu narodowego, że nieznaczna ilość prominentów blokuje aspiracje obywateli do działania publicznego, że nieliczne elity kulturowe opanowując rynek spychają na marginesy twórców rzeczywistych i przeprowadzają "duchową urawniłowkę" odbiorców kultury masowej - otóż w społeczeństwie bez takich monopolii można oczekiwać - aż i tylko - tego, że zaniknie część sta społecznego, która z nich wynika /s. / . Ideał ten jest wart zachodu, ale musimy zdawać sobie sprawę nie tylko ze złożoności problemów zawartych w każdej wartości z osobna, lecz również z tego, że wartości te ograniczają się wzajemnie i mogą być wprowadzane w życie jedynie drogą kompromisów. Oszukujemy siebie i innych mówiąc, że jest inaczej. Wszystkie zmiany instytucjonalne winny być traktowane jako środki w służbie tych wartości, a nie jako cele same w sobie. Oceniać te zmiany należy biorąc pod uwagę, ile tracimy z jednej wartości realizując inną, ponieważ próba uznania którejś - kolwiek za absolutną i urzeczywistnienia jej za wszelką cenę, prowadzi nie tylko do zniszczenia pozostałych, ale również do samounicestwienia tej, o którą nam chodziło. Tym większe będą spustoszenia w życiu społecznym, jeśli podejmiemy próbę realizacji wszystkich wartości naraz. Równość, która tak fascynuje Nowaka, może być tylko zaprowadzona jedynie przez rządy despotyczne, co zakłada istnienie przywilejów, a więc niszczy równość. Podobnie absolutna wolność - mimo jego wiary w skuteczność samoorganizacji ludu - oznacza anarchię, a ta kończy się panowaniem najsilniejszych. Brak zaś ograniczeń dla wolności politycznej większości niesie wolność indywidualną i da w rezultacie demokratyczną organizację totalnego zniewolenia wszystkich. Efektywność gospodarcza jest natomiast nieosiągalna bez rynku i prywatnej własności środków produkcji, bowiem bez nich - o czym zdaje się Nowak zapominać - życie ekonomiczne zamiera /27/. Bez hierarchii nie ma kultury - jak zaświadcza zgodnie Miłosz i Gombrowicz; stąd walka z elitami kulturowymi może doprowadzić jedynie do duchowego zglajszachtowania społeczeństwa. I nic nie pomoże tu podświadomie nurtujące Nowaka przekonanie, że człowiek /a przedstawiciel klasy ludowej już na pewno/ jest z natury dobry, tj. jego zaobserwowane wady są następstwem nie tyle więczej natury ludzkiej, ile niesprzyjających warunków życia /np. panowania trójpanów/.

Widzimy zatem, że koncepcja społeczeństwa bezmomentowego jest nie tylko niewykonalna, ale staje się przeciwnie skuteczna, gdy tylko usiłujemy wprowadzić ją w życie środkami instytucjonalnymi. Jest tak dlatego, że jedność zinstytucjonalizowana - zakładana implicite przez Nowaka - i wolność są skłócone ze sobą, a społeczeństwo pozbawione wolności może być zjednoczone tylko w tym sensie, że wyrażanie konfliktów jest przemocą zduszone, nie zaś same konflikty usunięte. Doskonale zjednoczone - a więc bezkonfliktowe społeczeństwo - jest tak czy owak fikcją.

Rodzi się pytanie o przyczynę nieusuwalnych dwuznaczności idei społeczeństwa bezmomentowego. Wydaje mi się, że jest nią fakt, iż więzi społeczne zbudowane są wedle różnych niesprowadzalnych do siebie wzajemnie kryteriów i potrzeb ludzkich, potrzeby zaś są liczne i często wykluczają się wzajemnie. Całe nasze życie jest zbiorem kompromisów między potrzebami, które w końcu sprowadzają się do biblijnego stwierdzenia, że nie jesteśmy bogami. Jeśli demokratyczny ład przetrwa, to nie dzięki temu, że zostanie odkryte któregoś dnia rozwiązanie ostateczne uszczęśliwiające wszystkich na zawsze /w rodzaju społeczeństwa bezmomentowego/, ale dzięki jasnej samowiedzy, że rozwiązanie takiego nigdzie nie ma; a o tym, że nie ma najlepiej wie chrześcijaństwo, tak sponiewierane przez Nowaka. Chrześcijaństwo nigdy nie obiecywało żadnych trwałych rozwiązań dla doczesnego losu ludzi, ponieważ nie ma recepty na społeczeństwo bez zła, bez grzechu, bez konfliktów, ideały takie powstają ze zblakania umysłu upewnionego w swej wszechmocy /*rational fallacy* F.A.Hayeka/ 28/, a więc są owocami ludzkiej pychy. Doświadczenie natomiast poucza nas, że żaden system nie jest w stanie zbudować harmonijnej całości, bez względu na jej formę.

Podjęta przez Nowaka próba zniesienia /wszelkiego/ panowania człowieka nad człowiekiem /s.143/ nie może powieść się również z powodu zapoznania przez niego natury samej polityki. Otóż po pracach V.Pareto, G.Moski oraz R.Michelsa wiadomo, że wszelki ustroj polityczny ma charakter oligarchiczny /29/. Wszystkie społeczeństwa - mówią ci myśliciele - a przynajmniej wszystkie społeczeństwa złożone, rządzone są przez niewielką grupę ludzi; ustroje różnią się między sobą charakterem mniejszości sprawującej w nich władzę. Nie można wyobrazić sobie ustroju politycznego, który w jakimś sensie nie byłby oligarchiczny. Skoro zaś decyzje polityczne - z różnych względów /30/ - nie mogą być podejmowane przez wszystkich, to istotą wszelkiej polityki jest, że decyzje muszą być podejmowane dla zbiorowości, a nie przez nią. Stąd problem nie polega na likwidacji oligarchii /elit politycznych/, ale sprowadza się raczej do tego, jak te oligarchie używają swej władzy, jakimi zasadami kierują się one w swych rządach oraz jaki jest koszt, a jaka korzyść tych rządów dla społeczeństwa?

Z tego punktu widzenia oligarchia, która rodzi się wraz z powstaniem społeczeństwa bezmomentowego /*spontaniczne kierownictwo mas*/31/ wcale nie jest mniej niebezpieczna dla ludu niż oligarchie rządzące w systemach demokratycznych. Warto zwrócić uwagę, że samo istnienie owego "spontanicznego kierownictwa" już klóci się z tezą, że społeczeństwo bezmomentowe ma być tą formą rozwoju gatunku ludzkiego, w której powstanie jakichkolwiek trwałych zróżnicowań strukturalnych - typu rządzący-rządzeni - nie będzie możliwe. Pomijając to jednak, powtórną zapytam, jaki charakter posiadać będzie władza tych jednostek, które jakoby w sposób spontaniczny mają kierować samoorganizacją ludu? /32/. Czy nie staną się oni klasą władców maksymalizujących swoje interesy? Jakie są przewidziane zabezpieczenia przed nadużyciem władzy przez nich? Wydaje mi się, że problemy te, jak nie były, tak i nie są rozwiązane przez Nowaka.

Na pewno nie rozwiązuje tych trudności formuła "postępu przez przegrane rewolucje", a więc stawianie na mechanizm przegrywania kolejnych rewolucji wymuszających z coraz wyższego poziomu ewolucyjne przeobrażenia stosunków społecznych /s.133/. Przegrana rewolucja jest bowiem jedynie przegraną rewolucją i niczym więcej. Nie ma żadnych podstaw, aby z niemożności lub/i nieudolności politycznej robić cnotę historiozoficzną. Nb. po grudniowej przegranej "Solidarności" nie byłoby w Polsce żadnego "postępu poprzez przegrane rewolucje", gdyby pewna część społeczeństwa dalej nie toczyła walki z systemem. Dzięki temu, że tak się stało, może-

my sobie dziś - w miarę spokojnie - dyskutować o Nowakowym materializmie.

Okazuje się zatem, że domniemany "postęp poprzez przegrane rewolucje" w niczym nas nie przybliży do upragnionego społeczeństwa bezmomentowego. Dzieje się tak wcale nie dlatego, że ideał Nowaka to zlaicyzowane obietnice zawarte w orędziu ewangelicznym, ale dlatego, że ideał ten - przy próbie praktycznej realizacji - jest samounicestwiający. Możliwość osiągnięcia społeczeństwa bezmomentowego "poprzez przegrane rewolucje" falsyfikuje również aktualne polskie doświadczenie. W wyniku destrukcji komunizmu nie pojawia się bowiem bezklasowa wspólnota, ale społeczeństwo, gdzie na nowo odradzają się podziały na różnorakie elity i masy. Związek Nowaka z ludem sprowadza się zaś jedynie do tego, że w ramach nieuchronnego procesu oligarchizacji, któremu podlega życie społeczne, a polityka w szczególności, próbuje on, będąc członkiem jednej z konkurujących elit, narzucić społeczeństwu swoją wizję świata. I nie ma w tym nic zdrożnego, dopóki jasno się o tym mówi i dopóki elita, w ramach której działamy, nie ma charakteru monopolistycznego.

CZY NIEMARSKOWSKI MATERIALIZM JEST ODNOWIONĄ GNOZĄ?

Cała właściwie polemika Nowaka ze mną skupiona jest wokół obalenia interpretacji niemarksowskiego materializmu jako odnowionej gnozy. Zaprezentowana refutacja nie przekonuje mnie jednak, dokonana zaś przez niego reinterpretacja chrześcijaństwa wprost utwierdza mnie w mojej pierwotnej interpretacji.

W swojej interpretacji materializmu Nowaka jako gnozy wychodzę z konstatacji samego autora, który traktuje społeczeństwo socjalistyczne jako "supraklasowe", a więc takie, w którym skupia się całe historyczne zło społeczne. To totalne zło jest konieczne ze względu na przyszyły stan wyzwolonej ludzkości. Nowak pisze w polemice: *Monopole te /tj. własności, władzy i indoktrynacji - dop. lem./ najpierw musiały skupić się w jednych rękach, aby możliwe było ich ostateczne zniesienie w drodze stopniowego nadwyższania przez kolejne przegrane rewolucje /s.164/*. Pomijam w tej chwili, jako rozstrzygniętą, sprawę znoszenia monopoli społecznych. Warunkiem przekształcenia świata totalnie złego w świat dobry jest posiadanie w pełni prawdziwej i całkowicie pewnej wiedzy o świecie aktualnym i o drogach wiodących do przyszłego wcielenia ideału. Myślę, że i ten warunek jest spełniony; wiedzę tę stanowi teologia historii, którą formułuje materializm Nowaka. W sumie do pełni obrazu brakuje jedynie kasty oświeconych wiedzą czerpaną z dyskutowanego materializmu. Przypuszczam jednak, że - w momencie, gdy stanęła realnie problem wyzwolenia ludu przez materializm Nowaka - doczekamy się powstania takiej grupy.

Można by spróbować wyspecyfikować odmianę gnostycyzmu prezentowaną przez Nowaka. Za J.Staniszkis proponuję określić jego teorię mianem pekatyizmu. *Pekatyizm jest nurtem gnostycyzmu opartym na założeniu obiektywnego istnienia określonej porcji "zła", które musi się "wyczerpać" zanim przyjdzie "dobro". Nurt ten usprawiedliwia grzechy jako działania służące zużytkowaniu się zapasów zła /33/*.

Nowym elementem, który pojawia się na gruncie Nowakowej gnozy, jest fakt, że toczy on swój bój na gruncie tradycyjnie chrześcijańskim. Z podobną sytuacją, a więc atakiem gnozy wewnątrz chrześcijaństwa, mieliśmy już do czynienia w pierwszych wiekach istnienia chrześcijaństwa /34/. Niemarksowski materializm uzupełniony ewangeliczną antropologią jawi się - podobnie jak jego starożytny odpowiednik - jako radykalna herezja chrześcijaństwa /35/. Sytuacja taka jest za-

pewne znamię naszych czasów, w których religie transcendentalne próbują być rugowane przez świeckie religie polityczne. Jest to jednak sytuacja alarmująca, gdyż w ten sposób zagrożona staje się ostatnia wartość, która ocalała z pogromu komunistycznego, tzn. chrześcijaństwo traktowane przede wszystkim jako religia, a nie instytucja społeczna /36/.

W cytowanym już artykule Staniszkis pisze, że reakcją na realny socjalizm może być wyłącznie nowa utopia /37/. Wyjaśniając, mówi: *Nadrzeczywistość trwa bowiem nie tylko dlatego, że - jak słownie twierdzi Bessonon - jest impregnowana na empirię. Moja konkluzja jest bardziej pesymistyczna: "nadrzeczywistość" jest mianowicie stale powielana w nowo powstających "innobytach" nie tyle podobnych treściowo, ile posiadających podobny status ontologiczny i implikujących podobne struktury rozumowania. Co charakterystyczne, owe "innobyty" są produkowane nawet /a raczej szczególnie/ w sytuacji buntu /38/. Stąd nietrudno wyciągnąć wniosek, że materializm Nowaka jako gnostyczny "innobyt" stanowi jedynie objaw postępującej sowietyzacji naszego społeczeństwa /39/. Fakt, że ów proces objawia się w toku walki z komunizmem, usypia tylko czujność społeczną i pogłębia mit łatwości transformacji systemu.*

W całej pełni zatem podtrzymuję interpretację niemarksowskiego materializmu jako odnowionej gnozy w wersji pekastycznej. Kwalifikację tę pogłębia proponowana przez Nowaka reinterpretacja orędzia ewangelicznego, która to reinterpretacja może doprowadzić do powstania nowej radykalnej herezji chrześcijaństwa. Absurdalność tych propozycji tłumaczy jednak jakoś sytuacja, w której one się narodziły. Tę sytuacją dla ich powstania jest rozpad innej utopii - leninowskiego komunizmu.

NIEMARSKOWSKI MATERIALIZM HISTORYCZNY: MIĘDZY TOTALITARNĄ GROźBĄ A "ZACNĄ SOCJALISTYCZNO-LIBERALNO-KONSERWATYWNĄ KOMPANIĄ"?

Na podstawie przeprowadzonych rozważań mogę stwierdzić, że Nowakowi nie udało się znaleźć mitycznej "trzeciej drogi" między demokracją a totalizmem. Przypuszczam wręcz, że ta trzecia droga jest po prostu niemożliwa. W sensie ideowym - mimo wszystko czynionych przez siebie wysiłków - autor *Wolności i Władzy* nadal należy do obozu zwolenników totalizmu, tyle tylko, że postkomunistycznego. I to by było na tyle, jeśli chodzi o ideową zawartość prezentowanego materializmu. Dlatego twórca tej koncepcji słusznie czyni nie zaliczając się do "zacnej socjalistyczno-liberalno-konserwatywnej kompanii". W sensie praktycznym może jednak zrodzić się pokusa realizacji idei społeczeństwa bezmementowego. W takiej sytuacji jedynym efektem byłaby samodestrukcja ideału, ale koszty za empiryczne przetestowanie materializmu Nowakowego poniosłoby, niestety i jak zawsze w takiej sytuacji, społeczeństwo.

Naiwna wiara we własną mądrość bywa niekiedy wrzuszająca. Bez niej zresztą niemarksowski materializm nigdy by nie powstał. Zostałby zabity przed urodzeniem przez lęk przed śmiesznością lub świadomością niepopularności proponowanych rozwiązań. Utopista ma w sobie coś z proroka: jeśli nie uważa nawet swego głosu za głos Boga, Natury lub Historii, Rozumu czy Prawdy, to czuje przynajmniej, że przemawiają przez niego Prawa Dialektyki w Interpretacji Kategorialnej /40/. Bo też zaiste trzeba niemałej pewności siebie, by przystępować do projektowania idealnego społeczeństwa z nadzieją, że znajdzie się jedno niezawodne rozwiązanie. Bywa to wrzuszające - mówi słusznie J. Szacki /41/ - podobnie jak biografie szalonych wynalazców pracujących całe życie nad *perpetuum mobile* lub metalem lżejszym od powietrza. Rzecz jednak w tym, że utopista bynajmniej nie zawsze pozostaje nieszkodliwym wynalazcą. W przypadku utopii polityki - a z taką mamy tu do czynienia - pewność

siebie może stać się groźna, wiąże się bowiem z manipulowaniem ludzkimi losami - nawet losami tych, którzy w Utopię nie wierzą.

Na koniec pozostaje mi udzielenie odpowiedzi na pytania, które zadał mi p. Nowak. Najogólniej rzecz biorąc pytania te dotyczą tego samego tj. znaczenia idei w życiu społecznym. Stąd pozwolę sobie udzielić odpowiedzi generalnej na wszystkie pytania razem. Oczywiście jest - i stwierdzam to po raz już któryś - iż to nie idee kreują świat takim, jakim on rzeczywiście jest. Nie oznacza to jednak, aby idee nie miały żadnej siły własnej, ponieważ, jak zauważył to K.Marks *siłą materialną trzeba odeprzeć siłą materialną, wszelako i teoria staje się potęgą materialną, kiedy porwa za sobą masy* /42/.

PRZYPISY

- /1/ Patrz L.Nowak, *Wolność i władza. Przyczynki do niemarksowskiego materializmu historycznego*, Poznań 1981, część I, rozdz.2, gdzie prezentowane są założenia Nowakowego materializmu i nie ma ani słowa na temat jego założeń aksjologicznych.
- /2/ M.Weber, *Sens "wolnej od wartościowań" socjologii i ekonomii*, w: *Problemy socjologii wiedzy*, Warszawa 1985, s.102
- /3/ Oparłem się tutaj na pracach m.in. W.Kaspar, *Jeżus Chrystus*, Warszawa 1983 oraz R.Schnackenburg, *Nauka moralna Nowego Testamentu*, Warszawa 1983
- /4/ K.Marks, *W kwestii żydowskiej*, w: *MED*, t.1, Warszawa 1960, s.448
- /5/ W *Czarodziejskiej górze* T.Manna Naphta mówi do Settembriniego: *W dyktaturze proletariatu, której politycznie i gospodarczo domagają się nasze czasy, bez której nie ma dla nich zbawienia, nie chodzi o panowanie dla niego samego i na wieki, lecz o czarowe usunięcie przeciwieństwa między duchem a władzą, przewyższenia go nad znakiem krzyża, o przewyższenie świata za pomocą panowania a światem; ma ono znaczenie przejścia, transcendencji, znaczenie państwowości. Proletariat podjął dzieło Grzegorza, transcendentną, znaczenie państwowości. Proletariat podjął dzieło Grzegorza, ma jego entuzjazm dla spraw boskich i tak samo jak on nie będzie mógł ręki cofnąć przed krwią. Zadaniem jego jest wzbudzenie grozy dla zbawienia świata i dla osiągnięcia tego, co było celem Zbawiciela: bezpieczeństwa i bezklasowego synostwa bożego* /t.2, Warszawa 1953, s. 80-81/.
- /6/ K.Marks, *Przemówienie o kongresie Haschim* w: *MED*, t.18, Warszawa 1969, s. 178.
- /7/ Słowa Jana Pawła I cytowane przez Jana Pawła II, *Przemówienie inauguracyjne na III konferencji Generalnej Episkopatu Ameryki Łacińskiej w Puebla*, w: *Jan Paweł II Nauczanie społeczne 1978-79*, Warszawa 1982, s.236.
- /8/ Świadczyć o tym może dość osobliwa konstatacja, którą czyni Nowak w swojej polemice: *I to bez względu na to, co Kościoły chrześcijańskie mówią aktualnie na te tematy /chodzi o sposób realizacji przeżycia ewangelicznego - dop. lem./ - Ewangelia jest dobrem tej kultury, nie tej czy innej hierarchii kościelnej. A przyznając sobie przez hierarchię prawa nieomylnego orzekania o sprawach wykładni tego, być może największego dobra kultury europejskiej nie jest niczym innym jak przybraniem własnych interesów w szaty dogmatyzmu* /s. /.
- /9/ Weber, *iw.*, s.118.
- /10/ L.Nowak, *Wstęp do idealizacyjnej teorii nauki*, Warszawa 1977, s.25.
- /11/ W polemice z Nowakiem diametralnie przeciwstawne stanowisko zajmu-

je S. Amsterdamski, *Między historią a metodą*, Warszawa 1983, s. 178, przyp. 142.

- /12/ Nowak, *Wstęp ...*, s. 88-105.
- /13/ Pisze o tym interesująco S. Amsterdamski, *Między doświadczeniem a metafizyką*, Warszawa 1973, rozdz. 4.
- /14/ J. Giedymin, *O teoretycznym sensie tw. zdań obserwacyjnych*, w: *Teoria i doświadczenie*, Warszawa 1966, s. 107-108.
- /15/ Por. B. Chwedończuk, *Spór o naturę prawdy*, Warszawa 1984, s. 203.
- /16/ Co prawda, Nowak nigdzie tego wyraźnie nie mówi, ale z drugiej strony nigdzie też nie podnosi różnicy między "gołym faktem" empirycznym a faktem będącym przedmiotem zabiegów naukowych. Por. Nowak *Wstęp ...*, szczególnie s. 88-105.
- /17/ O destrukcji pojęcia faktu - i tym samym samodestrukcji pozytywizmu jako koncepcji nauki - zob. L. Koźlakowski *Filozofia pozytywistyczna*, Warszawa 1966, rozdz. 6.
- /18/ Por. np. K. Ajdukiewicz, *Obraz świata i aparatura pojęciowa*, w: *Język i poznanie*, t. 1, Warszawa 1985, s. 186: *Nie widzimy żadnej istotnej różnicy pomiędzy zdaniami sprawozdawczymi a interpretacjami. Sądzi się, że same dane doświadczenia nie zmuszają nas do uznawania ani jednych, ani drugich. Warto również wspomnieć o pracy K. Pomiana, *Przeszłość jako przedmiot wiary*, Warszawa 1968, szczególnie rozdz. 1, gdzie przeprowadzona jest analiza wpływu założeń epistemologicznych na akceptację sprawozdań o faktach historycznych.*
- /19/ O pragmatycznej teorii prawdy zob. Chwedończuk, *juw.*, część III.
- /20/ Nowak, *Wstęp ...*, s. 170.
- /21/ Amsterdamski, *Między historią a metodą ...*, s. 182.
- /22/ Nowak, *Wstęp ...*, s. 150.
- /23/ Nie wiem, czy p. Nowak na pewno zdaje sobie sprawę z konsekwencji tego stwierdzenia. Jeśli nie nastąpi ewolucyjna totalizacja Zachodu, to nie powstanie system trójpanowania, jeśli on nie powstanie, to tym bardziej nie będzie mógł upaść, a w rezultacie nie będzie mogło powstać społeczeństwo bezmomentowe. Ergo nie nastąpi wyzwolenie ludu. To wprost okropne! W tej sytuacji pozostaje wezwać sowieckie czołgi, by one przyspieszyły socjalizację kapitalizmu, albo czekać, aż wyzwoli się lud Europy wschodniej i na swych bagnatach poniesie na Zachód społeczeństwo bezmomentowe. I tu nie obejdzie się bez trudności. ZSRR wcale nie chce zajmować Zachodu, bo zarządziłby w ten sposób kurę, która znosi złote jaja. A i polski lud może utracić swoją awangardową rolę w wyzwalaniu ludzkości, gdyż, jak pisze Nowak, może dojść do sojuszu kościelno-komunistycznego /s. / . To jest coś więcej niż okropne!
- /24/ Por. Ch. N. Cochrane, *Chrześcijaństwo a kultura antyczna*, Warszawa 1960, rozdz. 12.
- /25/ Por. S. Swieżawski, *Zagadnienia historii filozofii*, Warszawa 1966, s. 522, który pisze, że *to dopiero chrześcijaństwo, mieszcząc w centrum dziejów jednorazowe i absolutne niepowtarzalne narodzenie, śmierć i zmartwychwstanie Boga-Całowika, przemieniło starożytny schemat cykliczny w obraz rozwoju linearnego, inaugurując w ten sposób dopiero po raz pierwszy zarys wizji naprawdę historycznej.*
- /26/ Prawdą jest, że Nowak explicite bardzo zdawkowo wypowiada się na temat społeczeństwa bezmomentowego. Prawdą jest jednak również, że Marks o dyktaturze proletariatu pisał bodajże dwa razy - w 1852r. w liście do J. Weydemeyera oraz w *Krytyce programu gotajskiego/1875/*. Nie

- przeszkodziło to w niczym Leninowi - na podstawie tych dwu cytatów - stworzyć doktrynę państwa dyktatury proletariatu. Por. B.Souvarine, *Stalinisme*, w: *Marxism in the Modern World*, Stanford 1965, s.94
- /27/ Por. interesujący artykuł J.Staniszkis, *Własność, racjonalność, dynamika, struktura*, "Przegląd Polityczny", nr4, 1984. Na korelację między prywatną własnością a wolnością osobistą wskazuje m.in. F.A.Hayek, *Wolność ekonomiczna i rząd reprezentatywny*, "Przegląd Polityczny", nr5, 1985.
- /28/ Por. J.Branecki, *Hayek - dogmatyk wolnego społeczeństwa*, "Przegląd Polityczny", nr 5, 1985, w szczególności s.40-44.
- /29/ Wśród licznych opracowań zob. m.in. R.Aron, *Democratie et totalitarisme*, Paris 1965, rozdz. 7 oraz R.Dahl, *Modern Political Analysis*, New Jersey 1970, rozdz.4.
- /30/ O przyczynach tych obszernie traktuje Dahl, jw. rozdz.7.
- /31/ Nowak, *Wolność i władza...*, s.178-179.
- /32/ Warto chyba przypomnieć tu osobę i główne dzieło R.Michelsa /*Zur Soziologie des Parteiwesens in der modern Demokratie*, 1915/, który w swoich badaniach nad partią socjaldemokratyczną w Niemczech sformułował ogólniejsze prawo rządzące każdą organizacją. Prawo to - znane potocznie jako spitzowe prawo następuje w sposób naturalny rodzi tendencję do oligarchizacji. Organizacja bowiem w sposób naturalny nieunikniony zanik demokracji. Organizacja przywódców zaś wzrasta w tym samym stopniu co sama organizacja. Zob. również znaną pracę M.Duvergera, *Les parties politiques*, Paris 1964 /1949/.
- /33/ J.Staniszkis, *Forma myślenia jako ideologia*, "Przegląd Polityczny", nr6, 1985, s.40, przyp.11.
- /34/ Por. szerzej, W.Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, t.1, Warszawa 1983, s.176-179.
- /35/ O komunizmie jako "ostatniej i zupełnie radykalnej" herezji chrześcijaństwa pisze np. J.Maritain, *La personne et la bien commun*, Paris 1947, s.87-88.
- /36/ A.Besancon w rozmowie z W.Karpińskim mówi: *W miarę jak Kościół waha się przełamać milczenie, które od 20 lat zachowuje w stosunku do komunizmu, naraża się na zalanie przez idee komunistyczne, które jednakże przyjmują w jego łonie różne maski. Stąd mamy np. teologię wyzwolenia, która jest w sumie komunizmem z domieszką spirytualizmu. Stąd mamy różne ruchy, które właśnie przygotowują to, czego obawiam się najbardziej, tzn. przejścia od komunizmu ateistycznego, który neguje religię i twierdzi, że łączy w sobie naukę i filozofię, do komunizmu spirytualistycznego, który po wchłonięciu nauki i filozofii rości również pretensję do wchłonięcia religii. Wydaje mi się, że nie może istnieć nic gorszego, gdyż byłoby to naprawdę potworne spustoszenie, byłoby to wprowadzenie ideologii do świątyni.* "Zeszyty Literackie", nr 5, 1984, s.115.
- /37/ Staniszkis, *Forma...*, s.32. Wyjaśniając, dopowiada: *Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na różnorodność utopii funkcjonujących aktualnie w Polsce: od "ewangelicznego socjalizmu" Jana Pawła II, przez różne warianty anarchizmu, po utopie ucieczki spod wpływów systemu /ruchy parareligijne/, nowe wersje utopii totalitarnej i po swoistą antyutopię /postulat zmian własności, ze świadomością wysokich kosztów społecznych takiej transformacji systemu/ /s.43-44, przyp. 44/.*
- /38/ Tamże, s.33
- /39/ Do podobnych wniosków w skali ogólniejszej dochodzi również Staniszkis, *Forma...*, s.38-39.
- /40/ Szerzej na ten temat L.Nowak, *U podstaw dialektyki marksistowskiej. Próba*

interpretacji kategorialnej, Warszawa 1977.

/41/ J. Szacki, *Spotkania z utopią*, Warszawa 1980, s. 159.

/42/ K. Marks, *Przyczynik do krytyki heglowskiej filozofii prawa*. Wstęp, w: MED. t. 1, jw., s. 466.

„W OCZACH ZACHODU”

Joseph Conrad

OD AUTORA

Przyznać należy, że przez zwyczajną kolej rzeczy *W oczach Zachodu* stało się rodzajem powieści historycznej, której przedmiotem jest przeszłość.

Uwaga ta da się zastosować w pełni do zdarzeń powieści; ponieważ jednak jest to w swej istocie próba przedstawienia raczej psychologii Rosji, aniżeli jej stanu politycznego - śmiem żywić nadzieję, że i dzisiaj nie straciła ona całkowicie swego znaczenia. W pochlebnym tym mniemaniu podtrzymuję mnie i to, że w wielu współczesnych artykułach na tematy rosyjskie spotkałem się z nawiązaniem do niektórych powieści i opinii wyrażonych na kartach mej książki, a rodzaj tych wzmianek świadczy o jasności mego widzenia i trafności sądu. Nie potrzebuje chyba zapewniać, że pisząc tę powieść nie miałem innego celu na oku, jak przedstawić pod postacią zdarzeń zmyślonych ogólną prawdę zawartą w wydarzeniach - wraz z moimi szczerymi przekonaniami o moralnym obliczu pewnych faktów mniej lub więcej znanych całemu światu.

Jeżeli idzie o samo powstanie utworu, mogę powiedzieć, że kiedy zaczynałem pisać, miałem wyraźną koncepcję jedynie części pierwszej z trzema postaciami - Haldina, Razumowa i radcy Mikulina - zarysowanymi jasno w mej głowie. Dopiero gdy ukończyłem część pierwszą, objawiła mi się pełna fabuła - w całym swym tragizmie i następstwie wydarzeń - jako całość nieunikniona a zarazem dość rozległa w zarysie, by pozostawić swobodę memu twórczemu instynktowi i dramatycznym możliwościom tematu.

Przebiegu akcji wyjaśniać nie trzeba. Nasunęła się sama - bardziej drogami uczucia niż myśli. Jest to owoc nie tyle bezpośredniego doświadczenia, ile ogólnej wiedzy, wspartej przez sumienne rozważania. Największą moją troską było znaleźć i utrzymać ton ścisłej bezstronności.

Obowiązek absolutnej rzetelności został mi nałożony przez względy historyczne i dziedzinne - szczególnie doświadczenia narodowe i rodzinne, nie mówiąc już o zasadniczym moim przekonaniu, że tylko prawda może być racją bytu jakiegokolwiek twórczości literackiej, która rości sobie najskromniejsze prawo do imienia sztuki i pragnie znaleźć miejsce w dorobku kulturalnym mężczyzn i kobiet swojego czasu. Nigdy jeszcze nie przyszło mi z większym trudem zdobywać odpowiedni dystans w stosunku do przedmiotu, wznieść się ponad wszystkie namiętności, przesyady

Przedmowa do wydanej po raz pierwszy w 1911 roku powieści W oczach Zachodu pominięta zarówno w wydaniu Dziel, jak i w ubiegłorocznej edycji Wydawnictwa Łódzkiego. Tekst z tomu opublikowanego nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego "Wielki", Londyn, 1985.

i nawet osobiste wspomnienia. Może właśnie ze względu na ten dystans *W oczach Zachodu* nie miało powodzenia u publiczności, gdy ukazało się po raz pierwszy w Anglii. Nagroda spotkała mnie w sześć lat później, kiedy dotarły do mnie pierwsze wiadomości o powszechnym uznaniu dla mojej książki w Rosji, gdzie wydano ją w licznych nakładach.

Różne postacie, które biorą udział w tej historii również nie zawiązują swego istnienia bezpośrednio doświadczeniu, lecz ogólnej wiedzy o sytuacji w Rosji, jak też o moralnych i uczuciowych reakcjach rosyjskiego temperamentu na ucisk tyrańskiego bezprawia, które - używając ogólnoludzkich terminów - można by sprowadzić do formuły: bezsensowna rozpacz, wywołana bezsensowną tyranią. Mnie interesowało przede wszystkim to, jak przedstawiał się wygląd, charakter i los jednostek w zachodnich oczach starego nauczyciela języków. On sam był przedmiotem licznych uwag krytycznych; nie zamierzam jednak po upływie tylu lat usprawiedliwiać jego istnienia. Był mi potrzebny i dlatego sądzę, że przyda się też czytelnikowi, zarówno jako żywy komentarz jak i dzięki roli, którą odgrywa w rozwoju wątku powieści. Chcąc wywołać wrażenie rzeczywistości uważałem za konieczne mieć naocznego świadka zdarzeń w Genewie. Potrzebny mi był również współczujący przyjaciel dla panny Haldin, która bez niego musiałaby wydać się nadto już samotna i opuszczona, by budzić wrażenie osoby prawdziwej. Nie miałyby obok siebie nikogo, kto potrafiłby dostrzec jej wiarę w ideały, jej wielkie serce i proste uczucia.

Razumow został potraktowany ze współczuciem. Dlaczego miałoby być inaczej? Jest to zwyczajny młody człowiek, obdarzony zdrową zdolnością do pracy i zdrowymi ambicjami. Posiada przeciętne sumienie. Jeżeli jest w nim coś z lekka nienormalnego - to przeczułenie co do własnej pozycji społecznej. Jako dziecko niczyje odczuwa żywiej niż ktokolwiek inny, że jest Rosjaninem - albo nikim. Razumow zupełnie słusznie patrzy na całą Rosję, jako na swoją ojcowiznę. Krwawa bezcelowość zbrodni i poświęceń fermentujących, w tej bezkształtnej masie, ogarnia go i łąmie. Nie sądzę jednak, by w swojej rozterce był kiedykolwiek potworny. Nikogo nie przedstawiłem tutaj jako potwora - ani prostodusznej Tekli, ani fanatycznej Zofii Antonówny. Piotr Iwanowicz i pani de S. proszą się o cięgi. Są małpami złowrogiej dżungli i zostali potraktowani tak, jak na to zasługiwały stworzone przez nie grymasy. Jeśli idzie o Nikitę - zwanego Nekatorem - jest on typowym wykwittem terrorystycznego matecznika. W tworzeniu tej postaci najwięcej trudności sprawiała mi nie jej potworność, lecz banalność. Wystawiano ją na widok publiczny przez lata całe w tak zwanych rewelacjach dziennikarskich, w sekretnych szkicach historycznych, w sensorycznych powieściach.

Najbardziej przeraża refleksja (mówię teraz we własnym imieniu), że wszyscy ci ludzie nie są zjawiskiem wyjątkowym, lecz powszechnym - są normalnym wytworem swego kraju, czasu i rasy. Okrucieństwo i głupota rządów autokratycznych, odrzucając wszelką praworządność i opierając się w gruncie rzeczy na zupełnej anarchii moralnej, wywołują niemniej głupia i dzika reakcję całkiem utopijnego rewolucjonizmu, który oddaje się niszczeniu, nie przebiegając w środkach - w tej dziwacznej wierze, że w ślad za upadkiem istniejącego porządku musi przyjść zasadnicza przemiana w sercach. Ci ludzie nie są w stanie zrozumieć, że mogą osiągnąć jedynie zmianę rządu. Zarówno prześladowcy jak prześladowani

są na wskroś Rosjanami; i świat raz jeszcze przekonywa się o prawdziwości przysłowia, że tygrys nie potrafi zmienić pręg na swej skórze ani lampart cętek.

1920.

J.C.

GEORGE URBAN O URBANIE JERZYM

Niełaskawy los sprawił, że zmuszony jestem dzielić imię i nazwisko z panem Jerzym /George/ Urbanem - rzecznikiem prasowym władz polskich, postrachem rządów zachodnich, człowiekiem o nieposkromionym języku i charakterze, ale zarazem błyskotliwym galantem, w swoim przynajmniej mniemaniu. Nie przebierając w słowach, gdy mowa o ruinie społeczeństwa burżuazyjnego i nie używający jednego epitetu, gdy można trzech, pan Urban jest publicznym wesołkiem w świecie, w którym oficjalny humor należy do rzadkości. Niewiele żartów można znaleźć u Marksa czy Lenina. Pan Jerzy Urban /komunista/ uzupełnia te braki rozśmieszając rząd warszawski przez całą drogę do zachodnich bankierów.

Uprawia on swą działalność na niecodziennym, jak dla państw komunistycznych gruncie - na konferencjach prasowych, podczas których nasty, fikcja, plotki, domniemania i najoczywistsze kłamstwa mieszają się ku zdumieniu społeczeństwa polskiego i korespondentów zachodnich. Aby stworzyć sobie szersze pole do wygłaszania inwektyw, które mogłyby nie licować z jego oficjalną funkcją ministra i rzecznika prasowego używa również pseudonimu pisarskiego /Jan Rem/. Nie mogą jednak tej metafory nadużywać, ponieważ Jerzy Urban uzasadniając istnienie nie pochodzącego z wyborów i sponsorowanego przez Sowiety rządu oraz plotąc bajki w jego imieniu zajmuje się sprawami poważnymi. Bóg jeden wie jak trudno uzasadnić poczynania rządu powołanego w drodze wyborów; tym bardziej rządy nie wybrane-wymagają w tym szczególnego talentu. Jerzy Urban zaś taki talent posiada.

Stwierdzenie, że rozmija się on z prawdą świadczyłoby o niedocenianiu jego inteligencji. Jest on raczej wytworem tego dziwnego - przypominającego świat z "Alicji w Krainie Czarów" - świata zwanego leninizmem, w którym jedyną prawdą jest dokładnie to, co Jerzy Urban i jego władcy jako prawdę podają. Nie chodzi o to, że Jerzy Urban jest komunistą - twierdzi, że nie jest członkiem partii. Tak się po prostu składa, że całkowicie utożsamia się z polityką ekipy gen. Jaruzelskiego popieraną przez Moskwę.

Na kilka tygodni przed zamordowaniem ks. Jerzego Popiełuszki, 19 października 1984 roku Jerzy Urban w tak charakterystyczny dla siebie oględny sposób wyraził się, że ksiądz winien jest podżegania ludzi do przemocy: *W kościele ks. Popiełuszki organizowane są seanse nienawiści. Przewodniczy on sesjom wściekłości politycznej... Odprawia czarne msze.* Jednakże kiedy ksiądz został brutalnie zamordowany przez wychowanych w filozofii i słownictwie Jerzego Urbana i jemu podobnych tajnych agentów, przyczyną jego oburzenia nie byli bynajmniej mordercy, którzy zasied-

li na ławie oskarżonych w Toruniu. Zaskoczony publiczności oświadczył on: *Opinia publiczna w Polsce z dezaprobatą obserwuje brutalne represje policji amerykańskiej wobec duchownych i wiernych Kościoła Świętej Trójcy w Clairton w stanie Pensylwania, których jedynym przestępstwem było udzielenie wsparcia kilku tysiącom zwolnionych z pracy hutników.*

Nie ulega wątpliwości, że Jerzy Urban jest pełen dynamizmu. Jeżeli poszukiwanie prawdy nie jest jego najmocniejszą stroną, to jest nią z pewnością bezczelność, żeby nie rzec arogancja. *Wypowiedzi pana Jerzego Urbana wygłaszane są w duchu absolutnego lekceważenia społeczeństwa i pogardy dla prawdy obiektywnej - powiedział w grudniu 1981 dziekan z Uniwersytetu Warszawskiego Andrzej Koźmiński. Specjalnością Urbana jest wygłaszanie zjadliwych pouczeń wobec korespondentów zagranicznych, zaś jego taktyka wypływa z przekonania, że najlepszą formą obrony jest atak. Grozi ustanowieniem "międzynarodowego trybunału dziennikarzy", który ma osądzić i potępić kłamstwa na temat Polski rozpowszechniane rzekomo przez zagranicznych dziennikarzy. Lubi pouczać zachodnich polityków i rządu i ma szczególne przeświadczenie, że za wyjątkiem jego /i ludzi, których reprezentuje/ cały świat kroczy złą drogą. Jego nienawiść, w odróżnieniu od czaru osobistego, jest całkiem oczywista.*

O Zbigniewie Brzezińskim powiedział, że choć nie zachęca do powstania, jednak uważa, że od czasu... kilka trupów w Polsce byłoby w interesie Stanów Zjednoczonych.

Napomniął brytyjskiego sekretarza stanu Malcolma Rifkinda po jego przemówieniu do członków "Solidarności": *Spotkania z organizacjami nielegalnymi nie należą do zwyczajów w stosunkach międzynarodowych... kiedy przedstawiciel Polski odwiedza Wielką Brytanię, nie spotyka się z członkami IRA by uzyskać informacje o konflikcie w Irlandii.*

Paryz został nie znośnym sprzeciwu tonem poinformowany, że wrogi wypowiedzi rządu francuskiego na tematy polskie mogą skłonić Polskę do zaprzestania nauczania języka francuskiego w szkołach, jako że francuski nie jest już językiem światowym i używa się go jedynie dla dobra współpracy pomiędzy Francją a Polską.

Miły komunikat Jerzego Urbana dla Rzymu brzmiał: *Premier włoski powinien znać szczególnie dobrze zamachy terrorystyczne i nie spieszyć się ze zbijaniem na nich kapitału politycznego, z którym występuje wobec obcego rządu. Biorąc pod uwagę rozmiary terroryzmu i morderstw w jego własnym kraju, można sądzić, iż premier ma wystarczająco dużo problemów do rozwiązania na własnym podwórku.*

Amerykańscy senatorowie Edward Kennedy i Robert Doyle zostali ostrzeżeni przed składaniem jakichkolwiek deklaracji w sprawie morderstwa księdza Popiełuszki ponieważ widzimy w ich wypowiedziach nieustanne próby nakłonienia Polaków do podejmowania działań nielegalnych pod każdym pretekstem.

Jerzy Urban jest pomysłowym błaznem. Wśród intelektualnych karłów przemawiających w imieniu rządów komunistycznych jest bez wątpienia gigantem. Można by, jednak życzyć sobie, by jego gniew był rozsądniej kierowany, a wybuchy oburzenia nie tak łatwe do przewidzenia. Jednak Jerzy Urban nie jest zwyczajnym nudziarzem.

Jaki ja - drugi George Urban - mam z tym wszystkim związek? Odpowiedź jest taka: właściwie żaden, choć zostaliśmy ostatnio wraz z Jerzym określani w "Detroit Free Press" jako *dwaj ludzie o identycznych namysłach, wojownicy w konfrontacji Wschód-Zachód, którzy posługują się najpotężniejszą z istniejących systemem broni - słowami.* Jeśli nawet istnieje taka osobista rywalizacja, nie rozgrzesza mnie ona ani trochę. Któż mógłby dorównać pomysłowemu dr Goebbelsowi? I kto chciałby?

Jako szef Radia Wolna Europa wkroczyłem na scenę na długo po tym, jak Jerzy Urban zaczął rozpowszechniać komentarze i politykę z Warszawy. Prawdopodobnie opuścił scenę na długo przed nim. W międzyczasie nigdy nie przestanę zastanawiać się, co też nowego wymyślił mój niestrudzony imiennik i jak zdołamy odkręcić te kłamstwa. Nie zawsze nam się to udaje, zanotowaliśmy już na swoim koncie kilka porażek. Podejrzewam jednak, że o ile Jerzy Urban przemawia jedynie w imieniu i do samowładczego rządu gen. Jaruzelskiego, my w Radiu Wolna Europa mówimy do narodu polskiego. Jerzy wie o tym i to mu się nie podoba, ja zaś się z tego cieszę. Dlatego chciałbym tu uroczysto oświadczyć /używając popularnej formułki/, że jakiegokolwiek podobieństwa pomiędzy Jerzym Urbanem i Jerzym Urbanem są całkowicie przypadkowe.

Ludzie, którzy obserwują Jerzego Urbana i znają go lepiej ode mnie zauważyli, że w jego zachowaniu jest coś ponurego i diabolicznego. Jednak wydaje mi się, że raczej pasuje doń określenie jakiegoś Karol Marks użył wobec swojego krnąbrnego zięcia: *Nikt nie może być tak zły, na jakiegoś dr Avebing wygląda.*

GEORGE URBAN urodził się na Węgrzech, studiował filozofię pod kierunkiem Lukácsa w Budapeszcie i obronił doktorat na Uniwersytecie Londyńskim. Przez 30 lat mieszkał w Wielkiej Brytanii pracując dla BBC, obecnie jest dyrektorem Radia Wolna Europa w Monachium. Często publikuje na tematy polityczne. W "Przeglądzie Politycznym" nr 5 za "Encounterem" opublikowaliśmy jego wywiad z Aleksandrem Zinowiewem.

Jak podaje "Encounter" - "gdy treść powyższych uwag /zamieszczonych w skróconej wersji w "The Wall Street Journal"/ dotarła do władz w Warszawie - a zwraca się tam najwidoczniej uwagę na każde opublikowane na Zachodzie słowo - okazały one irytację i oburzenie. Wysoki urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych osobiście przekazał ambasadzie Stanów Zjednoczonych tzw. *verbal demarche*. To, co jeden Urban powiedział o drugim Urbanie było *wyjątkowo obraźliwym dla narodu polskiego zniestawieniem*. Jeden Urban jest z powodu swych audycji nadawanych przez RWE do Europy Wschodniej *interwencjonistą i czynnikiem destabilizacyjnym*, ale drugi Urban jest przeciw ostatecznie odpowiedzialnym oficjalnym rzecznikiem prasowym uznawanego rządu Jaruzelskiego. Sprawa Urban contra Urban zakończyła się grzeczną /urbane/ formułą dyplomatyczną o *zrewidowaniu całej sprawy*".

listy do redakcji

Do Redakcji "Przeglądu Politycznego"

Stosunkowo późno wpadł mi do ręki piaty numer "PP", w którym znalazłem *Historię gdańskiego ruchu samorządowego*. Przeczytałem ją z dużym zainteresowaniem, ponownie stwierdzając z przyjemnością, że "orientacja gdańska" jest mi bliska. Żałuję tylko, że sygnalizowana w tym artykule książka, której *Historia* jest pierwszym rozdziałem, jeszcze się nie ukazała. A może tylko do mnie nie dotarła?

Podkreślając dużą wartość i znaczenie przeczytanej publikacji, pragnę przy okazji sprostować trzy zawarte w niej nieścisłe informacje:

1. Powstanie "Społecznego Porozumienia na rzecz Reformy" wiąza autorzy z "reorientacją programową" kierownictwa "Solidarności", twierdząc, że jej reprezentanci weszli w jego skład. Otóż nie jest mi znane żadne oficjalne stanowisko KKP, deklarujące przystąpienie do Porozumienia. Inicjatywa zaś C.Palki, w wyniku której ów mało zresztą wówczas znany twór powstał, służyć miała przede wszystkim realizacji jego koncepcji osobistych oraz spokrewnionej Grupy Lubelskiej. Koncepcji, nota bene, dalekich od orientacji gdańskiej.

2. Autorzy publikacji piszą: *Inicjatywa Sieci nie znalazła odzwierciedlenia w debacie sejmowej toczącej się od połowy lipca*. W rzeczywistości wszyscy uczestnicy rozmów i negocjacji sejmowych byli w pełni świadomi, że podstawa dyskusji były projekty ustaw dwóch, a nie jednej strony: rządu i "Solidarności" (Sieci). Projekt ustawy o "przedsiębiorstwie społecznym" był w debacie cały czas aktywnie obecny, choć nie miał za sobą inicjatywy ustawodawczej.

3. Mylnie podany został skład zespołu do prowadzenia rozmów w Sejmie w sprawie ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie. Otóż na swoim posiedzeniu z 26 lipca 1981 r. KKP wyznaczyła do tego zespołu M.Giła (faktycznego przewodniczącego zespołu), W.Frasyniuka, Sz.Jakubowicza, J.Kłysa i C.Palkę oraz dwóch przedstawicieli Sieci. W rzeczywistości aktywny udział w rozmowach i negocjacjach brali Gil i Jakubowicz z ramienia KKP, zaś Sieć reprezentowali E.Nowak, J.Swinarski oraz eksperci E.Kitłowski, T.Stankiewicz i B.Ziemianin.

(-) podpis nieczytelny

Szymon Jakubowicz

Autora listu, Autorów artykułu oraz Czytelników przepraszamy za pominięcie nazwisk wspomnianych w punkcie trzecim powyższego listu (pominięto jedną linijkę tekstu oryginału przy przepisywaniu).

Redakcja

Dziękujemy za pomoc: HAYDN-300; DAL-50, GOP-4t, 2g, 10tk.

W nr 4 m.in.: Paweł ADAMSKI - Wspomnienie o Lechu Bądkowskim; Jadwiga STANISZKIS - Własność, racjonalność, dynamika, struktura; Raymond ARON - Testament; Alain Besancon - Śmierć trupa; Zbigniew BRZEZIŃSKI - Tragiczne dylematy sowieckiego imperium; Sylwetka Astolfa de CUSTINE'A; Trzy wystąpienia Grupy Publicystów Politycznych.

W nr 5 m.in.: Marcin KRÓL - O tradycji chrześcijańskiej w polskiej myśli politycznej; Jędrzej BRANECKI - Sylwetka Friedricha von Hayeka; Historia gdańskiego ruchu samorządowego; Mikołaj BIERDIA-JEW - Myśli o Rosji.

W nr 6 m.in.: Ireneusz KRZEMIŃSKI - Polska i "Solidarność"; Jadwiga STANISZKIS - Forma myślenia jako ideologia; Jędrzej BRANECKI - Sylwetka Ludwiga von Misesa; Leszka Nowaka teoria nowego totalitaryzmu.

W nr 7 m.in.: Gdynia, czwartek, 17 grudnia 1970; Ireneusz KRZEMIŃSKI - Świat zakorzeniony; Jacek MERKEL o reformie; Tadeusz DONECKI - Chwałę Paryż.